


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LOUIS GALLET

**KAPITAN CZART
PRZYGODY
CYRANA DE BERGERAC**

I

O późnym wieczorem jednego z dni październikowych tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego roku z bramy zamku Fougerolles, w prowincji Perigord, wymknął się jeździec i pocwałował drogą biegnącą wzdłuż rzeki Dordogne.

Ostry wiatr zaciął go jak biczem po twarzy, podróżny wszakże nic sobie z tego nie czynił. Wytrzymał odważnie natarcia burzy i krzepko a prosto usadowiony w siodle przedzierał się naprzód, jak błędny rycerz unieruchomiony w swej zbroi.

Niejeden, widząc go o tej porze i w taką niepogodę na drodze prawie nie uczęszczanej, pomyślałby, że to zbieg jakiś i hultaj, na cudzy worek dybiący.

W rzeczywistości jednak człowiek ten ani ukrywał się przed nikim, ani też na niczyją krzywdę nie czyhał.

Po godzinie drogi jeździec skręcił z gościńca na dość wąską ścieżkę pomiędzy dwoma wzgórzami. Po obu jej stronach rosły gęste krzaki jałowca i tarniny, nie brakło też drzew, do połowy z liści огоłoconych. Jeździec zwolnił biegu i zacinając batem gałęzie zwieszające mu się nad głową, głosem czystym, choć niemilosiernie fałszywym, zaśpiewał następującą piosenkę, która wówczas była jeszcze wielką nowością.

Opłakana to jest dola
nie mieć zdrowia i pieniędzy,
lecz gdy biedak zdrow i wesół,
jest bogaczem, mimo nędzy...
Za Luwr mi poddasze stanie,
z płaszczam strój i posłanie.
Nie znam, gardząc bogactw marą,
co to przed złodziejem trwoga;
Pułap jest moją kotarą,
a materacem – podłoga!

Wydobywszy się z ciasnego przesmyku, śpiewak znalazł się tuż na brzegu rzeki, przy drodze holowniczej, która zawieźć go miała prosto do przewozu, naprzeciw wioski Saint-Sernin.

Spoza szanica wzgórz wysunął się właśnie księżyc.

Przy niepewnym jego świetle podróżny dostrzegł o kilka kroków przed sobą stojącego nieruchomo człowieka.

W rękach tego człowieka błysnęła lufa muszkietu.

W chwili gdy jeździec, zdający się lekceważyć to spotkanie, znalazł się o dwa kroki od nieznajomego, tamten zagroził mu drogę.

– Litości, wspaniały szlachcicu! – zawołał głosem żebrzącym.

– Hola! – odparł jeździec, przedrwiwając. – Zdaje mi się, kochanku, że coś za ciężko obładowałeś się jak na żebraka!

I końcem bata uderzył go po muszkiecie.

– Drogi nie są teraz bezpieczne, jasny panie! – zauważył tamten tłumacząc się.

– Ba, toć chyba nie masz nic do stracenia!

– Przeciwnie!

Po tym niespodziewanym słowie, które jakby nieumyślnie z ust mu wybiegło, ozwała się ponownie prośba, ale tym razem utrzymana w tonie szyderskiej pogroźki.

– Litości, wspaniały szlachcicu!

– Do króćset! Sądzić by można, że żądasz raczej kieski albo życia!

– Jeśli waćpan wolisz, niech i tak będzie!

I muszkiet, szybkim ruchem uniesiony, znalazł się przy piersiach podróżnego.

– Ha, ha, argumenty twoje są bardzo przekonujące! – zaśmiał się ten ostatni. – Ale poczekaj cokolwiek.

W tej chwili odtrącił broń, zeskoczył z siodła i chwycił opryszka za gardło.

Trzymał go tak czas pewien, a gdy spostrzegł, że w tym potężnym uścisku dusić się zaczyna, i że z bezwładnej ręki muszkiet mu już wypadł, puścił gardło, a ujął ręce i z całej siły jął chłostać go batem po plecach.

Nigdy jeszcze najleniwszy i najknaźbrniejszy chłopiec z bakalarni nie otrzymał tak energicznego upomnienia.

Zbój osunął się na kolana i błagać zaczął zmiłowania.

– Mógłbym ci łeb roztrzaskać, gdybym był w pasji, lub też zapędzić cię do Fougerolles, aby cię tam obwieszono – mówił szlachcic. – Dziękuj diabłu, swemu orędownikowi, że cię tym razem puszcę na wolność. Jednak radzę ci, błażnie, przypatrz mi się dobrze, abyś brał nogi za pas, ile razy spotkasz mnie i poznasz. Inaczej za nic nie ręczę!

Opryszek, nie wstając z kolan, podniósł na swego zwycięzcę czarne, przenikliwe oczy i płomień nienawiści zabłysnął w jego źrenicach, gdy przy bladym świetle księżyca rozpoznał szydzącą twarz podróżnego. Podróżny nie zaniedbał ze swej strony zapisać sobie w pamięci ohydnych rysów hultaja, przez które przeziarała w tej chwili tłumiona wściekłość w połączeniu z przemagającym ją bólem.

– Poznam cię, jasny panie – mruknął wreszcie dziwnym głosem. – Pozwól mi teraz odejść. Podczas gdy fałszywy żebrak dzwigał się z ziemi, rozcierając obite boki, podróżny podniósł upuszczony muszkiet, ujął go za koniec lufy i wykręciwszy nim kilka młyńców w powietrzu, cisnął z rozmachem w rzekę.

Zrobiwszy to dosiadł konia i odjechał galopem, pozostawiając napastnika ogłupionego tą osobliwą przygodą. Stanąwszy u przewozu, huknął na przewoźników i w dziesięć minut później cwałował już wzdłuż lewego brzegu rzeki.

Uniósł się w strzemionach i wyteżył wzrok ku Saint-Sernin.

W najwyższym z domów sioła płonął światło, z komina zaś buchał dym rudawy, dym kuchenny, którego widok przywołał na usta jeźdźca uśmiech zadowolenia.

Był to dom Jakuba Szablistego. Człowiek jednak, co nosił to imię wojownicze, rasę żołnierską ujawniające, zerwał z przodków swych rzemiosłem. Szablisty zajmował pokojowe stanowisko proboszcza.

Atletyczne członki duchownego wykreślały się energicznie pod ciasną sutanną, twarz jego mięsistą, czerstwą, otaczał wieniec czarnego, kędzierzawego zarostu, miał on minę pewną siebie, głos donośny, siłę i zwinność lwa, mimo to wszystko było jednak widoczne, że jest łagodny i prosty jak dziecię.

Podczas gdy podróżny przewoził się na promie, proboszcz wyszedłszy do kuchni napędzał do pośpiechu swą gospodynię uwijającą się przy garnkach i rondlach.

– Joanno, już ósma! – powtarzał niecierpliwie. – Joanno, nie zdążysz ze szczupakiem! Sawiniusz za kwadrans już tu być powinien.

– Słyszałam już to, słyszałam... Nie ma o co gwałtować... – mamrotała gniewnie gospodyni. – Szlachcic może trochę poczekać... dziura w niebie przez to się nie zrobi... A w końcu – dodała głośniejszym głosem, z ruchem zniecierpliwienia – oświadczam jegomości, że czy tak, czy owak, nie podam na stół, dopóki wszystko nie będzie zrobione jak się patrzy...

Ironiczny ukłon zakończył tę przemowę, po której wysłuchaniu ksiądz Jakub, przeświadczony o swej niższości, opuścił głowę na piersi i drobnym kroczkiem podreptał do jadalni.

Stół był nakryty. Budzący uszanowanie rząd butelek wychylał omszone główki z kredensu. Aby baterii tej dosięgnąć, nie trzeba było wstawać z miejsca, wystarczyło rękę za siebie wyciągnąć. Brakło jedynie gościa.

Zegar na wieży wiejskiego kościółka wybił kwadrans na dziewiątą. Jakby w odpowiedzi zadźwięczał szarpnięty silnie dzwonek u drzwi wejściowych.

– To on! – wykrzyknął proboszcz.

Pobiegł do drzwi, otworzył je na całą szerokość i rzucił się w objęcia przybyłego.

– Na mękę i śmierć Zbawiciela! – zawołał ten ostatni, pozwalając ocałowywać sobie policzki – twoja wieczerza, mój bracie, jest pyszną rzeczą na dzisiejszą zawieruchę! Z kuchni twej zalatuje zapaszek trufli i dziczyzny, który sprawia prawdziwą oskomę i daje przecucie prawdziwie rajskich rozkoszy.

– Siadajmy do stołu, kochany Sawiniuszu! – odrzekł lakonicznie ksiądz, odgadując stan tego żołądka, podnieconego długą jazdą.

Zdjął z ramion gościa płaszcz, rozwiesił go przed ogniem płonącym wesoło na kominku i grzmiącym głosem oznajmił Joannie, że tylko na nią oczekują.

Szlachcic zasiadł wówczas naprzeciw proboszcza i obaj biesiadnicy zabrali się żwawo do należytego uczczenia przygotowanych przez gospodynię potraw, nie szczędząc sobie wzajem przyjacielskich wynurzeń. Sawiniusz i Jakub byli braćmi mlecznymi, kochali się jednak jak bracia rodzeni.

– Posłuchaj – odezwał się nagle przybysz, zatapiając nóż w pasztecie aż czarnym od trufli perigordzkich. – Nie przybyłem do ciebie wyłącznie na wieczerzę. Mam pomówić z tobą o sprawach wielkiej wagi.

– Jestem do usług twych – odrzekł ksiądz. – Odczytawszy list twój zaraz domyśliłem się, że musiało zajść coś ważnego. Mów zatem. – Odłóżmy to do wetów, a teraz, jeśliś łaskaw, przysuń mi tego szczupaka, który ma pozór tak czcigodny.

– Jest to, mój kochany Sawiniuszu, triumf mojej Joanny. Nieczęsto jada się taką rybę.

– Do licha! Czyżby należała ona do istot bajecznych?

– Bynajmniej. Jest to szczupak jednooki z jeziora Fonta, którego proboszcz tamtejszy przysłał mi na uczczenie kochanego gościa.

– Cudownie! Jednooki czy dwuoki, smakuje przewybornie, a te grzyby z białym winem czynią go prawdziwie boską potrawą!

Uczta zakończyła się wesoło. Ale za ledwie Joanna zdjęła obrus i postawiła na stole butelkę likieru z Armagnac oraz przyniosła na błyszczącej metalowej tacy dwa małe kieliszki, Sawiniusz od razu spoważniał.

Przełknął kilka kropli starego likieru, po czym, wspierając się o stół łokciami i zatapiając przenikliwe spojrzenie w oczach przyjaciela, rzekł:

– Czy pozwolisz, Jakubie, abyśmy pomówili teraz o sprawach poważnych?

II

Proboszcz skinął głową na znak przyzwolenia, a twarz jego przybrała ten sam wyraz uroczysty, co twarz gościa.

– Przysięgłeś mi kiedyś, Jakubie – zaczął ten ostatni – że będziesz szczęśliwy, oddając w potrzebie życie swe na moje usługi.

– Rozporządzaj nim, przyjacielu. Każdej chwili gotów jestem dotrzymać owej przysięgi.

Ręka szlachcica wyciągnęła się w stronę księdza, który ścisnął ją tak krzepko, że Sawiniusz nie mógł powstrzymać się od uwagi:

– Do licha! Oto dłoń, która nie puści łatwo tego, czego strzec się podjęła!

I ruchem wykwintnym otrząsnął bolące palce.

– Masz zatem do powierzenia jakiś depozyt? – zapytał ksiądz Szablisty.

– Depozyt drogocenny, którego w potrzebie wypadnie bronić z zaciętością smoka strzegącego zaklętych skarbów.

Oczy Jakuba zapłonęły. W milczeniu wskazał młodzieńcowi długi rapier wiszący w ciemnym kącie izby.

– Rodzinna pamiątka – rzekł z naciskiem. – Umiem jeszcze jako tako z nią się obchodzić.

– Ho, ho, pamiętam dobrze, jakie pyszne lekcje szermierki odbierałem od ciebie, gdyśmy jeszcze obaj byli dzieciakami! Ach, jaka szkoda, że i ty również nie zostałeś żołnierzem!

– Bóg powołał mnie do czego innego – odrzekł ksiądz, spuszczac oczy, w których zamigotała błyskawica. – Mów dalej, Sawiniuszu. Szlachcic zdawał się przez chwilę namyślać.

– Wolałbym – podjął wreszcie z wolna – wolałbym ci oszczędzić trudów i niebezpieczeństw przywiązanych do tego zadania, ale... gdzie znajdę duszę tak dzielną i prawą jak twoja? Gdzie znajdę serce równie szlachetne i godne zaufania, które by przyjęło powierzoną sobie tajemnicę nie wglądając, jakie jej źródło i co w sobie zawiera? W podobnej okoliczności mogłem myśleć tylko o tobie.

– Jestem ci za to wdzięczny, Sawiniuszu.

– Posłuchaj zatem. Zlecenie, którym pragnę cię obarczyć, ja sam otrzymałem od kogoś innego, komu przysięgłem, że je przeprowadzę pomyślnie. Nieobce ci moje życie, oddane w zupełności burzom losowym i przygodom. Dziś, jutro lub pojutrze kula czyjaś położy mi może trupem albo pchnięcie czyjejś szpady zapłaci mi od razu za wszystkie pchnięcia, jakie inni ode mnie dostali.

– Niech ci je Bóg przebaczy! – szepnął pobożnie proboszcz.

– Otóż – ciągnął Sawiniusz – z moją śmiercią depozyt, który przyjąłem, wpadnie w ręce obce, może obojętne, a może – co gorsza – takie, którym zależeć będzie na jego posiadaniu. Przypadku tego lękam się, a ty jedynie możesz mnie od niego zabezpieczyć, wspomagając mnie rozumem swym i siłą. Gdy już co do tego będę upewniony, niech co chce dzieje się ze mną, nic mnie już los osobisty nie obchodzi. Umrę spokojny wiedząc, że ty mnie zastąpisz.

– Czy chodzi o testament? – zagadnął proboszcz, zdziwiony wstępem tak uroczystym.

Szlachcic uśmiechnął się.

– Testament! Mój testament!... Alboż myśli się o testamentach, nosząc całe mienie przy sobie, za przykładem filozofa Biasa?...

– Cóż to więc takiego?

– Już ci powiedziałem. Spełniam zlecenie dane mi przez inną osobę.

Jakub Szablisty zwrócił na przyjaciela wzrok ciekawy i pytający.

Sawiniusz zrozumiał milczące żądanie. Z kieszeni kaftana wy dostał złożony pergamin, owinięty w zielony jedwab, z wielką pieczęcią, która musiała być świeżo odcisnięta, zalatywał bowiem od niej jeszcze ostry zapach wosku. Arkusz ten nie nosił żadnego napisu, pieczęć nie była opatrzona żadnym herbem. Widniały na niej tylko dwie litery C i B, dziwacznie ze sobą splecione, na tle posianym gwiazdami.

Z pierwszego zatem wejrzenia tajemniczy pergamin niczego nie wyjaśniał zaciekawionemu proboszczowi z Saint-Sernin.

Sawiniusz podsunął dokument pod oczy przyjaciela i dotykając palcem pieczęci, rzekł:

– Jakubie! W tej kopercie zamyka się przyszłość pewnego człowieka, los całej rodziny, rozwiązanie tajemnicy życia lub śmierci.

– Daj go – wyrzekł z mocą proboszcz.

Wyciągnął rękę i wziął cenny dokument.

– A teraz – Sawiniusz przy tych słowach powstał – posłuchaj, drogi Jakubie, czego od ciebie wymagam. Zatrzymasz ten pakiet u siebie aż do dnia, w którym albo ja sam upomnę się o niego, albo też dowiesz się na pewno, że umarłem.

– A w tym ostatnim wypadku? – zapytał Szablisty ze wzruszeniem.

– W tym ostatnim wypadku złamiesz pieczęć i znajdziesz wewnątrz skreślone moją ręką objaśnienie, co masz uczynić z innym pismem, również w tej kopercie zamkniętym, a opatrzonym oddzielną pieczęcią.

– A to objaśnienie?

– To objaśnienie odczytasz z największą uwagą, gdyż według niego będziesz mógł wypełnić, punkt po punkcie, moje zobowiązanie. Widzisz stąd, poczciwy Jakubie, że dopóki Bóg trzymać mnie tylko zechce na tym padole płaczu, twoja rola smoka nie będzie zbyt ciężką.

– To prawda.

– Ale za to – uśmiechnął się szlachcic, któremu powracał zwykły dobry humor – spadnie na ciebie kłopotów co niemiara, jeżeli jaki niegrzeczny człowiek powali mnie o ziemię z sześcioma calami żelaza w piersiach.

– Och, ja myślę, że ten człowiek jeszcze się nie narodził! – wtrącił proboszcz tonem dodającym otuchy.

– Kto wie! Na wszystko trzeba być przygotowanym.

Przy tych słowach wypróżnił kielich do dna z miną człowieka zadowolonego z siebie.

– Jeszcze słówko – wtrącił nieśmiało Jakub. – W przedsięwzięciu tak poważnym nigdy nie bywa się zanadto ostrożnym. Gdyby kiedykolwiek zjawił się kto, żądając w twoim imieniu zwrotu depozytu, jak mam postąpić?

– Choćby to był król, choćby to był papież – słyszysz, Jakubie? Król lub papież – odprawisz go z kwitkiem.

– A jeśli zechce użyć siły?

– Zabijesz go.

I wymownym spojrzeniem wskazał olbrzymi miecz zawieszony na ścianie.

Ani to słowo, ani to spojrzenie nie zdziwiły księdza. Były to czasy, w których brewiarz i szabla doskonale godziły się ze sobą.

Jakub poprzestał na ponownym uściśnięciu ręki swego mlecznego brata. Co się tyczy szlachcica, nie wątpił on już, że może być o swoją sprawę spokojny, ponieważ złożył ją w ręce człowieka, który mu nie uczyni zawodu.

Zegar kościelny wybił godzinę jedenastą. Sawiniusz odział się płaszczem i zabierał się do odejścia.

– Już mnie opuszczasz? – spytał Jakub.

– Tak.

– Dokąd się udajesz?

– Tam.

Sawiniusz wysunął rękę w kierunku okna i pokazał w oddaleniu, po drugiej stronie rzeki, czarną sylwetkę zamku Fougerolles, wykreślającą się ostro na niebie rozjaśnionym przez księżyc.

Jakub nie pytał o nic więcej. Wiedział on niewątpliwie, jakie to sprawy powołują przyjaciela do zamku.

Poprzestał na zapytaniu:

– Zobaczymy się jeszcze?

– Niezawodnie.

– Kiedy?

– Przed wyjazdem do Paryża raz jeszcze wpadnę tutaj, aby cię uścisnąć.

Już od kilku chwil na dziedzińcu plebanii wierzchowiec szlachcica niecierpliwiał się i bil w ziemię kopytami.

Sawiniusz wyszedł, wskoczył na siodło i raz jeszcze powtórzywszy przyjacielowi swe upomnienie puścił się galopem w stronę Fougerolles.

III

Gdy ścichł tętent kopyt końskich na krzemienistym gościńcu, proboszcz wrócił do izby i otworzywszy szafę dębową, stojącą przy łóżku, schował do niej starannie tajemniczy arkusz pergaminu.

Zrobiwszy to uklęknął i modlił się długo, prosząc Boga, aby wspomagał przyjaciela w niebezpieczeństwach, które mu zagrażają, a które wydawały się dobremu księdzu tym straszniejsze, że Sawiniusz pokrywał je zupełnym milczeniem.

Tymczasem jeździec szpako posuwał się naprzód. Dochodziła północ, gdy zatrzymał konia przed fosą zamku Fougerolles.

Mimo późnej pory nikt z ludzi zamkowych, jak się zdawało, nie spoczywał jeszcze.

Po długich sieniach snuli się pachołkowie ze światłem, służba to kupiła się, rozmawiając przyciszonym głosem, to znów w smutnym milczeniu przystawała u drzwi wiodących do pańskich komnat.

Sawiniusz wjechał na dziedziniec, rzucił uzdę jednemu ze służących i szybkim krokiem pobiegł na schody wiodące na pierwsze piętro. Na ostatnich stopniach spotkał burgrabiego.

– I cóż tam, mistrzu Caprais? – zapytał.

– Ach, drogi panie! – westchnął ów dzielny człowiek. – Żle, bardzo źle u nas!

Sawiniusz nie słuchał już więcej. Przyspieszył kroku i przeskakując po kilka stopni na raz, dostał się za chwilę do komnaty przepełnionej ludźmi.

W samym środku komnaty stało wielkie, dębowe łóżko, osłonięte w połowie ciężką, jedwabną kotarą, a na łożu tym umierał stary hrabia Rajmund de Lembrat, pan na Fougerolles i Gardannes.

Bezkrwista twarz starca odcinała się żółtawą barwą kości słoniowej od matowej bieli poduszek, ręce, skrzyżowane na piersiach, zdawały się już martwymi, posiniałe powieki przymknięte były do połowy na przygastych źrenicach. Jedyne lekkie drżenie ust wskazywało, że dusza nie opuściła jeszcze w zupełności tego ciała, zmożonego wiekiem i chorobą.

Kapelan zamkowy klęczał w nogach łoża, odmawiając modlitwy. U wezglowia stał młodzieniec wyniosłej postawy, z miną również wyniosłą.

Młodzieniec był piękny, ale uroda jego miała w sobie coś brutalnego. Gdy wpatrywał się w twarz umierającego, oczy jego na chwilę nawet nie zwilgotniały; gdy zwracał się do służby zapelniającej na klęczkach komnatę, spojrzenie jego było zimne i przenikliwe jak stal. Silnie

zarysowane kącki ust oraz brwi niezmiernie ruchliwe i nieustannie ściągane kazały domyślać się w nim samowładnego i nieubłaganego pana. Żaden z przeblysków dobroci, które błyszczały w twarzy starca, przez nadchodzącą śmierć nie zgaszone, nie opromieniały rysów młodzieńca. Był to syn hrabiego, dziedzic obszernych posiadłości Gardannes, Fougerolles i Lembrat.

Na widok wchodzącego Sawiniusza młodzieniec odszedł od łoża i postąpił kilka kroków ku drzwiom.

– Ojciec – rzekł głosem zniżonym – kilkakrotnie przyzywał cię, kochany Sawiniuszu.

– Zmuszony byłem opuścić Fougerolles na kilka godzin – odpowiedział ów takimże głosem. – Czy hrabia jest jeszcze w stanie słyszeć mnie?

– Spodziewam się, że tak, jakkolwiek choroba od chwili twego wyjazdu znaczne zrobiła postępy.

– Zbliź się do łoża, Rolandzie, i oznajmij ojcu moje przybycie. Roland de Lembrat pochylił się nad ojcem i wymówił imię Sawiniusza. Oczy starca rozwarły się szeroko, trwożnym spojrzeniem poszukał przybyłego, a dostrzegłszy dał mu znak, aby przystąpił do łoża.

Sawiniusz posłuchał wezwania. Hrabia ujął jego rękę i widoczne było, że wyteża siły, aby doń przemówić. W tejże chwili oczy jego spotkały utkwione weń spojrzenie Rolanda.

– Oddal się, Rolandzie – rzekł głosem lodowatym. – I ciebie, ojczy wielbny, proszę, abys pozostawił nas samych.

Słowa ostatnie zwrócone były do kapelana.

Roland przygryzł usta z widocznym gniewem, a czoło jego pokryło się czerwonosścią. Odszedł jednak razem z kapłanem w głąbię obszernej komnaty, dokąd nie mogła już dojść przyciszona rozmowa Sawiniusza z umierającym hrabią.

– Słuchaj uważnie, co ci powiem – wyrzekł szeptem Rajmund de Lembrat.

Sawiniusz pochylił się tak nisko, że ucho jego dotykało prawie ust umierającego.

Jakie było to ostatnie zwierzenie, które wyszeptaly stygnące wargi starca – nikt tego nie mógł odgadnąć. Kiedy jednak Sawiniusz wyprostował się, wszyscy mogli byli dostrzec, że oczy hrabiego napełnione są łzami. Długo, z wyteżoną uwagą, wpatrywał się on w swego syna, po czym z ust jego wybiegły dla Sawiniusza tylko dosłyszalne słowa.

– I to on ma być spadkobiercą Lembratów?

Silniejsze ściśnięcie ręki dało poznać Sawiniuszowi, że jego stary przyjaciel ma coś więcej jeszcze do powiedzenia. Hrabia próbował unieść cokolwiek ciężką jak z kamienia głowę i wskazując Rolanda ruchem niedostrzegalnym dla tamtych, szepnął w samo ucho Sawiniusza:

– Nie spuszczaaj uwagi z tego, przede wszystkim pamiętaj o tamtym!

IV

Szerokie wylomy, których dokonuje Paryż współczesny wśród swych starych dzielnic, wydobyły niedawno na jaśnień pewien odwieczny budynek, uważany przez wielu za rzecz od dawna już nie istniejącą, a bardzo głośny i oblegany przez tłumy w epoce, gdy Corneille i cała plejada pomniejszych, dziś zapomnianych poetów, uważali za największy zaszczyt widzieć dzieła swe w nim wystawione. Budynek ten to stary pałac Burgundzki, w którym aktorowie królewscy dawali przedstawienia, ściągając na nie wszystkich smakoszy artystycznych z orszaku panującej wówczas Anny Austriaczki.

W tym zbornym punkcie dworskich wykwintnisiów przedstawiano owego wieczora *Agrypinę*, tragedię budzącą wiele hałasu wśród ówczesnych krytyków, którzy dopatrywali się w niej groźnych napaści na rząd i religię.

Widownia pałacu Burgundzkiego była szczelnie zapełniona, tchnienie wojownicze przebiegało tłum świetny i gwarny. W jednym z zakątków parteru dwóch ludzi zdawało się przyjmować udział wyjątkowo żywy w tym ważnym wydarzeniu literackim. Jeden z nich wygwizdywał ze szczególną zaciętością wszystkie miejsca tragedii, które mu nie trafiały do przekonania. Drugi poprzestawał na podkreślaniu uśmiechem miejsc dobrych, wzruszał zaś ramionami na każde gwizdnięcie towarzysza.

Przy końcu trzeciego aktu pierwszy nie mógł wytrzymać, aby nie podzielić się z kimś dławiącym go oburzeniem.

– Nieprawdaż, panie – rzekł, zwracając się do milczącego widza – że to budzi śmiech i litość.

– Śmiech i litość? – powtórzył tamten zimno. – I dlaczegoż to, jeśli łaska?

– Dlatego że, podług mnie, niepodobna w nędzniejszych rymach wyrazić myśli bardziej przewrotnych.

– Poczytujesz pan zatem autora za wielkiego winowajcę?

– Za heretyka, mój panie. Zasłużył, aby go wyklęto.

– Doprawdy?

– Alboż nie wygłasza rzeczy ubliżających w najwyższym stopniu naszej świętej religii?

– Musiałeś pan źle słyszeć. Oto, co mówi ten autor...

I sąsiad człowieka z gwizdawką jął deklamować całą tyradę z *Agrypiny*. Po tej pierwszej tyradzie nastąpiła druga, po drugiej trzecia... Coraz większy zapał ogarniał deklamatora.

– Ależ, panie! – zawołał tamten, zalany niepowstrzymanym potokiem poezji – jak mogłeś zatrzymać w pamięci tak wiele wierszy?

– Czy przyznajesz pan, że wiersze te nie są złe?

– Przyznaję.

– Czemuż zatem wygwizdywałeś je przed chwilą?

– Spójrzij pan na publiczność... Bardzo wiele osób pogląd mój podziela!

– Biedacy! Gdy jeden osioł ryknie, inne mu zawsze wtórują...

– Panie, to wygląda na obelgę!

– Tak pan sądzisz?

– Jestem tego pewny.

– Tym gorzej dla pana. Ale sza!... Zaczyna się akt czwarty – trzeba słuchać z uwagą.

– Podzielam pańskie zdanie. Wróćmy do naszej sprzeczki za chwilę i poprowadzimy ją w inny sposób.

– Pan z prowincji? – zapytał szyderczo deklamator, usłyszawszy pogroźkę.

– Jestem margrabia de Lozerolles.

– Stara szlachta z Poitou! Ale przepraszam. Pozwól mi, mości margrabio, słuchać Sejanusa.

Na scenę wyszli aktorzy. Starcie musiało się zatrzymać na tym punkcie. Nie wyniknął stąd zresztą żaden skandal, gdyż przeciwnicy prowadzili spór z wyszukaną grzecnością, jak przystało ludziom dobrze wychowanym.

Przy końcu sztuki przeciwnik margrabiego skinął na młodzieńca siedzącego o kilka miejsc dalej, który zbliżył się doń z pośpiechem.

– Hrabio! – rzekł do młodzieńca. – Czy chcesz być moim sekundantem?

– Dlaczego?

– Mam się bić.

– Tego wieczora?

– Za chwilę.

– Znów kłótnia! A nie zdążyłeś pan jeszcze opuścić sali!

– Nie potrzebowałem tego czynić, gdyż ten pan tu właśnie siedział! Margrabia de Lozerolles, w ten sposób wywołany, skłonił się uprzejmie.

– Jaki powód?

– Niezmiernie prosty. Ten pan nazywa *Agrypinę* szkaradną, dla mnie jest ona piękną. Czyż nie uważasz, hrabio, powód ten za wystarczający?

– Najzupełniej!

– Chodźmy, panowie – wtrącił margrabia. – Pilno mi.

Lozerolles wynalazł natychmiast dla siebie sekundanta i czterej mężczyźni wyszli z pośpiechem na wąską uliczkę w sąsiedztwie pałacu Burgundzkiego. Zaraz też, nie tracąc ani chwili, do szpad się wzięto.

– Do pioruna! – wykrzyknął margrabia, wymachując bezskutecznie szpadą dla zrobienia sobie drogi do serca przeciwnika. – Tęgi z pana szermierz!

– Doprawdy? A jednak zabawiam pana dotychczas tylko prowincjonalnymi figielkami.

– Ech, i z prowincjonalistów nie mańkuci! – odparł margrabia, płacąc za drwiny sztychem środkowym, w samo serce zmierzającym.

– Paryżanie tym bardziej! – rzekł tamten i odparowawszy cios, wykonał w tejże chwili pchnięcie tak niespodziane i tak zarazem mistrzowskie, że szpada przeszła ramię margrabiego, zanim jeszcze zdążył się zastawić.

Walka była skończona.

– Winszuję – rzekł ranny, podczas gdy zwycięzca najspokojniej chował szpadę do pochwy.

– Ale to wszystko jedno. Wiersze w *Agrypinie* nie są przez to ani na jotę lepsze i – raz jeszcze zapytać muszę pana, jakim sposobem umiesz ich tyle na pamięć?

– Bo jestem ich autorem, panie margrabio!

I pozostawiając margrabiego oszołomionego tym oświadczeniem, poeta, umiejący bronić honoru swych wierszy ostrzem szpady, oddalił się, wsparty na ramieniu sekundanta.

Ten poeta nie jest dla nas obcy. Widzieliśmy go już przy stole proboszcza w Saint-Sernin oraz u śmiertelnego łoża hrabiego de Lembrat.

Posiadał on – o czym trzeba powiedzieć zawczasu, gdyż stanowiło to znamię typowe tej pełnej charakteru fizjonomii – posiadał nos rozmiarów niezwykłych, nos ostro ścięty, rzucający cień na usta, słowem „nos bohaterski”, jak się wyraził jeden z jego biografów. Ten nos wydatny królował na twarzy o rysach prawidłowych i miłych, którą oświeślała para oczu czarnych i pełnych ognia. Brwi były zakreślone delikatnie, wąs, niezbyt gęsty, odsłaniał usta; włosy spadały czarną masą z obu stron wyniosłego, rozumnego czoła. Razem wzięwszy, był to wcale urodziwy młodzian, któremu w tej epoce szaleństw w dobrym smaku przyznano jedno z miejsc honorowych w gronie wykwintnisiów i uczonych.

Rodowe jego nazwisko brzmiało: Sawiniusz de Cyrano. Znany był wszakże lepiej pod imieniem Cyrano de Bergerac, które przybrał dla odróżnienia się od brata i krewniaków.

Był autorem *Podróży na księżyc*, *Rozmów uszczypliwych* i *Agrypiny*, twórcą całej seciny żartobliwych wierszy i poematów, śmiałym i zaufanym w sobie filozofem; był także słynnym i nieustraszonym pojedynkarzem oraz bohaterem tysiąca przygód. Nosił ze dwadzieścia zaszczytnych przezwisk, między innymi: „Nieustraszony”, „Demon brawury”, „Kapitan Czart” – lud zachował zwłaszcza w pamięci to ostatnie przezwisko, wielu też ludziom pod nim tylko poeta był znany.

Przy tym wszystkim: złote serce, umysł w najwyższym stopniu niezależny, pogarda dla głupców i dowcip iskrzący. Kochano go za ten dowcip, wybornie przystosowany do ducha epoki, za wyborny humor, za młodość pełną ognia i zapału. Pozostało po nim – rzecz rzadka w tym życiu – wspomnienie trwałych przyjaźni i poświęcenia bez granic.

Skłoniwszy się margrabiemu, Cyrano oddalił się, wsparty na ramieniu swego sekundanta.

Tytuł hrabiowski, którym obdarzył poeta tego ostatniego, spadł nań po śmierci starego hrabiego de Lembrat. Był to nowy dziedzic Fougerolles, był to ów Roland o minie wyniosłej, którego widzieliśmy, jak stał bez śladu wzruszenia przy łożu umierającego ojca.

Hrabia Rajmund de Lembrat już od roku spoczywał w grobie, a syn rychło go oplakał. Roland miał lat dwadzieścia pięć i był bardzo bogaty. Palila go żądza nasycenia się gorączkowym życiem stolicy, od którego starzec trzymał go rozmyślnie z daleka.

Cyrano de Bergerac, starszy i doświadczeńszy, był jego wzorem i jakkolwiek nie żywił wielkiej przyjaźni do poety – zapewne przez

wrodzoną mu sprzeczność z uczuciami ojca – prosił, aby Cyrano podjął się roli jego przewodnika i ojca chrzestnego w odmęcie tego błyszczącego świata, który go tak bardzo pociągał.

„Była to epoka owych pięknych awanturnic, Hiszpanek i Włoszek, istot dumnych a zarazem lubieżnych, które miłowały jednaką miłością złoto, krew i pachnidła; była to epoka maskarad, zalotów hiszpańskich, uroczystych zarazem i rozpasanych, miłostek namiętnych aż do poniżenia się, gwałtownych aż do okrucieństwa, sonetów i ulotnych wierszyków, wielkiej pijatyki, wielkiej zabijatyki i wielkiego kosterstwa...”

W taki wir rzucił Cyrano swego młodego przyjaciela.

W tym upajającym i odurzającym zamęcie Sawiniusz wiódł żywot poety i filozofa, Roland zanurzył się weń z głową, palony gorączką kosztowania wszystkich ponętnych owoców i maczania ust we wszystkich czarach ze słodką trucizną. Rok nie upłynął, a już potrafił sobie zdobyć imię w świecie stołecznych wytwornisiów i szalapeutów. Rozsiewał garściami złoto, wyprawiał uczyty po ucztach, olśniewał kobiety zbytkiem, porywał mężczyzn odwagą. Rzeczą prostą, że się wkrótce życiem tym upił.

Po oszołomieniu nastąpił niesmak. Roland uczuł potrzebę okiełznania namiętności i wypoczęcia.

I w tym Cyrano ukazał się dlań użyteczny. W liczbie przyjaciół poety znajdował się margrabia de Faventines, mieszkający w starym pałacu na Wyspie św. Ludwika i wiodący życie nader skromne, gdyż przegrany niedawno proces silnie nadszarpnął jego fortunę. Sawiniusz znalazł sposobność zalecenia margrabiemu hrabiego Rolanda, który niebawem też został tam wprowadzony i znalazł w starym pałacu cichą przystań, tak bardzo przezeń pożądaną.

W pałacu, prócz margrabiego, znajdowała się młoda panna, jedyna jego córka. Na imię jej było Gilberta; liczyła lat dziewiętnaście. Roland zakochał się w margrabiance i jako młodzian roztropny, powiernikiem swych uczuć uczynił samego margrabiego.

W owym czasie, tak samo jak i dziś, nie żeniono się z pannami bez posagu. Zięć, nie wymagający do córki dopłaty, był dla margrabiego prawdziwą opatrnością, toteż przyjął go z otwartymi rękoma i już w dwa miesiące po zapoznaniu się tak zwane szczęście Gilberty zostało zapewnione.

Co się tyczy panny, zapytana dla formy o zdanie, odpowiedziała bez wzdrygnięcia się „tak”, serce jej bowiem było prawdopodobnie wolne, umysł zaś dość praktyczny, aby ocenić korzyści tak świetnego pod względem majątkowym związku. Oparte na tym gruncie układy prędko doprowadziły do celu i hrabia de Lembrat został uroczyście przyjęty w pałacu na Wyspie św. Ludwika w charakterze narzeczonego pięknej Gilberty de Faventines.

W zupełnym spokoju korzystała ona z przywilejów tej godnej zazdrości roli na wiosnę 1653 roku.

W ciągu dwóch miesięcy Gilberta miała czas oswoić się z myślą, że zostanie hrabiną. Oczekiwała na ten wypadek, zbytecznie go nie pożądała. Powiedzmy więcej, chętnie byłaby cofnęła dane słowo, gdyby jej nie powstrzymywały szacunek i posłuszeństwo winne rodzicom.

V

Pałac margrabiego de Faventines wznosił się w głębi ogrodu, którego brama wychodziła na nabrzeże Sekwany. Roztaczał się stamtąd widok prześliczny i Gilberta lubiła siadać na tarasie, górującym nad rzeką. Spędzała tam długie chwile na marzeniu, czytaniu lub rozmowie z Paketą, młodą dziewczyną spełniającą dwie role, pokojowej i powiernicy.

Pewnego ranka pani i służebna zajęły swe ulubione miejsce, chroniąc się przed słońcem w cień rozłożystego jaworu, którego długie gałęzie wybiegały za kratę i sięgały nabrzeża. Rozmawiały głosem przyciszonym, a musiała to być rozmowa wielce zajmująca i wielce poważna, gdyż główki dziewcząt tak bardzo zbliżyły się do siebie, że czarna kosa Gilberty muskała złociste kędziorki Pakety.

Policzki margrabianki były różowe jak kwiat brzoskwini w kwietniu. A różowość ta wzmagała się w miarę przeciągającej się rozmowy.

– I trwa to już dawno, proszę panienki? – zapytała Paketą, wysłuchawszy długiego opowiadania Gilberty.

– Od trzech tygodni.

– Czy podobna?

– Od trzech tygodni znajduję codziennie na swoim balkonie bukiet, a w bukiecie – wiersze.

– Ofiarowywać codziennie bukiet, nic to trudnego – ale wiersze! Albo nieznajomy wielbiciel posiada talent większy niż nasi modni poeci – albo też... zaopatrzył się zawczasu w zapas wierszy miłosnych, zastosowanych do każdej okoliczności.

– Jesteś złośliwa, Paketo.

– Czy pozwoli mi panienka być także... ciekawą?

– W jakim celu?

– Chciałabym zadać panience jedno pytanie.

– Mów.

– A więc – z ręką na sercu – z jakim uczuciem przyjęła panienka te bukiety i te wiersze?

– Być może, Paketo, że jestem trochę płocha.

– To nie odpowiedź.

– Niech i tak będzie. Dowiedz się zatem, że śmiałość nieznajomego mocno mnie rozgniewała.

– To naturalne. Ale... potem?

– Potem przywykłam do niej.

– Tak dalece, że dziś...

– Dziś, jak sądzę, nie mogłabym już gniewać się nań za rzecz, którą przyjmowałam z poślazaniem.

– I naprawdę panienka go nie zna?

– Przysięgam ci, że naprawdę.

– Nie podejrzewa panienka nikogo?

– Nikogo.

– Nawet hrabiego de Lembrat, swego narzeczonego?

– Jego! Skąd ci to mogło przyjść do głowy! Wszakże widuje mnie codziennie i w każdej chwili może do woli ze mną rozmawiać. W jakimże celu miałyby ofiarowywać mi w tajemnicy wiersze i kwiaty?

– Może to delikatna forma pamięci i hołdu?

- Nie.
- A może – próba?
- Hrabia nie ma potrzeby mi ciągle nadskakiwać ani mnie doświadczać. Pewny jest zarówno mojej prawości, jak i słowa danego mu przez ojca.
- W takim razie, wszystko to nie doprowadzi panienki do niczego.
- Dobrześ rzekła, do niczego. W ciągu miesiąca będę zamężną. Wspomnienie tej dziwnej przygody pozostawi tylko w mym sercu jedną jeszcze żalność...
- Jeszcze jedną żalność? A widzi panienka, że panienka pana de Lembrat nie kocha. Panienka go nie kocha, a jednak wychodzi za niego.
- Cóż chciałabyś, żebym uczyniła?
- Chciałabym – rzekła Paketą, potrząsając rezolutnie kształtną główką – chciałabym, żeby panienka zbuntowała się i powiedziała – „nie!” Ja, na miejscu panienki, nie namyślałabym się ani chwili!
- Ty, moja kochana, jesteś wolna. Na tobie nie ciąży obowiązek oszczędzania dumy rodowej, ocalenia rodowego klejnotu...
- To prawda, jednakże...
- Gdybym nawet powiedziała: „nie!” – ciągnęła smętnie Gilberta – wola ojca przemogłaby moje postanowienie. Ach, tyś szczęśliwa, Paketo! Ty możesz kochać – mnie tego zabroniono!
- W ogrodzie dały się słyszeć głosy. Gilberta podniosła się zmieszana. Prawie w tejże samej chwili zjawił się hrabia, na którego ramieniu wspierała się margrabina de Faventines. Na widok matki Gilberta nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku.
- Przestraszyłem panią? – zapytał Roland.
- Ech, nie! Wzruszyłeś mnie pan tylko swym niespodzianym zjawieniem się – odrzekła Gilberta, zmuszając się do uśmiechu.
- Ucałowawszy rączkę narzeczonej, hrabia de Lembrat usiadł obok margrabiny na ławce, która otaczała pierścieniem gruby pień jaworu.
- Na znak dany przez matkę Gilberta zajęła miejsce obok narzeczonego. Ale zamiast śledzić z uwagą, co się dzieje dokoła niej, wybiegła wzrokiem i myślą daleko i zatoneła w głębokiej zadumie. Roland badał ją przez chwilę w milczeniu z inkwizytorską przenikliwością.
- Wydajesz się pani smutną – wyrzekł wreszcie. – Na Boga, cóż tu zaszło takiego?
- Nic nie zaszło, panie hrabio – odparła Gilberta. – Wybacz mi pan łaskawie moje roztrągnięcie.
- Dziwne to wszystko! – szepnął do siebie Roland, brwi ściągając.
- Zaczęta w tak oschłym tonie rozmowa rwała się co chwila. Hrabia czując, że trzeba wyjść jak najprędzej z zakłętego koła czczych i nudnych ogólników, nic nie odpowiedział na ostatnie słowa Gilberty, natomiast wy dobył z kieszeni maleńkie pudełeczko do klejnotów, ozdobione herbem rodziny de Faventines i otworzywszy podsunął je przed oczy narzeczonej.
- Pani – odważył się przemówić po kilku chwilach milczenia – wiem, że dzieła sztuki budzą w tobie zajęcie. Racz przyjąć ten klejnocik, który z myślą o tobie kazałem przygotować florenckiemu mistrzowi sztuki złotniczej.
- Gilberta rzuciła na prześliczne cacko łaskawie grzeczne spojrzenie.
- W istocie, jest to bardzo bogate! – zauważyła tonem najzupełniej obojętnym.
- Gilberto! – zawołała margrabina – czyż nie możesz zdobyć się na uprzejmiejsze podziękowanie!
- Och, pani! – przerwał Roland z odcieniem goryczy w głosie – nie liczyłem bynajmniej na podziękowanie.
- Uwaga mamy była słuszna. Zapomniałam, gdzie jestem i do kogo przemawiam. Panie, bardzom panu za jego uprzejmość obowiązana!
- „Zimna jak marmur – przemknęło przez głowę Rolandowi. – Byłżebym okłamywany?...”

Nastąpiła chwila przykrego dla wszystkich milczenia. Na szczęście zjawiał się margrabia. Przybywał on w porę, aby wyprowadzić z kłopotu troje osób nie wiedzących, co począć z sobą. Margrabia nie przybywał sam. Towarzyszył mu Sawiniusz de Cyrano.

Szlachcic zbliżył się do dam krokiem posuwistym i złożył ukłon tak niski, że aż pióro jego wielkiego kapelusza musnęło żwir alei. Moda ówczesna inaczej kłaniać się nie pozwalała.

– Witaj, panie de Bergerac! – zawołała żywo margrabina, rada przybywającym —jakżem szczęśliwa, że pana oglądam! Przez długie dwa tygodnie skąpiłeś nam swej obecności! Czyś chorował?

– Tak, margrabino! – odrzekł wesoło Cyrano i podchwytną sposobność popisania się grą słów, w której zawsze celował, dodał: – Trapiła mnie trojniczka i czwartaczka

– To znaczy – pośpieszył wytłumaczyć Roland – żeś się znów pojedynekował!

– O, prawie mimo woli! Przyjaciele moi niesłusznie nazywają mnie „prymusem” towarzystwa stołecznego, od tygodnia już bowiem nie upłynął dzień jeden, abym nie był czyimś sekundantem. Pomagałem bić się kochanemu de Brisailles, który pojedynekował się, nie wiem, dalibóg, o co; potem podtrzymałem drogiego Canillaca; sam zaś wyniosłem z tych utarczek kresę przez nos, dotąd jeszcze widoczną.

– To są drobne awanturki! – wtrącił margrabia. – Mówią, że spotkało cię coś poważniejszego...

– Nie wiem, o czym chcesz mówić, margrabio?

– Alboż nie pokłóciłeś się z Poquelinem, który tak niegrzecznie ściągnął jedną scenę z twego *Pedanta*, aby ją następnie przyczepić do tej farsy, która ma tytuł *Szelmostwa Skapena*?

– A, już wiem, o co ci idzie.

– Widzę, że dość obojętnie sprawę tę traktujesz.

– Po cóż mam ją traktować inaczej! – rzekł poeta, wzruszając ramionami. – Jeżeli Molier wyskubuje piórka z moich dzieł, aby się w nie przystroić, ludzie o tym wiedzą i mówią, jestem już przeto dostatecznie pomszczony. Zresztą, jeśli kradnie moje myśli, dowodzi tym, że je ceni; nie tknąłby ich, gdyby sądził, że nic nie są warte.

– Bez wątpienia.

– Chcesz jednak wiedzieć, margrabio, co mnie obraża? Oto zuchwalstwo Moliera, który przypisuje własnej twórczości myśli podsuwane mu jedynie przez dobrą pamięć i uważa się za ojca takich dzieci, przy których urodzeniu pełnił jedynie rolę – akuszerki.

Wybuchem śmiechu przyjęto ten żarcik. Zniknął przymus krępujący dotąd towarzystwo. Dobry humor Cyrana rozpodził wszystkie twarze.

– Przyjacielu Bergeraku! – odezwał się nagle margrabia. – Wart jesteś więcej niż opinia o tobie.

– Nie mówmy o mojej opinii. Jeżeli zła, to dlatego, że wrogom moim pozostawił dość czasu do jej sfabrykowania. Mówmy raczej o twoim szczęściu, kochany Rolandzie, o uciechach życia rodzinnego, o twym ojcowskim zadowoleniu, margrabio. Niejedno zapewne mielibyście mi o tym do powiedzenia.

– Owszem, jedno tylko – wyrwał się Roland – ale które dla mnie wszystko zastąpi. Za miesiąc panna Gilberta będzie moją żoną.

– Godny zazdrości śmiertelniku, co znasz z góry dokładną datę swojego szczęścia!

W teże chwili zauważył, że słowa hrabiego w szczególny sposób zmieszały Gilbertę.

„Aj! – szepnęła do siebie – panienska zdaje się bez wielkiego zachwyty przyjmować los, który ją czeka!”

Zrobiwszy tę uwagę, zabierał się do odejścia.

Margrabia zatrzymał go.

– Zjesz z nami obiad, panie de Bergerac?

– Nie. Ulatniam się!

– Tak prędko?

– Czekają na mnie w pałacu Burgundzkim.
 – Przysięgłbym, że to tylko wymówka.
 – Wymówka ta ma ciało i kości. Jest nią Sulpicjusz Castillan, dzielny chłopiec, który przepisuje moje wiersze i roznosi listy.
 – A więc Sulpicjusz Castillan poczeka na ciebie...
 – Zostań pan, proszę! – przybyła na pomoc ojcu Gilberta. – Po obiedzie uraczysz nas kilkoma rozdziałami swojej ostatniej pracy.
 – Tam, gdzie pani rozkazuje – odrzekł dwornie poeta – wola moja kruszy się na atomy. Pozostaje zatem. Czy zgadzacie się, panie, abyśmy przed obiadem przeszli się po Nowym Moście? Podobno Brioché pokazuje tam farsę, w której wystawia moją osobę w sposób wielce złośliwy, ku niezmiernej uciechu gapiów i włóczęgów.
 Cyrano wyliczał w dalszym ciągu uciechy, jakie można było owego ranka znaleźć na Nowym Moście, gdy nagle nader żywo zajęło go co innego.
 Na nabrzeżu rozległy się dźwięki muzyki.
 Niespodziewany ten koncert wyprawiała trójka wędrownych grajków, złożona z dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy oni przybrani byli w odzież malowniczą, o barwach jaskrawych.
 Sawiniusz, przegięty przez balustradę, jął przypatrywać się tej grupie z zaciekawieniem artysty.
 Wyglądała ona w istocie niepowszednio.
 Różnobarwny strój podnosił piękność kobiety, która i bez tego była urodziwa. Towarzysze jej trzymali się prosto i dumnie, jakby szych i blaszki na ich odzieży były prawdziwym złotem i klejnotami.
 Zapominając w jednej chwili o Nowym Moście, o Briochém i o farsie przeciw sobie skierowanej, Cyrano zwrócił się do margrabiego mówiąc:
 – Ależ, panie Faventines, jak możesz tak obojętnie przyglądać się tej trójce artystycznej i pozwalać, aby poniewierała swe talenta na ulicy. Czyż nie lepiej tu ją wezwać? Jestem pewny, że ci wędrowni wirtuozi nic nie stracą na bliższym poznaniu.
 – I owszem; zgadzam się na to jak najchętniej – przytaknął margrabia. – A ty, Gilberto?
 – Zastosuj się do twojej woli, ojcze. Przywołaj ich, panie Cyrano.
 – Hej, wy tam! – krzyknął na cały głos poeta. – Chodźcie no tu nie zwlekając i pokażcie, co umiecie!

VI

Paketa otworzyła furtę od bocznej ulicy; troje grajków weszło do ogrodu i stanęło przed dostojnym zgromadzeniem.

Na widok Cyrana jeden z mężczyzn poruszył się niespokojnie i szybkim ruchem ręki nagał na twarz długie promienie swych bujnych, czarnych włosów.

Gdyby poeta zauważył był ten ruch i przyjrzał się baczniej ulicznemu grajkowi, poznałby w nim bez trudności rzekomego zebra, spotkanego niegdyś na drodze do Fougères. Lecz pomijając już, że o przygodzie swej zdążył już zapomnieć, nazbyt zajmowała go w tej chwili osobistość drugiego grajka. Ten był młodszy; miał włosy jasne, figurę smukłą i kształtną; na jego twarzy, cokolwiek tylko ogorzałej, malowała się duma połączona z melancholią.

O czym myślał Cyrano, wpatrując się weń badawczo? Zapewne przyszłoby mu z trudnością odpowiedzieć na to pytanie, gdyż niebawem wstrząsnąwszy głową, jakby dla odpędzenia niepotrzebnych myśli, podszedł do tego, który zdawał się innym przewodniczącym, i rzekł:

– No, dalej, powtórzcie swą muzyczkę, jeśli nie potraficie niczym innym zabawić dostojnego towarzystwa.

Na to wezwanie ów podejrzany człowiek z gościńca postąpił krok naprzód i starając się jak najbardziej odmienić głos, gdyż miał w pamięci przestrożę daną mu przez Cyrana, oświadczył:

– Nie wszyscy, jasny panie, lubią muzykę. Mamy w zapasie co innego jeszcze.

– Cóż takiego na przykład?

– Ja wykonuję zadziwiające sztuki z kubkami. Moja siostra, Zilla, wróży po mistrzowsku. Towarzysz wreszcie nasz, Manuel, jest niepospolitym improwizatorem i wysoce utalentowanym lutnistą.

– Mamy więc jedynie kłopot z wyborem! – zaśmiał się Cyrano.

I zwracając oczy na tego, którego nazwano Manuelem, spytał:

– Jesteś, mój chłopcze, poetą?

– Bywam nim niekiedy, wielmożny panie.

– Jesteśmy w takim razie braćmi. Pozdrawiam cię w imię Apollina.

Młodzieniec skłonił się.

– Dziękuję, panie Cyrano – rzekł uprzejmie.

– Znasz mnie zatem?

– Jak wszyscy w Paryżu.

„To dziwne – myślał w tej chwili Cyrano – rysy tego chłopca doskonale są mi znajome, nawet dźwięk jego głosu nie jest mi obcy”.

I w zamyśleniu jął na nowo wzrokiem przenikliwym badać od stóp do głowy młodego grajka.

– Co ci jest, przyjacielu? – zagadnął Roland, zauważywszy dziwny wyraz twarzy Sawiniusza. Poeta ocknął się z zadumy.

– Nic – odrzekł. – Studiowałem swego kolegę po lutni. Poeta jest zawsze zwierzęciem niezwykłym i godnym uwagi.

Nastała chwila wyczekiwania, podczas której, wśród tej grupy z najsprzecznieszych żywiołów złożonej, krzyżowały się spojrzenia, będące przeróżnych uczuć wyrazem.

Cyrano nie przestawał badać Manuela; Manuel znów wpatrywał się rozplomienionym wzrokiem w Gilbertę, którą przyprawiało to o niepojęte wzruszenie.

Oczy Zilli, zwrócone na Manuela, ciskały błyskawice; Roland przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, starając się odgadnąć znaczenie tajemniczej sceny.

Co się tyczy człowieka z czarnymi włosami, nie przyglądał się on nikomu, myśląc jedynie o tym, aby się jemu nie przyglądano. Obecność Cyrana dokuczala mu niezmiernie.

Poeta zwrócił się nagle do Gilberty z propozycją:

– Może Zilla postawi pięknej zasepionej horoskop? Czy zgoda?

– Zgoda.

I Gilberta podeszła do artystycznej trójki. Zaraz też wróżka chwyciła jej rękę.

– Czytaj z niej śmiało – rzekła margrabianka. – Nie obawiam się swego przeznaczenia. I cóż tam widzisz?

– Miłość w cieniu; niespodzianka i zawód; zacięta walka; po skończonej walce może szczęście, a może – śmierć.

Gilberta cofnęła rękę.

– Dziękuję – rzekła krótko.

– Jest to ciemne jak starożytna wyrocznia – zażartował Cyrano. – Teraz do mnie, piękna Sybillo.

– Życie krótkie, życie płodne, prześladowania i walki.

– To właśnie, co lubię. Dobrze mówisz, panienko! A koniec jaki?

– Trudno mi odpowiedzieć na to wyraźnie.

- Dobre pchnięcie szpady zapewne? Na taką śmierć sumiennie zasłużyłem.
- Nie, śmierć pańska będzie inna – oświadczyła stanowczo wróżka, przyjrzawszy się ponownie liniom krzyżującym się na dłoni szlachcica.
- Zgadzam się i na to. Na ciebie kolej, Rolandzie.
- To byłoby zbyt cenne. Ja żadnej wiary do wróżb nie przykładam.
- Ja również. Ale trzeba dać coś zarobić tym biedakom.
- Prawda.

I Roland poddał się z kolei badaniom rzekomej czarodziejki.

- Nie bez powodu wzdragałeś się, panie hrabio – oświadczyła ona głosem poważnym i głębokim. – Dłoń pańska jest najdziwniej zapisana.
- Doprawdy?
- Wszystko w tych liniach jest mrokiem i tajemnicą. Pozwól mi zebrać myśli, jaśnie panie.
- Są więc tam rzeczy straszne?
- Być może!

Zilla z pochyloną głową, z okiem w jeden punkt utkwionym, pogrążona w milczącej zadumie, zdawała się o świecie całym zapominać.

Podczas gdy wszyscy zajęci byli tą sceną, młodzieniec jakiś, skromnie odziany, o śmiałych ruchach i złośliwym wyrazie twarzy, wmieszał się nieznacznie do towarzystwa. Był to Sulpicjusz Castillan, sekretarz Cyrana. Nie znalazłszy swego pana w pałacu Burgundzkim, przybywał szukać go w pałacu Faventines.

Szlachcic dał mu znak, który mówił:

„Nie odzywaj się ani słówkiem i czekaj. Jesteś mi potrzebny.”

Rolanda de Lembrat zaczynały już niecierpliwie długie ceregiele wróżki.

- Powiedz nareszcie, co jest do powiedzenia – rzekł cierpko. – Widzisz, że wszyscy na to czekają.

Lecz Zilla potrząsnęła głową i odsuwając rękę hrabiego, szepnęła:

- Nie, ja tego powiedzieć nie mogę.
- Tajemnica? Tak najwygodniej.

Odgadywaczka przyszłości zatopiła ostre jak sztylet spojrzenie w szydzących oczach sceptyka; potem odparła dobitnie:

- Tak najroztropniej... dla spokojności pańskiego umysłu.

Hrabia wzruszył lekceważąco ramionami.

- Dość tych kuglarstw! Zaśpiewaj nam teraz jaką piosenkę miłosną. To wolę.

Do rozmowy wmieszał się starszy z mężczyzn.

- To już należy do Manuela.

A towarzyszkowi rzucił rozkaz:

- Zbierz siły, kolego i wygłoś przed pięknymi damami jedną ze swych improwizacji.

Ale rozkaz, zamiast ożywić i zachęcić młodzieńca, przeraził go widocznie. Podniósł on na Gilbertę prawie błędne spojrzenie i zaraz potem zwiesił głowę na piersi, jakby uginając się pod ciężarem przechodzącym jego siły. Nagle jednak błyskawica energii zapłonęła w jego oczach,

podniósł głowę zwycięsko, jakby natchnienie sił mu dodało i odrzucając w tył płowe włosy, zbliżył się do panny de Faventines.

Gilberta wsparła głowę na ramieniu Pakety.

- Spojrzenie tego człowieka miesza mnie i niepokoi... – szepnęła do ucha powiernicy.
- Jest dumne i pewne siebie – zauważyła ta ostatnia półgłosem.

Cyrano w obecności improwizatora przybrał minę zamyśloną. Zresztą młodzieniec ów zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Manuel wykonał na lutni krótką przygrywkę, następnie głosem śpiewnym, lekko drżącym i wzruszonym z początku, lecz w miarę, gdy unosiło go natchnienie, rosnącym w siłę i dźwięczność, wypowiedział następujące wiersze:

Czyż dlatego, żem dziecię Cygana,
Które ludzie niewinnie przekleli,
Że mnie przepaść, niczym niezrównana
Od kobiety ukochanej dzieli,
Że jej uśmiech nigdy nie rozjaśni
Mej miłości, co wyrosła w cieniu —
Mam żyć w wiecznej z przeznaczeniem waśni?
Mam się męczyć i konać w milczeniu?

– O Boże! – szepnęła Gilberta, drżąca ze wzruszenia.

Przez me życie przejdzie ona dumnie
I jej oczy nie zejną się z memi,
I jej myśli nie zniżą się ku mnie,
Jak nie zniża się niebo ku ziemi.
Lecz tak mało potrzeba wyklętych!
Gdyby kwiat ten, przez mych ust porywy
Całowany, ku swym wargom świętym
Przymknąć chciała... umarłbym szczęśliwy!

Trafem, czy też rozmyślnie, improwizator stanął przy wielkim wazonie kamiennym, który otaczał wiotkimi gałązkami krzew białej róży. Kończąc swą deklamację melodyjnym westchnieniem, wyciągnął rękę, zerwał różę, przesunął ją nieznacznie przy ustach i zginając kolano przed Gilberta oddał jej kwiat, przymykając oczy, jakby omdlewał ze wzruszenia.

Z płomieniem w oczach, z ustami wykrzywionymi spazmatycznie, rzucił się nań Roland.

– Zuchwalcze! – wykrzyknął.

I wyrwawszy różę z ręki grajka, cisnął ją na ziemię i nogami podeptał.

Manuel porwał się na nogi i wyprężył, jakby zabierając się do walki. Ale pod spojrzeniem hrabiego, wyniosłym i pełnym wzgardy, czoło jego, zapłonione od gniewu, pokryło się nagle chmurą, zachwiał się i zatoczył. Zrozumiał i ujawnił swą bezsilność.

Wszystko to było szybkie jak myśl.

– Co czynisz, Rolandzie! – wmieszał się Cyrano. – Jaka mucha cię ugryzła? Ten człowiek jest w porządku: wygłasza wiersze, potem ofiarowuje kwiat – jest to zupełnie naturalne i niewinne.

– Jak to? Nie zauważyłeś jego spojrzenia? Nie pojąłeś bezczelnej myśli ukrytej w jego słowach?

– Dzieciaku! – Sawiniusz ujął hrabiego za rękę. – Był żebyś zazdrosny o Cygana?

– Puść mnie!

I Roland, pokazując Manuelowi otwartą furtę, zawołał:

– Wynoś się, błaznie, jeśli nie chcesz, abym ci kij połamał na grzbiecie!

– Za pozwoleniem – odparł Manuel tonem spokojnym, nie cofając się na krok jeden – gdybyś pan chwycił za kij, ja ująłbym za szpadę.

Roland wybuchnął śmiechem szyderczym, zjadliwym...

– Żebraku! – krzyknął – precz stąd!

– Panie hrabio! – zawołała Gilberta, rzucając się pomiędzy zapaśników.

Roland ujął ją za rękę.

– Nie obawiaj się, pani. Jeśli bywam zazdrosny o najmniejszą rzecz, która osoby twojej dotyczy, umiem też płacić za dostarczone ci rozrywki! Masz, łotrze! Cisnął Manuelowi kieszkę pełną złota.

– Dziękuję – rzekł młodzieniec, odtrącając ją nogą – jestem już zapłacony.

Brat Zilli, mniej skrupulatny, podjął z pośpiechem zdobycz, skłonił się do samej ziemi ofiarodawcy i rzekł:

– Ja nie pracuję, jasny panie, z amatorstwa. Biorę z wdzięcznością wszystko, co dają.

Manuel oddalił się wolnym krokiem, nie jak natręt, którego odpędzono, lecz jak szermierz, odchodzący z dumą z pola walki. Towarzysz i towarzyszka pośpieszyli z nim.

Podczas gdy Roland śledził chmurnym spojrzeniem odchodzących, do ucha Pakety dobiegła smutna skarga margrabianki:

– Ach, moja droga, to był Cygan! Wszystko mi już teraz wzbrania kochać. Sen mój przesnił się.

W tej chwili Cyrano wydawał Sulpicjuszowi polecenie:

– Idź za tymi ludźmi, których wypędzono. Muszę wiedzieć, gdzie w danej chwili znaleźć ich będzie można.

VII

Po wyjściu z pałacu Faventines trójka wędrownych grajków udała się na Nowy Most, który był wówczas główną kwaterą przewoźników, fagasów, elegantów i łobuzów. Zilla szła na przedzie, z głową zwieszoną i ciężką od myśli. Manuel, przeciwnie, spoglądał w niebo, pierś jego głęboko oddychała, rozszerzona uczuciem triumfującej dumy. Kochał! I choć był nędznym robakiem, potrącanym stopami ludzkimi, doświadczył niewysłowionej, anielskiej prawie rozkoszy, zdolawszy w chwili szczęśliwego natchnienia wznieść się aż do przedmiotu swej miłości. Przez jedną chwilę ona czuła płomień jego oczu w swych źrenicach; przez jedną chwilę należała do niego. Zobelżono go, sponiewierano, wypędzono – co go to obchodzi! Ten Cygan, to dziecię nieszczęścia, ale i nieokielzanej niczym wolności, do niczego w życiu nie przywiązane, do niczego w życiu nie dążące, pobudził do żywszego bicia serce patrycjuszki, mocą jeśli nie miłości, to przynajmniej współczucia.

Wystarczyło mu to – jak oświadczył w swej gorączkowej improwizacji. Był szczęśliwy; o niczym więcej nie myślał, do niczego więcej nie zmierzał, jego dusza artysty i marzyciela zakładała swe całe przyszłe szczęście na wspomnieniu. Wiedział, że w pamięci Gilberty zajął miejsce, z którego nikt go już nie usunie.

Myśl o tym była jego skarbem, nagrodą jego śmiałości, pociechą jego nędzy. I jak obłąkaniec, goniący za widziadłem własnej wyobraźni, szedł krokiem chwiejnym, potrącając przechodniów, potykając się o kamienie, olśniony, pijany, prawie nieprzytomny.

Towarzysz przywołał go do rzeczywistości.

– Hola, Manuelu! – zawołał drwiąco – co się z tobą dzieje? Głuchyś jak pień, a język kołkiem stanął ci w gębie!

– Z czego tak wnosisz, Ben Joelu?

– Z czego? Ależ z tego, zacny wierszokleto, zem już trzy razy mówił ciębie, a ty ani mru-mru.

– Wybacz i bądź łaskaw powtórzyć raz jeszcze swe zapytanie.

– Pytałem cię po przyjacielsku, czy...

– Czy co?

– Ech, nic! Prawdę mówiąc, nie powinienem tam wtykać mojego nosa!

– Ależ mów, proszę cię.

– Otóż chciałem, abyś mi wytłumaczył: co znaczyła ta heca w ogrodzie?

– Jaka heca?

– Ta siarczystą improwizacją zwróconą do owej pannicy.

– Myślę, żeś odgadł jej znaczenie?

– Więc ty się naprawdę w tej sikorce zakochałeś?! – wykrzyknął Ben Joel, niezmiernie zdziwiony.

– Tak – odrzekł Manuel głosem głębokiego przeświadczenia.

– Diabli nadali! A do czegoż cię to doprowadzi?

– Do niczego.

– No, a co będzie z Zillą?

– Z Zillą?

– Czyż nie widziałeś, że dziewczyna była jak na mękach? Manuel zwrócił pytające spojrzenie na towarzysza.

– Na mękach, powiadasz?

– Tak, bo to głupie stworzenie przywykło już widzieć w tobie swego przyszłego męża, czego życzył sobie nawet mój papa, gdy umierając przeznaczył jedno dla drugiego. A przy tym wiesz, jaka to zazdrośnica.

Czoło Manuela sfałdowało się. Przyspieszył kroku, aby uniknąć dalszych wypytywań towarzysza, rzucając mu na odchodnym:

– Mylisz się. Zillą nie kocha mnie. Nigdy ona nie myślała o tym, co mówisz.

Ben Joel nie zdążył odpowiedzieć, gdyż młodzieniec podbiegł do Zillii uchronił się tym sposobem od jego ciekawości.

Sulpicjusz Castillan, spełniając zlecenie Cyrana, postępował wciąż za trójką. Idąc mówił do siebie:

– Co u diabła za interesy może mieć mój pan z tymi obwiesiami!

Wbrew przewidywaniom Sulpicjusza, który wyobrażał sobie, że grajkowie mają stały przytułek na Nowym Moście, minęli go oni i weszli do jednego z biednie wyglądających domostw za bramą Nesle, w dzielnicy, która z czasem stać się miała arystokratycznym przedmieściem Świętego Germana. Kieska Rolanda, tak skwapliwie pochwycona przez Ben Joela, była dość ciężka, aby grajkowie mogli zrobić sobie tego dnia zupełny odpoczynek, nie potrzebując stawiać dobrym paryżanom horoskopów ani też pokazywać im sztuk z kubkami.

Sulpicjusz długo wystawał przed bramą starego domostwa – dość długo, aby upewnić się, że grajkowie z niego nie wychodzą i że tu właśnie znajduje się ich gniazdo czy też legowisko. Następnie, ponieważ w tej samej właśnie dzielnicy mieszkał z Cyranem, nie wracając poszedł prosto do domu swego pana. Niecierpliwość Sawiniusza musiała być niezmierna, kiedy z samego rana dnia następnego, kazawszy sobie najdokładniej powtórzyć sprawozdanie Castillana, przypasał szpadę, schował do kieszeni małe pudełeczko, które wyjął ze szkatułki stojącej w jego pokoju na kominku, i udał się prosto do domu zamieszkanego przez Manuela.

Dom ten Sulpicjusz opisał mu szczegółowo, od razu też poznał, że jest to budynek, który studenci, stali mieszkańcy tej dzielnicy, przewali „Domem Cyklopa”. Była to budowla wysoka a wąska, z grubych belek i potężnych kłoców zbita, obrzucona po wierzchu tynkiem, który z niej kawałkami odpadał. W samym jej rogu znajdowała się furta, żelazem okuta. Od czoła nie było wcale okien; u samej tylko góry w poczerniałym murze widać było szeroki otwór, pomiędzy dwoma pochyłościami łupkowego dachu pokrytego mchem, skąd zwieszały się na kształt włosów chwasty o długich liściach. W tym jednym otworze, zasłoniętym szybami w ołowianej oprawie, pojawiała się niekiedy nocą czerwonawe światelko. Wyglądał on wówczas jak potworne oko w czole olbrzyma. I to właśnie było powodem, że studenci, polu-

jący na porównania mitologiczne, nazwali osobliwe to domostwo – posepne i milczące za dnia, a nocą pełne światła i szmerów – Domem Cyklopa.

Stateczni mieszczenie z lękiem o tym domu mówili. Miał on swą kronikę, która wzmiankowała o scenach piekielnych. Gnieździć się w nim mieli czarownicy i czarownice, a co najmniej był kryjówką fałszerzy pieniędzy i rozbójników.

Cyrano, który nie drżał przed niczym i zdolny był, wedle własnego wyrażenia, zdmuchnąć słońce na niebie jak zwykłą łożówkę – z całej siły zapukał do zamkniętej furty tego domu. Przeciągłe milczenie nastąpiło po tym hałasie. Potem dały się słyszeć ciężkie kroki kogoś schodzącego po drewnianych schodach i furta odemknęła się, ukazując w czarnym otworze postać starej kobiety o twarzy żółtej i pomarszczonej jak półrocze jabłko.

Przez szparę, którą straszna odźwierna starała się uczynić jak najwęższą, Cyrano zapuścił wzrok do środka i ujrzał rozwieszony na murach łachmany oraz coś na kształt niskich tapczanów, otaczających w ciemności stół ciężki, osadzisty. Jednocześnie buchnął nań taki zaduch, że aż zatoczył się.

– Czego? – zapytała stara.

– Chciałbym pomówić z pewnym młodzieńcem, który mieszka w tym domu.

– Z młodzieńcem? Mamy ich tu dziesięciu – pisnęła odźwierna, wykrzywiając twarz kocim grymasem. – Jakże się tamten nazywa?

– Manuel, jak mi się zdaje.

– Ano, to już wiem, który...

– Gdzież on?

– Wyszedł ze swoją kompanią: Ben Joelem i Zillą.

– Gdzie mógłbym ich znaleźć?

– Najpewniej na Nowym Moście.

– Dziękuję.

I podczas gdy podejrzane postacie, gotowe do skorzystania z każdej sposobności, poczynęły snuć się coraz gęściej w mroku poza plecami odźwiernej, Cyrano wcisnął jej w rękę pieniądze i udał się w stronę Nowego Mostu.

Była zaledwie godzina dziesiąta rano, a już tłum hałaśliwy i przepychający tłoczył się w pobliżu mostu. Ten tłum otaczał teatr marionetek, ustawiony nad fosą bramy Nesle wprost ulicy Guénégaud.

Właścicielem i impresariem teatru był sławny Jan Brocci, zwany inaczej Brioché, o którym wzmiankowano już poprzednio i który zapisał swe imię w historii widowisk ulicznych.

Z budynku teatralnego wybiegały dźwięki ogłuszającej muzyki. Niebawem pojawił się sam impresario, w towarzystwie kolegi imieniem Violon. Na ich widok tłum uciszył się. Gapie poprzestali na zamienieniu spojrzeń znaczących. Widocznie oczekiwano na coś niezmiernie zajmującego.

– Panie i panowie – zaczął Brioché z silnym akcentem włoskim – zanim staną przed wami otworem wrota mego przybytku, zamierzam uczęstować was próbką prześlicznych rzeczy, które na was czekają.

– Na przykład: przygody garbusa poliszynela – przerwał mu Violon – nieporównana scena mimiczna, doświadczone lekarstwo dla chorych na śledzionę!

Potężne kopnięcie, klasyczne kopnięcie widowisk jarmarcznych, wstrzymało potok jego wymowy.

Brioché ciągnął:

– Każdy zapewne z was, panowie i panie, słyszał o mojej małpie imieniem Fagotin, która jest cudem nad cudami.

– Tak, tak, Fagotin! Fagotin! – wrzasnął tłum, wprawiony w dobry humor tą zapowiedzią.

– Słuchajcie zatem, panie i panowie! Tę małą nieporównaną, ten skarb i ten cud, pokażę wam najzupełniej darmo, złamanego grosza od nikogo nie biorąc – tak samo jak pokazywałem ją wczoraj i jak jutro pokazywać będę.

Dał znak. Violon zniknął za zasłoną i ukazał się po chwili, prowadząc małą cudacznie ubraną i stającą z góry z najzabawniejszą w świecie przesadą.

Szalonym wybuchem śmiechu przyjęto ten występ.

– Brawo! Brawo! Ach, jakież podobny! Ach, to on we własnej postaci! Brawo, Fagotin z pyskiem Bergeraka!

Dla zrozumienia tych okrzyków objaśnić trzeba – że mała Fagotin nie była niczym innym, jak żywą karykaturą Cyrana. Ta komiczna kopia figury, ruchów, ubioru i całego rycerskiego wzięcia się poety miała przyczynić wiele utrapień Briochému.

Mała owa, wedle opisu samego bohatera niniejszego opowiadania, była „okrągła jak pasztet z Amiens, wielkości człowieka małego wzrostu i pocieszna w najwyższym stopniu. Brioché włożył jej na głowę stary, podarty kawał filcu z wielkim piórem, które zakrywało dziury i łaty, szyję jej opasywała olbrzymia kreza á la Scaramouche; miała na sobie wreszcie modny kaftan o sześciu zakładkach, naszywany pasmanterią i świecidłami”.

– Tęga mina, nieprawdaż? – wykrzykiwał Brioché, biorąc udział w wesołości tłumu.

A zwracając się do mały:

– Witaj, nieustraszony! Pozdrowienie Kapitanowi Czartowi! Wystąp naprzód. Pogromco olbrzymów, Waligóro, Wyrwidębie – wystąp i pokaż, co umiesz!

Tłum wyteżył wzrok i nadstawił uszu. I jedynie wskutek tego, że uwaga jego była całkowicie pochłonięta przez widowisko, nie zauważył obecności Cyrana we własnej osobie, który zatrzymał się przed budą i zajął miejsce w ostatnim rzędzie widzów.

Zgadując, o co chodzi i widząc, że w istocie jego to ośmieszoną podobizną oddawano na łup prostaczek uciechy gapiów, zawrzał wściekłym gniewem. Nos jego – ten nos, który wydrwiwano tak nikczemnie – wciągał gwałtownie powietrze, poeta doświadczał przez chwilę pokusy rzucenia się na tłum ze szpadą i płazowania bezczelnych głupców, ośmielających się żartować z męża tej co on wartości – ale ciekawość jego okazała się silniejszą jeszcze od gniewu. Uspokoił się i – czekał.

– Hola, hej! – mówił Brioché, stosując mowę swą do różnych faktów z życia Cyrana – wiadome są światu całemu twe wiekopomne czyny bohaterskie. Z głowy ostatniego sułtana zrobiłeś gałkę do swej szpady; od wiatru sprawionego machaniem twego kapelusza zatonała flota; a kto chce mieć dokładną liczbę ofiar, które z ręki twej padły, musi wziąć cyfrę dziewięć i dodać do niej tyle zer, ile jest ziaren piasku w morzu. Bacność! Do dzieła!

Doskonale wytresowana mała dobyteła na te słowa szpadę i poczęła wymachiwać nią, naśladując szermierskie cięcia i pchnięcia. Ruchy jej naśladowały tak wiernie właściwy Cyranowi sposób bicia się, że on sam powstrzymać nie mógł wesołości i śmiać się zaczął razem z tłumem.

Podczas gdy mała pokazywała swe sztuki, któryś z gapiów obejrzał się za siebie i poznał Cyrana. Szepnął on zaraz kilka słów sąsiadom i w mgnieniu oka ta nadzwyczajna wiadomość cały tłum obiegnęła. Przyjęto ją głośnymi okrzykami.

– Jest tu! Patrzcie, to on! Czartowski kapitan we własnej postaci! Bacność, Fagotin! Oto twój sobowtór.

Więc tłum jął się przyglądać kolejno pocie i małpie, porównując ze sobą oryginał i kopię, z wesołością tak hałaśliwą, że w końcu Sawiniusz stracił cierpliwość.

– Hej tam, hołota! – krzyknął donośnym głosem – zamknąć pyski i – do szeregu!

Gap wspomniany przed chwilą podjął się odpowiedzieć w imieniu wszystkich. Z kapeluszem w ręce przystąpił do Cyrana.

– Bez urazy pańskiej – rzekł – czy to zwyczajny pański nos? Może pan raczysz usunąć się, bo mi ten nos wszystko zasłania.

Mówić Cyranowi o jego nosie, znaczyło najdotkliwiej go obrażać. Najeżył się jak kogut, wyrwał z pochwy swą wielką szablę i rzucił się z wściekłością na tłum, ogłuszający go swymi wrzaskami.

W mgnieniu oka plac opustoszał. Cyrano nie miał przed sobą żadnych nieprzyjaciół, z wyjątkiem małpy Fagotin, która w śmiesznych podrygach udawała, że zabiera się do walki. Sawiniusz zaślepiony gniewem, nie panując już nad sobą, napadł na małpę jak na prawdziwego nieprzyjaciela i wymierzywszy cios w samo serce, nadział ją na ostrze szabli.

Na widok martwego zwierzęcia Brioché jął lamentować najżałośniejszym w świecie głosem. Cyrano, uspokojony cokolwiek przez to krwawe zadośćuczynienie, przypatrywał się obojętnie, jak hecarcz okrywa pocałunkami niewinną ofiarę wypadku.

– O panie de Cyrano! – wyjąkał wreszcie Brioché, któremu usprawiedliwiona trwoga każała postępować i wysławiać się ostrożnie – upewniam pana, że wytoczę mu sprawę sądową i że kosztować to pana będzie co najmniej pięćdziesiąt pistołów.

– Zapłacę ci inną monetą ... – rzekł poeta. – Bądź tylko trochę cierpliwy.

Schował rapier do pochwy, poprawił pióro na kapeluszu i pewnym krokiem przeszedł most w całej długości, szukając w tłumie, który teraz ustępował mu z drogi z pełnym lęku uszanowaniem, Manuela i jego kompanii.

Ale improwizatora nigdzie nie było.

Cyrano skierował kroki ku ulicy Guénégaud, zamierzając raz jeszcze zapukać do Domu Cyklopa i czekać tam powrotu Manuela, gdy znalazł się nagle twarz w twarz z Zillą.

– Pozwól, piękna panienko – rzekł uprzejmie – mam cię o coś zapytać...

Zilla podniosła oczy na człowieka, który ją tak śmiało zaczepił, a poznawszy poetę zatrzymała się, czekając, co powie.

Za plecami jej Ben Joel starał się ukryć swą twarz, która na widok Cyrana dziwnie posepniała.

– Powiedz mi – mówił poeta – czy młodzieniec, który był wczoraj z wami w pałacu Faventines, ukrył się w jakiejś niedostępnej dziurze Nowego Mostu, bom oczy wypatrzył, szukając go tam przed chwilą nadaremnie?

– Pytasz pan o Manuela? – badała wróżka.

– O niego samego.

– Nie towarzyszy on nam dziś.

– Ach, czy mógłbym wiedzieć, gdzie się podziewa?

– Niech pan zapyta brata; objaśni pana lepiej ode mnie.

Zilla skłoniła się lekko szlachcicowi i zniknęła w tłumie, pozostawiając Ben Joela w kłopotliwym sam na sam z Cyranem.

Włóczęga zabierał się przezornie do odwrotu, ale silna dłoń Sawiniusza spoczęła na jego ramieniu i w miejscu go osadziła.

– Cóż to – rzekł poeta – byłże byś równie dziki jak twoja siostra i równie jak ona odmawiał odpowiedzi na moje pytanie?

– Jasny panie... – wybełkotał zmieszany łotr.

Ten głos żebrzący obudzić musiał jakieś przypomnienie w umyśle Cyrana, bo starał się przypatrzeć twarzy mówiącego, który jednak uparcie trzymał ją pochyloną.

– Odpowiadajże! – zawołał niecierpliwie.

I jednocześnie, ujmując go bez ceregieli za brodę, obrócił twarzą do słońca.

– Mam cię! – wykrzyknął. – To więc ty jesteś!

– Jasny pan poznaje mnie?

– Do licha! Wiem teraz, dla czegoś tak pilnie wzroku mego unikał.

– Wstydzilem się...

– Faryzeuszu! Owej nocy przyrzekłem ci solennie, że przy pierwszym spotkaniu obwieszę cię na pierwszej lepszej gałęzi lub na pierwszym lepszym krzaku. Pamiętasz?

– Pamiętam. Ale ty, jasny panie, racz o tym zapomnieć. Owej nieszczęsnej nocy byłem daleko od swoich, zbłąkałem się, głód mi doskwierał – uległem pokusie.

– Hm, pokusa ta często powtarzać się musiała.

– Jestem w gruncie rzeczy człowiekiem uczciwym.

– Aby dobrać się do tego gruntu, należałoby cię dobrze szablą obciosać.

– Przysięgam.

– Dość. Koniec końców odnalazłem cię i to w chwili, gdy przydać mi się możesz. A więc słuchaj, łotrze: pod pewnymi warunkami zrzec się mogę praw do twojej skóry.

„Ja nie zrzeknę się prawa do zemsty” – mruknął do siebie opryszek.

A głośno wyrzekł:

– Ciałem i duszą należę do jasnego pana. Słucham rozkazów.

– Powiedz, gdzie Manuel?

– Na cmentarzu przy kościele Marii Panny. Ale o jedenastej ma wrócić do domu.

– Chodźmy tam; zaczekamy na niego.

– Jasny pan odważyłby się wstąpić w moje ubogie progi?

– Czemuż by nie!

– Kiedy bo...

– Byłoby twoje poddasze zbójceką pułapką, do której wstęp zagraża porządnym ludziom niebezpieczeństwem?

– Co za przypuszczenie!

– Chodźmy zatem.

Ben Joel usłuchał rozkazu, choć mu wcale nie było to po myśli.

– Pogadajmy trochę – rzekł w drodze Cyrano. – Kto to jest ten Manuel?

– Dobry kolega... jak ja.

– I czy tak samo jak ty ulega pokusom, o których wspominałeś?

– Och nie, nigdy – zapewnił zbój z akcentem szczerości w głosie. – To charakter wspaniałomyślny i prawy.

Cyrano odetchnął głęboko.

– Jakiego jego pochodzenie? – badał dalej.

– Jest dzieckiem losu, jak my wszyscy.

– Zdaje się jednak, że posiada jakieś wykształcenie. Gdzie je nabył?

– Wszędzie i nigdzie. Zbierał je okruciami, przygodnie, jak ptak ziarna rozsypane po gościńcu. Jednak muszę wspomnieć o jednej okoliczności. Kiedy żył mój ojciec i banda nasza nie była jeszcze rozproszona – ojciec mój bowiem był jednym z wodzów pokolenia – przystał do nas pewien lekarz włoski, dobra dusza, który musiał opuścić ojczyznę z powodu jakiegoś pchnięcia szpadą... zanadto trafnego... Jasny pan rozumie?

– Jak najlepiej. Mów dalej.

– Ten lekarz był bardzo uczony. Zajął się on Manuelem i przekonawszy się, że chłopiec ma zdolności, zrobił go swym uczniem. Nudziło się nieborakowi; szukał jakiegokolwiek rozrywki. Manuel zabrał się z całego serca do nauki i otóż, dzięki temu, potrafi dziś klecić piękne rymy dla młodych pięknych dam.

– A co się stało z Włochem?

– Umarł.

– Śmiercią naturalną?

– Najnaturalniej w świecie, objadł się zanadto i skończył z niestrawności. Poczciwiec zrobił się na stare lata strasznie obżartuchem.

– Wieczny mu odpoczynek! Powróćmy do Manuela. Mówiłeś mi, że to dziecko losu?

– Tak jest.

– Z tego samego plemienia, co i ty?

– Tak sądzę...

Cyrano ścisnął rękę Ben Joela jak kleszczami i przeszywając go surowym wzrokiem, rzekł z mocą:

- Pewnyś tego?
- Na co to pytanie? – odparł Cygan z widocznym pomieszaniem.
- Ja bowiem o pochodzeniu Manuela sędzę inaczej!
- Cóż jasny pan sądzi?
- Że to jest dziecko – skradzione!
- Skradzione! – powtórzył Ben Joel błędąc mimowolnie.
- Tak, skradzione; nie przez ciebie, boś na to za młody, ale przez kogoś z twego plemienia – może przez ojca twojego.
- Ależ, dobry Boże – zauważył Ben Joel głosem dość naturalnym – i w jakimże celu miano by dziecko wykradać?
- Do kroćset! Aby zeń zrobić, co robią wszyscy tobie podobni! Aby posługiwać się nim jako przynętą w zebraniu; aby układać go jak psa gończego do kradzieży, a może i zbrodni; aby wreszcie później wymóc okup za niego na rodzinie! Pytasz, w jakim celu? Czyż ja mogę znać wszystkie wasze łotrowskie cele! To pewna tylko, że ich nie brakuje.
- Niech jasny pan pozbędzie się swych podejrzeń. W Manuelu płynie krew nasza.
- Nie twierdź za wiele, bo zmuszę cię może do odwołania tych twierdzeń! Zresztą, zanim posuniemy dalej indagację, wypytywać wpierw muszę Manuela.
- Stańli w tej chwili przed Domem Cyklopa.
- Prowadź – rozkazał Cyrano.

VIII

Weszli obaj do środka.

Rozejrzawszy się w dolnej części domostwa, Cyrano poznał, że jest ona czymś w rodzaju nędznego zajazdu, gdzie każdej nocy znana już nam ohydna starucha za marną opłatą dawała schronienie włóczęgom ulicznym.

Było tu dniem i nocą jednakowo ciemno, na chwilę też nie gaszono lampy żelaznej zawieszanej u pułapu.

Ścisłe rzecz biorąc, ten brudny i cuchnący dom noclegowy był piwnicą, mury jego bowiem, pozbawione okien, były z kamienia, a podłoga z ubitej ziemi.

W jednym z kątów znajdowały się schody drewniane, wąskie, kręte, spadziste, które wiodły na wyższe piętro, do nory wynajmowanej Ben Joelowi i jego kompanii. Trójka ta wyobrażała jedynych stałych mieszkańców domostwa.

W połowie schodów widać było wyżłobioną w murze komórkę, a w niej nakryte łachmanami łóżko. Było to legowisko staruchy, która żyła tam samotna, milcząca i zła, jak ropucha w wydrążeniu kamienia.

Mieszkanie Ben Joela składało się z dwóch części. Pierwsza z nich, wyglądająca w samej rzeczy na pokój i oświetlona wielkim okrągłym oknem – ślepiem Cyklopa – należała do Zilli. Był to rodzaj pracowni alchemicznej, wypełnionej retortami, naczyniami różnego kształtu, z piecem w głębi i łóżkiem pokrytym wzorzystymi tkaninami w kącie. Widziało się tam jeszcze porzucone tu i ówdzie naczynia muzyczne oraz stary wazon ze świeżymi kwiatami na rzeźbionym, dębowym stole.

Nie znać tu było nędzy ani nawet niedostatku; wszystko oddychało tajemnicą, pozwalającą domyślać się największych niespodzianek.

Dziwna ta izba ujawniała duszę kobiety, a bardziej jeszcze kapłanki kultu czarodziejskiego. Klejnoty i stare księgi w pergaminowych okładzinach, pachnidła i trucizny, festony z je-

dwabnych tkanin i stalowe ostrza sztyletów mieszały się ze sobą w dziwnym, ale powabnym nieładzie.

Oddychało się tu atmosferą drażniącą i słodką zarazem, która odurzała jednocześnie mózg i duszę.

Drugą część mieszkania zajmowali: Ben Joel i Manuel. Było to najpospolitsze w świecie podstrysze z małym okienkiem wychodzącym na dach.

Cygan wprowadził poetę do komnaty Zilli, oddzielonej wąskim korytarzykiem od jego izdebki.

Cyrano nie bez zdziwienia rozglądał się po tym osobliwym mieszkaniu i nie wznawiając już drażniącej rozmowy z Ben Joelem zasiadł w milczeniu, oczekując powrotu improwizatora.

Gdzieś daleko wybiła jedenasta.

Jeszcze nie przebrzmiały dźwięki zegara, gdy zjawił się Manuel.

Spostrzegłszy Cyrana, goszczącego w mieszkaniu swoich towarzyszków, zdziwił się i zaniepokoił, co nie uszło uwagi szlachcica.

– Dziwi cię moja obecność? – zapytał przyjaźnie.

– Rozumie się. Nie wiedziałem, że Ben Joel ma interesa z jaśnie panem.

– Nie o Ben Joela tu chodzi, lecz – ciebie.

– O mnie?

– Tak. Musimy pomówić ze sobą o rzeczach wielkiej wagi.

Przy tych słowach twarz Cyrana przybrała ten wyraz uroczysty, jaki widzieliśmy już na niej owego wieczora, gdy gościł u Jakuba Szablistego, proboszcza w Saint-Sernin.

Ben Joel, stojąc przy oknie, wpatrywał się w szlachcica z natężoną uwagą.

Cyrano wskazał mu drzwi.

– Zostaw nas samych – rzekł rozkazująco.

Cygan skłonił się, przeszedł z wolna przez pokój i zniknął. Gdy znalazł się sam, mruknął z powstrzymaną wściekłością:

– Szukaj, wypytuj, wiesz, ile ci się tylko podoba — ja, mimo wszystko, trzymam cię silnie i – do wszystkich diabłów! – nie puszcę, dopóki nie wyrównamy ze sobą rachunku owej nocy. Trzeba mi złota albo krwi i – będę miał jedno albo drugie.

Po wyjściu Ben Joela Sawiniusz zamknął starannie drzwi, posunął krzesło pod okno, to jest jak najdalej od wejścia i zwracając się do Manuela rzekł:

– Siadaj!

Młodzieniec usiadł. Powaga malująca się w twarzy gościa nakazywała mu szacunek i posłuszeństwo.

Szlachcic zajął miejsce naprzeciw niego.

– Przybyłem tu w sprawie, która ciebie osobiście dotyczy – zaczął. – To przede wszystkim zaznaczyć trzeba. A teraz: czy zechcesz odpowiadać jak najszczerzej na moje pytania?

– To zależy od pytań.

– Trzeba odpowiedzieć stanowczo: tak lub nie – podjął z pewną niecierpliwością Cyrano.

Manuel wpatrywał się przez długą chwilę spod oka.

– A więc – tak!

– To dobrze. Teraz idźmy porządkiem. Czy kochasz pannę Gilbertę de Faventines?

– Panie! – wyjąkał Manuel i zrobił ruch, jakby chciał wstać i uciec.

– Kochasz ją – rzekł Cyrano, zatrzymując go na miejscu pełnym siły spojrzeniem. – Wczorajsza improwizacja nie była dziełem czystej fantazji. Twój wzrok, twoja postawa, całe zachowanie się twoje, mówiły o tym wyraźniej jeszcze od wierszy. Hrabia Roland miał słuszną, będąc zazdrosnym.

Manuel podniósł czoło ruchem wyniosłym.

– A gdyby tak było? – zapytał z miną człowieka zdziwionego, że ktoś śmie zapuszczać wzrok w najtajniejszy zakątek jego serca.

– Zgoda, wystarczy mi to – podjął spokojnie Cyrano. – Ale podejrzewam, że ośmielając się podnieść oczy aż tak wysoko, musiałeś mieć w tym jakieś jeszcze wyrachowanie.

– Bynajmniej... Kochałem, wyznałem swą miłość i – dość na tym. To był najwyższy i jedyny cel mojej ambicji.

– W takim razie, mój drogi, jesteś szaleńcem!

– Dlaczego? Składałem hołd kobiecie, której wdzięk i piękność oczarowały mnie. To moja osobista sprawa. Co jej do tego, skoro mnie nie kocha?

– Przypuszczałem co innego.

– Co mianowicie?

– Przypuszczałem, że nie mogąc liczyć na to, aby panna Gilberta zniżyła się do ciebie, postarałeś się o środki wzniesienia się aż do niej.

– Nie chcę nikogo w błąd wprowadzać. Tak nie było i tak nie jest.

– Naprawdę?

– Upewniam pana. Więcej nawet: przysięgam panu.

– Tak więc – rzekł Cyrano głosem zdradzającym pewnego rodzaju zawód i jakby rozczarowanie – nie jesteś niczym więcej, tylko Cyganem, żebrakiem, może tylko cokolwiek odważniejszym od innych?

– Niczym więcej – poświadczył skromnie Manuel.

– I nie masz żadnej co do tego wątpliwości?

– To jest... zdaje mi się... – jąkał młodzieniec, dziwnie wzruszony i zmieszany tonem, jakim to pytanie było zadane.

Cyrano przysunął się doń z krzesłem.

– Opowiedz mi swoją przeszłość – rzekł głosem budzącym zaufanie. – Mówiłem ci już, jak się zdaje, że masz do czynienia z przyjacielem.

Manuel uśmiechnął się.

– Ach, Boże! – zaczął w sposób prawie żartobliwy – cóż może być ciekawego w moim życiu? Podobne ono do życia każdego z braci moich! Nieustanne włóczenie się z miejsca na miejsce; na przemian: nędza i dostatek; noclegi pod gołym niebem; dnie pochmurne, dnie słoneczne; suchy chleb przez cały miesiąc, obfite uczyty przez tydzień, a na uwieńczenie wszystkiego: zupełna obojętność na los, która podwaja wartość szczęścia i pozwala przyjmować wesoło niedolę.

– To są ogólniki. Idźmy dalej.

– Cóż może być dalej!

– O przeszłości swej nicze nie wiesz?

– Prawie nic.

– To „prawie nic” może mieć swe znaczenie. Wyjaśnij mi je.

– Prawdę rzekłszy, nie sądzę, abym należał do rodu Ben Joela.

Z piersi Cyrana wybiegło westchnienie ulgi.

– Na czym opierasz swą wątpliwość?

– Na wspomnieniach.

– Widzisz zatem, że coś pamiętasz z przeszłości.

– Cóż z tego! Jeżeli wypadkiem jestem podrzutkiem, któż mi zwróci moją rodzinę?

– Pewni ludzie—zauważył ze szczególnym naciskiem Cyrano—potrafią odnaleźć igłę w stogu siana. Pochlebiam sobie, że do tych ludzi należę.

Manuel zerwał się gwałtownie ze stołka. Oczy jego błyszczały, w piersiach szybko się podnoszących głośno kołatało serce.

– Panie, pan wiesz coś o tym?! – zawołał w uniesieniu. – Zaklinam cię: wyjaw mi to!

– Ciągnij dalej swe opowiadanie! – rozkazał zimno Sawiniusz.

– Cóż pan chce jeszcze usłyszeć?
– Wspomnienia twoje, najmniej znaczące dla ciebie, mogą mieć dla mnie wartość nieoczoną – decydującą.

Improwizator milczał przez chwilę, zbierając myśli. Potem rzekł:

– Rzeczą, która najtrwalej zapisała się w mojej pamięci, jest mieszkanie ojca Ben Joela. Przebywałem tam z jego synem, dzisiejszym towarzyszem włóczęgi, z jego siostrą Zillą, wówczas jeszcze maleńką, i z jednym jeszcze dziecięciem, które umarło w kilka lat później.

– Otóż to! A jak było na imię temu dziecięciu?

– Ben Joel wołał na nie: Samy; ja zaś, nie wiem dlaczego, nazywałem je Szymonkiem.

Cyrano „Nieustraszony”, który nie doświadczyłby wzruszenia przed ostrzami dwudziestu szpad, na dźwięk tego imienia pobladł i zadrżał. Zauważył to młodzieniec i zatopił w nim wzrok pełen ciekawości i niepokoju. Szlachcic nierad był temu, odzyskując więc natychmiast zimną krew, zapytał głosem zupełnie już spokojnym:

– Szymonkiem, mówisz? A czy przed tym dziecięciem i tymi Cyganami nie znałeś innych jeszcze osób?

– Gdy wyteżam pamięć, mającą mi się jeszcze przed oczami postaci jakichś starców i kobiet... dalej inne dzieci, starsze ode mnie... jedno zwłaszcza... szczupłe... z miną zawadiacką... z głosem pewnym siebie...

– Cóż to za dziecko?

– Niech pan zaczeka... – i Manuel jął pocierać czoło, zagłębiając się myślą w dalszych wspomnieniach. —To dziecko znajdowało się prawie nieustannie przy mnie i często... często – biło mnie.

– Nie zapomina się nigdy tych, co nas bili – zauważył nawiasem Cyrano. – Kij jest niezrównanym środkiem na wzmacnianie pamięci.

– To dziecko biło mnie, a jednak bardzo je kochałem – ciągnął Manuel. – Jego imię?... Zdaje się, że przypomnę sobie to imię...

– Na Boga, wymień je! – zawołał Cyrano zrywając się ze stołka.

Gdyby Manuel zwrócił był w tej chwili wzrok na poetę, dostrzegłby, że silnie dysząca pierś podnosi jedwab jego kaftana i że duże krople potu perlą się na jego czole.

Ale uwaga młodzieńca zajęta była czym innym.

Manuel zapomniał na chwilę o człowieku, którego miał przed sobą, myślał o sobie samym, o tym, czym był, o tym, czym mógłby być, i przeróżne fantastyczne obrazy snuły mu się przed pełnymi niepokoju, prawie obłąkanymi oczyma.

– Mówże! Czemu nie mówisz – krzyczał Cyrano, ściskając z całej mocy jego rękę i potrząsając nią silnie, aby wyrwać młodzieńca z zamyślenia.

– Szukam w pamięci tego imienia – szeptał Cygan na pół nieprzytomnie. – Zdaje mi się chwilami, że już je mam na ustach, ale gdy chcę je wymówić, ulatuje i znika!

– Wyteż pamięć jak najmocniej!

– Mam je! – wykrzyknął wreszcie Manuel tryumfująco.

– Na koniec!

– To dziecię, które tak bardzo kochałem... ten towarzysz najwcześniejszych lat moich... nazywał się... tak, nie myślę się tym razem...

– Nazywał się?

– Sawiniusz!

Wykrzyknął to imię z pośpiechem, jakby obawiał się, żeby mu znów nie uleciało, a po chwili powtórzył je raz jeszcze powoli, sylaba po sylabie, chcąc upewnić się, że to te same dźwięki, które go kiedyś w dzieciństwie radowały.

Cyrano wyprostował się, już nie poważny i surowy, lecz promieniejący radością, zwycięski. Przyjazny uśmiech zjawiał się na jego ustach; głos zadźwięczał wesoło i Czule.

– Sawiniusz – rzekł, ściskając palce młodzieńca tak silnie, jakby je chciał skruszyć – ten urwis i ladaco, ten niedobry chłopiec, który bił trzepaczką małego ucznia, gdy mylił się w lekcjach szermierki, ten Sawiniusz wyrósł, postarzał się, ale przeszłości nie zapomniał.

– Znasz go pan?

– Czy go znam? Nazywa się Sawiniusz, ale nosi też nazwisko Cyrana de Bergerac. Ach, stary Lembrat zdrzeć musiał w swym grobie! Chodź, chłopcze, w moje objęcia! Niech cię uścisknę i ty uściśnij mnie także!

Cyrano otworzył ramiona.

– Pan jesteś... Sawiniusz! – wyjąkał Manuel drżącym ze wzruszenia głosem, płacąc szlachcicowi uściskiem za uścisk.

Potem nagle zapytał:

– Któż więc ja jestem?

– Nie jesteś już Manuelem, precz z tym przewiskiem cygańskim! Nazywasz się – Ludwik de Lembrat. Jesteś – bratem hrabiego Rolanda.

Manuel przymknął oczy, jakby ogłuszony ciosem obucha. To, co usłyszał, wydawało mu się igraszką fatalności, okrutną ironią losu, która za chwilę pograży go na powrót w ciemną otchłań nędzy.

Z bolesnym namysłem zapytał:

– Nie zwodzisz mnie pan? Nie czynisz sobie igraszki z mojej łatwowierności?

– Najpierw – przerwał żywo Cyrano – daj mi dowód przyjaźni, mówiąc do mnie: ty, jak to dawniej bywało. Następnie dowiedz się, że ja nigdy nikogo nie zwodzę.

Wątpliwości Manuela rozwiały się.

– Ach, przybywa do mnie szczęście! – wyrwało mu się jakby nieumyślnie i jakby w odpowiedzi na tajemne pragnienie. – Lecz skąd panu przyszło do głowy...

– Jeszcze? – upomniał go Cyrano.

– Skąd przyszło ci do głowy – poprawił się, ściskając serdecznie rękę rycerskiego poety – szukać Ludwika de Lembrat pod łachmanami Manuela?

– W sposób bardzo prosty. Przyjrzałem się dokładnie twemu obliczu.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz... Czy znasz to?

Sawiniusz wy dostał z kieszeni ozdobne pudełeczko i obróciwszy do światła, otworzył.

W pudełeczku znajdował się portret młodzieńca w wytwornym stroju myśliwskim.

– To ja! – zawołał zdumiony Manuel.

– Nie, to twój ojciec w dwudziestym roku życia – w dzisiejszym wieku twoim. Zrozumiałeś zatem, dlaczego cię poznał od pierwszego spojrzenia? Twoje oczy, twój uśmiech, chód, wszystko, aż do dźwięku twej mowy, wołało do mnie wielkim głosem: „Stary Lembrat odrodził się w swym synu”! Oto powód, dla którego kazałem śledzić cię i dla którego poddałem cię badaniu. Nawet przy największym zewnętrznym podobieństwie ostrożnym być trzeba. Przemówiłeś, wypowiedziałeś się – z ust twych wybiegło moje imię – teraz już wszelkie wątpliwości muszą ustąpić!

– Ach... Sawiniuszu – zawołał młodzieniec, dając ujście uczuciom przepelniającym mu serce – ileż ja ci zawdzięczam! Teraz już wolno mi kochać, nieprawdaż?

– Samolubie! – uśmiechnął się szlachcic – o tym potem. Rzecz teraz najpilniejsza – to zmusić Rolanda, aby uznał w tobie brata. Do tego nie wystarczy moje ani twoje świadectwo. Tu trzeba dowodów bardziej przekonywających.

– Dowodów? – powtórzył Manuel, uczuwając nagle w sercu zimno śmiertelne.

– Ależ tak, bezwarunkowo. Nie mogę przecież pójść do hrabiego i powiedzieć mu po prostu: „Oto pański brat”.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta Cyrana. Znał on aż nazbyt dobrze Rolanda de Lembrat. Wiedział z góry, jakie uczucia zbudzi w nim to oświadczenie.

– Nie dałby mi wiary – ciągnął po chwili – gdybym to mu jedynie powiedział. Nieobecni zawsze sprawę przegrywają, zwłaszcza gdy są braćmi i gdy przybywają po piętnastu latach, zbrojni w niezaprzeczone prawa i upominają się o należne sobie miejsce. Nawet to prawo pisane, którym ludzie się rządzą, oświadczyłoby się przeciw nam – mimo wszystkiego, co mógłbym powiedzieć... mimo wszystkiego, co wiem – dokończył prawie szeptem.

– Jeśli chodzi o dowody – oświadczył nagle Manuel – będziemy je mieli.

– Skąd?

– Ojciec Ben Joela był głową licznego pokolenia, dziś już rozproszonego i – jako taki – utrzymywał księgę, w której zapisywano wszelkie ważniejsze wypadki, jakie w ciągu długich lat zaszły w jego rodzie.

– A zatem?

– W księdze tej znajdować się musi ślad przybycia mojego i Szymona do bandy Ben Joela.

– W jakim celu miano by utrzymywać w ten sposób fakt, będący wynikiem czynu kryminalnego?

– Nie wiem. Może po to, aby kiedyś, przez wydobycie go na jaw, zapewnić bandzie korzyść materialną; a może dlatego po prostu, aby zapobiec w przyszłości omyłce rodowej i nie brać synów obcego plemienia za czystą krew egipską.

– Ech, ludziom tym obce są podobne skrupuły genealogiczne!

– Jesteś w błędzie. Stary Joel znał najdokładniej historię każdej z rodzin swego pokolenia. Zapisywał jak najstaranniej wszystkie narodziny i małżeństwa i mógł być w potrzebie wliczyć poczet przodków dłuższy od najdłuższego, jakim poszczycić się potrafi stara szlachta francuska.

– Pomińmy to. Tyś zresztą nie należał do pokolenia.

– Niejednokrotnie – ciągnął Manuel – gdyśmy włączyli się po Francji, widywałem przy prowadzaniu do obozowiska dzieci, które skradziono lub też kupiono. Za każdym razem przybysza takiego okazywano Joelowi, który pytał go o imię, zapisywał do księgi i mówił:

– Należysz odtąd do naszych.

Nadawał mu następnie inne przez siebie wybrane imię, które zapisywał obok tamtego, i dziecię odchodziło, łącząc się z dziatwą cygańską, od której zresztą łatwo je było odróżnić. W ten sposób Szymon został Samym, a ja – Manuelem. To, co widziałem, że czyniono z drugimi, uczyniono też bez wątpienia i ze mną.

– Prawdopodobnie. Gdzie jest ta księga?

– U Ben Joela.

– W takim razie o wszystkim łatwo się dowiemy. Cyrano otworzył drzwi dość szybko, aby spostrzec Ben Joela, gwałtownie od nich odskakującego. Cygan podsłuchiwał – a jeśli nie mógł pochwycić całej rozmowy, to w każdym razie główna jej treść stała mu się wiadoma.

Szlachcic ujął go za ucho i rzekł groźnie:

– Podsłuchiwałeś, szpiegu?

– Jasny panie!

– Chodź tu!

Pociągnął go do pokoju Zilli.

– Odpowiadaj natychmiast: coś usłyszał?

– Nic, jasny panie, zapewniam.

– Kłamiesz. Wiedz zresztą, że w tej chwili jest dla mnie najzupełniej obojętne, czy ci wiadomo, o czym mówiliśmy. Nie potrzebuję czynić z tego tajemnicy przed tobą. Jeśli więc twe długie uszy dobrze ci tym razem usłużyły, wyznaj, a oszczędzisz mi niepotrzebnych wyjaśnień. Ben Joel spokorniał.

– Wybacz, jasny panie – zamruczał niewyraźnie – nudziło mi się samemu w izbie i... prawie nieumyślnie...

– Podchwyciłeś, co do ciebie nie należało?

– Aby uprościć sprawę, jak jasny pan twierdzi, przyznaję, że tak było w samej rzeczy.

– Wiesz zatem o odmianie losu Manuela?

– I cieszę się z niej serdecznie. Zawsze to jest miło, jasny panie, być świadkiem szczęścia swych przyjaciół.

– Zwłaszcza gdy znajdują się oni naraz w możliwości świadczenia dobrodziejstw, nieprawda?

– Możesz być pewnym – wtrącił Manuel – że o tobie nie zapomnę. Przez lat piętnaście byłem twym gościem; ludzie, którzy byli sprawcami mego nieszczęścia, już nie żyją; wicehrabia Ludwik de Lembrat nie wyprze się tych, których nędzę podzielał Manuel.

– Przejdźmy do rzeczy pilniejszych – przerwał Cyrano. – Do ciebie zwracam się, Ben Joelu.

– Słucham, jasny panie.

– Co ci wiadomo o Manuelu? Czy księga, o której wspominał mi on przed chwilą, zawiera ważne szczegóły o jego pochodzeniu?

– Zapisano w niej imię oraz różne inne okoliczności towarzyszące jego znalezieniu.

– Chcesz powiedzieć: ukradzeniu.

– Nie mówi się głośno o takich rzeczach.

– Niech i tak będzie! Data porwania?

– 25 października 1633 roku.

– Miejsce.

– Wioska Garrigue, w pobliżu Fougerolles.

– Czy w księdze znajdują się jeszcze inne szczegóły?

– Tak, odnoszące się do śmierci Samy'ego, dziecka, które przybyło równocześnie do nas z Manuelem.

– Gdzie jest ta książka?

– Tam!

Ben Joel wyciągnął rękę, pokazując w rogu komnaty skrzynię dębową z ciężkim, żelaznym okuciem.

– Daj mi ją – rozkazał Cyrano.

W tej chwili Cygan, zrzucając od razu maskę pokory i uniżoności, wyprostował się zuchwale, jak człowiek pewny swej siły i głosem spokojnym, ale stanowczym, odrzekł:

– Po co, jasny panie?

– Po to, naturalnie, aby przy jej pomocy stwierdzić pochodzenie i tożsamość Manuela.

Ben Joel i Cyrano skrzyżowali spojrzenia, przy czym szlachcic musiał w oczach Cygana wyczytać coś niepożądanego, gdyż ściągnął brwi i poruszył się niecierpliwie.

– Dla stwierdzenia tożsamości Manuela—podjął Ben Joel tym samym, powolnym a silnym, głosem – wystarczy tymczasem moje świadectwo.

– Cóż to, śmiesz być nieposłusznym? – wyrzekł groźnie Cyrano, kręcąc koniec wąsa w drżących z niecierpliwości palcach i dziwiąc się własnej tak długiej pobłażliwości.

Ale zimna krew Ben Joela wzmagala się w miarę rosnącego gniewu Cyrana. Człowiek ten w jednej chwili obmyślił plan postępowania, który miał zaspokoić równocześnie jego zemstę i chciwość.

Chłosta otrzymana na drodze do Fougerolles paliła dotąd jeszcze jego plecy, uśmiechał się więc w głębi duszy do swych myśli, które oddawały mu w zależność człowieka tak bardzo znieawidzonego.

– Jeżeli zajdzie potrzeba okazania księgi sądowi – dorzucił nie zmieniając tonu – sam mu ją przedstawię. Nie chcę – słowo to wymówił ze szczególnym naciskiem – nie chcę powierzać jej w cudze ręce.

– A! – wrzasnął Cyrano, podchodząc do niego – tak bardzo zatem szacujesz tę relikwię, mości Joelu?

- Tak, bardzo ją szacuję.
- Doprawdy?
- Najpierw, jako relikwię.
- Następnie?
- Jako zakład.
- Pojmuję cię, łotrze! Nie chcesz dostarczyć potrzebnego dowodu inaczej, jak za gotówkę.
- Ten dowód, jasny panie, podnosi cenę mojej osoby. Straciłbym ją, gdybym się go pozbył.
- Mniejsza o to! Gdy będzie trzeba, sąd potrafi otworzyć ci ręce.

Na tę pogrózkę Manuel, który nie mieszał się dotąd do sporu, przystąpił do Cygana i rzekł:

– Cóż to, Ben Joelu, nie masz do mnie zaufania? Zdaje mi się, że ci nie dał do tego powodu?

– Nie mam zaufania do losu – odrzekł ostrożnie awanturnik.

Cyrano ujął Manuela pod ramię i skierował się do wyjścia.

– Chodź ze mną – rzekł. – Zaprowadzę cię do swego mieszkania, będziemy tam mogli swobodniej rozmawiać, a dzisiejszego jeszcze wieczora – jutro najpóźniej – poznasz brata i odzyskasz należne ci imię i stanowisko. Do rychłego zobaczenia się, Ben Joelu.

– Do usług pańskich, panie szlachcicu. Bez urazy, Manuelu.

W chwili, gdy młody wicehrabia de Lembrat i Cyrano opuszczali Dom Cyklopa, po ustach Ben Joela przemknął uśmiech milczący, który jednak zaraz zniknął, ustępując miejsca kurzowemu wąskich warg skrzywieniu.

Temu drapieżnemu ostrowidzowi, pełnemu nienawiści i krwiożerczych instynktów, ale zarazem niesłychanie ostrożnemu, mignęło w oddaleniu niewyraźne widmo przyszłości...

Lekkie kroki Zilli w korytarzu wyrwały go z posepnych marzeń.

– Bywaj, dziewczyno! – wykrzyknął. – Wielka nowina!

– Co takiego? – spytała Zilla, zrzucając z ramion czarny płaszczyk.

– To, kochaneczko, że nie wiedząc o tym, hodowaliśmy u siebie przez lat piętnaście wielkiego pana.

Wróżka pobladła, a jej oczy, wielkie i jak noc głębokie, zabłyśły.

– Wielkiego pana? – powtórzyła domyślając się prawdy, a jednak pragnąc, ażeby okazała się złudzeniem.

– Tak, tak, bardzo wielkiego. Rozejrzyj się, kogo tu brakuje?

– Manuela.

– Tak. Manuela, a raczej – tu opryszek zgiął się wpół, składając niski pokłon komuś nieobecnemu – jaśnie wielmożnego wicehrabiego Ludwika de Lembrat, pana na Fougerolles.

– Gdzie dowód?! – krzyknęła groźnie Zilla.

– Złożyłem go, komu należało.

—Ty!

Wykrzykownikowi temu towarzyszyło spojrzenie piorunujące.

Ben Joel nic sobie nie robił z wykrzyknika i ze spojrzenia.

– Chcesz wiedzieć, panienko, jak się rzecz odbyła? Posłuchaj.

W kilku słowach opowiedział Zilli, co zaszło pomiędzy nim a tamtymi dwoma. Dziewczyna wysłuchała opowiadania w głębokim, prawie martwym milczeniu. Nie wyrzekła też ani słowa przez resztę dnia, którą spędziła siedząc nieruchomo na jednym miejscu, z głową ściśniętą rękami, pogrążona w ponurej zadumie.

Ben Joel powróciwszy wieczorem do domu znalazł ją w tej samej pozycji, w jakiej został wychodząc.

– Śpisz, Zillo? – zapytał.

Nie podnosząc na chwilę bladego czoła, odrzekła:

– Nie.

- Nic nie jadłaś od rana. Chodź na wieczerzę.
- Dziękuję.
- Nie głodnaś?
- Nie.
- Jak chcesz.
- Ben Joel zabrał się do jedzenia. Po pewnym czasie zapytał:
- Słuchaj no, Zilla, co tobie?
- Nic.
- Nieprawda! Coś ci dolega. Czy to nieobecność Manuela pozbawiła cię apetytu? Więc ty go naprawdę kochasz, skryta dziewczyno?
- Co ci do tego?
- Nie wiadomo. Wiesz, że ja tylko twoje szczęście mam na celu.
- Wstała i sztywna, wyprostowana, postąpiła ku bratu.
- Czemuś pozwolił mu odejść? – spytała głucho, obrzucając go błyskawicami czarnych oczu.
- Alboż nie jest wolny?
- Dlaczegoż podsunął mu tę myśl ambitną?
- Dziecinna jesteś! Ja mu nic nie mówiłem.
- Czy to prawda, że jest szlachcicem?
- Trudno o tym wątpić – zaśmiał się szyderczo. – Moje dowody stwierdzają to w zupełności.
- Niech będą przeklęte!
- I dlaczegoż to, siostruniu?
- Dlatego – wykrzyknęła Zilla, pokonana nareszcie przez ból serdeczny – że Kocham Manuela i że on teraz dla mnie stracony!
- A, przyznajesz się zatem?
- Tak – podjęła z nowym wybuchem – przeklinam szczęście, które go wynosi wysoko, bo mnie strąca ono w przepaść. Zanim upłynie tydzień, Manuel może już nawet imion naszych zapomni.
- O, bądź spokojna, nie zapomni.
- Zilla nie pojęła właściwego znaczenia tych słów.
- A gdyby ktoś – rzekła tajemniczo, pochylając się do brata, zdziwiona i jakby ośmielona tonem jego ostatniej odpowiedzi – gdyby ktoś usunął dowód przywracający Manuelowi nazwisko de Lembrat, jakbyś wówczas postąpił, Ben Joelu?
- Opryszek mrugnął oczyma znacząco.
- Nie głupiaś, panienko – uśmiechnął się. – Jednak pozwól, że ci dam jedną dobrą radę.
- Jaką?
- Trzymaj język za zębami i... czekaj.

IX

Wieczorem tegoż samego dnia liczne i świetne towarzystwo napełniało salony margrabiego de Faventines.

Gilberta, odsuwająca się jak najdalej od światła, słuchała z miną roztargnioną czułych słówek Rolanda; margrabina w gronie kilku starych arystokratów i dwóch czy trzech dam, które były pięknymi i młodymi za czasów nieboszczyka Ludwika Trzynastego, gawędziły swobodnie; pan domu wreszcie, siedząc przy stole pomiędzy dwoma gośćmi o twarzach nadzwyczaj

poważnych, wysłuchiwał cierpliwie uwag jakiejś sztywnej, czarno ubranej osobistości, zajmującej miejsce na wprost niego.

Osobistością tą, godną oddzielnej wzmianki, był imćpan Jan de Lamothe, starosta paryski. Jegomość ten z wyschlą, żółtą twarzą, o rysach wydłużonych, z małymi oczkami, które żarzyły się jak para węgla pod pozbawionymi rzęs powiekami, o wąskich, chytrze uśmiechniętych ustach, o czole pobrużdżonym przez zmarszczki, ujawniające bardziej zaciętość niż wysilek umysłowy, nic nie miał w całej postaci takiego, co by na jego korzyść przemawiało.

Nie był to zresztą człowiek zły. Zajmując się pilnie naukami ścisłymi, bywał szorstki, a częstokroć i niesprawiedliwy we wszystkim, co się do studiów uczonych odnosiło, nie przenosił jednak tej zgrzyźliwości i gwałtowności do spraw dotyczących urzędu.

Imćpan Jan de Lamothe miał ton mowy kaznodziejski, gesta szerokie i uroczyste, i jeśli nie zawsze bronił spraw słusznych – jak o tym zaraz się przekonamy – bronił ich przynajmniej z dobrą wolą i przeświadczeniem – o trafności swych sądów.

Na stole, przy którym siedział starosta z trzema towarzyszami, rozpostarty był wielki arkusz papieru. Na tym papierze Jan de Lamothe nakreślił figury astronomiczne i z palcem wspartym na swym dziele, z okiem rozplamionym, ciągnął swój wykład, zdając się nie dostrzegać znużenia słuchaczy.

Tym razem wybrał on za cel krytycznych pocisków Cyrana de Bergerac, twórcę teorii, które według niego groziły wywróceniem całego porządku świata. Przedmiot ten, jak się zdaje, silnie zagrzewał jego wyobraźnię, gdyż w zapale rozprawiania nie spostrzegł się nawet, jak głos jego, przekroczywszy rejestr tonów średnich, dostał się między tony najwyższe i – najpiśkliwsze.

– Nie inaczej, panowie! – wykrzyknął, unicestwiwszy ostatnim, najsilniejszym argumentem swego fikcyjnego przeciwnika, gdyż Cyrana tam nie było – człowiek, który ośmiela się zaprzeczać prawom tak oczywistym, zasługuje, aby go spalono żywcem na publicznym placu.

– Ech, ech! – zauważył dobrotliwie margrabia – także to waszmość traktujesz naszego przyjaciela Cyrana? I cóż on ci wreszcie zrobił?

– Co zrobił? Ależ to szalona pałka! Umysł najprzewrotniejszy w świecie! Sługa i sprzymierzeniec czarta!

– Ja, co najwyżej, poczytałbym go za narwanego.

– Powiedz pan raczej: za najniebezpieczniejszego pod słońcem furiata – oburzył się starosta.

I zaraz dodał tonem miążdzącym oponenta:

– Alboż nie strzeliło mu do głowy twierdzić, że księżyc jest zamieszkaany?

– Herezja, mości starosto, herezja! – rzekł margrabia, powstrzymując śmiech.

– I że Ziemia obraca się!

– Błżnierstwo!

– Cóż może być bezpośrednim następstwem takich twierdzeń? Wywrócenie zupełne porządku społecznego – koniec świata po prostu. Ten Bergerac to nie człowiek; to – Antychryst.

– Czy nie posuwasz się pan za daleko, mości de Lamothe? Bergerac jest przyjacielem i stałym bywalcem naszego domu.

– Pan go przyjmujesz?

– Ależ tak! Sam byś się o tym przekonał, mości starosto, gdybyś nie skąpił nam tak bardzo swych odwiedzin.

– Wiedza jest panią despotyczną – nie ma względów ani litości – oświadczył, jakby na usprawiedliwienie swe, starosta.

– Upewniam cię, przyjacielu, że Bergerac zyskuje na bliższym poznaniu i że nie czuć go bynajmniej smołą gorącą, choć w istocie twierdzi, że księżyc jest zamieszkaany i że Ziemia się obraca.

– Ale otóż to właśnie najbardziej mnie rozdrażnia! Nie obraca się ona ani trochę – mogę ci to raz jeszcze okazać jak najdowodniej.

Margrabiemu opadła głowa na piersi. Nie był na ten nowy cios przygotowany. Wzrok zebrzący pomocy i zmiłowania zwrócił na towarzyszków swych, ale ci zasypiali już snem błogosławionych w olbrzymich, miękko wystłanych fotelach. Drugie ramię Jana de Lamothe wyciągnęło się ponownie nad stolikiem i nad rozłożoną na nim kartą nieba.

– Uważaj pan dobrze – wyrzekł głosem nosowym. – To małe kółko przedstawia Księżyc, to drugie – Ziemię, a ja... ja wyobrażam Słońce.

– Wcale skromna rola... – mruknął de Faventines między dwoma nieznacznymi ziewnięciami.

Po tym wstępnym objaśnieniu uczony przystąpił do rzeczy. Podczas gdy rozwijał z największym zapalem swe teorie, popierając je krzykliwymi argumentami, drzwi salonu otworzyły się z wolna i wszedł Cyrano de Bergerac.

Margrabia milczącym znakiem wskazał przybyszowi zaciętrzewionego mędrca, młodzieńca zatem, przywitawszy Gilbertę i jej matkę i ujawszy pod ramię Rolanda, zbliżył się do stołu, który przez uczonego starostę zmieniony był chwilowo w trybunę.

Jan de Lamothe nie domyślał się obecności wroga, stojącego nieruchomo za jego fotelem.

– Ergo, kochany margrabi – kończył swą rozprawę – Cyrano de Bergerac jest oszustem, albowiem Ziemia nie obraca się i obracać nie może, gdyż jest płaska, jak tego dowódł znakomity Jan Grangier.

– Otóż właśnie obraca się – wyrzekł w tej chwili mocnym głosem Cyrano – na powierzchni zaś jej nie ma z pewnością nic bardziej płaskiego nad pańskie dowodzenia.

Starosta przechylił się gwałtownie na bok, jakby nad uszami zagrziała mu trąba Sądu Ostatecznego.

– A! – wykrztusił wreszcie, gdy go trwoga ominęła—to pan zarzucasz mi nieprawdę?

– Tak, ja – odrzekł śmiejąc się poeta. – Gotów też jestem natychmiast dowieść tego, jeśli pan zechcesz mnie wysłuchać i jeśli damy zezwolą.

Jan de Lamothe ściągnął brwi. Ale w gruncie był niezmiernie rad zdarzeniu. Przeciwnika trzymał w ręku – z rozkoszą pokona go, zmiażdży, unicestwi.

Skupiono się dokoła zapaśników. Walka obiecywała być zajmującą.

– Tak więc, mój panie – zaczął starosta, rozsiadając się dumnie na wprost Cyrana i starając się wziąć go od razu z góry – podtrzymujesz pan dotąd jeszcze swą nieszczęsną utopię? Ależ to są, mój panie, drwiny ze wszystkich, którzy ramoty twoje czytają. Skąd pan wyrwałś ten koncept, że Słońce jest nieruchome, kiedy każde dziecko widzi wyraźnie, że się ono porusza? I na jakiej zasadzie odważasz się pleść, że Ziemia szybko się obraca, kiedy wszyscy czujemy ją pod stopami mocną i niewzruszoną?

Cyrano nie brał bynajmniej do serca ani niegrzecznych słów mędrca, ani jego litościwych wzruszeń ramionami i, uśmiechając się, tonem żartobliwym odparł:

– Ech, mości starosto, o co się spierać? Rzecz jest niesłychanie prosta i będę miał zaszczyt wytłumaczyć ją zaraz w sposób dla wszystkich zrozumiały.

Jan de Lamothe uczynił poruszenie, jakby chciał coś powiedzieć.

– Niech się pan nie gniewa i niech raczy cierpliwie posłuchać – przerwał mu pośpiesznie Sawiniusz. – Rozpowszechniło się wśród ludzi mniemanie, że Słońce tkwi w samym środku naszej sfery, wszystkie bowiem ciała w przyrodzie potrzebują niezbędnie jego światła i ciepła.

– Wstęp niedorzeczny – mruknął starosta.

– Otóż – ciągnął poeta – Słońce znajduje się w samym sercu świata, aby karmić go i ożywiać, tak właśnie jak pestka w śliwie, jak jądro w orzechu, jak ząbek w czosnku. Wszechświat jest tą śliwką, tym orzechem i tym czosnkiem, a Słońce – nasieniem, dookoła którego wszystko się skupia.

Szyderyczy śmieszek był odpowiedzią starosty.

– Sądziś więc pan naprawdę – nacierał Cyrano – że to wielkie ognisko obraca się dookoła naszej Ziemi, aby oświetlać ją i ogrzewać?

– Bez wątpienia.

– Doskonale. Takim sposobem musisz też sobie wyobrazić, że komin z ogniem obraca się dookoła pieczeni, aby ją upiec.

I zadowolony z żartu szlachcic wykręcił się na pięcie, nie kłopotząc się już ani trochę o swego przeciwnika.

– Usuwać się od dysputy z panem – rzekł gniewny starosta, którego dowodzenia nie odznaczały się lekkością – ale wiedz, że twoja pomysłowość i twój dowcip doprowadzą cię niezawodnie do tego, iż będziesz spalony na stosie.

– Jeśli to bywa zawsze ich następstwem, to ty, mości starosto, możesz być pewny, że umrzesz spokojnie w swym łóżku.

Ten żart zamknął usta mędrcom. A kiedy zbierał myśli, aby odciąć się równą złośliwością, już Cyrano znajdował się w przeciwnym końcu salonu, gdzie zasiadł obok Rolanda i Gilberty.

Hrabia de Lembrat nie wspomniał jeszcze w obecności narzeczonej ani słówkiem o wczorajszym zajściu w ogrodzie. Lecz gdy Cyrano wmieszał się do rozmowy, Roland ośmielił się dotknąć tego drażliwego przedmiotu.

Zachowanie się poety podczas owej sceny nie uszło jego uwagi, widział też doskonale, jak Sulpicjusz Castillan udał się śladem trójki cygańskiej.

– Widziałeś się ze swym młodym sekretarzem? – zapytał Cyrano.

– Skąd to pytanie?

– Mistrz Sulpicjusz wydawał się zachwycony pięknymi oczyma Sybilli, od której usłyszeliśmy wczoraj tyle zajmujących rzeczy, i pogonił za nią z zapalem, który daleko zaprowadzić go może.

– To dowodzi tylko, że ten dzielny Castillan ma dobry smak. Piękna Cyganka warta grzechu. Uspokój się jednak; sekretarz mój już powrócił.

Hrabia, z gorączkową niecierpliwością szukający rozwiązania dręczącej go zagadki, chciał już wystąpić z nowym zapytaniem, gdy uprzedził go Sawiniusz.

– Gdym dowiedział się wczoraj o twym bliskim małżeństwie – wyrzekł z powagą – i gdym myślał, jak będziesz niezadługo szczęśliwy, uczułem nagle bolesne ścisnienie na myśl...

– Na jaką myśl?

– Na myśl, co się dzieje w tej chwili z twym biednym bratem? Hrabia zadrżał. Na twarzy Gilberty odmalowała się ciekawość.

– Z bratem? – powtórzyła. – Pan hrabia nigdy nam o bracie swym nie wspominał!

– Bo nie chciał zapewne – zauważył z lekką ironią Cyrano – zasmucać pani bolesnym wyznaniem...

– I w samej rzeczy – wyjąkał Roland – po co budzić przykre wspomnienia, po co wywoływać z przeszłości smutną, zapomnianą historię, której rozwiązanie nigdy już nie nastąpi?

Zagadkowy uśmiech przemknął po ustach Cyrana.

– Kto wie! – szepnął.

Twarz hrabiego de Lembrat zdradziła wewnętrzny niepokój.

– Opowiedz tę historię, panie Cyrano; bardzo pana proszę – odezwała się ze wzruszeniem Gilberta.

– Historia ta jest bardzo prosta. Ludwik, brat Rolanda, liczył pięć lat wówczas, gdy ja kończyłem trzynaście i gdy stary hrabia de Lembrat, w którego domu wychowywałem się, polecił mi oswajać to dziecko z zabawami rycerskimi, będącymi moją ulubioną rozrywką. Uczyłem więc małego Ludwika dosiadać konia, fechtować się itp. Jednego dnia, gdym był nieobecny w Fougerolles, chłopczyk odszedł dość daleko od zamku w towarzystwie równego sobie wiekiem synka ogrodnika, nazwiskiem Szymon Vidal. Za nadejściem wieczora spostrzeżono

nieobecność dzieci, nadaremnie ich wszakże po całej okolicy szukano. Czy wpadli do rzeki, szukając gniazd po nadbrzeżnych wierzbach, czy uprowadzeni zostali przez bandę Cyganów – nikt o tym się nie mógł dowiedzieć. Hrabia de Lembrat umarł, polecając mi przed śmiercią Rolanda i przypominając Ludwika, którego poprzysiągłem odnaleźć – jeżeli znajduje się jeszcze przy życiu.

– Upłynęło już lat piętnaście od zniknięcia Ludwika – wtrącił hrabia. – Umarł z pewnością.

– Brat twój doszedł teraz dopiero do wieku, w którym człowiek zastanawia się nad sobą i swym losem. Któż wie, czy nie potrafi on odszukać cię kiedykolwiek, skoro ty o szukaniu go myśleć już nie chcesz?

– Obyż tak się stało! Pragnę tego z całego serca! – zawołała Gilberta.

Łatwo zgadnąć, do czego dążył Cyrano. Przed wyjawieniem Rolandowi prawdy chciał zbadać najpierw jego serce; przed poddaniem próbie jego braterskiej przyjaźni chciał zbadać grunt, na którym miała być stoczona walka uczucia z samolubstwem.

Zdawało się, że Rolanda opuszcza zwykła mu pewność siebie. Możliwość powrotu brata zbudziła w nim głuchą obawę; czuł instynktownie, że mu coś zagraża.

– Spełnienie tego pragnienia – podjął Cyrano w odpowiedzi na wybuch Gilberty – opłaciłby Roland połową swego majątku. Sądzę jednak, że nie żałowałby tego.

Hrabia w tejże chwili cios odparował.

– Brat mój – wyrzekł zimno – może powracać. Przyjęty zostanie z otwartymi rękami. W każdym jednak razie nie zapomnę, że jestem pierworodnym synem swego ojca!

„Zgadłem – pomyślał Cyrano – nie obędzie się bez walki”.

Potem rzekł ostrożnie:

– Pierworodztwo to rzecz niemąla, jednakże...

– Jednak co?

– Jednakże nie uwolni cię ono od złożenia bratu rachunków.

– Zarząd majątku do mnie należy, jak sądzą.

Charakter Rolanda zaczynał się okazywać w świetle właściwym.

– Prawo, przyznające ci ten przywilej, jest godne poszanowania, jednak w pewnych okolicznościach może ono utracić moc swoją.

– W jakich?

– Na przykład, gdyby to było wolą ojca rodziny.

– Zapewne, ale do tego potrzebne jest niezbędnie...

– Cóż takiego?

– Istnienie testamentu.

– Najniezawodniej. O tym właśnie, mój drogi, chciałem mówić. Ten testament...

– Cóż ten testament?

– Istnieje!

– Testament mego ojca?

– Testament twego ojca.

– Jesteś w błędzie, mój Cyrano.

– Bynajmniej. Nie wspominałem ci dotąd o tym, bo było to rzeczą zbyteczną, dopóki żadnych zobowiązań majątkowych nie zaciągnąłeś. Dziś żenisz się, jest więc rzeczą godziwą, aby twoja nowa rodzina dowiedziała się o twych długach przeszłości i o zobowiązaniach na przyszłość.

– Mój ojciec dbały był, jak nikt na świecie, o blask swego nazwiska; musiałby zapomnieć o zasadach całego życia, aby zrobić to, o czym mówisz.

– Kochał on obu synów jednakowo, pragnął zatem, aby na każdego przypadł równy udział majątku i zaszczytów.

– Rozprawiasz o tym z taką pewnością... Można by sądzić, że znasz ów testament.

– Znam go.

Roland przygryzł usta.

– Gdziez mój ojciec złożył go? – spytał głosem drżącym.

– W moje ręce!

Hrabia lekko krzyknął.

– Panie hrabio – odezwała się Gilberta, rozdrażniona zachowaniem się narzeczonego – miałżebyś co przeciw wyborowi, który uczynił twój ojciec?

– Boże zachowaj! Ojciec kochał Sawiniusza; wiedział, że to chłopiec pod każdym względem dzielny i na którym można polegać. Co do mnie, jedno tylko mam teraz życzenie, aby mój brat powrócił. Nawet przepoławiając dla niego majątek, będę jeszcze dość bogaty, aby zapewnić pani szczęście, którego masz prawo oczekiwać.

– Pięknieś powiedział, Rolandzie – rzekł Cyrano, podnosząc się do odejścia.

Hrabia zatrzymał przyjaciela i biorąc go na stronę szepnął:

– Jedno słowo, mój drogi...

– Słucham.

– Gdzie jest testament?

– Dlaczego?

– Pytam przez prostą ciekawość. A przy tym: czy nie można by teraz dopełnić otwarcia tego dokumentu?

– Strzeż się, Rolandzie. Podajesz w wątpliwość moją przysięgę.

– Nie myślę o tym bynajmniej.

– W testamencie prócz spraw pieniężnych znajduje się jeszcze co innego.

– Cóż się znajduje?

– Jedno straszne wyznanie!

– Straszne? Dla kogo straszne?

– Dla ciebie.

– Dla mnie?

– Tak. Nie pytaj więcej i dbając o własną spokojność, pozostaw w spokoju testament.

– Ależ nareszcie – napierał hrabia, silnie podrażniony, a zarazem i zatrwożony wyznaniami, poza którymi domyślał się pogroźki —gdybyś... gdybyś żyć przestał, co by się stało z testamentem?

– Nie kłopotz się o to. Wypadek ten przewidziałem.

Roland przypatrywał mu się w milczeniu, wzrokiem niepewnym.

– Kochany hrabio – zakończył Cyrano, wyciągając doń rękę – wszystko, coś usłyszał ode mnie, nie bez celu było powiedziane. W życiu twym spełnić ma się wkrótce akt ważny, uroczysty; zawczasu zatem, jeszcze przed zaznajomieniem cię z odnośnymi faktami, chciałem wiedzieć: czego mogę się spodziewać, a czego obawiać się po twym sercu? Ciekawość moja już zaspokojona.

– Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

– Dowiesz się o tym jutro.

– Jutro?

– W moim mieszkaniu. Czy mogę liczyć na twoje odwiedziny?

– Najzupełniej. O dziesiątej zapukam do twoich drzwi.

X

W pokoju Cyrana, przy otwartym oknie, którym wpływało świeże tchnienie poranku razem z jasnym, miłym światłem, siedział przy stole Sulpicjusz Castillan i pisał.

Siląc się na najpiękniejszą kaligrafię, kopiował scenę z *Agrypiny*, która sprowadziła tyle gromów na głowę autora.

Jespan Castillan nie był w humorze, gdyż śpiewał. Taka już była natura tego dzielnego chłopca. Gdy radość napępiała mu serce, nasyczał się nią w spokoju, gdy przeciwnie, dolegało mu coś – z ust jego nie schodziły piosenki i zarciki.

Czy chciał w ten sposób ogłuszać się, czy też był to rodzaj okazywanego losowi lekceważenia – wątpliwość dotąd nie rozwiązana! Cokolwiek bądź, nie wydawał się on nigdy tak smutnym, jak wówczas, gdy był szczęśliwy, i tak wesołym, jak wówczas, gdy mocno go coś trapiło.

Owego ranka, czy to, że pióro jego źle pisało, czy też, że sen przykry dręczył go w nocy, Castillan miał minę wielce uradowaną i po raz dziesiąty powtarzał jeden z trioletów, które spłodził mózg mistrza:

Już nie ujrzymy wśród stolicy
Piór zawiesistych, dziarskich wąsów,
Które nosili zapaśnicy –
Już nie ujrzymy wśród stolicy!
Kres będzie szaleństw, bójek, płasów.
Odetchną wolniej zazdrośnicy;
Piór zawiesistych, dziarskich wąsów
Już nie ujrzymy wśród stolicy!

Skończywszy tę strofę zabierał się do powtórzenia jej po raz jedenasty, gdy do pokoju weszła gospodyni – osoba starsza, okrągła, świeża, z ruchami najzupełniej męskimi. Na imię jej było Zuzanna, pochodziła zaś z prowincji Perigord i dobiegała czterdziestki. Cyrano, obfitując kiedyś w mamonę, pozwolił sobie na ten największy ze zbytków kawalerskiego życia i przyjął ją za gospodynię. Przywiązała się ona do swego pana i chociaż poeta zaraz w drugim miesiącu zapomniał wypłacić jej załug, nie myślała o porzuceniu go.

Zuzanna była poniekąd panią w domu Cyrana, gdzie swobodne i rezolutne jej zachowanie się nie dziwiło nikogo.

Stała przed Castillanem i ujawszy się pod boki, uczęstowała go z miejsca takim komplementem:

– Patrzcie no na tego ladaco: nic nie robi, tylko śpiewa. Powiedz mi, kochanku, czy to za śpiewanie pan mój ci płaci?

– Śpiewam, moja Zuzanno, bo mi nudno.

– Delikacik! Nudno mu! A czemuż to nudno?

– Dzień tak piękny, chciałbym wyjść, a tymczasem pan de Bergerac nie przybywa, aby mnie zwolnić od roboty.

– A prawda; gdzież to się nasz pan podziewa?
– Już od dwóch dni nie pojedynkował się z nikim, więc pan de Nagis przybył dziś przed świtem prosić go na sekundanta.

– Otóż to! I znów wróci do domu z twarzą plajzerowaną! Nieszczęście z tym człowiekiem i tyle!

– Cóż chcesz, Zuzanno, to jego życie! Jeżeli przynajmniej trzy lub cztery razy w tygodniu nie uczęstuje kogoś pchnięciem szpady, dostaje melancholii i mówi, że się coś w świecie popsuło.

Wbrew przewidywaniom Zuzanny Cyrano wrócił zdrow i cały. Była dziewiąta; Roland de Lembrat lada chwila miał nadejść.

Na widok wchodzącego pana Zuzanna wymknęła się z pokoju. Cyrano usiadł obok Sulpicjusza.

– Skończyłeś? – zapytał pisarza, który na myśl, że za chwilę będzie wolny i pójdzie używać pięknego dnia, od razu sposepniał.

– Skończyłem.

– To dobrze. Możesz sobie teraz iść na przechadzkę i nie wracać aż do wieczora. Nie będziesz mi potrzebny. Ale prawda! Zaczekaj no jeszcze trochę; muszę ci podyktować list.

– Do kogo?

– Do tego zdechlaka Montfleury'ego.

– Aktora z pałacu Burgundzkiego?

– Tak jest.

– Cóż on nowego zbroił?

– Siadło mu coś na nos i uparł się grać w moich sztukach. Co więcej, namawia kolegów swych, aby czynili toż samo.

Sulpicjusz zaczął pogwizdywać wesoło. Powracał mu zły humor.

Uspokoił się po chwili i zabrał się do pisania.

– Jestem gotów – rzekł.

Cyrano jął przebiegać wielkimi krokami pokój i nie przystając ani na chwilę, podyktował list następujący, który jest ciekawym przyczynkiem do jego charakterystyki, a zarazem próbką jego stylu.

„Zapewniam cię, obrzydły grubasie, że gdyby można było przesyłać w liście kije, odczytałbyś to moje pisanie – plecami.

Czy sądzisz jednak, że ponieważ niepodobna grzmocić cię przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zamyślam powierzyć kłopot załatwienia się z tobą oprawcy? Bynajmniej!

Dowiedz się, klocu, że zabraniam ci pokazywać się przez miesiąc na scenie i że jeżeli ośmielisz się, wbrew memu zakazowi, wstąpić na deski teatralne, wykreślę cię raz na zawsze z listy istot żywych i splecę cię tak rzetelnie, że nawet pchła liżąca ziemię nie potrafi odnaleźć śladu twego na kamieniach ulicznych”.

Gdy ta jędrna epistoła została ukończona, poeta, którego nazywano Kapitanem Czartem, nabazgrał pod nią prawdziwie czartowskiego kulasa, potem odetchnął głęboko, jak człowiek, który zrzucił brzemień z pleców lub z duszy.

Dzień dobrze się zapowiadał. Cyrano był zadowolony z siebie.

– Idź, synku – rozkazał Castillanowi – doręcz mu to pismo osobiście, a gdyby nie był z niego bardzo ucieszony, powiedz, że wieczorem przyjdę poszukać jego uszów. No, w drogę!

Sulpicjusz pośpieszył spełnić rozkaz. Na schodach rozminął się z Rolandem de Lembrat, który przybywał, spełniając wczorajsze przyrzeczenie.

Sawiniusz zawczasu obliczył wszystko i przygotował; znał on też zbyt dobrze hrabiego, aby potrzebował bawić się z nim jeszcze w dyplomatyczne koziołki i z dala zmierzać do celu.

Postanowiwszy za jednym zamachem przeciąć węzeł tej splątanej sprawy, dał Rolandowi zaledwie czas do rozgoszczenia się.

– Czy wiesz, dlaczego głównie prosiłem cię o przybycie? – zapytał wesoło.

– Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś był łaskaw wyjawić mi to nareszcie. W twoich wczorajszych półsłówkach ukrywała się tajemnica, która musi być, za jaką bądź cenę, wyjaśniona.

– Doskonale! Nie mam bynajmniej zamiaru wystawiać cierpliwości twojej na długą próbę. Jesteś mężczyzną, spodziewam się zatem, że największa nawet radość o śmierć cię nie przyprawia.

Powiedziane to było tonem lekko ironicznym, który nie uszedł uwagi Rolanda.

– Do czego wszystko to zmierza? – przerwał niecierpliwie.

– Przygotowuję ci niespodziankę.

– Cóż to takiego?

– Wielka, olbrzymia niespodzianka! Czy przypominasz sobie, coś mi powiedział wczoraj przy pani Gilbercie?

– Cóż ja ci powiedziałem?

– Te słowa: „Brat mój może powrócić; przyjmę go z otwartymi rękoma”

Roland zaczynał powoli rozumieć. Ciało jego zaczęło wilgotnieć od potu.

– Ależ to zupełnie naturalne – odparł jakimś nieswoim głosem. – Czyż o takich rzeczach można mówić inaczej,

– A więc, kochany Rolandzie! – zawołał Cyrano, podnosząc portierę zasłaniającą drzwi od sąsiedniej komnaty – otwórz ramiona; twój brat powrócił. Masz go przed sobą!

Ta scena teatralna, którą przygotował Cyrano, a której domyślał się może nawet cokolwiek Roland, wyczerpała mimo to siły tego ostatniego. Obezwładniony silnym spazmem, osunął się on w ramiona towarzysza.

Na chwilę opuściło go czucie, nie widział nic i nie słyszał. Ale gdy odzyskał przytomność, w tym bracie, którego mu przedstawiono i który, drżący z radości i nadziei, przyjaźnie wyciągnął doń rękę – gdy w tym bracie, spadającym jak z obłoków, poznał onegdajszego Cygana, zuchwałego włóczęgę, co ośmielił się być jego rywalem, nicponia, którego sromotnie wypędził za bramę – głuchy krzyk wyrwał się z jego piersi i... gwałtownie rzucił się w tył, jakby chciał uciec od nienawistnego sobie widziadła.

– On! On! – powtórzył nieprzytomnie, zaciskając instynktownie pięści.

– Tak, to on! – rzekł Cyrano. – Przypatrz mu się; nie jestże żywym wizerunkiem waszego ojca?

Podczas gdy Roland, starając się okiełznać straszną burzę, wrzącą w jego piersiach, patrzył przed siebie wzrokiem obłąkanym, tamten zbliżył się z wolna i zginając przed hrabią kolano rzekł:

– Bracie, przeznaczenie postawiło nas przed dwoma dniami naprzeciw siebie, a żaden głos wewnętrzny nie ostrzegł nas, że jedna krew płynie w naszych żyłach. Podwójnie obraziłem cię wówczas; proszę o przebaczenie. Jesteś najstarszym z rodu de Lembrat – odtąd będziesz mnie miał zawsze gotowego go poświęceń, pełnego przyjaźni i szacunku, jakie należą się głowie rodziny. Życie moje było nędzne i ciemne, honor pozostał nie skalany. Daj mi rękę, bracie, jestem godny twego uścisku.

Roland uczynił gwałtowny wysiłek, aby okazać się spokojnym i wyciągając, jakby z żalem, dłoń do Manuela, rzekł:

– Powstań pan. Nie wolno mi jeszcze objawiać otwarcie radości, trzeba przede wszystkim, aby ta ciemna sprawa całkowicie się rozjaśniła. Zanim przyznam panu tytuł brata, o który się dopominasz, muszę mieć najpierw w ręku dowód, dowód niewątpliwy, dowód, którego nic nie byłoby w stanie zachwiać.

– Do licha, Rolandzie! – wtrącił Cyrano uszczypliwie – pomiatasz, jak widzę, moją uczciwością. Cóż to znaczy? Czyżbyś sądził, że ci przedstawiam jakiego brata urojonego? W każ-

dym razie, bądź spokojny. Dostarczymy ci ten dowód czy też świadectwo, których się domagasz.

I obracając się do Manuela, dodał:

– Idź i przyprowadź tu Ben Joela. Zaczekamy na ciebie.

Podczas gdy młodzieniec podążał do Domu Cyklopa, Cyrano wtajemniczył hrabiego we wszystkie szczegóły odkrycia.

Roland dowiedział się o zapiskach czynionych w księdze starego Joela, których prawdziwość poświadczyć mógł w potrzebie jego syn, a może i Zilla, i przekonał się, wobec tych dowodów, że pozostaje mu tylko – schylić głowę przed zgotowanym mu przez fatalność losem. Manuel powrócił niebawem, wiodąc ze sobą towarzysza włóczęgi. Na widok Rolanda twarz Ben Joela rozjaśniła się nagle. Doświadczony łotr zaczynał dokładniej rozpatrywać się w położeniu.

Jednocześnie i na twarzy hrabiego odmalowało się uczucie ulgi i prawie zadowolenia. W tym zbóju o twarzy świętoszkowatej, o kocich, ostrożnych ruchach, od pierwszego spojrzenia odgadł człowieka zdolnego do wszelkich ustępstw i pomyślał z uciechą: „Tu uderzyć trzeba, aby zwyciężyć”. Ben Joel, poddany badaniu, powtórzył z uległością wszystko, co mówił dnia poprzedniego. I tak samo jak wówczas odmówił wydania drogocennej księgi. Hrabia nie nacierał nań o to zbyt mocno i z pozorną szczerością, wyciągając rękę do Manuela, rzekł:

– Bracie, wszystkie wątpliwości moje rozproszone. Ręczy mi za ciebie Bergerac, mnie zaś głos serca mówi wyraźnie, że jesteś tym, którego od lat piętnastu wyglądam. Chodź do mego domu; przedstawię cię starym sługom naszego ojca, z których niejeden przypomni cię sobie dziecięciem! Pięknie powiedziane – pomyślał Cyrano – ale czy szczerze?”

Manuel ujął rękę, którą doń brat wyciągnął, i z uszanowaniem ją ucałował.

– Przypatrz mu się – rzekł Sawiniusz do hrabiego – w obejściu się ma dużo szlachetnego wdzięku. Za tydzień zrobimy z niego wykwintnisia.

„Za tydzień – powtórzył w myśli starszy de Lembrat – przywdzieje na powrót swe łałchmany”.

A zwracając się do Ben Joela, rzekł głośno:

– Przyjmij to pierwsze stwierdzenie dobrych między nami stosunków. I wcisnął do ręki Cygana wszystkie złoto, które miał przy sobie. Potem, korzystając z chwili, gdy uwaga towarzyszków odwrócona była od niego, bo właśnie Manuel, zwyciężony wzruszeniem, płakał wsparty o ramię Cyrana – szepnął na ucho Cyganowi:

– Gdzie można cię znaleźć w potrzebie?

– W Domu Cyklopa, przy bramie Nesle, jasny panie – odpowiedział również szeptem Ben Joel.

XI

Roland de Lembrat mieszkał przy ulicy Świętego Pawła. Po przybyciu do Paryża, gdzie zamyślał przepędzać większą część czasu, hrabia nabył pałac z ogrodem, wyglądający wspaniale i pańsko, co przyjemnie łechtało próżność nowego nabywcy.

Pierwsze piętro przestronnego gmachu wypełniał prawie w całości olbrzymi salon, wykładany dębiną i ozdobiony tymi ciężkimi złoceniami, jakie widzi się dziś jeszcze w starych komnatach Luwru.

Obok salonu znajdowały się inne pokoje, z których jeden był sypialnią Rolanda.

W dwa dni po opowiedzianych wyżej scenach hrabia odprawivszy służbę przechadzał się po sypialni, silnie czymś wzruszony.

Gdy już obiegł cały pokój we wszystkich kierunkach, zatrzymując się chwilami i pomrukując głucho jak tygrys w klatce, siadł wreszcie przy stole i zabrał się do wertowania jakichś papierów.

Po chwili umaczał pióro i wypisawszy długą kolumnę cyfr, zaczął je dodawać – co było niezwykle u młodzieńca lubiącego dogadzać swym wszystkim fantazjom i rozsypywać złoto garściami, bez liczenia.

Skąd wzięła się u niego ta rachunkowość?

Po prostu obliczał, ile kosztować go ma zmartwychwstanie brata. Po skończonym rachunku przycisnął pióro do papieru tak silnie, że się na całą długość rozdarło, i oparł się o stół, ściskając głowę rękami. Widocznie zagadka, dręcząca go od pewnego czasu, nie była jeszcze ostatecznie rozwiązana.

– Ba! – rzekł nagle do siebie wstając i jakby w odpowiedzi na postawione w myśli pytanie – na co to wszystko? Mam w zapasie coś lepszego. Gdy węzeł nie da się rozwiązać – przecina się go.

Hrabia wziął ze stołu świecznik, osłonił płomień ręką i otworzywszy drzwi wyszedł na korytarz, biegnący wzdłuż komnat pierwszego piętra. Na końcu korytarza zgasił światło, uniósł ciężką draperię i znalazł się w niewielkim gabinecie, którego posadzkę pokrywał dywan tłumiący odgłos kroków.

Z wyciągniętą przed siebie ręką hrabia zbliżył się cicho do ściany i jął szukać zatyczki, która zamykała niewielki otwór w murze. Znalazłszy palcami zatyczkę, wyciągnął ją ostrożnie i przyłożył oko do otworu.

Ujrzał wówczas, co następuje:

W pośrodku obocznej komnaty stał młodzieniec – był nim Manuel, a raczej Ludwik de Lembrat, od dwudziestu czterech godzin przebywający w pałacu przy ul. Świętego Pawła. Wytworny strój z szarego atlasu podniósł znacznie jego urodę oraz siłę i zręczność jego postawy.

W powierzchowności młodzieńca nie było już nic zgoła, co by przypominało dawnego grajaka i włóczęgę. Zajmując nowe stanowisko w świecie, Manuel nie potrzebował niczego prawie uczyć się i nic na nowo nabywać.

Wykształcenie młodzieńca było niepowszednie i przewyższało przeciętny poziom wiedzy, jaką mogła być się pochwalić większa część ówczesnej szlachty. I pod innymi względami nie ustępował on tej szlachcie, bo poczucie powagi i wytworności już we krwi jego tkwiło.

W tym miejscu powrócimy na krótko do przeszłości młodzieńca, która wiąże się najściślej z czekającymi go wydarzeniami; powrócimy w tym celu, aby opowiedzieć, skąd i w jakich okolicznościach narodziła się jego miłość dla Gilberty de Faventines.

Prosta to historia – stara jak ludzkość, a jednak zawsze nowa! Manuel ujrzał raz Gilbertę w oknie i jak prawdziwy marzyciel, jak prawdziwy poeta, jak prawdziwy wreszcie szaleniec – piękne i święte szaleństwo! – wypełnił oczy i duszę blaskiem tego uroczego zjawiska.

Kochać, to czuć, że się żyje. Manuel kochał. Mało go obchodziło, czy ukochana znajduje się blisko, czy daleko; obraz jej miał zawsze przed oczyma. Co wieczór wdrapywał się na mur i dostawał aż do jej okna, aby złożyć na balkonie bukiet. Potem oddalał się. To było wszystko.

Młodzieniec czuł się szczęśliwym. Uszczęśliwiała go przygoda sama przez się, tajemniczość, która ją otaczała, i to wewnętrzne wzruszenie, którego doświadczał po raz pierwszy w życiu i dzięki któremu miał umysł napełniony nieustannie czarownymi widzeniami.

Nie znał nawet imienia swego bóstwa...

W porze tych wstępnych przegrywek namiętności rzeczą, którą się kocha, nie jest właściwie kochanka, lecz miłość – miłość pełna słodkich niepokojów, nieusprawiedliwionych obaw i niezmiernych rozkoszy, których źródłem są niedostrzegalne prawie drobnostki.

Dziś, gdy już Manuel mógł poważniej liczyć się z sobą, gdy już był czymś, jego lotne do-
tąd uczucia skupiały się, przybierały kształty wyraźniejsze oblekały się w ciało. Miłość prze-
stawała już dlań być siłą luźną, do niczego nie przystosowaną. W kościele jego marzeń za-
mieszkało bóstwo, z którym nic go już nie miało rozłączyć.

Wolno już mu było mieć nadzieję; wolno było dążyć do czegoś.

Tak przynajmniej przedstawiało mu się wszystko w chwili, gdy Roland de Lembrat przy-
szedł podglądać go w jego nowym mieszkaniu. Spojrzenie hrabiego, wąskością otworu krę-
powane, padło wprost na młodzieńca.

Młodzieniec mówił z ożywieniem – nie był przeto sam. Roland rozejrzał się uważniej po
komnacie, szukając tej drugiej osoby i dostrzegł wreszcie w stronie przeciwnej – siedzącego
przy kominku Cyrana. Teraz już mniej przyglądał się, a więcej słuchał.

Niebawem też dobiegł do jego ucha dźwięczny i silnie akcentowany głos poety.

– Tak więc, drogi Ludwiku – mówił Cyrano – jesteś zadowolony z brata?

– Nadzwyczajnie! Okazuje mi wielką życzliwość.

– To naturalne. Ale – chciałbym się dowiedzieć o jednym...

– O czym?

– Czy Roland w rozmowie z tobą dotykał już rzeczy głównej?

– Co przez to rozumiesz?

– Sprawy majątkowe.

– Nic mi o tym nie mówił i ja też o nic go nie pytałem.

– Bezinteresowność ta przynosi ci zaszczyt. Jednak trzeba będzie o sprawach tych pomy-
śleć.

– Po co! Brat przyjął mnie jak najgościnniej; wszystkie potrzeby moje opatrzył, czegoż
więcej mam od niego wymagać.

– O poeci! – uśmiechnął się Cyrano. – Jak mało wymaga ten naród od życia! Na szczęście
dla ciebie ja tu jestem.

– Cóż zamierzasz czynić?

– Ależ do licha, zamierzam zapewnić ci byt niezależny na dziś i na jutro; zamierzam tak
urządzić twoje interesa, abyś bratu nie potrzebował nic zawdzięczać, lecz był mu we wszyst-
kim równy. I w tym celu właśnie...

– Co w tym celu?

– Chcę wprowadzić w wykonanie ostatnią wolę twego ojca.

– Proszę cię, zaniechaj wszystkiego, co by mogło urazić Rolanda!

– Bądź spokojny. Mówię o przyszłości. Przez miesiąc lub dwa miesiące niech ci wystarcza
to, co tytułem gościnności otrzymujesz od brata. Potem zobaczymy.

– Tak, tak, czekajmy. Nic nas nie nagli. Zawsze będzie dość czasu do podjęcia tych nud-
nych kwestii. Mam teraz zresztą na myśli sprawę nierównie ważniejszą.

– Jaką?

Manuel spojrział na Cyrana ze zdziwieniem i jakby z wymówką, potem rzekł wzdychając:

– Alboż zapomniałeś, Sawiniuszu, o mojej miłości?

– Do diabła! – skrzywił się poeta – otóż to orzech najtwardszy do zgryzienia! Mój chłop-
cze, już cię w tym brat twój uprzedził.

Hrabia podwoił czujność, gdyż zgodnie z jego przewidywaniem, obaj rozmawiający
znacznie w tym miejscu głos przyciszyli.

– Brat! – powtórzył Manuel. – Kochaż on w istocie pannę de Faventines, czy też jest to
tylko małżeństwo z rozsądku?

– Sądzę, że on ją kocha. Pozostaje do zbadania: czy ona kocha jego? Pod tym ostatnim
względem ja mam duże wątpliwości.

– Jeżeli więc Gilberta nie kocha Rolanda, to co?

– To w takim razie powoduje nią tylko poszanowanie danego słowa. Nie ty jednak chyba mógłbyś żądać od brata, aby ją ze słowa tego zwolnił.

– To prawda – poświadczył ze smutkiem Manuel. – Skazany jestem w tym razie na milczenie. Jednakże... sądzę...

– Kończ.

– Gdyby panna de Faventines sama...

– Młody zarozumiałcze! Odgadłeś więc, że jesteś kochany?

– Nie. Ale czy temu, kto widzi się zagrożonym w uczuciach najdroższych, nie wolno chwycić za najsłabsze nici nadziei?

– Bez wątpienia wolno. Ale słówko jeszcze. W niedługim czasie ujrzysz Gilbertę, gdyż ani brat twój, ani nawet ja, nie możemy zamknąć pałacu Faventines przed wicehrabią de Lembrat, jak go zamknęliśmy przed grajkiem Manuelem.

– A zatem?

– Gdy ujrzysz ją, co zrobisz?

Manuel nie mógł opanować wzruszenia, które mu głos na chwilę zatamowało.

– Widzieć ją! – wybuchnął wreszcie z rodzajem dziecinnej trwogi – przemawiać do niej bez sprawienia jej odrazy! Ach, o takim szczęściu nie myślałem dotąd.

– Trzeba jednak pomyśleć.

– A więc posłuchaj – rzekł po krótkim milczeniu. – Sądź o mnie, jak chcesz: powiedz, że winowajca, niewdzięcznik, niegodziwiec – wyznać jednak muszę, że gdy ujrzę Gilbertę, gdy do niej przemówię, pierwsze moje spojrzenie będzie błyskawicą namiętności, pierwsze moje słowo będzie wyznaniem miłosnym... Upewnia mnie o tym drżenie mojej ręki, bicie mego serca. Nie, nie czuję się dość silnym, aby nie zdradzić w owej chwili tajemnicy mej duszy. Jestem jeszcze istotą na wpół dziką; strój, który przywdziałem, nie mógł zmienić całkowicie mojej natury. A zatem, drogi Sawiniuszu, jeżeli nie zdołam zdusić w sobie głosu, który woła nieustannie: „Kochaj i rzuć serce swe pod stopy ukochanej”, jeżeli będę musiał być nikczemnikiem i zdradzić zaufanie swego brata, pójdę prosto do niego i powiem: „Wypędź mnie, Rolandzie, zapomnij, że istnieję, wróć mi moje łachmany i moją nędzę, ale nie żądaj ode mnie, abym się wyparł swej miłości”...

– A potem co? – zapytał zimno Cyrano, nie zdając się nazbyt przejmować zapalem młodzieńca.

– Potem? – powtórzył Manuel. – Alboż mi w każdym razie nie pozostanie moje własne nazwisko?

– Skromne to uposażenie.

– Wystarczy ono, aby król przyjął mnie na żołnierza. Przy odwadze i dobrej woli dojść można do wszystkiego.

– Szpada i mundur to diablo mało, mój drogi, a herby na zamku Faventines gwałtownie domagają się pozłocenia.

Manuel nie słuchał już przyjaciela. Zapadł w marzenie; wyobraźnia jego budowała nowe czarodziejskie pałace w powietrzu.

– Już późno – rzekł Cyrano, wstając do odejścia. – Raz jeszcze rozważ dobrze tę sprawę, choć byłoby najroztropniej o wszystkim zapomnieć.

– Nigdy! – zakończył silnym głosem Manuel.

– W każdym razie – rzucił na odchodnym Cyrano, szpadę poprawiając – ja zawsze trzymam z tobą.

„Wiem już dość – pomyślał hrabia Roland, odchodząc od swej dostrzegalni i wracając do siebie – skryta i głucha walka nie wystarczy do powalenia tego człowieka; tu trzeba uderzenia gromu...”

Uczyniwszy tę uwagę, zadzwonił.

W sypialni zjawił się służący.

Zachowanie się jego wskazywało od razu, że znajduje się on tu na prawach wyjątkowych. Po jego twarzy, koloru bistru, przebiegał uśmiech poufały, prawie bezczelny. Odgadywało się w nim bez trudności jednego z tych skrytych zbirów, a otwartych łotrów, którzy bywają niezbędni w pewnych okolicznościach i dla których wszelkie skrupuły przeszły już od dawna w krainę baśni.

Zbliżył się spokojnie do hrabiego i stanął przed nim w postawie wyczekującej.

– Rinaldo – przemówił Roland – pamiętasz, o czym mówiłem ci wczoraj wieczorem?

– Mam dobrą pamięć, jasnie panie. Jasnie pan mówił mi o powrocie swego brata i o pewnych kłopotach, jakie ma z tego powodu.

– Mówiłem także, że będziesz mi potrzebny.

– Przyszedłem właśnie – oświadczył po prostu Rinaldo z odcieniem dumy w głosie.

– W ciągu tygodnia – podjął Roland – nie będzie w tym domu innego pana prócz mnie.

– Tak prędko? – zauważył powiernik. – Zdaje mi się, jasnie panie, żeśmy to przygotowali na później.

– Zmieniłem zamiar – oświadczył krótko Roland.

– W takim razie wypada nam już tylko zastanowić się nad środkiem uczciwego pozbycia się młodzieńca.

– O to mi właśnie chodzi.

– Mamy tu najpierw: całkowite i ostateczne usunięcie zawady...

– Nie, nie chcę rozlewu krwi... na teraz przynajmniej.

– Zaprzeczenie okazanym dowodom?

– Być może.

– Zeznania kilku pewnych ludzi, których obowiązuję się dostarczyć?

– Pomyślimy o tym. Tymczasem przygotuj się; pójdziesz ze mną. Trzeba przede wszystkim pozyskać człowieka, w którego rękach znajduje się tajemnica urodzenia Manuela. Co się tyczy Cyrana, który sprowadził mi na kark tę śliczną awanturę, zajmiemy się nim później.

– Dokąd idziemy?

– Do Domu Cyklopa.

Choć była to już noc późna, hrabia i Rinaldo, obaj zresztą dobrze uzbrojeni, dotarli bez przeszkody do legowiska Ben Joela.

Na widok Rolanda de Lembrat twarz opryszka rozpromieniła się. Po ustach jego przebiegł uśmiech wymowny.

– Oczekiwałem jasnego pana – rzekł, nisko się kłaniając.

– Oczekiwałeś mnie? I z czegoż to wniosłeś, że przyjdę?

– Mam zwyczaj, jasny panie, na wszystko zważać, a potem wszystko rozważać – odpowiedział z bezwstydną czelnością.

Wszyscy trzej zamknęli się w komnacie Zilli i mieli długą, tajemniczą naradę.

W chwili, gdy hrabia opuszczał Dom Cyklopa, słaby blask występował na niebo. Świtało.

Roland de Lembrat wydawał się bardzo zadowolonym.

W otwartym oknie siedziała Zilla, chłodząc rozpalone czoło świeżym tchnieniem poranku, a uśmiech nieokreślony błędził po jej półotwartych ustach...

XII

Roland nie spieszył się bynajmniej z przedstawieniem brata margrabiemu de Faventines, ale ten ostatni położył koniec jego namysłom, przybył bowiem pierwszy do pałacu przy ulicy Świętego Pawła, aby powinszować obu braciom tak szczęśliwego zdarzenia.

Wieczorem tegoż samego dnia Roland i Ludwik udali się do margrabiego, na szczególne jego zaproszenie, i po raz pierwszy od pamiętnej sceny improwizacji Manuel znalazł się oko w oko z Gilbertą.

– Pani! – rzekł Roland de Lembrat do narzeczonej z lekkim uśmiechem, którego zdradziecka słodycz nie została przez nikogo zauważona – oto ów śmiały poeta, którego natchnieniem stałaś się pani dnia pewnego. Wolno mu teraz prawić pani tyle wierszy, ile mu się podoba. Nie jest to już człowiek obcy, jest to brat mój... i pani także – dodał z naciskiem.

Spojrzenia Gilberty i Manuela spotkały się i twarz panny de Faventines oblała się silnym rumieńcem, młodzieniec zaś, nadzwyczaj pomieszany, wyjąkał kilka słów bez związku.

Dopełniwszy nieuniknionej formalności, Roland pozostawił brata sam na sam z narzeczoną i zajął miejsce obok margrabiny. Znajdował dziką rozkosz w igraniu z ogniem, w pozostawieniu pozornej swobody miłosnym zabiegom Manuela.

Możliwe następstwa tego zbliżenia mało go obchodziły. Alboż nie miał poczucia swej wielkiej siły? Alboż nie wiedział, że gdy zechce, jedno słowo jego wystarczy do rzucenia brata w ściek, z którego wyciągnął go Cyrano?

Ochłonawszy nieco, Manuel usiadł odważnie obok Gilberty i postanowił nie tracić ani minuty, aby wydobyć się z położenia, którego delikatność umiał ocenić właściwie jedynie Bergerac.

Wiemy już, że był to charakter łatwo zapalny i skłonny do wybuchów; osobliwa mieszanina odwagi i obawy; umysł niedostatecznie jeszcze zrównoważony i może niezupełnie dorastający zadania, które los przed nim postawił.

Gdy Manuel odnalazł brata, przyrzekł mu posłuszeństwo, przyjaźń i szacunek, a oto nagle widzimy go zapominającego najzupełniej, pod wpływem miłości, o wszystkich przyrzeczeniach.

Osądził, że dość czyni, zrzekając się majątkowych korzyści, jakie mu zapewniało urodzenie, i że za tę cenę wolno mu już słuchać głosu serca.

Był bardzo młody, nie znał się na ustępstwach i ugodach praktykowanych w świecie; przede wszystkim zaś, był po uszy zakochany.

Któż mógłby się dziwić, że miłość opanowała młodzieńca niepodzielnie? Któż zwłaszcza mógłby go za to potępiać?

– Pani – rzekł do Gilberty – nadzwyczajne zdarzenie, które w życiu mym zaszło, jakkolwiek wstrząsnęło całą moją istotę, nie pozwoliło mi jednak zapomnieć o przeszłości. W przeszłości tej znajduje się fakt, który zmusza mnie prosić panią o przebaczenie.

Panna spodziewała się tych słów; prawie czekała na nie. Jednak gdy nadeszły, wysłuchała ich z drżeniem, prawie z trwogą.

W tejże chwili uświadomiła sobie wszakże, że ma przed sobą już nie biednego, ulicznego śpiewaka, lecz szlachcica, brata człowieka, który ma zostać jej mężem, i że, tak czy owak, nie zdoła uniknąć tego niebezpiecznego starcia; przybrała więc minę poważną, prawie lodowatą i zwróciła na Manuela zimne pytające spojrzenie.

– Tak jest – podjął młodzieniec – muszę prosić panią o przebaczenie. Gdym nie był niczym, śmiałość moja, choć w istocie nadzwyczajna, nie mogła pani dotknąć ani nawet być przez panią zauważona; dziś...

Zaciął się. Gilberta powtórzyła:

– Dziś?

– Dziś – kończył – czuję, że szlachcic winien wytłumaczyć się z zuchwalstwa, którego dopuścił się względem pani włóczęga.

– Panie! – odpowiedziała spuszczaając oczy Gilberta – zrywając całkowicie z przeszłością, powinieneś pan zapomnieć o wszystkim, co ma z nią łączność.

– Zapomnieć! – powtórzył młodzieniec. – Żądasz pani ode mnie jedynej rzeczy, której przyrzec ci nie mogę. Każ mi pani upokorzyć się i unieżyć przed sobą, przypomnij, że ci winien głęboki szacunek, ale nie żądam ode mnie ofiary z mych wspomnień.

Gilberta nic nie odrzekła.

– Pozwól pani – podjął Manuel, podniecając się dźwiękiem słów własnych, a bardziej jeszcze olśniewającą pięknnością Gilberty – pozwól, abym się wypowiedział przed tobą. Gdy poznasz pani moje całe życie, zdobędziesz się może na słówko choćby wyrozumiałości lub współczucia.

Jął mówić, ośmielony jej milczeniem; jął mówić o wszystkim, co wycierpiał, o wszystkim, na co się odważył. Opowiedział, jak nocami przemyczał się w cieniu murów pałacowych; wyjaśnił tajemnicę bukietów, które każdego poranku rozkwitały na oknie Gilberty; wypowiedział się ze wszystkich marzeń, ze wszystkich próżnych zamysłów, ze wszystkich szaleństw poety i zakochanego.

Gdy Gilberta słuchała tej spowiedzi, tajało jej w piersiach serce i zatrzymywał się oddech. Zapomniała o ojcu, zapomniała o Rolandzie, zapomniała o świecie całym.

Wyrwało ich z tego odurzenia, zarazem bolesnego i rozkosznego, spojrzenie Rolanda. Hrabia od kilku chwil stał przed nimi, obrzucając oboje wzrokiem ognistym.

Manuel opuścił salon margrabiego na pół przytomny i nic nie było w stanie otrzeźwić go z tego półsnu, w jaki wprawiła go rozmowa z ukochaną.

Następnych dni wicehrabia Ludwik de Lembrat powracał nieustannie do pałacu Faventines...

Reszta łatwa do odgadnięcia: Manuel i Gilberta wzajem się pokochali. Wyznanie miłosne wybiegło z ich ust prawie mimowolnie; przyszłość ukazywała im się teraz pełna trwogi i grózb.

W tydzień mniej więcej po bytności w Domu Cyklopa – a w ciągu tego czasu nic się na pozór w sprawie tej nie zmieniło – wicehrabia Roland de Lembrat zaprosił swego przyszłego teścia oraz panią de Faventines i Gilbertę na zabawę, którą miał za dwa dni wyprawić.

– Sądziłem – dodał – że robię państwu przyjemność, zapraszając też czcigodnego Jana de Lamothe.

– Starostę – zawołał ojciec Gilberty. – Ależ zapomniałeś, kochany hrabio, że nie smakuje on bynajmniej w zebraniach takich jak my profanów.

– Bądź spokojny, panie margrabio, przyjdzie on i upewniam pana, że będzie nam często dotrzymywał miejsca w pałacu Lembrat – oświadczył hrabia z uśmiechem, który, jakby mimowolnie, skierował do Manuela.

Zabawa, na którą zapraszał Roland, nie była bynajmniej zaimprovizowana naprędce. Rinaldo na długo przedtem czynił do niej przygotowania i dopiero gdy były już ukończone, pan jego zajął się rozsyłaniem zaproszeń.

Rankiem tego ważnego dnia Ben Joel otrzymał pismo, zawierające tylko te dwa słowa: „Dziś wieczorem”.

Podczas gdy w mroku rozstawiono sidła, w które miał być pochwycony Manuel, ten ostatni ubierał się starannie na zabawę, nucąc półgłosem piosenkę miłosną, w której imię Gilberty powtarzało się nieustannie.

Roland de Lembrat miał widocznie dużo przyjaciół, gdyż salony jego zapełnił tłum równie liczny, jak świetny i ożywiony. Sprosił na ten wieczór całą śmietankę paryskiego towarzystwa. Tłoczono się i duszono po trosze – co dla powodzenia zabawy stanowi przyprawę konieczną.

Pierwszą osobą, którą dostrzegł margrabia de Faventines wchodząc do salonu, był imćpan Jan de Lamothe. Starosta miał minę poważniejszą jeszcze i bardziej nadętą niż zwykle.

– Pan tu? – zapytał wesoło margrabia. – Pan – mędrzec, uczonec, w tym wesołym gronie trzpiotów i lekkoduchów?

– Wszędzie jest miejsce dla sprawiedliwości, panie margrabio – odrzekł uroczyście starzec.

– Wiem o tym; sądzę jednak, że nie sędziego tu spotykam, lecz przyjaciela?

– Jednego i drugiego, margrabio!

– Jesteś pan bardzo surowy dzisiejszego wieczora; miałbyś zachować jeszcze w sercu urazę do Bergeraka i wiedząc, że go tu znajdziesz, przygotowywać się do udowodnienia mu magii, herezji i bluźnierstwa przeciw religii?

– Nie, ale bądź waćpan pewny, że i jego kolej nadejdzie.

– A czyjaż nadeszła już, jeśli łaska? Przybyliśmy tu wszyscy, aby zabawić się wesoło, aby uczcić wspólną biesiadą powrót Ludwika de Lembrat, aby przyjąć udział w szczęściu jego brata. Czyżbyśmy, nie wiedząc o tym, deptali po wężach lub czyżby dom hrabiego był kryjówką spiskowców?

– Nie – zaprzeczył dość oschle starosta.

– W takim razie nic już nie rozumiem.

Jan de Lamothe pochylił się wówczas do ucha margrabiego i szepnął kilka słów.

– Co pan mówisz?! – zawołał de Faventines. – Czyż to możliwe?

– Jest z wszelką pewnością tak, jakem waćpanu powiedział. Hrabia de Lembrat uprzedził mnie zawczasu. Spełnię powinność swą do końca.

– Dziwne! Niesłychane! – powtórzył kilkakrotnie margrabia i wsparty na ramieniu starosty wmieszał się w tłum gości.

W chwili, gdy obaj mijali drzwi otwarte do pierwszego salonu, ujrzeli Gilbertę, której towarzyszył Manuel.

Margrabia poruszył się gwałtownie, jakby chciał podbiec do młodzieńca i odtrącić go od swej córki. Przytrzymał go de Lamothe, mówiąc:

– Miarkuj się, margrabio. Jeszcze nie pora.

Manuel i Gilberta przeszli spokojnie i usiedli przy otwartym oknie, wychodzącym na ogród. Noc była cicha i jasna; zapach kwiatów unosił się w powietrzu; w gąszczach słychać było głosy wesołe i wybuchy śmiechu.

– Więc przyznajesz – mówił półgłosem młodzieniec, dla którego początek jego miłości był tematem niewyczerpanym — że miałem szczęście być przez ciebie poznanym?

– Od pierwszego spojrzenia. Było to bez wątpienia przecucie.

– Ach, czynisz mnie dumnym, Gilberto. Jak to? Wbrew przesądom społecznym, wbrew opinii świata całego, ten biedny Cygan, ten poeta uliczny potrafił wzbudzić sympatię w sercu patrycjuszki?

– Sama nie wiem, jak się to stało, Ludwiku. O, ilem ja wycierpiała, powtarzając sobie po tysiąc razy, że dzieli nas przepaść nie do przebycia, że żadna siła ludzka zbliżyć nas do siebie nie potrafi! Postanowiłam poświęcić się, zrobić z uczucia swego ofiarę, zachowując jednak do śmierci, jako najwyższą pociechę pierwszego wzruszenia.

– Droga Gilberto! Kiedyż będę mógł pochłubić się jawnie swym szczęściem?

– Gdy tylko zdobędziesz się na odwagę wyjawienia prawdy Rolandowi, jak ja postanowiłam wyznać ją swemu ojcu.

– Rolandowi! Zawsze o nim zapominam! Czemuż przywracając mi rodzinę. Bóg zmusił mnie wybierać pomiędzy niewdzięcznością i – nieszczęściem!

– Nie Boga trzeba tu oskarżać.

– A kogóż?

– Mnie. Nie miałam odwagi sprzeciwić się swemu ojcu, a jednak powinnam była to zrobić, gdyż nie kochałam hrabiego. Teraz spełnię swój obowiązek.

– A brat?

– Brat jest człowiekiem zbyt prawym, aby miał żywić niechęć do ciebie za uczucia, które moje serce przepełniają.

- Żyjmy więc terazniejszością, Gilberto.
- Żyjmy terazniejszością i wierźmy w przyszłość...

W salonie pojawił się Cyrano. Spostrzegł z daleka zakochanych i zaraz do nich pośpieszył. W kilka chwil później ukazał się sam Roland. Powitawszy już wcześniej większą część gości, wymknął się był do swego pokoju, gdzie odbył błyskawiczną naradę z Rinaldem.

- Wszystko gotowe – oświadczył mu ten ostatni.

Hrabia, zjawiwszy się z powrotem w salonie, pośpieszył przede wszystkim do Sawiniusza.

– A, nareszcie! – rzekł witając poetę. – Spóźniasz się, mój drogi. A właśnie czekamy na ciebie z przedstawieniem.

- Cóż to za przedstawienie?

– Trochę muzyki, przy tym mały balecik.

I zaraz, zwracając się do Gilberty, zapytał:

– Pani jest królową zabawy, ja skromnym wykonawcą jej zleceń. Czy królowa pozwoli, abym dał znak zaczęcia?

- Ależ tak, niezawodnie! – odrzekła Gilberta z pośpiechem.

Hrabia klasnął w ręce. Zawieszona w jednym końcu salonu kurtyna podniosła się i muzykanci, zajmujący niewielką estradę, wykonali lekką uwerturę baletową. Na scenie ukazał się tancerze włoscy, będący podówczas w modzie w Paryżu.

Balet trwał krótko. Był on tylko prologiem komedii, którą miano za chwilę odegrać.

- Przepyszne! – pochwalił Cyrano. – Masz dobry smak, kochany Rolandzie.

– Nieprawdaż? – odparł ironicznie hrabia. – O, mam ja jeszcze dla ciebie wiele innych niespodzianek. W tej chwili w otwartych drzwiach ukazała się dwuznaczna postać Rinalda. Łotr niósł tacę z chłodnikami; postępowali za nim służący, pełniąc tę samą czynność. Odpowiednio do swej roli przybrał on minę uczciwą, pokorną i prawie naiwną.

– Czyżbym się mylił? – rzekł Cyrano, przyglądając się służącemu. – Zdaje mi się, przyjacielu Rolandzie, że to ten gałgan Rinaldo, który przebywał w Fougerolles za dobrych czasów naszego dzieciństwa?

- Ten sam – przytaknął Roland.

Jednocześnie rzucił znaczące spojrzenie staroście, jakby zwracając uwagę jego na to, co ma nastąpić. De Lamothe skłonił poważnie głową na znak, że rozumie.

Przez szczególny zbieg okoliczności, który był może wynikiem umyślnego planu Rolanda, wszystkie główne osoby przybyłe na zabawę znalazły się w otaczającej go grupie.

Rinaldo obszedł tę grupę, podsuwając wszystkim z uniżonością swą tacę, i znalazł się niebawem przy Manuelu. Zamiast jednak podać młodzieńcowi chłodniki stanął nieruchomo i jął wpatrywać się weń z natężoną uwagą, jakby coś sobie przypominając.

- Cóż tak mi się przyglądasz, przyjacielu? – zapytał Manuel.

Rinaldo drgnął i zatoczył się, odgrywając znakomicie rolę człowieka schwytanego na gorącym uczynku. Taca wysunęła mu się z rąk, kryształowe naczynia rozbiły się z brzękiem na posadzce.

Hałas przyciągnął w tę stronę większą część gości. Hrabia miał już publiczność, której pragnął i której potrzebował.

- Niezgrabiaszu! – krzyknął na Rinalda.

Służący przyjął obelgę bez zmrużenia oka i przystąpiwszy do swego pana, szepnął mu coś na ucho.

– Czy wiesz, kochany bracie – przemówił głośno Roland do Manuela – co tak bardzo człowieka tego przeraziło?

- Nie zgaduję, doprawdy – odparł spokojnie młodzieniec.

– Oto wydało mu się, że cię zna.

- To bardzo możliwe. Ja wszakże go nie znam.

- Mówi nawet – nacierał Roland – że jest pewny swego i dodaje...
- Cóż takiego dodaje?
- Że nie jesteś moim bratem.

Nadzwyczajna ciekawość objawiła się w tłumie. Świetne grono weszło skandal. Manuel doświadczył jakby ogłuszenia. Zapanował nad sobą i zmuszając się do uśmiechu, wyjąkał:

- Twoi służący są nie lada żartownisiami.
- Baczość! – mruknął do siebie Cyrano. – Wilk zrzuca jagnięcą skórę.

Rinaldo stał w środku grupy, do której przyłączali się coraz nowi goście. Manuel zbliżył się doń, położył rękę na jego ramieniu i patrząc oko w oko, wyrzekł z naciskiem:

– No, przyjacielu; przypatrz mi się dokładnie i powiedz z łaski swojej, kimże to ja jestem, jeśli nie wicehrabią Ludwikiem?

Lokaj miał minę zakłopotaną.

– Z przeproszeniem jaśnie pana – rzekł z maskowaną ironicznie bezczelnością – jaśnie pan jest Szymon Vidal.

– Szymon Vidal, syn ogrodnika z Fougerolles! – zaśmiał się szyderczo Cyrano. – Paradny koncept, ani słowa!

– Tak – ponowił Rinaldo – mały Szymuś, który zginął równocześnie z naszym drogim paniczem. Cyrano wzruszył ramionami.

– Ten człowiek mówi od rzeczy – zwrócił się do Manuela. – Nie ma co mu odpowiadać.

– Mnie to zostaw, kochany Cyrano. Trzeba, żeby wszyscy byli sędziami mego honoru.

I przystępując ponownie do Rinalda, rzekł z mocą:

– Twoja pamięć, kochanku, jest zanadto wierna, a raczej zanadto usłużna. I po czymże poznajesz tak niezawodnie Szymona Vidal, który był dzieckim pięcioletnim, gdy zniknął z domu?

– Dlaczegoż nie miałbym go poznać? Byłem w jego wieku i zapamiętałem go doskonale. Wszystkie jego rysy rozpoznaję w pańskich, które od tygodnia badam z uwagą. „Gdyby mi zresztą pozostawała jeszcze jaka wątpliwość, jeden szczegół wystarczy do jej usunięcia. Pewnego razu, bawiąc się z Szymusiem, rozciąłem mu czoło kamieniem. Rana była szeroka i głęboka – wybornie pamiętam.

I przy tych słowach, wyciągając rękę do czoła Manuela:

– Otóż blizna! – oświadczył z przerażającym spokojem.

Teatralna ta scena wzbudziła szmer wśród obecnych.

– Nędzniku! – wrzasnął Manuel – zapłacono ci, abyś wygłosił te nedorzeczne oszczerstwa! Bracie mój, w imię prawdy i sprawiedliwości – wypędź tego zuchwalca!

Roland odpowiedział wybuchem wzdargliwego śmiechu. Na niego przysła kolej zabrania głosu w tej tragikomedii podstępów i podłości.

– Precz z maską, panie! – wyrzekł wyniośle. – Człowiek ten powiedział prawdę. Od tygodnia już haniebnie mnie zwodzisz.

– Co on mówi? —jęknęła Gilberta, która śledziła tę scenę z przestraczem, pozbawiającym ją prawie przytomności.

– Zastanów się, co czynisz, Rolandzie! – wtrącił się surowo Cyrano, nie dając czasu do odpowiedzi swemu protegowanemu.

– Nie przeszkadzaj, Bergeraku. Od trzech dni wiadomo mi już dokładnie, że ten, co się bratem moim mianuje, jest oszustem; od trzech dni powstrzymuję z wysiłkiem gniew i oburzenie. Świadcstwo służącego jest nie wystarczające, przyznaję to, ale dzięki wytrwałym poszukiwaniom, badaniom i pogróżkom udało mi się zdobyć inne, bardziej przekonujące i straszniejsze. Pewny, że winowajca już mi się z rąk nie wymknie, pozwoliłem mu przez pewien czas broić bezkarnie; zamiarem moim było od początku zedrzyć publicznie maskę z nikczemnika, napiętnować go w oczach całego grona ludzi uczciwych, którzy widzieli, jak zwie-

dziony na chwilę sztańskim podejściem, przyciskałem go do piersi jak brata. Tamto przyjęcie było jawne i głośne; jawną i głośną musi być też kara.

Manuel schronił się instynktownie pod opiekę Cyrana.

– Sawiniuszu! Sawiniuszu! – szeptał z trwogą – broń mię, bo nie mam już nic do powiedzenia, bo czuję, że zginąć muszę.

Cyrano był zawsze gotowy do odparcia ciosu.

– W straszną grę wdałeś się, hrabio de Lembrat – rzekł z mocą. – Zaniechaj jej, póki czas. Dowody tożsamości Ludwika istnieją, w moich zaś rękach znajduje się broń, której doniosłości nie znasz jeszcze. Jest nią testament twego ojca.

– Wprowadzono cię w błąd, mój Cyrano, jak nas wszystkich. Ten człowiek nie należy do rodziny de Lembrat; nadużył on twej dobrej wiary i twego dobrego serca. Ty sam, nie mając dość siły, aby oprzeć się pierwszemu wzruszeniu, ośmieliłeś bezwiednie oszusta, którego ofiarą ja paść miałem.

Wypowiedziane to zostało ze zdumiewającym spokojem. Roland de Lembrat był strasznym zapaśnikiem.

– A podobieństwo Ludwika do ojca? – nacierał kipiący gniewem poeta – a piśmienne dowody? Cóż na to powiesz?

– Nic zgola – zakończył zimno Roland. – Wykryłem i udowodniłem oszustwo; do pana starosty należy wymierzyć winowajcy sprawiedliwość.

– A, to i pan starosta do dzieła należy? Winszuję ci, Rolandzie, wszystkoś umiał przewidzieć i przygotować.

Na te słowa wystąpił czcigodny Jan de Lamothe i z zadowoleniem wewnętrznym, którego nie starał się ukrywać, wyrzekł:

– Tak, mój panie, wszystko zostało przewidziane. Nic nie ujdzie wzroku sędziego – słyszysz, waćpan? – nie! Pomyśl waćpan nad tym. Od trzech dni, uprzedzony przez pana de Lembrat, pracowałem w pocie czoła, aby zburzyć, coś waćpan zbudował. Powiodło mi się. Poleciałem uwięzić i poddać badaniu pańskich współników.

– Moich współników! – wrzasnął Cyrano. – Przez Boga żywego! Mości starosto, okiełznaj swój język, jeśli nie chcesz, abyśmy się na serio pogniewali ze sobą!

Przed groźnym gestem wojowniczego autora *Podróży na księżyc* Jan de Lamothe uważał za właściwe cofnąć się kilka kroków w tył.

– Powoli, panie de Bergerac – zaśpiewał, przedzieliwszy się od poety wystarczającą przestrzenią – ja, mój panie, nie jestem awanturnikiem. Mnie nie przezywają Kapitanem Czartem. Mogę przedstawić waćpanu dowody, że hrabia de Lembrat postąpił, jak mu obowiązek honoru nakazywał postąpić.

– I jakież to dowody, mości sędzio?

– Zeznania świadków.

– Jakich świadków?

– Ben Joela i jego siostry.

– Ach, Ben Joela! – wykrzyknął radośnie Manuel —jestem ocalony!

Cyrano krzyknął nań z gniewem:

– Dzieciaku naiwny, nicze nie pojmujesz?!

Manuel w istocie nic zgola nie pojmował. Nie domyślał się on nawet, jak głęboka jest przepaść, do której go wtrącono.

Otworzyły się drzwi, do salonu wprowadzono Ben Joela i Zillę. Manuel postąpił kilka kroków ku nim. Ale nagle, spotkawszy ich spojrzenia, zadrżał, stanął w miejscu i pobladł śmiertelnie.

Twarz Bena Joela była pokryta chmurami jak niebo jesienne; twarz Zilli była marmurowa.

Manuel uczył się w tej chwili całkowicie, nieodwołalnie zgubionym. Cyrano przeciwnie, zdawał się przyjmować porażkę obojętnie. Z zimną krwią rozsiadł się na krześle i śledził dalszy przebieg intrygi.

XIII

Para włóczęgów zatrzymała się na progu.

– Zbliżcie się i mówcie prawdę.

Ben Joel obiegł badawczym spojrzeniem całą grupę, potem lisim krokiem przepelznął do stolika, gdzie królował Jan de Lamothe i pełnym uniżoności głosem odpowiedział:

– Jego wielmożności, jasnemu panu staroście wiadomo już, że wyznawszy przed nim całą swą winę, nie potrzebuję obawiać się jego surowego sądu.

– O tym później. Czy znasz tego człowieka?

Cygan obrócił się do Ludwika, którego wskazał mu starosta.

– Znam – odrzekł po prostu – to mój towarzysz Manuel.

– Bardzo dobrze; ta szczerość będzie ci policzona. Opowiedz teraz tym panom z tą samą otwartością, z jaką czyniłeś wyznanie przede mną: co cię skłoniło do przedstawienia tego Manuela za młodego Ludwika de Lembrat?

– Tak, nicponiu, wyznaj to głośno – wtrącił Roland – bo ja to głównie padłem ofiarą twojej nieuczciwości.

Opryszek odpowiedział tonem swobodnym, prawie lekkim:

– Ach, jasny panie, czyn mój łatwo da się usprawiedliwić. Przypadek zbliżył mnie do pana de Bergerac, gdy zaś dostrzegłem, że pan de Bergerac, na zasadzie pewnych szczególnych okoliczności, domniemywa się w Manuelu wicehrabiego Ludwika de Lembrat, postanowiłem skorzystać z jego omyłki, aby zapewnić świetny los jednemu ze swych towarzyszków, o którym wiedziałem, że mnie przypuści do udziału w zyskach.

Ludwik, przybity do ziemi zeznaniem Ben Joela, zaczynał już wątpić sam o sobie.

– Piekielna maszyna! – nie mógł powstrzymać się od zauważenia Jan de Lamothe.

Cyrano, który siedział dotąd w zupełnym milczeniu, przy ostatnich słowach Cygana podniósł się i stając przed nim, groźnie zawołał:

– Kogo ty chcesz wywieźć w pole, Egipcjaninie przeklęty? To musi być wyjaśnione.

Brat Zilli zgął się z uniżonością nieco ironiczną przed pytającym i odrzekł:

– Mówię świętą prawdę, jasny panie.

– Kłamiesz! – wykrzyknął wówczas Ludwik, wychodząc na chwilę z odrętwienia. – Czyż nie masz w ręku dowodów stwierdzających moje pochodzenie?

– Prawda! – poparł przyjaciela Cyrano – odnośne świadectwo zapisane jest w księdze rodu starego Joela. Zapamiętaj to, mości starosto. Jan de Lamothe uśmiechnął się znacząco i zapytał:

– Czyś waćpan widział, panie de Bergerac, księgę, o której mówisz?

– Nie.

Starosta wzruszył ramionami i zwracając się do Ludwika powtórzył:

– A może waćpan ją widział?

– Nie widziałem – wyznał młodzieniec pochylając głowę – tak często wszakże mówiono o niej w mojej obecności, i to wówczas, gdy w sprawie tej nie był zgoła zainteresowany, że nie mogłem wątpić o jej istnieniu.

– Księgi tej – przerwał starosta, nie zwracając najmniejszej uwagi na dowodzenie Ludwika – nie widziałeś waćpan i widzieć nie mogłeś, gdyż księga ta nie istnieje.

Z kolei zmieształ się Cyrano. Ale wystarczyła mu jedna chwila do otrząśnięcia się z tego przykrego uczucia. Nie wątpił ani na chwilę o tożsamości Ludwika de Lembrat i wyrzucił już

sobie nawet to przemijające zmieszanie, łatwo zresztą zrozumiałe wobec tak osobliwych powikłań.

Raz jeszcze natarł na Ben Joela, którego nickszemność i ujęte w system łotrstwo teraz dopiero ukazały mu się w świetle właściwym; i wstrząsnął go silnie za ramię.

– Alboż to prawda? – zagadnął Cygana, nie dając wiary oświadczeniu starosty.

– Prawda – odrzekł łotr nie zmrużywszy oczu.

Roland triumfował.

W tej chwili rozstrzygającej nie zawiódł go żaden ze środków, na które liczył.

– Widzicie, panowie – szydził hrabia, zwracając się do swych gości – na jak nędznej podwalinie ten gmach kłamstwa został wzniesiony. W istocie, postąpiłem w tej sprawie jak skończony szaleniec, zadowolilem się słowem honoru awanturnika i włóczęgi. Na szczęście, wszystko jest jeszcze do odrobienia i łatwowierność, której padłem ofiarą, nie będzie zanadto wiele kosztowała.

– O Sawiniuszu! – jęknął Ludwik, ściskając rękę przyjaciela – przeklęty niech będzie dzień, w którym wyrwałeś mię z nieświadomości.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się nagle starosta, zaciekawiony w swych sądowych dochodzeniach, zwracając na siebie uwagę Ben Joela oraz jego sąsiadów. – Znaną ci jest historia porwania wicehrabiego Ludwika i Szymona Vidala, syna ogrodnika?

Ben Joel uczynił ruch potakujący.

– Tak więc ten, którego nazywasz Manuelem, jest to w rzeczywistości?

– Szymon Vidal.

– A cóż się stało z drugim dzieckiem ukradzionym? Co się stało z Ludwikiem?

– Z Ludwikiem? – powtórzył Cygan, cokolwiek zmieszany. – Ludwik mając lat osiem umarł w obozowisku mego ojca. To wszystko, co wiem o nim, jasny panie.

– Musisz wszakże jeszcze coś wiedzieć.

– Co takiego?

– Musisz wiedzieć – nalegał sędzia – czy twój przyjaciel Manuel obmyślał wraz z tobą te piękne ambitne plany?

Zaskoczyło to łotra niespodziewanie. Namyślał się, co odpowiedzieć. Coś, jakby głos sumienia, zagadało we wnętrzu jego duszy; usłyszał też cichy głos Zilli, która szepnęła mu do ucha:

– Nie gub go!

Jednocześnie hrabia de Lembrat, przechodząc mimo niego, rzekł półgłosem:

– Pamiętaj!

Ciągniony w tę i ową stronę. Cygan nie wiedział przez chwilę, kogo posłuchać. Wszystko doradzało mu oszczędzać interesu Rolanda, obawiał się jednak narazić sobie Zillę, której jedno słowo zgubić go mogło.

– Odpowiadajże – zgromił go starosta. – Czy Manuel był powiernikiem i współnikiem twoich zamysłów?

Surowy głos sędziego był tym ostatnim ziarnem piasku, które rzucone na pełną już szalę przechyliła ją. Pod działaniem tego głosu Ben Joel wybrał, prawie bezwiednie, drogę przeciwną tej, na którą ciągnął go głos sumienia i Zilli.

– Tak – odrzekł – Manuel był moim współnikiem.

– Nędzniku! – zaryczał wicehrabia, nie panując już nad sobą – znów beczelnie skłamałeś! Kłamiesz wciąż! Kłamiesz każdym słowem swoim! Ach, Zillo, moja siostrze, moja dobra, pocziwa Zillo! Powiedz im, że są ofiarą błędu i podejścia! Ty znasz mnie, Zillo; ty wiesz, że nie byłbym zdolny do zarzucanej mi podłości.

Zilla ściągnęła brwi, gdy z ust jej brata wybiegło słowo, oskarżające Ludwika. Teraz, gdy Ludwik przemówił, czoło jej stało się na powrót gładkie i surowe, i głosem zimnym, nie podnosząc oczu na mówiącego, rzekła:

– Nie były mi zupełnie znane projekty ani brata mego, ani twoje. Nie mogę tu nikogo ani oskarżać, ani bronić.

Zaraz też w głębi duszy pomyślała: „Spadł już dość nisko; teraz może już mnie kochać”.

Ludwik chciał przemówić. Starosta zatamował mu głos, odzywając się surowo.

– Manuelu, jesteś oskarżony i dostatecznie, jak sędzę, przekonany, o nieprawę przywłaszczenie sobie nazwiska i tytułów wicehrabiego Ludwika de Lembrat. Odprowadzony zostaniesz do więzienia, aby tam oczekiwać orzeczenia sprawiedliwości.

W tejże chwili dał znak. Drzwi otworzyły się ponownie i wkroczył przez nie dowódca miejskiej straży w towarzystwie kilku uzbrojonych pachołków.

– Jak to? Do więzienia – ujął się gwałtownie, wzburzony Cyrano. – A, na Boga i wszystkich świętych! Komedię posunięto za daleko!

– Milczenie – rozkazał starosta. A strażnikowi rzucił:

– Czyń swą powinność!

Dowódca straży zbliżył się do Ludwika i zażądał od niego szpady.

Młodzieniec, którego odwaga całkowicie się już wyczerpała, rzucił się w objęcia Cyrana, potem, powstrzymując z wysiłkiem łzy gniewu i wstydu, które mu się do oczu cisnęły, odpiął szpadę i wręczył ją Sawiniuszowi, nie chcąc oddawać jej wprost przedstawicielowi władzy starościńskiej.

Cyrano natomiast odzyskał spokój. Ruchem prawie uprzejmym podał dowódcy szpadę Ludwika i głosem, w którym nie było ani śladu wzruszenia, oświadczył:

– Ta szpada, cokolwiek o niej mówią ludzie, jest szpadą szlachcica. Bądź waćpan łaskaw obchodzić się z nią z szacunkiem. Co do ciebie zaś, mości starosto – dodał z rycerską swobodą – dowiedz się, że ja jeszcze nie wypowiedziałem w tej sprawie ostatniego słowa, choć pan już je wygłosiłeś.

Potem szerokim ruchem wyciągnął rękę do Manuela, który uścisnął ją energicznie.

– Idź, młodzieńcze, bez trwogi odprawiać swój czyściec – zakończył. – Nie zapominaj, że ja jestem wolny i że trzymam klucze do nieba. Wygłosiwszy to zdanie, może nazbyt krasomówcze, przyjaciel Ludwika wykręcił się na swych wysokich napiętkach, ku wielkiemu zdumieniu Rolanda i starosty, dziwiących się, że tak filozoficznie przyjmuje następstwa tej przygody.

Tymczasem Ludwik znalazł sposobność zbliżenia się do Gilberty.

– Żegnaj panią – wyjąkał głosem złamanym. – Zapomnij o mnie. Życie moje zamknięte.

Kurcz ścisnął mu gardło. Obawiając się wybuchnąć płaczem, okazać słabym i małoduszonym, wybiegł z salonu szybkim krokiem, nie patrząc na nikogo. Straż starościńska pospieszyła za nim.

– Ach, ojczel! – wykrzyknęła z boleścią Gilberta, osuwając się w ramiona margrabiego de Faventines. – Ja kocham go, kocham!

– Milcz, nieszczęśliwa! – zgromił ją starzec. – Twoje łzy są zniewagą dla hrabiego.

Dziewczyna wyprostowała się, dumna, zacięta, nieubłagana.

– Dla hrabiego? I cóż mnie hrabia obchodzi! Nie poślubię go!

Na margrabiego przyszła teraz kolej przybrania postawy niezłomnej.

– Poślubisz – rzekł z mocą. – Przyrzekłem i wymagam tego.

W chwili, gdy wynoszono mdlejącą Gilbertę i gdy Ben Joel wymykał się ostrożnie z Zillą pod opieką Rinalda, ten, którego nazywano Kapitanem Czartem i który podczas całej tej sceny zdawał się nie usprawiedliwiać niczym swego przezwiska, zachowując się prawie zupełnie biernie, Cyrano, jednym słowem, pochylił się do Rolanda de Lembrat i rzekł z uśmiechem:

– To był wspianiały sztych, przyjacielu Rolandzie. Ale teraz zobaczysz odparowanie.

XIV

Hrabia de Lembrat wstał.

– Kochany Cyrano – wyrzekł – rozumiem twą urazę, ale, doprawdy, nic na to nie umiem poradzić. Zwolnij mnie łaskawie od tłumaczenia się, które zresztą jest mi obojętne, i od usprawiedliwiania się, które by mnie nie przekonało.

– Cierpliwości, Rolandzie! Nie chcę mówić z tobą w obecności twych przyjaciół. Będiesz mi wdzięczny za tę okoliczność.

– Wdzięczny? – zaśmiał się hrabia.

– Tak; ale wierz mi, że lepiej będzie, gdy się tymczasem na tym punkcie zatrzymamy. Niebawem będziesz wolny; wówczas też będziemy mogli rozmówić się otwarcie... jeśli naturalnie zgodzisz się na to.

– Aby ci dogodzić, gotów jestem pożegnać swych gości.

– Nie spieszy mi się zbyt. Poczekam.

W godzinę później salony pałacu przy ulicy Świętego Pawła były puste. Uwięzienie Ludwika położyło koniec zabawie i każdy zrozumiał konieczność prędkiego wyniesienia się do domu.

– Przejdźmy do mego gabinetu – rzekł Roland do Cyrana. – Będziemy tam mogli swobodnie porozmawiać. Rinaldo, który już powrócił do domu, wziął świecznik i udał się naprzód, oświetlając drogę rozmawiającym. Gdy weszli do gabinetu, Roland odprawił służącego.

– Czy jesteśmy zupełnie sami? – zapytał Cyrano.

– Tak. Lecz na co ta wielka tajemniczość?

– To, co ci mam powiedzieć, nie powinno być słyszane przez nikogo więcej, prócz nas dwóch. Wymaga tego twoja godność.

– Moja godność?

– Tak, a zarazem twoja miłość własna. Dla twego dobra jedynie wymagam jak największej ostrożności, gdyż co się mnie tyczy, zwłaszcza po tym, co zaszło, mało mnie obchodzi, czy ktoś z wyteżonym uchem czai się za obiciem twego pokoju.

– Kto miałby nas podsłuchiwać? Na jakiej zasadzie opierasz to podejrzenie?

– Na dowodach niezwykłego zaufania, jakim zdajesz się obdarzać Rinalda.

– Pozbądź się swych obaw. Nikt nie usłyszy tego, co się tu powie. Mów zatem. Co masz mi do wyjawienia?

Oblicze Cyrana, aż dotąd zupełnie spokojne, w jednej chwili zmieniło wyraz. Oczy poety zabłysły, usta wykrzywiły się najwyższą wzdargą – i głosem ostrym, tnącym jak ostrze miecza rzucił on:

– Przede wszystkim mam ci do wyjawienia, że jesteś nędznikiem!

Roland porwał się wściekły z gniewu.

– Panie!

Szlachcic ujął go za ramię i ściskając energicznie, wyrzekł: – Z wolna, z wolna, mości hrabio. Nie obrażaj się. Straciłeś do tego prawo.

– Znów obelga! – krzyknął Roland. – Czyś pijany, Bergeraku?

– Wiesz dobrze – odparł śmiało Cyrano – że wina wcale nie piję. To nie ja jestem pijany, ale ty, bratku, stchórzyłeś i usiłujesz miną nadrabiać.

– Stchórzyłem? Z jakiego powodu miałbym stchórzyć?

– Bo drżysz przed następstwami własnych czynów. Zgadujesz, że zamierzam ocalić Ludwika, a jego ocalić, znaczy ciebie zgubić.

– Znów ten Manuel – odezwał się wzdargliwie hrabia. – Nigdyż nie przestanie obijać mi się o uszy to liche imię?

– Do diabła! Jesteś bardzo wymagający i uszy masz bardzo delikatne, mój panie! Bierzesz się jednak do rzeczy bardzo niezręcznie. Robotę twoją widzi się, jak na dłoni. Chciałeś oszczędzić sobie ciężarów, jakie sprowadził na ciebie powrót brata i wymyśliłeś w tym celu marną komedię zapominając, że ja tu jestem i że w każdej chwili mogę w niej rolę przemienić. Gdybym był chciał uczynić to przed godziną, musiałbyś przy wszystkich zebrać mego przebaczenia i krwawymi łzami oplakiwać swą zdradę.

– Ty zmusiłbyś mnie do tego?

– Ja. Wiadomo ci dobrze, nieprawdaż, że Manuel, że Ludwik raczej jest twoim bratem. Na co tu grać komedię? Nikt nas nie słyszy.

– Skończmy to już raz, Bergeraku. Ta rozmowa przykrość mi sprawia.

– Od ciebie tylko zależy skrócić ją.

– W jaki sposób?

– Uznaj prawdę. Oddaj Ludwikowi, co mu się należy!

– Ludwik nie żyje!

– Ech, wiesz równie dobrze jak ja, że to nieprawda. Przekupiłeś tego łotra Ben Joela i za garść złota wyrecytował on głośno lekcję, której go po cichu wyuczyłeś.

– Zapłacisz mi za te obelgi, Bergeraku!

– Ile tylko zażadasz. Ale wpiery ukończyć musimy swą rozmowę. Księga, w której zapisano dowód tożsamości Ludwika, znajduje się w twoich rękach – przyznaj.

– Ben Joel oświadczył w twojej obecności, że ta księga nigdy nie istniała.

– Istniała i istnieje. Być może zresztą, że jej nie posiadasz, gdyż ten zbój jest zarazem szczywanym lisem, który nie pozbywa się łatwo tak drogiego dowodu. Ale w takim razie tę książkę ja będę posiadał.

Roland śmiać się zaczął.

Cyrano powtórzył z naciskiem:

– Tak lub inaczej, polubownie lub przemocą zdobędę ją – bądź tego pewny.

Taka pewność siebie brzmiała w tych słowach, że śmiech zamarł na ustach hrabiego.

– Skończywszy z tą kwestią – podjął Cyrano – pogadamy teraz, jeśli pozwolisz, o tobie. W tym głównie celu tu przyszedłem.

– O mnie?

– Tak. Nadeszła chwila, w której wypada ci opowiedzieć pewną historyjkę, tak dalece dla rodziny de Lembrat zajmującą, że ojciec twój zadał sobie pracę opisaną całą własną ręką.

– Nie wiem o takim piśmie.

– Byłoby lepiej dla ciebie, żebyś go nigdy nie poznał. Ale silne choroby wymagają silnych leków.

– Jakież wstęp rozwlekły! Można by sądzić, że zabierasz się do wygłoszenia wyroku na mnie.

– Kto wie? – rzekł tajemniczo Cyrano.

I głosem dobrotliwym, któremu dodawał szczególnego znaczenia uśmiech ironiczny, dodał:

– Usiądź, Rolandzie. Zdaje mi się, że drżysz?

– Dziękuję – odparł oschle hrabia, odsuwając kolanem podane sobie krzesło.

– Jak chcesz. Słuchaj zatem. Opowiadanie moje zmieni niewątpliwie cały porządek twoich myśli i projektów.

Roland wzruszył ramionami i przybrał minę zniecierpliwioną.

– Zaczynam – rzekł poeta. – Hrabia de Lembrat, twój ojciec – Cyrano położył umyślny nacisk na ostatnie słowa – był człowiekiem nadzwyczaj dbałym o świetność swojego rodu i pragnął najbardziej, aby ten ród odżył i utrwalił się w jego potomkach. Szlachetne to pragnienie, ani słowa. Tymczasem po dziesięciu latach małżeństwa żona hrabiego nie obdarzyła go jeszcze przyszłym dziedzicem imienia i majątku. Najuczeńsi lekarze, wezwani na naradę do zam-

ku Fougerolles, oświadczyli nareszcie, że pani de Lembrat nigdy nie doświadczy rozkoszy macierzyństwa... Trzeba było pogodzić się z losem; ród de Lembrat miał wygasnąć! Zaczyna cię to zajmować – nieprawdaz?

– Mów dalej – odrzekł krótko Roland.

– Ród de Lembrat miał wygasnąć i cała prowincja była smutkiem przejęta z tego powodu, gdy niespodzianie, wbrew wszelkim przewidywaniom, hrabia rozgłosił z triumfem, że żona jego spodziewa się potomka.

W kilka miesięcy później odbyły się chrzciny tęgiego chłopca. Otóż, czy chcesz wiedzieć, skąd się wziął ten mały zuch, któremu przeznaczone były wszystkie świetności magnackiego rodu? Z nędznej lepianki jednego z poddanych hrabiego, postrzygacza baranów, nazwiskiem Jakub Rogacz.

– Niedorzeczna bajka! – spróbował zadrwić hrabia.

– To nie bajka, broń Boże, lecz najoczywistsza prawda, spisana ręką twego ojca i jego podpisem stwierdzona. Hrabia de Lembrat, słuchając jedynie podszeptów dumy, postanowił chwycić się podstępny. Powiedział on sobie: „Moje rodowe nazwisko zabłyśnie jeszcze wśród świata, na przekór Bogu i naturze”. I w najściślejszej tajemnicy kupił od owczarza dziecko, kazał wynieść się jak najdalej jego prawemu ojcu i jego prawej matce – którzy zmarli następnie we Włoszech – i starał wmówić w siebie, że to jego własna krew płynęła w żyłach nowo narodzonego. Tym dziecięciem był Roland de Lembrat – byłeś ty!

– To oszczerstwo! – krzyknął Roland, odchodząc od siebie z bólu i wściekłości. – Bezczęścisz pamięć mego ojca!

– Rzecz jest ciężka do zniesienia – ciągnął spokojnie Cyrano – przyznaję to najzupełniej. Pomiędzy szlachetnie urodzonym hrabią a ubogim postrzygaczem baranów leży przepaść. Kończę jednak. W pięć lat po przybyciu fałszywego syna hrabina – tym razem zadając rzeczywiste kłam przewidywaniom lekarskim – uczuła się w stanie błogostawionym i dała życie Ludwikowi... lub Manuelowi, jeśli cię to imię mniej niepokoi. Łatwo odgadnąć wynikię stąd zamieszanie – żal twego ojca, wyrzuty sumienia, obustronne wymówki. Cofnąć się jednak było już niepodobieństwem. Trzeba było wypić piwo, którego się nawarzyło. Hrabia pozwalał wyrastać obok siebie obu chłopcom, zamyślając z czasem zaznaczyć między nimi różnicę. Ciąg dalszy jest ci znany. Ludwik został porwany przez bandę Cyganów i zrozpaczony hrabia, zwątpiwszy, aby go mógł kiedykolwiek odnaleźć, miał przed śmiercią tę przynajmniej pociechę, że w przysposobionym synu pozostawił następcę. Jednakże wszystko przewidując i chcąc zabezpieczyć los prawego syna na wypadek, gdyby się zjawił, napisał własnoręcznie wyznanie, o którym ci mówiłem i mnie powierzył drogocenny ten dokument – w którym mieści się także rozporządzenie dotyczące ostatniej woli.

Roland wpatrywał się w mówiącego ze zdumieniem, którego nie starał się już nawet ukrywać.

– Uspokój się – dodał Bergerac – w akcie tym, po szczegółach wyjaśniających twoje stanowisko, powiedziano, że gdyby odnalazł się Ludwik, będziesz obowiązany oddać mu połowę majątku rodzinnego. Twój ojciec był człowiekiem sprawiedliwym; nie chciał on uczynić cię niewinną ofiarą podejścia, do którego wmieszany zostałeś nieświadomie.

– Och, szatanie! – wykrzyknął Roland – czynisz sobie igraszkę z najdotkliwszych moich uczuć i usiłujesz wyzyskać moją dobrą wiarę. Nie uda ci się to jednak. Czyż możesz przypuszczać, aby mój ojciec postępował tak, jak twierdzisz!? Gdyby zaś było tak, to czyż możliwe jest, aby pozostawił piśmienny dowód swego oszukaństwa?

– Ten dowód istnieje, zapewniam cię słowem honoru.

– Pokaż go!

– Na nieszczęście, nie posiadam go u siebie. Obawiając się jakiej złej przygody, powierzyłem go w ręce przyjaciela. Gdybym umarł, te ręce potrafią zrobić użytek ze skarbu, który im oddano do przechowania.

Ostatnie słowa, oddalające groźbę natychmiastowego niebezpieczeństwa i pozostawiające trochę miejsca na wątpliwości, przywróciły Rolandowi poprzednią pewność siebie.

– Zatem – przemówił – cóż zamierzasz uczynić?

– Nic, jeśli zgodzisz się na uznanie praw Ludwika. W razie przeciwnym zamierzam udać się po testament hrabiego de Lembrat i dać mu rozgłos potrzebny.

– Wyznaj, Cyrano, żeś liczył na swój dowcip autorski, który trzeba stwierdzić, stoi na wysokości twojej odwagi, aby mnie odwieść od tego, co nazywasz niesłusznie zdradą. Jestem gotów za śmiałość swą dać ci zadośćuczynienie ze szpadą w rękę, nie waham się jednak oświadczyć, że nie wierzę w owo rzekome wyznanie mego ojca.

– Nie wierzysz w nie?

– Nie, bo gdyby to było prawdą, nie zaś powiastką wylęgłą w twojej poetyckiej wyobraźni, nie oszczędzałbyś mnie tam, w salonie i ujawniłbyś przy wszystkich moją hańbę, aby nie dopuścić do uwięzienia Manuela.

– Jeśli pozwoliłem, aby uwięziono Ludwika, wiedziałem, co czynię. Było to niezbędne.

– Niezbędne? – powtórzył hrabia zaciekawiony.

– Niezbędne dla jego bezpieczeństwa.

– Nie rozumiem cię.

– Ale ja rozumiem siebie i to mi wystarcza. O, poznałem ja cię teraz do gruntu, hrabio Rolandzie! Pozostawić Manuela na wolności, wówczas kiedy ja bym wyruszył po testament, znaczyłoby to: odsłaniać jego piersi na wszystkie pociski losu. Pchnięcie sztyletu dużo czasu nie zabiera. Lepiej i bezpieczniej Manuelowi w więzieniu. Uwięzienie brata chroni cię od pokusy, a być może, iż oszczędza ci wyrzutów spełnionej zbrodni.

– Uważasz mnie za zdolnego do morderstwa?

– Po tym, com widział – oświadczył Cyrano bez ogródek – uważam cię za zdolnego do wszystkiego.

– O, tym razem – ryknął hrabia – żądam zadośćuczynienia za obelgę.

– Bić się z tobą nie będę. Mam ważniejsze cele przed sobą. Nie potrzebuję wstydzić się ani żałować tego, com powiedział. Oparłem słowa swe na dowodach. A wreszcie, gdybyśmy bili się z tobą, zabiłbym cię – a to byłaby dla ciebie wygrana!

Zaciśnięta pięść Rolanda uderzyła z wściekłością o stojący przy nim stolik. Czuł się pokonany przez zimną krew przeciwnika.

– Niech i tak będzie – syknął przez zaciśnięte zęby. – Idź, dokąd chcesz, czyń, co ci się podoba. Potrafię unicestwić wszystkie twe natarcia.

– Czy to ostatnie twoje słowo?

– Ostatnie.

– A więc – tym gorzej dla ciebie. Księga Ben Joela i testament twego ojca wystarczą mi do powalenia cię o ziemię.

– O, bądź pewny, że księgi nie dostaniesz!

– Ach, ach! – zawołał Cyrano triumfująco. – Przyznajesz zatem, że księga istnieje!

Roland zagryzł usta aż do krwi, spostrzegając za późno błąd popełniony.

Chciał coś powiedzieć – Cyrano nie dał mu na to czasu.

– Dość już się dowiedziałem – rzucił na odchodnym. – Do dzieła teraz. Ben Joel pierwszy; ty zaraz po nim.

XV

Po odejściu Cyrana hrabia stał pewien czas nieruchomo, rozmyślając nad trudnościami położenia.

Zbyt dobrze znał poetę, aby mógł wątpić o prawdzie tego, co usłyszał.

To niespodziane wyznanie zadało śmiertelny cios jego dumie i ukazało mu przepaść poniżenia i hańby, w którą wtrącić go może jedno słowo Bergeraka.

Myśl o uwolnieniu Manuela zatarła się chwilowo w jego umyśle, zaprzątnięty był całkowicie sprawą osobistego zabezpieczenia się. Trzeba było przede wszystkim uniknąć za wszelką cenę skandalu rozpraw publicznych; trzeba było następnie powstrzymać Cyrana od zamierzonych kroków, wytrącić mu broń z ręki i uczynić go nieszkodliwym.

Powziąwszy to postanowienie, Roland mało skrupulatny w wyborze środków, przywołał gwałtownie Rinalda. Ten ostatni, każdej chwili gotowy na usługi swego pana, przybiegł natychmiast.

– Czy pan hrabia, broń Boże, niezdrów? – zapytał dostrzegłszy zmienioną twarz Rolanda.

– Nie o to chodzi. Czy możesz rozporządzać Ben Joelem lub kilkoma innymi pieskami tegoż samego gatunku?

– Ben Joel należy do nas ciałem i duszą. Dość grubo posmarowaliśmy go za to. Jestem pewny, że znajdzie on w potrzebie pomocników, na których również będzie można liczyć.

– W takim razie nie traćmy ani chwili.

– Co trzeba czynić?

– Muszę koniecznie – dla powodów, których znać nie potrzebujesz, dostać do rąk pewien ważny dokument, spisany własną ręką mego ojca..

– Gdzie się ten dokument znajduje?

– Tego właśnie nie wiem. Wiadomo mi jedynie, że otrzymał go w depozyt Cyrano i że tenże Cyrano powierzył go z kolei komu innemu.

– Do licha! To bardzo zagmatwane!

– Nie ma węzła tak splątanego, by nie można go było rozwiązać przy pomocy cierpliwości.

– I pieniędzy – uzupełnił Rinaldo, który nigdy nie tracił z oczu rzeczy poważnych.

– Będiesz je miał. Sprawa, którą ci powierzam, ma w tej chwili cztery punkty główne: Szpiegować zrećnie Cyrana i jeśli wyruszy w drogę, dowiedzieć się, dokąd pojechał. Nie dopuścić, aby dostał się do celu podróży. Zdobyć pismo mego ojca, wysłedziwszy nazwisko i miejsce pobytu depozytariusza. Odebrać Bergerakowi podstępem lub siłą dokument w razie, gdyby wymijając wszystkie zasadzki i zwalczając wszystkie przeszkody przyszedł on do jego posiadania.

– Doskonale. Wszystko będzie spełnione. Widzę jednak, że pan hrabia przygotował mi tym razem twardy orzech do zgryzienia. Kapitan Czart nie tak łatwo daje się złapać. Zna on różne diabelskie sztuczki, wskutek których kto z nim zadziera, bardzo skórą swą ryzykuje.

– Zabobonny prostaku! – wykrzyknął hrabia z gniewem. – Boisz się zatem?

– Niech się pan hrabia nie gniewa. Być może, iż się boję, ale znam swą rzecz i skuteczniej usłużę panu hrabiemu ze swym prostactwem niż niejednen zbir ze swą szpadą.

– Będiesz miał zresztą do pomocy Ben Joela i jego szajkę.

– Biorę to naturalnie w rachubę. Kiedy zabieramy się do dzieła?

– Natychmiast.

– To znaczy jutro rano, gdyż o tej godzinie Bergerac, choćby był najwścieklejszy, wychrapuje w najlepsze.

– Zgoda na jutro. Ja ze swej strony postaram się, aby ów Manuel został osądzony w skróconym terminie; gdybym zaś uważał, że sprawiedliwość starosty posuwa się zbyt opieszale...

Nie dokończył. Złowrogi uśmiech prześliznął się po jego bladych wargach. Roland przygotowany był sięgnąć uzbrojonym ramieniem do najskrytszej ciemnicy więzienia Châtelet i ugodzić w bezbronną pierś Ludwika.

– Ech! – wtrącił poufale sługus – czyżby to jeszcze szło o tego lalusia, wicehrabiego?

– Cóż to, mości Rinaldo, odważasz się mnie badać?

Sługus zaczerwienił się i z przesadną uniżonością spuścił oczy w ziemię.

– Idź – zakończył hrabia – i nie staraj się wiedzieć więcej, niż potrzeba. Masz tu zasilek dla dodania odwagi swym ludziom.

Roland zanurzył rękę w szufladzie florenckiego kantorka, kunsztownie wykładanego kolorowymi kamykami, słoniową kością i masą perłową – i wydobył garść złotych pieniędzy, które, nie licząc, rzucił na stół przed Rinalda.

Włoch ukrył pośpiesznie złoto w swej kiesce i posłuszny skinieniu ręki swego pana zabrał się do odejścia. Odchodząc rzekł jeszcze:

– Jutro wieczorem będę miał zaszczyt zawiadomić pana hrabiego o wyniku swych poszukiwań. Teraz idę obmyślać plan działania.

Świtało już, gdy Roland kładł się do łóżka. Na próżno jednak przyzywał sen; na jedną chwilę nie mógł się uspokoić. Dźwięczał mu nieustannie w uszach przenikliwy głos Cyrana, a nazwisko prawdziwego ojca, Jakuba Rogacza, postrzygacza baranów, występowało wciąż przed jego oczyma, wypisane ognistymi głoskami na ciemnej ścianie pokoju.

W tymże czasie Cyrano „wychrapywał w najlepsze”, wedle wyrażenia Rinalda. Toteż wstał o wczesnej godzinie, doskonale wywczasowany i z niezbędnymi do dalszych zapasów siłami.

Zaraz po przebudzeniu zawołał Sulpicjusza, który spał w bocznym pokoju.

Sekretarz przetarł oczy i podniósł się podśpiewując, co było niezawodnym znakiem złego humoru, spowodowanego zbyt wczesnym przebudzeniem.

– Młodzińcze – rzekł Cyrano – nie po to cię zbudziłem, abyś machał piórem, utrwalając na papierze ody, rondo i ballady. W tej chwili idzie o co innego. Niech sobie czernidło wysycha w kałamarzu, ty zaś zdejmij ze ściany ten uczciwy papier.

– Znów pan idzie bić się? – zapytał pisarz.

– Bynajmniej, ale będziesz mi towarzyszył w pewnej małej wyprawie, ponieważ zaś umiesz wypisywać równie zręcznie zygzaki szpadą jak piórem, więc nie zawadzi, abyś poparł mnie kilkoma młyńcami, gdy się znajdzie do tego okazja.

Oczy Sulpicjusza Castellana zabłysnęły. Pisarek ten miał duszę rycerską i lubił namiętnie wszelkie wyprawy połączone z niebezpieczeństwem. Toteż przybrał natychmiast minę zafrasowaną, zły humor jego ustąpił w jednej chwili, jak na skinienie czarnoksiężskiej laseczki.

Z rozwieszzonego na ścianie arsenału poety wybrał doskonały oręż, o delikatnym ostrzu a szerokiej gardzie, i zgiąwszy go kilkakrotnie na posadzce, dla wypróbowania hartu i giętkości, wsunął do pochwy przy swym pasie z bawolej skóry.

– Na Herkulesa! – zawołał Cyrano – dzielnie wyglądasz w tym przystrojeniu, mości Castellanie, a dobra mina bardzo przydać się może, gdyż idziemy brać szturmem ładną dziewczynę, a przynajmniej jej mieszkanie.

– Na cóż w takim razie wojenny rynsztunek?

– Przy ładnej dziewczynie może łatwo znaleźć się kilku zawalidrogów z giętym żelazem w silnej łapie.

– Rozumiem. Czy zaraz wyruszamy, mistrzu?

– Wyruszamy dziś wieczorem. Ciemność, mój synku, jest pewniejszą od dnia powiernicą tajemnic. Jeżeli zajdzie potrzeba wymienienia kilku szturchańców, lepiej, że się to odbędzie po ciemku, bez niepotrzebnego kłopotania pacholców miejskich i gorszenia statecznych mieszczan. Idź pogapić się trochę w stronę Nowego Mostu, ja tymczasem pójdę powiedzieć dzień dobry imć panu Janowi de Lamothe, naszemu drogiemu, kochanemu, czcigodnemu staroście, którego niechaj dziś jeszcze wszyscy diabli porwą!

Po tym dialogu poeta i jego sekretarz, zadowoleni z siebie i weseli, wyszli razem na ulicę.

Jan de Lamothe raczył łaskawie objaśnić Cyrana, że sprawa Manuela wymaga długich dochodzeń sądowych i że prawdopodobnie przed upływem miesiąca nie wejdzie na wokandę. O tym tylko poeta chciał się dowiedzieć.

W drodze nadzwyczajnej łaski dozwolono poecie przesłać więźniowi kartkę, w której zalecał mu on po prostu być cierpliwym.

Stamtąd powrócił do domu, gdzie nie zastał jeszcze Castellana.

Szlachcic zjadł śniadanie i jął pisać długi list do Jakuba Szablistego. Skończywszy schował pismo do szuflady, z której wy dostał przyzwoicie zaokrąglony worek.

Sekretarz niebawem powrócił, dzwoniąc rycersko swym rapierem.

– Mamy jeszcze czas – rzekł Cyrano. – Chodźmy na obiad pod „Śmiałe Serce”; przeczekam tam do wieczora.

– O mistrzu, ty niewiesz zawsze cudowne natchnienia. Zapomniałem właśnie zjeść śniadania i głód tak mi doskwiera, że łykałbym kamienie, na podobieństwo Saturna, ojca bogów.

Oberża „Pod Śmiałym Sercem” znajdowała się na ulicy Guénégaud, w pobliżu budy sławnego Brioché, w której zaszła oplakana scena z małpą Fagotin.

Z okien dolnej komnaty, gdzie zasiedli młodzi towarzysze, widać było kawałek Nowego Mostu. Nie bez myśli wybrał zapewne Cyrano to miejsce na poczekalnię. Z miejsca, na którym siedział, mógł bez trudności obserwować, co się dzieje na zewnątrz; nie przestając też jeść i nie przerywając rozmowy z Sulpicjuszem, badał wciąż wzrokiem tę część Nowego Mostu, którą obejmowały jego spojrzenia.

Zmierzchało już; niebawem postaci przechodniów, oglądane przez małe szybki oberży, poczęły wydawać się niepewnymi cieniami; niepodobna było prowadzić dalej spostrzeżeń. Nie było to widocznie po myśli Cyranowi, bo zaklął pod wąsem i wstawszy od stołu dał znak towarzyszowi, aby uczynił toż samo.

Wyszli obaj i posuwając się wybrzeżem Sekwany skierowali kroki na most Nesle. W drodze Cyrano udzielił towarzyszowi przyciszonym głosem kilku objaśnień, o które tamten nie śmiał dotąd zapytywać.

Niebawem ukazał się ich oczom Dom Cyklopa, rysując się we mgle czarną sylwetą, którą u szczytu rozjaśniało jedynym punktem świetlnym okienko Zilli.

– Jest w domu – szepnął Cyrano. – Popatrzmy trochę.

Owinięci w płaszcze, zatrzymali się o kilka kroków, pod liściastym sklepieniem olbrzymiego wiązu, który rozpościerał nad nimi pokręcone gałęzie. Można było niemal otrzeć się o nich, a jednak ich nie spostrzec, tak byli nieruchomi i jakby zlni w jedną masę z ciemnym pniem starego drzewa.

O tej porze niewielu było przechodniów w tej stronie miasta i zwykły gwar uliczny zaczynał już przycichać. Była to godzina, w której stateczni mieszczanie powracają do domu, a przedmieściowe włóczęgi, nędzarze, awanturnicy i inni kawalerowe „Pięknej Gwiazdy” rozpoczynają swe nocne wyprawy.

Już od pół godziny Cyrano i Sulpicjusz stali na czatach, gdy nagle w Domu Cyklopa otwarto ostrożnie furtę. Wszedł nią człowiek, za którym pośpieszyli wkrótce dwaj czy trzej inni. Przeszli wszyscy tuż obok czatujących, nie spostrzegając ich jednak.

Gdy ostatni z nich wymijał Cyrana, poeta trącił łokciem towarzysza.

– Widziałeś? – zapytał, gdy już tamten znajdował się zbyt daleko, aby mógł usłyszeć.

- Któż to taki?
- To on, Ben Joel!
- Na honor! Nie mam pańskich oczu ostrowidza i nie mógłbym sprawdzić tego spostrzeżenia.
- Poznałem go wybornie i przyznam ci się, że bardzo zadowolony z naszych czatów. Wyjście tego łotra ułatwia nam robotę. Zależało mi na tym, aby nie czynić hałasu; jakoż będziemy mogli dopełnić najspokojniej w świecie poszukiwań, którym przyświecać jedynie będą piękne oczy tej kochanej Zilli. A teraz, chłopcze, nie traćmy czasu i wejdźmy do kryjówki.

XVI

Cyrano wynurzył się z kręgu cienia, w którym przebywał na czatach, i zapukał do furty domu zamieszkanego przez Cyganów. Owinął się płaszczem tak szczelnie i tak nisko opuścił na twarz skrzydła kapelusza, że widać mu było tylko oczy. Sulpicjusz uczynił toż samo.

Dopiero po trzecim zakołataniu otworzyła stara odźwierna. Trzymała ona w ręce lampę, którą podniosła do wysokości twarzy obu przybyszów. Skończywszy badanie i przekonawszy się, że ma do czynienia z obcymi sobie, zabierała się do zatrzęsnięcia im furty przed nosem.

Ręka, która wyciągnęła się do niej podając sztukę złota, trzymaną delikatnie pomiędzy palcem wielkim a wskazującym, powstrzymała w jednej chwili ten ruch niegościnnie. Starucha wyrwała szybko pieniądz spomiędzy palców Cyrana; twarz jej wykrzywiła się brzydkim grymasem, który miał oznaczać uśmiech uprzejmy.

- Czego życzy sobie jego wielmożność? – spytała.
- Cóż to, babo – zgromił ją poeta – trzebaż koniecznie złotego klucza, aby ci dziób otworzyć? Chcę pomówić z Zillą!
- A co to za interes?
- To do ciebie nie należy.
- Kiedy bo Zilla nie bardzo chętnie przyjmuje nieznajomych, szczególnie o tej godzinie i kiedy jest sama.

Cyrano brzęknął kieską, w której złote i srebrne sztuki wydały dźwięk, nader przyjemny dla ucha.

– Kiedy nieznajomi – wyrzekł – mogą ofiarować taką cenę za przysługę, której żądają, Zilla, jak mniemam, nie będzie zbyt szlachetnie liczyć się z godziną. Krótko mówiąc, łaskawa damo – dodał tonem poufnie i ironicznym – przybywam w celu kupienia napoju miłosnego.

– Jeśli tylko o to chodzi – oświadczyła uspokojona megiera – jego wielmożność nie mogła trafić lepiej. Proszę do środka. Tymi schodami raczy pan iść na górę, doprowadzą one prosto do pokoju Zilli.

Cyrano obyć się mógł wygodnie bez tych wskazówek; znał on już drogę do gniazda Cyganów. Toteż śmiało wstąpił na strome i brudne schody, na których Castillan potknął się i pośliznął trzy czy cztery razy, co spowodowało tyleż kłatw na Dom Cyklopa.

Wąska smuga światła wychodząca z nie domykających się drzwi Zilli wskazywała drogę Cyranowi, który inaczej nie potrafiłby kierować się wśród zupełnych ciemności, w jakich pograżone było całe wnętrze domu.

Dobrawszy się nareszcie do celu, nie potrzebował pukać, pod lekkim bowiem naciśnięciem otworzyły się drzwi na całą szerokość i obaj przybysze znaleźli się, prawie niespodzianie, przed obliczem wróżki.

Zilla, odziana w długą tunikę z białego jedwabiu, która modą wschodnią otwierała się na piersiach, z obnażonymi rękoma, na których błyszcząły srebrne naramienniki, mieszała z wolna zawartość małego kociołka, przystawionego do ognia.

Twarz dziewczyny, rozgrzana od ognia, była nadzwyczaj ożywiona i kiedy jej oczy czarne, głębokie, aksamitne podniosły się na przybyszów, Castillan uczuł się jakby objęty płomieniami i wyznał po cichu, że słońce było zimne jak lód w porównaniu z tymi dwiema świetnymi gwiazdami.

Zilla nie wydawała się ani przerażona, ani nawet zdziwiona tymi nocnymi odwiedzinami. Wyjęła z piecyka kociołek, w którym warzył się jakiś płyn czarniawy, odrzuciła w tył włosy opadające jej na twarz w nieładzie i wyszła w milczeniu na spotkanie gości.

Cyrano zamknął starannie drzwi i zrzucając płaszcz oraz kapelusz skłonił się przed Zillą nie bez pewnej ironii.

– Pan de Bergerac! – wykrzyknęła Cyganka, której twarz śniada powlokła się nagłą bladością.

– Czy te odwiedziny dziwią cię, moja piękna pani? – zapytał szlachcic. – Powinnaś była jednak spodziewać się ich.

– Dlaczego? – odrzekła śmiało Zilla, wpatrując się niezmrużonymi oczyma w poetę.

– Dlatego że... ale pozwól łaskawie, że przede wszystkim zabezpieczę się, aby nam nie przeszkadzano. Przyjacielu Sulpicjuszu, zamknij drzwi i schowaj klucz do kieszeni.

Młodzieniec spełnił polecenie i stanął w głębi komnaty, czekając nowych rozkazów Cyrana.

– Czego pan chcesz ode mnie? – spytała Zilla, której brwi ściągnęły się majestatycznie na widok tych przygotowań.

– Nic nazbyt trudnego do spełnienia – odrzekł Sawiniusz. – Jeżeli pozwoliłem sobie zamknąć te drzwi na klucz, miałem do tego powody. Przekonałem się przed chwilą, że wchodzi się do ciebie bez opowiadania, musiałem więc zabezpieczyć się przed natrętami, których nie lubię. A teraz, moja królowo, powiem ci, po co przybyłem.

Zilla odpowiedziała tylko ruchem ręki, jakby zapraszając do mówienia.

– Nie potrzebuję wspominać ci, że idzie tu o Manuela.

Dreszcz przebiegł całe ciało Cyganki na dźwięk tego imienia, które tak wiele uczuć w sercu jej budziło. Ale twarz jej pozostała nieczuła.

– Manuel w więzieniu – mówił z naciskiem poeta – i tyś to, Zillo, tam go wtrąciła, odmawiając za przykładem brata wyznania prawdy. Otóż, gdy prawda kryje się do nory, trzeba ją stamtąd wyciągnąć, i to jest powód, dla którego mnie widzisz przed sobą.

– Nie rozumiem pana – odrzekła Zilla tonem lodowatym.

– A jednak to, co mówię, jest zupełnie proste. Ben Joel utrzymywał, że Manuel nie jest bratem hrabiego, pomimo że poprzednio mówił do mnie o tym wręcz przeciwnie. Ben Joel zaprzeczył istnieniu rozstrzygającego dowodu, pomimo że poprzednio upewniał mnie, że go ma w ręku. Cóż sądzić o takim postępowaniu? Znaczy ono po prostu, że brat twój oddał sumienie na usługi cudzych interesów i że poświęca Manuela dla jakichś zysków nieczystych.

– Nie do mnie, panie, odnoszą się te zarzuty, lecz do mego brata.

– Twój brat jest nicponiem, z którym nie chcę wcale wdawać się w rozmowę. Znam zresztą rzecz, która potrafi być wymowniejszą od Bena Joela.

– Cóż to za rzecz?

– Księga starego Joela, twego ojca. Ta księga istnieje, ta księga znajduje się tu, w tym mieszkaniu, tę księgę chcę kupić od ciebie, Zillo.

Cyganka uśmiechnęła się wzgardliwie.

– Targi? – zapytała. – Ze strony Kapitana Czarta, Cyrana Nieustraszonego, groźba wydałaby mi się rzeczą właściwszą i szlachetniejszą.

– Nie walczmy na słowa, moja piękna. Przyznajesz, że ta księga jest i w twoim posiadaniu?

– Nic nie przyznaję.

– Pozwolisz, w takim razie, że jej poszukamy.

– W moim mieszkaniu?

– Tak.

– Otóż to postępowanie szlachetne i w sam raz odpowiednie dla szlachcica.

– Nie zawsze można być szlachetnym, moja miła. Kiedy przez ohydne kłamstwo gubiłaś Manuela, gdzie była wówczas twoja delikatność?

– Wyjdź pan! – krzyknęła Zilla, z pierśią dyszącą od gniewu – wyjdź pan, bo za nic nie ręczę!

Przy tych słowach pochwyciła za sztylet o krótkim i szerokim ostrzu i błysnęła nim przed oczyma poety.

– Jedno draśnięcie tego ostrza – rzekła – sprowadza śmierć natychmiastową, gdyż broń ta jest natarta gwałtowną i zabijającą jak piorun trucizną. Z tym sztyletem w ręce nie obawiam się pańskiej szpady. Po raz ostatni zatem rozkazuję panu: wyjdź stąd!

Cyrano uśmiechnął się i ruchem szybszym niż myśl ścisnął dłoń Zilli w prawej ręce, lewą zaś wyjął jej z palców lekko i zręcznie zatruty sztylet, który oddał Castillanowi.

– Widzisz, najdroższa – rzekł lekceważąco – jak jest gniew twój dziecinnym. Usiądź, proszę cię, spokojnie i nie przeszkadzaj nam. Gdybyś nie usłuchała, musiałbym cię związać, co – wierz mi – byłoby dla mnie prawdziwą przykrością; gdybyś zaś próbowała krzyczeć, byłbym zniewolony zakneblować ci usta, co dla dam jest rzeczą wielce nieprzyjemną.

Zilla, pokonana, upadła bezsilnie na stołek.

– A więc szukaj pan – jęknęła zamierającym głosem.

Nie spuszczać z oka Zilli, która z twarzą ukrytą w dłoniach wsparła się o stół pełen książek, szklanych naczyń i przeróżnych drobnostek i zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na to, co się dokoła niej dzieje, Cyrano i Sulpicjusz zabrali się do wywracania i obszukiwania sprzętów, nie omijając ani jednej szparki, ani jednej fałdy, ani jednego załomu, gdzie można było podejrzewać kryjówkę.

Czynność ta pochłonięła niebawem całą ich uwagę.

Cyrano wyobrażał sobie co chwila, że znajduje się już u celu poszukiwań i za każdym razem, gdy spostrzegł zawód, siarczyste zakłęcia z ust mu się wyrzywały.

Te wybuchy gniewu i niecierpliwości zdawały się nie obchodzić zupełnie Zilli. Ale podczas gdy Cyrano dobywał ostatnich sił, aby dostać, bodajby spod ziemi, przedmiot swych poszukiwań, prawa ręka Zilli, odjęta z wolna od czoła, wyciągnęła się na stół i pochwyciła leżący tam wąski skrawek papieru. Z tą samą ostrożnością sięgnęła po pióro i umoczywszy je w czernidle, nakreśliła pośpiesznie na owym skrawku kilka słów. Zrobiwszy to wsunęła papier do szklanej rurki, która znalazła się pod ręką i wstała z miejsca w chwili, gdy Cyrano i Sulpicjusz, których poszukiwania były aż do tej chwili bezowocne, zbliżali się do stołu, aby przeszukać szuflady.

Na ruch uczyniony przez Cyganekę Cyrano, obawiający się nowej próby oporu, skierował na nią wzrok przenikliwy.

– Szukajcie, szukajcie! – rzekła ona z dość podejrzaną uległością. – Nie przeszkodzi wam to z pewnością, gdy ja zajmę się na powrót przerwana robotą.

I jakby pewna z góry przyzwolenia, podeszła do ogniska umieszczonego w rogu komnaty, gdzie zabrała się natychmiast do swych dwuznacznych czynności.

– I owszem, Zillo – rzekł Cyrano. – Jesteś teraz dziewczyną zupełnie rozsądną.

Zilla uśmiechnęła się uprzejmie. Jednocześnie odsunęła ostrożnie blachę zakrywającą powyżej ogniska otwór, który wychodził do szerokiego kanału, wspólnego wszystkim paleniskom w Domu Cyklopa. Przez ten otwór, prawie natychmiast zasunięty, wyrzuciła szklaną

rukę z karteczką i błyskawica tryumfu zaświeciła w jej oczach, gdy usłyszała słaby brzęk szkła tłukącego się na dole o kamienną płytę komina.

Zaraz się wyjaśni powód jej radości.

Usłyszawszy brzęk szkła tuż przy sobie, jeden z obdartusów, śpiących w izbie noclegowej, silny drażal o cerze brunatnej, węzlastych mięśniach i czuprynie skędzierzonej jak runo na owcy, przyczołgał się po cichu do komina, pochwycił kartkę, która wypadła ze szklanej koperty i odczytał ją przy świetle lampki wiszącej u pułapu.

– *Demonio!* – mruknął do siebie – spieszyć się trzeba!

Poprawił na sobie łachmany, pchnął furtkę i wybiegł na ulicę.

Była noc czarna. Drażal, wszystkich sił dobywając, popędził w stronę Nowego Mostu. Zbliżywszy się do rzeki gwizdnął przeciągle, w pewien szczególny, umówiony widocznie sposób.

Takież samo gwizdnięcie odpowiedziało mu w pobliżu. Potem, nieco dalej, rozległo się drugie, po drugim trzecie i niebawem hasło to, w coraz bardziej słabnącym echu, dobiegło aż do przeciwnego brzegu rzeki.

W kilka chwil później pięciu czy sześciu ludzi otoczyło posła Domu Cyklopa.

– Ben Joelu! – rzekł ten ostatni do jednego z nich – czy wiesz, co się dzieje w twoim mieszkaniu?

– Co takiego?

– Zilla uwięziona przez dwóch napastników, a mieszkanie rabują. Siostra twoja rzuciła mi kartkę, abym przybywał z pomocą. Pośpieszaj.

– Rabusie w moim mieszkaniu! – wykrzyknął Ben Joel. – Któż by się omielił?

– Zilla napisała imię C y r a n o.

– Kapitan Czart! – zawołał Cygan. – A, będę mógł nareszcie zapłacić mu za swą chłostę!

Opryszek pomacał głowicę noża za pas zatkniętego i począł biec, otoczony całą bandą, do Domu Cyklopa.

Trwało to wszystko nie dłużej nad kwadrans.

Cyrano i Castillan nie przestawali szukać. Wypróżnili wszystkie szuflady, rozpruli i wytrząsnęli poduszki, opukali mury – wszystko nadaremnie.

– Nic, nic! – powtarzał Cyrano z głuchą wściekłością. – Trzeba przetrząsnąć drugą izbę.

Spojrzał badawczym wzrokiem na Zillę. Stojąc nieruchomo w głębi komnaty, utopiła ona w Sawiniuszu spojrzenie zagadkowe a niepokojące, które wzbudziło obawę w młodym sekretarzu. Nie był on lękliwy, ale przywyknął sobie zdawać sprawę ze wszystkiego, tego zaś spojrzenia nie rozumiał.

– Pomóżże mi, leniuchu! – krzyknął nań Cyrano, zabierając się do nowych poszukiwań.

Nagle poeta wydał okrzyk radości. Pod starym kobiercem udało mu się nareszcie odkryć mały kuferek okuty żelazem, którego dotąd po wszystkich dziurach upatrywał bez skutku.

– A! – zawołał uradowany – otóż i schronienie dokumentu.

Gwałtowne poruszenie Zilli zdawało się potwierdzać jego domysł. Dziewczyna porwała się z miejsca, jakby zamierzając rzucić się na poetę, przy czym krzyczała:

– Nędzniku, nie dotykaj szkatułki!

– Słyszysz, Castillanie? – rzekł spokojnie Cyrano, usuwając ruchem prawie uprzejmym Zillę – tym razem namacaliśmy wreszcie gniazdo. Byle tylko piękna Sybilla nie przeszkadzała nam, dostaniemy do rąk i ptaszka.

Lecz Zilla zdawała się przygotowaną do zaciętego oporu, Cyranowi przychodziło z trudnością przytrzymać ją na miejscu, Castillan tymczasem wyciągnął szkatułkę na środek pokoju, aby można było wygodniej ją przeszukać.

Nagle Zilla przestała się opierać. Do uszu jej dobiegł odgłos kroków na schodach. Odgłos ten, z początku słaby, stał się po chwili wyraźniejszy. Dziewczyna nie myliła się. Kartka doszła do celu przeznaczenia. Ben Joel z bandą swą przybywali na pomoc.

– Ach, panie Cyrano! – zawołała wydzierając się z ramion szlachcica, aby przebiec na przeciwną stronę izby – nie chciałeś wyjść stąd przed chwilą, gdy tego od ciebie żądała, a teraz kto wie, czy ci się uda to zrobić, choćbyś chciał nawet!

Zaledwie wymówiła te słowa, dało się słyszeć gwałtowne kołatanie do drzwi, tym bardziej niespodziewane, że ani Cyrano, ani Castillan nie słyszeli żadnych głosów ostrzegających.

Jednocześnie zagrzmiał w sieni cały chór krzyków ochrypłych, wściekłych z gniewu i wygrażających.

Cyrano wyprostował się i nadstawił uszu.

– W tym miejscu, synku – rzekł ze zwykłą swobodą do Sulpicjusza – rapiery nasze odegrają swą małą rolę. Przeklęta księga znajduje się w tym pudle. Jeśli nie dostaniemy jej wpierw, zanim tamci drzwi wywalą, trzeba będzie podejmować całą robotę na nowo.

– Zdaje mi się – zauważył Castillan wyciągając żelazo z pochwy – że wypada nam teraz pomyśleć o własnej skórze, która jest pono diablo zagrożona.

Zatrzeszczały deski dębowe. Drzwi zaczynały ustępować pod naporem opryszków. Wreszcie uderzenie silniejsze od innych wyrwało je z zawiasów i rzuciło na środek izby.

W tejże chwili wdarło się do środka pięciu ludzi pod wodzą Ben Joela. Wszyscy uzbrojeni byli w szpady i rapiery.

– Piękny kapitanie! – wykrzyknął Ben Joel znalazłszy się przed Cyranem – załatwimy narzeczcie nasze rachunki! Naprzód, wy tam! A nie dawać pardonu elegantom!

– Ileż słów niepotrzebnych! – uśmiechnął się wzgardliwie Cyrano. – Z drogi, łotry!

– Bij, zabij! – wrzasnęła banda waląc się na młodzieńców. Szpada szlachcica perigordzkiego wywinęła w powietrzu straszliwego młyńca. Cyganie cofnęli się, przerażeni tą stalową błyskawicą.

– Z drogi! – powtórzył Cyrano posuwając się naprzód. W tej chwili dojmujący ból zmusił go z kolei do cofnięcia się. Ben Joel podpełznął doń na czworakach i zagłębił mu zdradziecko ostrze noża w udzie, spodziewając się uśmiercić go na miejscu albo też powalić na ziemię i leżącego dobić. Szpada Cyrana podniosła się, grożąca i złowroga. Ben Joel odskoczył unikając ciosu i ukrył się za plecami towarzyszków.

Teraz natarli wszyscy kupą, Sulpicjusz wytrzymał natarcie, Cyrano tymczasem z pośpiechem owiażywał szarfą swą nogę ranioną. Sekretarza okazał się godnym swego mistrza. Długi jego rapier, migający w prawo i lewo, naznaczał krwawymi pręgami twarz opryszków. Szpada wróciła następnie do położenia normalnego i skrzyżowała się z żelazem jednego z napastników.

– Pchnij! – krzyknął Cyrano, mieszając się znowu do bójki.

Castillan poszedł za radą mistrza. Pchnął i przebił na wylot piersi przeciwnika, który padł z jękiem na podłogę. Bergerac w tejże chwili powalił drugiego zbója i szpada jego dotknęła Ben Joela. Cygan chciał i teraz ratować się ucieczką, ale pośliznął się wstąpiwszy w kałużę krwi i przykląkł na jedno kolano.

Zilla, która dotąd milcząca i obojętna przypatrywała się nierównej walce, ocknęła się na widok padającego brata, którego uważała już za zgubionego. Z błyskawiczną szybkością ściągnęła z jakiegoś mebla kobierczyk, podbiegła do Cyrana odwróconego plecami i zarzuciła mu miękką tkaninę na głowę.

Oślepiony i duszący się szlachcic miotał się na wszystkie strony, szukając instynktownie sposobu pozbycia się tego nieprzyjemnego kaptura, a tymczasem Castillan odbijał ciosy, gradem nań spadające.

Nagle Cyrano potknął się i uderzył skaleczoną nogą o stołek. Przeniknął go ból tak straszny, że omal nie stracił przytomności i gdyby wyciągnąwszy przed siebie rękę nie natrafił na mur, o który się oparł, byłby niechybnie runął na ziemię.

Czterej pozostali zbóje, bardziej obcy z nożem niż ze szpadą i nadzwyczaj o skórę swą lekkliwi, nie umieli skorzystać z niemocy swego głównego przeciwnika.

Castillan rzucał się jak opętany i szpada w jego ręce zdawała się dwoić i troić, tak szybko nią wywijał.

Kiedy opryszki, oprzytomniawszy nareszcie, umyślili wykonać zbiorowo natarcie na obezwładnionego szlachcica, było już za późno. Cyrano zdołał nareszcie uwolnić się z pętającej go płachty i wężowe ostrze jego szpady przebiegło ze świstem o dwa cale od piersi napastników.

Jednak mimo przewagi, jaką umiał sobie zapewnić nad opryszkami, poeta nie łudził się co do swego stanu, który był niewątpliwie groźny.

Wiedział, że lada chwila może osłabnąć, a wówczas wrogowie górę nad nim wezmą. Ta myśl rozpaczliwa skłoniła go do wykonania tak szalonego natarcia, że Cyganie potrącając się wzajemnie uskoczyli do drzwi, myśląc o odwrocie.

Ben Joel spostrzegł, że ofiara może mu się wymknąć i krzyk wściekłości wyrwał mu się z piersi.

Nie odważyłby się on za żadną cenę wstąpić w świetlisty okrag, zakreślony szpadą poety, użył jednak innego, właściwszego sobie środka.

Pochwycił za nogę ciężki stółek dębowy i cisnął go w Cyrana.

Dostrzegł to Castillan i rzucił się naprzód, aby zasłonić mistrza —jemu też dostał się ten cios fatalny. Szpada wypadła z ręki młodzieńca, nogi ugięły się pod nim i — upadł bezwładnie na podłogę.

Ten wypadek pozbawił częściowo Cyrana zimnej krwi. Gdy nie myśląc chwilowo o własnym bezpieczeństwie pochylił się on nad ciężko rannym towarzyszem, drugi stółek, rzucony przez innego opryszka, skruszył mu szpadę, oddając go tym sposobem na łaskę i niełaskę zbójów.

— Bezbronny! — wrzasnęła chórem banda. — Zabić, zabić!

Do nacierających podeszła Zilla.

Być może, iż zamierzała ona ocalić życie młodzieńcowi, bo wstrętna była jej myśl, że go bezbronno mordować mają nikczemnie w jej oczach, gdy wtem w otworze wywalonych drzwi zjawił się — Rinaldo.

Poznawszy Cyrana de Bergerac i widząc czterech zbójów, godzących weń nożami, przyskoczył szybko do Ben Joela i chwycił go za ramię, które tylko co śmiertelny cios zadać miało.

— Nie zabijaj go! — krzyknął rozkazująco.

Następnie, odciągając Cygana na stronę, jak najdalej od Cyrana, dodał głosem zniżonym:

— Czyś zapomniał o umowie, którą zrobiliśmy dziś rano? Potrzebny jest on nam koniecznie, gdyż bez niego stracilibyśmy ślad tajemnicy hrabiego de Lembrat.

Trzej towarzysze Ben Joela widząc, że ich wódz zaprzestaje walki, poszli skwapliwie za jego przykładem. Zamiast nacierać na bezbronno Cyrana, zatarasowali swymi łachmanistymi figurami drzwi, aby nie dopuścić do jego ucieczki.

Castillan podczas tej krótkiej sceny przyszedł cokolwiek do siebie. Poeta, uwolniony od napastników, podał mu rękę i pomógł wstać.

Dzielny szlachcic biedził się jeszcze nad rozwiązaniem pytania: dlaczego zjawienie się Rinalda wpłynęło tak zbawiennie na losy nierównej walki, gdy sługus Rolanda zbliżył się doń z miną ugrzecznioną i zmuszając do uśmiechu twarz o wyrazie złowrogim, oświadczył:

— Panie de Bergerac, może pan wracać do domu. Nie potrzebuje się pan niczego obawiać.

— He, mości Rinaldo! — wykrzyknął zuchowato poeta. — Czy mógłbym dowiedzieć się, czemu zawdzięczam uprzejmość pańską?

— Jestem szczęśliwy, mogąc przysłużyć się czymkolwiek jednemu z przyjaciół pana hrabiego.

— Hm, hm! Coś innego w tym się ukrywa. W każdym razie słuchajcie, łotry! — mówił szlachcic, obrzucając wyzywającym spojrzeniem otaczających go zbójów — jeśli wypuszcza-

cie mnie dziś w nadziei, że w przyszłości, przy nowym napadzie, lepiej się obłowicie, muszę was zawczasu wyprowadzić z błędu. Przysięgam wam, łajdaki, że przy pierwszej zdarzonej sposobności nie tylko nie będę was oszczędzał, ale zapłacę z lichwą zbrodnie dzisiejsze. Oprzyj się na mnie, Castillanie. Do widzenia, Zillo.

I dumny jak satrapa przeszedł samym środkiem ustępujących mimowolnie bandytów, nic sobie nie czyniąc z błyszczących nożów i szpad obnażonych i z wolna, podtrzymując osłabionego Sulpicjusza, jał zstępować ze schodów.

Gdy zniknął, Rinaldo parsknął śmiechem szyderczym.

– Beze mnie – rzekł do Ben Joela – byłbyś palnął niepowetowane głupstwo.

– Ja łaknę jego krwi – warknął Cygan, tocząc dokoła spojrzenie złowrogie – i prędzej lub później napię się jej muszę!

– Oddam ci na własność twoją ofiarę, gdy już nie będzie mi potrzebna. A możesz być pewny, że już ci się nie wymknie. Od tej chwili trzymam go ni mniej, ni więcej, tylko tak właśnie, jak się trzyma na nitce uwięzionego za łapę chrabąszcza.

To świetne porównanie wymownego Rinalda położyło koniec rozmowie.

Dwaj ranni zostali wyniesieni przez przyjaciół i Zilla pozostała sama w swej komnacie, gdzie śladem przejścia Cyranowego była straszna całego mieszkania ruina.

XVII

Nazajutrz po tych wypadkach jakiś chuderlawy, na obie nogi utykający staruszek zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał Cyrano, a który był w rodzaju dość przyzwoicie wyglądającego zajazdu. Po chwilowym wahaniu się staruszek wszedł, a raczej wśliznął się nieśmiało do wspólnej izby gościnnej na dole. Miał na sobie czarny, wytarty kaftan, za krótkie spodnie, ściśnięte pasem skórzanym, u którego przywiązane były przyrządy do pisania, a wreszcie szare pończochy, opadające na przestronne, ciężkie trzewiki bez sznurowadeł. Zatluszczona mycka nakrywała mu czubek głowy, spod niej zaś wymykały się długie pasma siwych włosów.

Nieznamy miał minę oplakaną. Przygarbione jego plecy zdawały ugiąć się pod ciężarem małego tłumoczek podróżnego, a suchy kaszel wstrząsał co parę chwil jego całą wątłą postacią.

Jakkolwiek ten przybysz wyglądał bardziej na żadnego datku biedaka niż na gościa, który byłby w stanie uiścić opłatę za gościnność, właściciel zajazdu, człowiek dość miękkiego serca, zbliżył się doń grzecznie i zapytał, czego żąda.

– Pokoju gościnnego, bez urazy pana gospodarza – rzekł starzec pomiędzy dwoma napadami kaszlu.

– Czy wiecie, że tu płaci się za pierwszy tydzień z góry? – objaśnił uprzejmie właściciel.

– Ile? – zapytał nieznajomy. – Nie jestem bogaczem; muszę oszczędzać i liczyć się z groszem.

– Będzie to waćpana kosztowało jednego pistola na tydzień. Przybywasz z daleka?

– Z Andegawii – odrzekł starzec, rozwiązując woreczek w celu zapłacenia żądanej sumy.

– Zamierzasz pan niezawodnie praktykować w stolicy swe rzemiosło? – wystąpił z nowym zapytaniem gospodarz – gdyż wnosząc z rożka z czernidłem i piórniką, wiszących u pańskiego pasa, jesteś z zawodu pisarzem ulicznym.

– Jestem poetą—odparł tamten z prostotą, nie pozbawioną wszakże niejakiej dumy – i przybywam do stolicy w nadziei wystawienia tragedii przez siebie ułożonej.

– Wybornie się składa! Mój zajazd szczyli się właśnie posiadaniem jednego ze znakomitych pańskich kolegów, autora *Agrypiny*, wielkiego Cyrana de Bergerac.

– Wiedziałem o tym, panie gospodarzu. I dlatego właśnie przełożyłem pański zajazd nad inne, aby przebywać w sąsiedztwie swego mistrza w Apollinie. Chcę też zapytać, czy będę mógł dostać pokój dotyczący bezpośrednio jego mieszkania? Ciągnie wszystkich do słońca! – dodał uśmiechając się nieznacznie.

– Jeśli pan życzy sobie tego – zauważył gospodarz – przedstawię go szanownemu panu de Cyrano. Pomimo wszystko, dobry to kompan – do wypitki i do wybitki.

– Broń Boże! – wymówił gość z pośpiechem. – W tej chwili znajomość ta byłaby dla mnie uciążliwym kłopotem. Racz pan schować uprzejmość swą na później. Gdy już całkowicie dzieło swe wykończę, sam o to prosić będę.

– Jak się panu podoba. Co się tyczy mieszkania, nie będę mógł ofiarować panu nic lepszego nad mały, skromny pokoiczek, który jednak posiada główny warunek, wymagany przez pana, znajduje się bowiem tuż nad mieszkaniem pana de Bergerac. Będziesz pan mógł od siebie słyszeć go wygłaszającego swe wiersze, gdyż lubi to czynić, organ zaś głosu ma potężny. Czy się to panu podoba?

– Ależ naturalnie. Będzie to dla mnie uczta bogów.

– Więc proszę za mną.

Starzec wziął tłumoczek i poprzedzany przez gospodarza jął gramolić się, kaszląc okropnie, po schodach wiodących na wyższe piętro. Gdy weszli na korytarz pierwszego piętra, gospodarz wskazał palcem jedne drzwi.

– To tu właśnie – rzekł z dumą – raczy przemieszkiwać szanowny pan de Cyrano.

Niezajomy zatrzymał się i zaczął przyglądać się drzwiom z miną pełną szacunku i czułości.

– Tu? – powtórzył składając ręce z nabożeństwem.

– Tak, lecz stąpaj pan z wolna i po cichu, gdyż poeta nasz jest słaby. Gorączkuje trochę i sekretarz jego prosił mnie, aby wstrzymać się od wszelkich hałasów, które mogą choremu zaszkodzić.

– A, Najświętsza Panienko! I skądże to spadło na tego niezrównanego człowieka?

– Pchnięto go nożem w jakiejś rozprawie. Przytrafia mu się to często, gdyż, jak panu zapewne wiadomo, tyleż ma do czynienia ze szpadą, co z piórem.

– Niech go Bóg ma w swej opiece! – westchnął starzec z namaszczeniem.

– Nie grozi mu tym razem niebezpieczeństwo. Lekarz zapewnił, że za jakieś pięć lub sześć dni postawi go na nogi.

– Niechże będzie imię boskie pochwalone!

Dopiero wejście do hotelowej izdebki położyło kres rozmowie.

– Jesteś pan u siebie – wyrzekł gospodarz, otwierając okno dla odświeżenia zatechłego powietrza. – Gdy się panu jeść zachce, możesz zejść na dół albo też przywołać Basię, służebną, która przyniesie panu posiłek do mieszkania. Pod tym względem pozostawia się u nas gościom zupełną swobodę.

– Dziękuję. Nie jestem dość bogaty, abym mógł pozwalać sobie na zbytki w jedzeniu i pić. Chciałbym też, jeśli to panu nie przeszkadza, zajmować się osobiście skromnymi potrzebami swego żołądka.

Gospodarz skrzywił się cokolwiek na to żądanie, które pozbawiło go części spodziewanych zysków i żegnając gościa z miną trochę lekceważącą rzekł:

– Przymusu u mnie nie ma. Sługa pański.

Gdy zamknęły się drzwi za gospodarzem, chuderlawy staruszek uśmiechnął się ironicznie; przygarbiona jego postać wyprostowała się, wzrok zabłysnął i – rzucając tłumoczek na łóżko — jął przebiegać pokój krokiem szybkim, lekkim, zacierając we wszystkie kąty, przestawiając meble, badając mury, jakby zabierał się do przeprowadzenia jakiegoś tajemniczego śledztwa. Nogi jego, tak ocieżyła przed chwilą, ujawniały teraz zadziwiającą sprężystość, nie kaszłał, nie utykał i gdyby nie siwe włosy, można by go było łatwo wziąć za młodzieńca.

Zbadawszy starannie swe czasowe mieszkanie, staruszek otworzył tłumoczek i wydobył zeń: nie rękopisy, książki i notatki, jak należało się spodziewać, lecz komplet pilników i świrdrów oraz krótką rurkę. We wnętrzu odemkniętego tłumoczka błyszczały jeszcze: hak miedziany oraz szacowna para pistoletów.

W chwili gdy gość oglądał w zamyśleniu te wszystkie narzędzia, zapukano lekko do drzwi.

Rzucił z pośpiechem do tłumoczka przedmioty wyglądające tak niewłaściwie w rękach poety i zaniósł się silnym kaszlem.

– Proszę wejść! – zawołał słabym, świszczącym głosem.

We drzwiach ukazał się gospodarz.

– Za pozwoleniem – rzekł. – Zapomniałem zapytać waćpana o nazwisko.

– Matus Lescot.

– Z Andegawii?

– Tak jest.

– Zapewne z Angers?

– Owszem.

– Przybywa waćpan do Paryża dla własnej przyjemności?

– Już to panu mówiłem. Na co tyle tych pytań?

– Proszę mi wybaczyć; otrzymaliśmy taki rozkaz od starosty. W tych niespokojnych czasach chce on być powiadomiony o wszystkim. Ale bądź waćpan spokojny, nikt nie będzie go niepokoił. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli waćpan masz minę spiskowca.

I gospodarz wycofał się z izdebki.

– Niech go choroba ciśnie – zaklął głucho ten, który nazywać się kazał Matusiem Lescot. – Oby tylko лихо nie wniosło go tu, gdy już zabiorę się do roboty...

W tej chwili silny, wesoły głos, śpiewający piosenkę bachiczną, dobiegł do uszu zagadkowego starca. Głos ten przybywał z niższego piętra, to znaczy z mieszkania Cyrana, należał zaś do Sulpicjusza, który musiał być w diabło złym humorze, gdyż wyśpiewywał na całe gardło, wbrew zaleceniom, jakie otrzymali od niego inni mieszkańcy zajazdu.

Castillan rzeczywiście był wściekły. Lekarz oświadczył mu, że rana, którą otrzymał Cyrano, jest cięższa, niż mu się to w pierwszej chwili zdawało i że wymagać będzie tygodnia, a może nawet dwóch tygodni starannej kuracji. Rozpacz przeto ogarniała młodzieńca na myśl, że jego mistrz nie będzie mógł ruszyć się z miejsca w chwili tak ważnej, która wymagałaby całej jego uwagi i dzielności.

Cyrano, pomimo wyraźnego rozkazu lekarza, nie chciał położyć się do łóżka. Siedział w wielkim fotelu trzymając ranioną nogę na stołku, gdzie troskliwa ręka Zuzanny umieściła miękką poduszkę.

Pod ręką poety znajdował się czysty arkusz papieru, na który Cyrano co chwila spozierał, gryząc chorągiewkę pióra, zwyczajem poetów czekających na natchnienie.

Nagle cisnął pióro i zażądał, aby Zuzanna z szuflady pewnego mebla, wskazanego jej przezeń, wydostała list, który miał się tam znajdować. Było to pismo, które poprzedniego dnia przygotował do przesłania proboszczowi z Saint-Sernin. Teraz złamał jego pieczęć i jął czytać z uwagą.

– Nie ma potrzeby zaczynać na nowo – rzekł do siebie półgłosem. – Wystarczy dopisać dwa słowa.

Wziął pióro, nakreślił pośpiesznie kilka wierszy poniżej swego podpisu i położył pod nimi olbrzymie C, zaświadczać autentyczność dopisku. Następnie zapieczętował ponownie list i przywołał Castillana, którego rozgłośny śpiew budził echa w całym zajazdzie.

Sekretarz, któremu przerwano w samym środku najpiękniejszą strofę, wychylił z bocznego pokoju swą twarz żalowaną.

– Zbliż no się, diabelski muzykancie – rzekł Cyrano. – Trzeba się wziąć do innej antyfony. Czy masz pieniądze?

Na to pytanie, które młodzieńcowi wydało się dość potwornym, wytrzeszczył on oczy i otworzył usta z zamiarem zapytania mistrza: azali wypadkiem nie popsuły mu się w głowie klepki?

– Pieniądze? – powtórzył, jakby w przypuszczeniu, że źle słyszał.

– Jeśli pytam cię o to, synku, mam do tego ważne powody. W worku moim tuła się jeszcze zaledwie kilka pistolów; potrzeba zaś nam pieniędzy, dużo pieniędzy, całą masę pieniędzy.

– To już lepiej zażądać od ostu, aby rodził róże i od cierni, aby pokryły się czereśniami! – zauważył bezwstydnie sekretarz, nie mogąc opanować uczucia ironii, które nim zawładnęło.

– Wyśmienicie! – rzekł Cyrano, nie odpowiadając wprost na uwagę pisarka. – Dać ci tylko kupę gnoju do leżenia, skorupę do drapania się i żonę do wymyślania ci, a będziesz najdoskonalszym powtórzeniem nieszczęśliwej i płaczącej figury biblijnego Joba.

– Trudno o dowcipniejsze i trafniejsze porównanie, drogi mistrzu.

– Trzeba jednak koniecznie, synku, żebyś dziś jeszcze, zanim noc zapadnie, posiadał dobrego konia, ciepłą odzież i pełną kieskę.

– Do diabła! I któż to ten cud sprawi?

– Zobaczymy. Weź ten pierścień, dar mego przyjaciela Colignaka i zanieś go do Żyda. Zaliczy ci na niego, jak sądzę, około tysiąca pistolów.

– Czy chcesz, mistrzu, sprzedać ten klejnot?

– Nie, chcę go tylko zastawić. Gdy Cyrano kończył te słowa, lekki, ledwie dosłyszalny szmer zwrócił jego uwagę. Pochodził on z tarcia jakiegoś narzędzia metalowego o twarde drzewo i odzywał się w górze, w belkach pułapu. Tak przynajmniej zdawało się poecie, który z trudnością mógł rozeznaczyć rodzaj i źródło tego przytłumionego szmeru.

– Pełno tu szcurów – zauważył Cyrano. – Ten zajazd jest doprawdy ohydny budą. Muszę wymóc na gospodarzu, aby rozstawił na strychu pułapki, bo te szczury przekłete pożrą mi jeszcze kiedy książki i papiery.

Gdyby szlachcic mógł być wiedzieć, co działo się naprawdę nad jego głową, zdziwienie jego byłoby niezmiernie i większe z pewnością niż na widok całego stada żarłocznych gryzoniów. Jak Hamlet krzyknąłby on: „to szcur!” – i jak Hamlet miałby do czynienia z człowiekiem.

Tajemniczy mieszkaniec wyższego piętra nachylony był w tej chwili nad podłogą swej izdebki i z nadzwyczajną ostrożnością, przy pomocy jednego ze swych świdrów, robił w desce otwór przechodzący do mieszkania poety. Gdy już otwór był gotowy, wprowadził doń rurkę, której wystający koniec rozszerzał się na kształt lejka lub trąbki akustycznej. Wreszcie położył się na podłodze i przytknął do rurki ucho, w tej chwili właśnie, gdy Sawiniusz mówił o szcurach.

– Jestem ocalony – pomyślał.

Tymczasem Cyrano, raz jeszcze wyczerpując słuch i nic już tym razem nie mogąc pochwycić, wrócił do poprzedniej rozmowy.

– Udasz się więc – mówił w dalszym ciągu Castillanowi – do jakiegoś porządnego lichwiarza, jeśli w ogóle istnieje lichwiarz taki na świecie, i oddasz mu na przechowanie klejnot, do brze się jednak zabezpieczywszy, gdyż nie życzę sobie bynajmniej, aby miał on zginąć.

– A następnie?

– Następnie za owoce tej finansowej operacji zaopatrzysz się w rzeczy, które ci przed chwilą wymieniałem, i tu powrócisz. Przed wyruszeniem w drogę musisz otrzymać ode mnie dokładną i jak najbardziej szczegółową informację. Teraz idź. Czekam na ciebie wieczorem.

– Wyprawisz mnie zatem, mistrzu, w drogę?

– Tak. Wyruszysz jutro, jeśli Bóg pozwoli.

– Czy długa to podróż?

– To zależeć będzie, synku, od twojej energii i od wytrzymałości twego wierzchowca. Do wieczora zatem.

– Do wieczora – przytaknął Castillan, nie zapuszczając się w dalsze wypytywania.
– W porę przybyłem – rzekł do siebie mieszkaniec izdebki, opuszczając swe stanowisko przy rurce.

I przekonany, że w ciągu kilku następnych godzin nic już tam nie będzie ciekawego do usłyszenia, wyszedł z izdebki, nie zaniebując dusić się od kaszlu na schodach, po czym wstąpił do wspólnej izby na parterze. Zasiadłszy tam przy stole wprawił w niemały podziw sławetnego Gonina, właściciela zajazdu, zapominając bowiem o swych poprzednich zarzekaniach się przywołał Basię i kazał podać sobie porządny zraz wołowiny, omlet i dobrą miarę wina.

Pochłonał to wszystko w mgnieniu oka i odstawiwszy próżny talerz, rozłożył przed sobą czysty zeszyt, który jął zapisywać z błyskawiczną szybkością. Sławetny Gonin, ciekawy jak wszyscy hotelarze, zerknął kilkakrotnie w stronę piszącego, a dostrzegłszy, że zaczernia papier rzędami liter jednakowej mniej więcej długości, domyślił się, że pisze wiersze.

Jakie jednak i o czym?

Zapytał, nie mogąc ciekawości przezwyciężyć.

– Ach, ach! – zakaszłał poeta – mam wiele kłopotów ze swym bohaterem. Już po raz dwudziesty rozpoczynam jedną z jego wielkich tyrad... Niestety! Jakże to dalekie od wspaniałych wierszy Cyrana, mego niedoścignionego wzoru! Pierwszy lepszy urywek tego ulubieńca Muz wart więcej niż wszystko, co mój mózg wysmażyć potrafi. Ach, posłuchaj pan tylko tych wierszy z jego genialnej *Agrypiny*.

Staruszek tragicznym ruchem zarzucił serwetę na ramię, uczynił wspaniały, szeroki gest, wyrócił strasznie oczy i stając na wprost gospodarza wykrzyknął:

W głębi duszy kobiety tej ja nienawidzę!

– To mówi Sejanus – objaśnił głosem uspokajającym, który jednak natychmiast przeszedł w ton tragiczny przy wierszach następnych:

W głębi duszy kobiety tej ja nienawidzę!
I choć mnie ubóstwiała, i choć dla mnie traci
Zbójczym żelazem męża, synowców i braci,
Jest mym oczom ohydna! Owszem, wstręt mój wzrasta,
Im więcej gubi ofiar ta krwawa niewiasta!
Żarem chuci swych pali mnie ona daremnie
I nawet jej przysługi zgrozę budzą we mnie!

Ostatni wiersz został wygrzmiany z taką siłą, że sławetny Gonin cofnął się kilka kroków w tył.

– Jakie to piękne! Jakie wzniosłe – wykrzykiwał staruszek, porwany zachwytem. – A, to odbiera po prostu chęć do pisania. Wobec tych kilku wierszy, które wygłosiłem, opuszcza mnie odwaga – złamałbym pióro jak sprzęt nieużyteczny. Daj no pan jeszcze jedną miarę wina!

– Coś mi się zdaje – mruknął do siebie gospodarz, spełniając skwapliwie to ostatnie życzenie – że ten dzielny człowiek sprzyja bardziej jeszcze Bachusowi niż Muzom!

Po tej uwadze, która zdradzała w tym jegomości pewne obycie się z literaturą nadobną, uczuł on, że dla swego nowego lokatora nabierać zaczyna szacunku. Jakby zapomniawszy w uniesieniu poetyckim o swych zasadach wstrzemięźliwości staruszek zajadał i zapijał, aż mu się uszy trzęsły, gospodarz zaś widząc, że może stąd mieć dobre zyski, postanowił schlebiać jego manii poetyckiej.

Gdy prowincjonalista wysuszył ostatni kubek wina, głowa jego poczęła chwiać się z wolna na prawo i lewo; zakaszał jeszcze dwa czy trzy razy, jakby z przymusem i zaraz też kaszel ustąpił miejsca rozgłośnemu chrapaniu. Poeta-bibosz zmienił pozycję siedzącą na leżącą, wyciągnął się na ławie i zniknął wkrótce z oczu świata, gdyż stół, przy którym siedział, zakrywał go całkowicie.

Przed wieczorem Castillan, odziany w nowe suknie, zajechał na tęgim gniadoszu przed dom sławetnego Gonina. Zeskoczył lekko z wierzchowca, przywiązał uzdę do kołka żelaznego przy bramie i przeszedł z hałasem przez izbę gościnną, stukając głośno napiętkami swych butów z lejkowatymi u góry cholewami i brzęcząc parą olbrzymich ostróg.

Zaledwie wstąpił na schody, śpiący dotąd pijak ziewnął przeraźliwie i podniósł się przeciągając ramiona.

– A, aaa! – zwrócił się do gospodarza, który śledził go wzrokiem ciekawym. – Ta drzemka dobrze mi zrobiła. Idę przedłużyć ją w łóżku. proszę o świecę.

– Może przeprowadzić pana?

– Nie trzeba. Znam już drogę.

Zataczając się wziął świecę z rąk gospodarza, potknął się o pierwszy stopień schodów, co wskazywało, że nie ze wszystkim jeszcze wytrzeźwiał, następne wszakże stopnie przebył szybko w ślad za Castillanem.

W chwilę później w izdebce swej na dwa spusty zamkniętej leżał już na podłodze, z uchem przy swej trąbce akustycznej. Rozmowa, którą miał przeprowadzić Cyrano z Sulpicjuszem, była wielkiej wagi, ze szczególną też pilnością starszek słuch wyteżał.

XVIII

– Ile? – odezwał się poeta bez żadnych wstępów do wchodzącego Sulpicjusza.

Sekretarz zrozumiał doskonale właściwy sens zapytania i z równym lakonizmem odrzekł:

– Tysiąc dwieście pistolów.

– O dwieście zatem więcej, niż się spodziewałem. To jakiś porządny Żyd.

– Powiedział, że gdyby mu sprzedano pierścień na własność, dołożyłby jeszcze czwartą część tego, co zaliczył.

– To znaczy, że pierścień wart jest trzy razy tyle. Ale nie o to chodzi. Ile ci pozostało?

– Za konia zapłaciłem dwieście pistolów, za ubranie pięćdziesiąt. Dziewięćset pięćdziesiąt pistolów mam do oddania. Oto pieniądze.

– Zatrzymaj dwieście, a resztę schowaj tam, do szuflady.

Castillan rozdzielił pieniądze i swoją część schował do kieszeni.

– A teraz, synku – rzekł Cyrano – zakarbuj sobie dobrze w pamięci, co ci powiem. Gdyby nie trzymała mnie w miejscu ta przeklęta rana, jutro o świcie galopowałbym w stronę Perigord, ty byś zaś siedział sobie spokojnie za piecem. Jestem wszakże unieruchomiony na tydzień jeszcze co najmniej. Odkładając rzecz aż do swego wyzdrowienia, przedłużałbym cierpienia biednego Ludwika. Dla zyskania przeto na czasie ty jechać musisz.

– Co będę tam robił?

– Nic trudnego. Zawieszysz list memu przyjacielowi, Jakubowi, o którym ci często wspominałem.

– Jakże rad jestem, że będę mógł go poznać!

– To złote serce. Być może, że w pierwszej chwili przyjmie cię z pewnym niedowierzaniem, gdyż zleciłem mu jak największą ostrożność i czujność przed podstępem lub gwałtem. Ale gdy rozważy dokładnie słowa mego listu, wątpliwości jego znikną i stosownie do moich

wskazówek, wyruszy z tobą w drogę, zabierając drogocenny depozyt, którego żądam i którego treści ani ty, ani on znać nie powinniście.

– Czy nie mógłbym oszczędzić mu trudów podróży i sam rzecz ową przywieźć?

– Wiesz, synku, że mi nie zbywa na odwadze, nieprawdaż? A więc nie czyni żadnych uwag. Odwaga nie wyłącza ostrożności, jeśli zatem proszę Jakuba, aby ci towarzyszył, musi to być rzeczą konieczną.

Castillan stał w milczeniu.

– Rola, którą ci powierzam, nie jest wolna od niebezpieczeństwa – ciągnął Cyrano. – Rolandowi de Lembrat zależy niezmiernie na tym, aby dokumenty osiąść i nie zaniedba on rozstawić na drodze szpiegów, aby nas tropili. Przyjść może do walki – ja zaś nie chciałbym być pobity, nawet w twojej osobie.

– Zrozumiałem. Zlecenie twe, mistrzu, zostanie wypełnione co do joty.

– Aby przekonać cię, synku, o ważności tej sprawy, dodać jeszcze muszę, że osobiście tam wyruszę, gdy tylko będę mógł dosiąść konia.

– Połączysz się, mistrzu, z nami?

– Udam się przynajmniej na wasze spotkanie aż do Colignac. Jeśli przybędziecie tam wcześniej, zaczekajcie na mnie. Powiedziałem już, com miał powiedzieć. Daj mi rękę, Castillanie. Musimy się teraz pożegnać, gdyż wyjedziesz o świcie, ja zaś czuję gwałtowną potrzebę wyspania się.

Sekretarz uściśnął rękę, którą poeta doń wyciągnął i wyszedł w milczeniu.

Przed pójściem na krótki spoczynek przywołał Zuzannę, aby mu zaszyła pod podszewkę kaftana list adresowany do proboszcza. Gdy służąca, bez żadnych tym razem uwag, wypełniła to żądanie, zapłacił za to ucałowaniem jej w oba policzki, po czym zaraz i z nią się pożegnał.

Wyszedłszy na schody przywołał gospodarza, któremu polecił, aby konia jego odprowadził do stajni, a zrobiwszy to rzucił się na łóżko w ubraniu, w chwili, gdy zegar pobliskiego kościoła wydzwonił godzinę dziewiątą.

W godzinę później hrabia Roland de Lembrat, który powracał z odwiedzin u margrabiego de Faventines, wchodził do swego pałacu w eskorcie uzbrojonych służących z pochodniami – ostrożność ta bowiem była niezbędna w porze nocnej, gdy zaraz z zapadnięciem zmroku Paryż napełniał się gromadami podejrzanych włóczęgów.

Gdy hrabia udał się do swej sypialni, niebawem ktoś lekko do niej zapukał.

– Czy to ty, Błażeju? – zapytał leżąc już w łóżku.

– Tak, jaśnie panie.

– Czego chcesz?

– Człowiek jakiś domaga się gwałtownie, aby go wpuścić.

– O jedenastej w nocy! Niech idzie sobie do diabła!

– Mówi, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Idzie o pana de Cyrano.

– Zapal światło i wprowadź tego człowieka. Ale jeśli okaże się, że bez powodu mnie niepokoi, biada jemu – i tobie!

Błażej otworzył wówczas szeroko drzwi, które dotąd były tylko uchylone i wszedł trzymając zapaloną świecę.

Za jego plecami ukrył się w śmiesznie unizonych pokłonach chuderlawy staruszek, którego poznaliśmy u Gonina – poeta andegaweński, adept wielkiego Cyrana, Matus Lescot nareszcie!

Miał on minę tak żalowaną, tak zabawnie dygotał od chłodu czy strachu, taki był szczerze komiczny w swym zatłuszczonym kaftanie i za krótkich spodenkach, że hrabia nie mógł wytrzymać i parsknął mu śmiechem w oczy.

– Przyznaj, mój zuchu, że jestem bardzo łaskawy. A teraz dowiedz, żeś wart tej łaskawości, wyjawiając coś naprawdę ciekawego. Słucham cię.

Ale staruszek jeszcze mocniej trząść się zaczął.

– Czego się lękasz? – podjął Roland. – Mów śmiało.
Andegaweńczyk wskazał wymownym spojrzeniem służącego, który go wprowadził.

– To, co mam powiedzieć jego wielmożności, tylko przez jego wielmożność powinno być wysłuchane.

– Wyjdź, Błażeju! – rozkazał hrabia, zaczynając się już niecierpliwić.

Pozostawszy sam na sam z Rolandem staruszek wyprostował się nagle i dźwięcznym, donośnym głosem wyrzekł:

– Muszę być zatem naprawdę dobrze przebrany, skoro mnie nawet jaśnie pan nie poznał.

– Rinaldo! – zawołał hrabia zdziwiony.

– Ja sam – potwierdził szczywany łotr. – Zwolniony zostałem na jeden dzień tylko, ale przekona się jaśnie pan zaraz, że i tego dnia nadaremnie nie stracił.

– To ty naprawdę? – powtórzył hrabia, nie mogąc wyjść z podziwienia.

– Obrotny człek z ciebie, mój mości Rinaldo, i mistrzowsko umiesz postać swą zmieniać. Sługus uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Niechże teraz jaśnie pan posłucha – rzekł zbliżając się do hrabiego – czegom w tej nowej skórze dokonał.

– Mów, słucham niecierpliwie.

W kilku słowach Rinaldo opowiedział wiadome już zdarzenia.

– Trzymam już w rękę koniec nici, po której dojdziemy do kłębka – ciągnął doszedłszy do relacji z drugiego widzenia się Cyrana z Castillanem. – Pisarek Kapitana Czarta udaje się jutro do Perigord.

– A, więc to tam znajduje się pismo mego ojca?

– Tak, u jednego z przyjaciół de Bergeraca.

– Nie udało ci się pochwycić imienia tego przyjaciela?

– W rozmowie tytułowano go po prostu Jakubem.

– Jakub... Co by to był za Jakub? – powtarzał Roland, przywołując nadaremnie wspomnienia, gdyż nie miał żadnych stosunków z proboszczem z Saint-Sernin i obca mu była najzupełniej przyjaźń łącząca go z Cyranem.

– Niech jaśnie pan nie szuka. Powiedziałem już, że trzymam za nitkę. Posłaniec wiezie list od Cyrana.

– Adresowany do Jakuba?

– Tak. Teraz już jaśnie pan rozumie?

– Rozumiem. Musimy ten list dostać.

– Dostaniemy go. List ten pouczy nas, dokąd dąży Castillan, a więc zarazem, gdzie znajduje się potrzebny nam dokument.

– Lecz – zauważył hrabia niespokojnie – czy w liście tym nie ma przypadkiem jakich szczegółów odnoszących się do pisma mego ojca?

– Bergerac mówił wyraźnie, że treść ostatniego dowodu pozostać musi nie znana zarówno temu, kto go posiada, jak temu, co odebrać go śpieszy.

– Bardzo dobrze – rzekł hrabia ucieszony. – Zdobyć list nie będzie chyba rzeczą trudną; pisarek nie jest z ludzi, którzy by bronić go potrafili.

– Jeżeli spróbuje obrony – biada mu!

– Kiedyż wyrusza w drogę?

– Jutro o świcie.

– A ty?

– Podążę w ślad za nim albo też komu innemu śledzić go każę. Pan hrabia raczył obdarzyć mnie zupełnym w tej sprawie zaufaniem, nieprawdaż?

– Tak jest, najzupełniejszym.

– Mam zaszczyt przeto upraszać pana hrabiego o pozostawienie mi całkowitej swobody działania. Posiadam list Castillana i pismo hrabiego de Lembrat, choćby mi przyszło całą bandę

opryszków z Nowego Mostu wyprawić naprzeciw Kapitana Czarta i jego sprzymierzeńca. Tymczasem – dodał słodko – będę prosił o nowy zasilek.

Roland wysunął szufladę pełną złota.

– Zaczernij, ile ci trzeba. Na pieniądzach zbywać ci nie będzie.

Sługus zanurzył obie ręce w złocie, które iskrzyło się przy blasku świec, i nappełnił nim długą, jedwabną sakiewkę.

– Za kilka dni – rzucił – może nawet już jutro, wstąpimy na drogę wiodącą bezpośrednio do celu. Pan hrabia dostanie na koniec do rąk ów dokument tak pożądanym i uwolni się na zawsze od swego wroga.

– Zalecam przezorność. Niech ani jedna kropla krwi nie będzie przelana niezręcznie.

– Jaśnie pan może być spokojny. Jeśli Bergerac zostanie zabity, nastąpi to wówczas dopiero, gdy już nic zeń wydobyć się nie da. Co się zaś tyczy Castellana...

– O, z tym możesz zrobić, co ci się podoba.

– To drobna zwierzyna. Żegnaj jaśnie pana. Wkrótce mam nadzieję dać znać o sobie.

– Bądź zdrow, Rinaldo. Będę miał w pamięci twoje poświęcenie i we właściwej chwili nie zaniedbam go wynagrodzić.

Biła północ, gdy Rinaldo wrócił do zajazdu, aby stanąć na czatach przy upatrzonej zwierzynie.

Przebrał się, pozostawił część złota w mieszkaniu i niebawem opuścił izdebkę i zajazd.

Noc była nadzwyczaj ciemna, lecz Rinaldo, przywykły do nocnych wypraw, przedzierał się śmiałym krokiem przez ciemności, a wzrok jego, przenikliwy jak u kota, zapuszczał się w każde zagłębienie murów, gdzie czaić się mógł zbój, poświadający nie tyle krwi, co pieniędzy spóźnionego przechodnia.

Przebył Sekwanę uniknąwszy szczęśliwie nieprzyjemnego spotkania i stanął przy Domu Cyklopa, który w tej chwili od fundamentów do szczytu pogrążony był w głuchym milczeniu. Nie wszystko jednak spoczywało tam w letargu, gdyż skoro Rinaldo zakołatał do furty w pewien umówiony sposób, natychmiast otworzono i rozległ się głos Ben Joela.

– Czy to ty, Rinaldo?

– A któż by inny o tej porze? Może Jego Królewska Mość Ludwik XIV, któremu przysłała ochota złożyć ci pierwszą wizytę?

– Jesteś w dobrym humorze. Wszystko zatem idzie pomyślnie?

– Jak najpomyślniej. Wejźmy do środka.

Przy blasku lampki oświetlającej izbę noclegową Ben Joel i Rinaldo przedostali się nie bez trudności pomiędzy śpiącymi pokotem nędzaczami na schody i z pośpiechem podążyli na górę.

– Kolego! – rzekł Włoch, gdy już znaleźli się w kryjówce Cygana – wypada teraz mówić mało, a szybko działać. Potrzebny nam jest na jutro, a raczej potrzebny nam jest natychmiast, gdyż niedługo dzień się zrobi, człowiek zręczny, gotowy na wszystko, pełen obrotności i odwagi, jednym słowem majster nad majstrami. Czy masz takiego człowieka?

– Jakież to ma być człowiek: od szpady czy od noża?

– Od szpady. Na noże przyjdzie zapewne kolej później. Zależy mi na tym, aby dzieło dokonane zostało możliwie najszybciej i najprzezorniej.

– Poczekaj – rzekł Ben Joel.

Wyszedł z izby i po paru minutach powrócił wiodąc ze sobą osobistość wielkiego kalibru, której niezwykle wygląd wart szczegółowego opisu.

Był to człowiek chudy do niemożliwości, ale którego chudość zdradzała niezmierną siłę nerwową. Odgadywało się stalowe mięśnie i stawy pod tą skórą wygarbowaną przez wiatr i słońce. Stopy jego zdawały się zatapiać w ziemi na kształt szpon drapieżnego zwierza, a sztywny, naprzód wysunięty tors, wsparty na niezmiernie długich tyczkowatych nogach, owinięty był w wyszarzały płaszcz, oszyty zardzewiałym galonem. Ciężki rapier podnosił z tyłu

obszarpany kraj płaszcza, spod którego ukazywały się spodnie z zielonawego, wypłowiałego aksamitu, pokryte plamami tłustymi, pełne dziur i zagłębiające się w buty o szerokich cholewach, o podeszwach podartych i klapiących.

Na tej ostrokanciastej figurze umieszczona była głowa drapieżnego ptaka. Nos był długi, cienki, haczykowany i zakręcał się nad rudymi wąsami, starannie woskiem wysztywnionymi. Oczy, głęboko schowane pod brwią wystającą i nastrzępioną, rzucały blaski metaliczne, a czoło, w tył cofnięte, pobrużdżone gęsto siecią blizn i zmarszczek, ginęło pod zbitą masą włosów kędzierzawych, o barwie miedzianej.

Jednak w postawie i ruchach tego człowieka przebijał się jakby cień pewnej naturalnej szlachetności, dziwnie co prawda odbijającej od łachmanów, w które był przyodziany. Ben Joel przedstawił go Włochowi, mówiąc:

– Oto pan Esteban de Poyastruc, szlachcic prowansalski, potomek dobrego, starego rodu, którego przeciwności losu i omyłki sprawiedliwości zmusiły do szukania schronienia pomiędzy nami. Już mu szepnąłem kilka słów o naszej sprawie. Objaśnij go z łaski swej o reszcie.

Pan Esteban wygiął swą długą postać na kształt znaku zapytania i czekał.

– Wstępne objaśnienia wziął na siebie Ben Joel – rzekł służący Roland – powtarzać ich więc nie ma potrzeby. Chodzi teraz o to, aby w sposób przyzwoity wszcząć sprzeczkę z pewnym młokosem, doprowadzić rzecz do walki i sprzątnąć go gładko. Czy potrafisz to zrobić, mój zuchu?

– Najpierw – odezwał się Esteban głosem chrypliwym – nie jestem bynajmniej „pańskim zuchem”, rozumiesz waść? Kiedy kto ze mną rozmawia, nazywa mnie „panem”.

– Zgoda i na to? – potwierdził Rinaldo bez żadnych uwag. – A zatem, panie, czy podejmiesz się... za wynagrodzeniem honorowym, rozumie się – uwolnić nas, możliwie najprędzej, od...

– Jeżeli ów człowiek będzie się bronić, to zgoda; w przeciwnym razie – nie. Nie jestem zbójcą; mam zasadę nacierać otwarcie i zabijać przeciwnika według wszelkich prawideł – odrzekł szorstko Esteban.

– To mi już wszystko jedno, byle rezultat był dobry.

– Gdzie pacjent? – zapytał krótko zbir, kładąc dłoń na rękojeści rapiera.

– Do kroćset, bardzo prędko! Pokażę go panu jutro rano.

– A gdzie pieniądze?

Opalona, brunatna prawie ręka Estebana, podobna do łapy goryla, wyciągnęła się do Włocha, który położył na niej dziesięć sztuk złota.

– Dalej! – rozkazał szlachcic prowansalski.

– Do diabła, jesteś pan drogi, mój panie!

Pięć nowych dukatów zadzwoniło na dłoni bandyty.

– To zaliczka – oświadczył on spokojnie. – Po sprawie wyliczysz mi waść trzy razy tyle.

A gdy Rinaldo przyglądał mu się z gniewnym zdziwieniem, Esteban dodał:

– Jak się zresztą podoba, wolno przyjąć lub nie!

– Nie mam czasu na targi – rzekł Rinaldo. – Zgoda zatem, ale niechże robota będzie porządna.

Straszny dragal wpatrywał się w Rinalda nic nie mówiąc.

Wzrok jego był przenikliwy, tak obojętnie na wszystko przygotowany, tak spokojnie okropny, że Włoch czuł, jak dreszcz zimny przebiega mu po ciele.

– Nie powiedział mi waść dotąd nazwiska mego przeciwnika – rzekł wreszcie zbir.

– Nazwisko? Na cóż panu nazwisko! Nazywa się Castillan. Podejmuję się urządzić panu spotkanie z nim w odległości kilku mil od Paryża. Do pana należy wynaleźć powód sprzeczki.

– Od tej chwili możesz waść uważać go za nie istniejącego.

– Ale! – porwał się z miejsca Rinaldo – potrzebne nam są konie i odzież podróżna. Poczekać tu na mnie. Za godzinę musimy być gotowi do drogi. Służący hrabiego Rolanda zabrał

się energicznie do dzieła i w tej samej chwili, gdy Sulpicjusz Castillan budził gospodarza z jazdu kając mu osiodłać konia, trójka awanturników dołożyła wszelkich starań, aby wyruszyć w ślad za nim i przygotować spotkanie w miejscu i w czasie, które zawczasu obmyślił Rinaldo.

XIX

Była czwarta rano, gdy Sulpicjusz opuszczał Paryż. Ani jedna chmurka nie plamiła nieba, wszystko w przyrodzie tchnęło spokojem i świeżością. Młody człowiek wciągnął pełnymi pierściami czyste powietrze poranku. Czuł się lekkim i szczęśliwym. Rad był temu, że żyje i że świat taki piękny, i że może cwałować na koniu szerokim gościńcem, wśród pól i łąk okrytych zielonością. Przez drogę powtarzał sobie w myśli wszystkie zalecenia Cyrana oraz pochwalne rady Zuzanny, która obficie wyposażyła go nimi na pożegnanie.

Młodzieniec, odważny jak zawsze i jak zawsze o nic się nie troszczący, nie zauważył, że jest śledzony czy też wprost ścigany. W odległości jakichś pięciuset czy sześciuset kroków za nim pędzili konno: Ben Joel, Rinaldo i imię Esteban.

Jedynie ten ostatni występował w swej własnej postaci. Zmienił tylko odzież; zamiast bowiem wczorajszych łachmanów miał na sobie kaftan z bawolej skóry, nowe spodnie z zielonego aksamitu i długą, szarą opończę, wyglądającą wcale przyzwoicie, wszystko, naturalnie, dostarczone przez Rinalda.

Natomiast towarzysze zbira zmienili się nie do poznania.

Ben Joel nadał sobie powierzchowność uczciwego kupca, podróżującego w sprawach handlowych; obciążył on przy tym swego konia pakunkami, które pospolicie wędrowni handlarze dźwigają zwykle na plecach.

Chytre oblicze Rinalda, przekształcone za pomocą zręcznej charakterystyki, wychylało się do połowy tylko spod szerokich skrzydeł kapelusza; sukienna jego odzież, mało efektowna, ale z dobrego materiału i starannie odrobiona, nadawała mu pozór jakiegoś zamożnego rządcy dóbr lub dzierżawcy, który o wczesnym ranku wybrał się na objazd folwarków.

Każdy z jeźdźców różnił się tak bardzo od towarzyszków, każdy nosił w całej swej postaci znamię tak odrębne, że kto spotkał tę trójkę, nie domyślał się z pewnością, że ma przed sobą ludzi jedną myślą związanych i do jednego celu podążających. Przypuszczać on mógł raczej, że jeźdźcy spotkawszy się wypadkiem w drodze, postanowili przez pewien czas jechać w kompanii, aby podróż wydała im się mniej długa i mniej nudna.

Starając się pozostawać w przyzwoitej odległości od Castillana, posuwali się oni nieco wolniej niż on, szło im bowiem o to, aby nie zbudzić w ściganym podejrzeń.

Od chwili, gdy opuścili Paryż, żaden z nich nie przemówił ani słowa. Esteban de Poyastruc rzucał tylko od czasu do czasu spojrzenie na Rinalda, jakby go chciał wybadać, Włoch jednak nie myślał ust otwierać.

Po godzinie jazdy zbira nie mógł już wytrzymać i zapytał, czy prędko się zatrzymają.

– Nieprędko – odburknął sługus.

– Tyle ceregieli o sprzątnięcie jednego człowieka! – zauważył pogardliwie Esteban.

– Szaleńcze! – zgromił go Rinaldo. – Ów młodzieniaszek tyle jest znany w Paryżu, co Kapitan Czart we własnej osobie. Są oni zawsze razem, jak święty Roch ze swym psem. Gdybyśmy go zabili dzisiejszej nocy lub też w tej chwili, nie upłynąłby dzień jeden, a już Bergerac byłby o tym uświadomiony. Otóż, jest rzeczą niezbędną, aby Bergerac sądził, że jego sekretarz znajduje się wciąż w drodze; inaczej może on sam wmieszać się do sprawy i szyki nam pokrzyżować. Musimy przydybać Castillana w jakim kącie odludnym, gdzie by nie wiedzianno: kto on zacz, skąd przybywa i dokąd dąży. Zrozumiano?

– Najzupełniej – odrzekł szlachcic prowansalski. – Ale jeżeli rzeczy będą iść tą koleją, zaciągnie on nas do samego Orleanu.

– Tak pan sądzisz, panie Esteban? Otóż upewniam pana, że już w Estampes będziesz mógł puścić mu fintę pod nos. Po przebyciu pięciu lub sześciu mil zarówno człowiek, jak koń pomagają się odpoczynku i muszą skrócić z gościńca do jakiej przydrożnej oberży.

– A czy w Estampes znajduje się jaka dobra oberża? – zapytał zbir.

– Nie wiem; nigdy tam nie byłem. Zastosujemy się zresztą najzupełniej do gustu i wyboru naszego młodzieńca. Mam nadzieję, że się na nim nie zawiedziemy.

– Och! – wtrącił Ben Joel – każda oberża będzie dla nas dobra na ten krótki przeciąg czasu!

– Przepraszam! – zaprzeczył Esteban. – Przecie nie wyprawimy młokosa na tamten świat, zląłszy zaledwie z siodeł.

– Czemuż by nie? – zapytał Rinaldo.

– Ponieważ zajedziemy tam późno, ponieważ jestem bardzo głodny, a zwłaszcza bardzo spragniony, i wreszcie – ponieważ nie mam zwyczaju bić się na czczo, chyba gdy jestem do tego przymuszony.

– O, panie Esteban! – zaśmiał się drwiąco Rinaldo, mierząc wzrokiem kościstą figurę zbira – uważałem pana za istotę mniej cielesną.

– Czy to przytyk? – zapytał Prowansalczyk, straszliwie marszcząc czoło.

– Nie gniewaj się – pośpieszył uspokoić go Rinaldo. – Będziesz pan mógł najeść się, napić i zabić swego człowieka jak najwygodniej. Ale cóż to? Gdzież on się podział? – przerwał nagle sługus, wspinając się na strzemionach.

W istocie Castillan popędził konia i trójka straciła go z oczu.

Dano ostrogi koniom, które ruszyły galopem. Młodzieniec ukazał się znów oczom ścigających.

Reszta drogi odbyła się bez żadnych ważniejszych wydarzeń.

Przewidywania Rinalda ziściły się: pierwszy popas odbył Castillan w Estampes.

Było samo południe, gdy młodzieniec zatrzymał się przed bramą zajazdu „Pod Uwieńczonym Pawiem” i rzucił cugle stajennemu, który doń podbiegł.

Zamierzał on posilić się tu i ruszyć w dalszą drogę dopiero z nadejściem nocy, ażeby dotrzeć do Orleanu o godzinie pierwszej dnia następnego. Podróż nocą nie przestraszała go, obliczał zaś, że w ten sposób zrobi dwa popasy, co dwanaście mil, pierwszego dnia, to znaczy: odbędzie około ćwierć drogi do Saint-Sernin.

Świetny w normalnych warunkach apetyt Sulpicjusza wzmocnił się jeszcze na skutek jazdy wierzchem i dzięki świeżemu powietrzu, toteż młodzieniec, kierowany głosem instynktu, zwrócił się od razu w stronę kuchni. Godzina była jak najlepiej wybrana dla łaknących żołądków. Zegar kościelny wydzwonił właśnie dwunastą i ostatniemu uderzeniu zegara odpowiedział zgrzyt obracających się różnów, nadzianych ptactwem oraz różnymi pieczeniami, które żar ogniska wspañiale już przyrumienił.

– Przybywasz w samą porę, mój młody panie! – powitał Castillana oberżysta. – Jeszcze jeden obrót różna, a pieczone przypaliłoby się z pewnością. Czym mogę panu dobrodziejowi służyć?

– Daj mi pan, co tylko chcesz, byle prędko.

Kucharz zdjął szybko rożen i zsunął zeń różne rodzaje pieczystego do olbrzymiej brytfanny, pełnej roztopionego masła i sosu. Następnie jednym zamachem ręki nakrył stół, na półmisku fajansowym w kwiaty położył dymiącą pularę i przysuwając Castillanowi stołek, rzekł zachęcająco:

– Racz pan dobrodziej zasiąść. Na pierwszy ząb i to wystarczy.

Castillan usiadł i przypuścił bohaterski atak do pulardy. I

zba tymczasem napępniała się ludźmi.

W tłumie, który Pod Uwieńczonego Pawia sprowadzała godzina obiadowa, przeważał żywioł wojskowy. Oberża, w której zatrzymał się Castillan, zaliczała do swych stałych gości sporą liczbę oficerów i kadetów z pułku imcipana de Casteljaloux, który kwaterował właśnie w Estampes i w którym sam Cyrano służył był niegdyś w stopniu kapitana.

Prawie wszystkie miejsca były już zajęte, gdy otwarły się z hałasem drzwi i wkroczył do izby Esteban de Poyastruc, wiodąc ze sobą Ben Joela i Rinalda. Było umówione, że w krwawej komedii, jaka się tu odegra, pierwsza rola przypadnie zbirowi, on też wysunął się od razu na plan pierwszy.

– Hej, oberzysto! – krzyknął na gospodarza. – Trzeba mi tu zaraz kilku miejsc przy stole. Jednego miejsca dla mnie, a dwóch dla tych panów, których miałem honor spotkać w drodze i którzy, jak ufam, zaszczycą mnie i przy obiedzie swym towarzystwem.

Dwaj zbóje skłonili się na znak zgody.

Gospodarz powiódł niespokojnym wzrokiem po sali, następnie, zwracając się do Estebana, rzekł z żalem:

– Sam pan dobrodziej widzisz, że wszędzie pełno.

Palec Prowansalczyka skierował się w stronę Castillana, który spokojnie dogryzał swoją pularde.

– A ówże stolik?

– Prawda! – z pośpiechem wyrzekł oberzysta. – Jeśli ten młody pan pozwoli, będzie można nakryć panu dobrodziejowi obok niego.

– Jeśli pozwoli? Byłoby to dość zabawne, gdyby ośmielił się nie pozwolić, gdy ja tego żądam!

Mówiąc to Esteban wziął kapelusz do ręki, przywołał na swe wstrętne oblicze uśmiech zastosowany do okoliczności i podszedłszy do Castillana, któremu skłonił się z przesadną grzecznością:

– Panie! – zaczął.

Sulpicjusz podniósł głowę schyloną nad talerzem i niezmiernie zdziwiony zmierzył wzrokiem osobliwą figurę nieznanego.

– Panie! – podjął zbir, z nie zmaconą niczym zimną krwią – widzisz waść we mnie szlachcica prześladowanego przez fatalność. Przybywam do tej oberży głodny jak wilk, przybywam w dodatku z dwoma innymi podróżnymi, których poznałem w drodze i których pragnąłbym z serca ugościć. Przybywszy znajduję wszystkie stoły zajęte, z wyjątkiem tego, przy którym waść siedzisz. Ośmielam się przeto błagać waści, abys najłaskawiej raczył podzielić go z nami.

Wysłuchawszy cierpliwie tej oracji, Castillan obrócił wzrok na dwóch innych „podróżnych”, których Prowansalczyk przedstawił mu zaraz po przedstawieniu samego siebie i których miny dwuznaczne wcale mu się nie podobały.

Cokolwiek bądź, był on zbyt dobrym towarzyszem, aby odmawiać prośbie, którą Esteban przedstawił mu z tak wielką uprzejmością.

– Jestem szczęśliwy, że mogę przysłużyć się panom taką drobnostką – odrzekł. – Przy stoliku tym jest bardzo przestronnie jednemu;

czterem może być cokolwiek za szczupłe. Ale to nic, ściśniemy się odrobinę. Raccie panowie usiąść, bardzo proszę.

– Jesteś waść dobrym kompanem – oświadczył Esteban – i z przyjemnością wypróżnię butelkę za pańskie zdrowie.

„Za jego zdrowie – pomyślał Ben Joel. – Otóż to znaczy: wieńczyć swoją ofiarę kwiatami”.

Gospodarz energicznie zakrzętał się około nowych gości i na stole zjawily się niebawem talerze, półmiski i butelki. Towarzysze Estebana de Poyastruc, widząc, z jakim zapalem zabrał się on do obiadu, przyszli do przekonania, że szlachcic ten nie tylko nie potrafi bić się na

czczo, lecz owszem, musi najpierw upić się, aby się bić dobrze. Odkrycie to zaniepokoiło ich nie żartem.

Ale postępowanie Estebana uspokoiło ich wkrótce. Tęgie łyki, które raz po raz powtarzał, zdawały się wpływać nań dobroczynnie, dodając bystrości jego spojrzeniu i wymowy językowi. Zamiast mroczyć się, twarz jego stawała się coraz jaśniejsza.

Gdy obiad zbliżał się do końca, mrugnął on znacząco na towarzyszków, jakby mówił: „Baczność! Zabieram się do dzieła!”

Ten znak porozumienia nie uszedł uwagi Castellana. W umyśle jego zrodziło się podejrzenie.

Cyrano zbyt wymownie zalecał mu ostrożność przed możliwymi podejściami hrabiego i jego wysłańców, aby spostrzeżenie tego rodzaju nie skłoniło go do podwojenia czujności. Zresztą od samego początku uprzejmość Estebana wydała mu się podejrzana.

Zrobił ruch, jakby zamierzał wstać i opuścić izbę. Prowansalczyk zatrzymał go mówiąc:

– Spodziewam się, że nie porzucisz nas waść w ten sposób?

– Przepraszam – odrzekł młodzieniec – ale godziny moje są policzone.

– Ba, jakkolwiek miałyby to waści popsuć rachunek, musisz poświęcić nam jedną z tych godzin. Zanim się rozstaniemy, wypada uczcić znajomość naszą wypiciem butelki wina kanaryjskiego.

– Zgoda! – rzekł Castellan, siadając na powrót przy stole.

Kiedy wino kanaryjskie rozlane w kieliszki wzmocniło jeszcze zażyłość pomiędzy czterema biesiadnikami, Esteban wystąpił z nowym projektem.

– Ech! – wyrzekł – takie picie nic niewarte! Przy kieliszku trzeba się czymś zająć. Kubek i kości bardzo by się nam tu przydały. Co waść myślisz o tym?

– Myślę – oświadczył wyraźnie Castellan, zniecierpliwiony natręctwem, z jakim Esteban narzucił mu swe towarzystwo – że już wielki czas myśleć o podróży. Zresztą, nie lubię żadnych gier i wskutek tego wcale grać nie umiem.

Prowansalczyk przygryzł wąsa i rzekł marszcząc się:

– Czy to ma znaczyć, mój panie, że propozycję moją uważasz za niewłaściwą?

– Bynajmniej. Żałuję jedynie, że upodobania nasze różnią się. Oto wszystko.

– To znaczy jak najwyraźniej, że moje upodobania są, według waści, złe i że jestem – powiedziawszy wyraźnie – oszustem. To tak, mój panie? To ośmielasz się znieważać mnie? – zagrzmiął Esteban podnosząc się, jakby go nagle wściekły gniew z miejsca podrywał.

– Nic podobnego w myśli mi nie powstało – odparł spokojnie młodzieniec, niewiele sobie czyniąc z udanego gniewu zbira. – To przeciwnie, waćpan, jak mi się zdaje, szukasz rozmyślnie awantury!

– Awantury! Do diabła! Jeśli waść masz równy wstręt do szpady, jak do kości, awantury, których ludzie z waścią szukają, mało obchodzić go muszą.

„Nie wątpię już – pomyślał Castellan, usłyszawszy to wyzwanie – że w tym wszystkim tkwi hrabia de Lembrat. Nie bardzo to przyjemne rozpocząć podróż od bójki, ale – tym gorzej! Ten drażni nie przestrasza mnie wcale swymi sępimi ślepiami!”

Uczyniwszy w myśli tę uwagę, sekretarz Cyrana podniósł się, oparł obie ręce o stół i patrząc śmiało w twarz zbira, zapytał tonem niezmiernie łagodnym:

– Kiedy pan raczysz nareszcie zakończyć ten żarcik?

– Jedno słowo! – rzekł tamten. – Grasz waść czy nie grasz?

– Nie gram.

– A czy bijesz się?

– Zawsze.

Zbir skłonił się.

– Przykro mi – rzekł – że nasz obiad w taki sposób się kończy, ale waść sam tego chciałeś. Sądzę, że nic nie będziesz miał przeciw temu, abyśmy załatwili na poczekaniu tę drobną sprawę. Czy masz waść sekundantów?

– Znajdę ich – odrzekł Castillan, przebiegając oczyma grupę oficerów, którzy nadbiegli na hałas wywołany sprzeczką.

– A panowie – zwrócił się Esteban do Ben Joela i Rinalda – czy nie odmówicie mi swych usług?

– Bez wątpienia – odpowiedział Rinaldo. – Obydwaj wprowadźcie, jak sądzą, posiadamy mało doświadczenia w tego rodzaju sprawach, nie wypada nam jednak odmawiać.

– Chodźmy zatem.

– Jeszcze słowo – wtrącił Castillan. – Czy pana co zmusza do takiego pośpiechu?

– Im prędzej, tym lepiej.

– Dla mnie byłoby lepiej odłożyć tę rzecz do wieczora. Chciałbym załatwić kilka spraw przed spotkaniem.

– Przystaję. Będziemy się bili przy latarni.

– Jeśli to panu dogadza, przystaję i ja.

I Castillan wyszedł z izby.

W pół godziny później miał już sekundantów. Byli nimi dwaj oficerowie z pułku Castelljaloux, którzy na samo imię Cyrana pośpieszyli z ofiarowaniem swych usług.

Esteban, pozostawszy z towarzyszami, spojrział na nich, czyniąc znaczący ruch głową.

– Wiecie – rzekł – com mu zaproponował?

– Co takiego?

– Pojedynek przy latarni.

– Cóż stąd?

– Nie byle kto, moi kochani panowie, może się bić w ten sposób. Trzeba do tego znać wszystkie subtelności szermierstwa. Myślałem, że mi dacie do zakłucia pisklę, tymczasem, jak mi się zdaje, będę miał do czynienia z opierzonym już dobrze kogutem.

– Do kroćset! – mruknął Rinaldo – a jeżeli on pana zabije?

Zbir uśmiechnął się lekceważąco.

– Bądź spokojny, kochany panie. Zobaczysz dziś wieczorem, jak to według wszelkich prawideł kładzie się swego zapaśnika tak, aby nie mógł się już podnieść.

Castillan spędził resztę dnia w wynajętej izdebce, gdzie napisał długi list do Cyrana.

Pismo to dał do przechowania jednemu ze swych sekundantów, zalecając, żeby zawiózł je do Paryża na wypadek, gdyby pojedynek zakończył się dlań nieszczęśliwie. Oficer przyrzekł mu to solennie.

Młodzieniec ujął następnie szpadę, aby się rozruszać, po krótkim egzorcycytowaniu się schował ją do pochwy, zadowolony z siebie. Uczeń Cyrana w sztuce szermierskiej mało sobie czynił z grożącego mu niebezpieczeństwa, a ów pojedynek przy latarni, którego zasady znał wybornie i na który Esteban tak wiele liczyć się zdawał, nie przysparzał mu najmniejszego kłopotu.

Gdy nadeszła godzina spotkania, Castillan zszedł ze swymi sekundantami do izby gościny, gdzie czekali już Esteban i jego kamraci.

– Zaopatrzyłem się już w potrzebne przyrządy – rzekł zbir. – Gospodarz pożyczył ślepej latarki, a co do reszty, sądzą, że moja opończa jest dostatecznie szeroka, aby nam w tym wypadku służyć.

– Doskonale – rzekł Castillan. – Do dzieła zatem, panowie.

Z tyłu oberży znajdowało się małe podwórko, którego ziemia, twarda i równo ubita, przedstawiała odpowiednie do zapasów miejsce.

Tu postanowiono rozprawić się, wszyscy bowiem jednoznacznie osądzili, że nie należy nadawać sprawie rozgłosu, wtajemniczać w nią ludzi postronnych i budzić czujność straży.

Esteban położył na ziemi zapaloną latarnię oraz swą opończę i rzekł do Castellana:

– Tym razem, niezależnie od swych upodobań, musisz waść zagrać ze mną w kości. Los musi rozstrzygnąć, jakie każdemu z nas przypadną środki obrony.

– Gra zbyt jest piękna, abym dla niej nie zapomniał na chwilę o swych zasadach. Gdzie kości?

– Oto są. Proszę wyrzucić.

Sulpicjusz wziął kubek, potrząsnął kostkami i wysypał je na ziemię w miejscu oświetlonym przez latarnię.

– Szóstka i dwójka – wymienił głośno, schyliwszy się dla policzenia punktów.

– Dobre cyfry! – zauważył Esteban, zbierając kostki do kubka.

– Czwórka i szóstka! – zawołał, wyrzucając z kolei kości. – Jestem wygrany dwa punkty i mam prawo wyboru.

Po tych słowach pochwycił latarnię i zaraz też szpadę wydobył.

Castillan wziął opończę i owinał ją sobie dokoła lewej ręki. Pojedynek przy latarni – albo raczej: pojedynek z latarnią – należał do tych, w których walczy się, jak to mówią, pierś przy piersi. Wymagał on niezmiernej zręczności, przytomności umysłu, a zarazem podstępności, i niezrędko bywał śmiertelny dla obu zapaśników.

Trzymający latarnię to olśniewał jej blaskiem przeciwnika, to zakrywał światło, pogrążając go w ciemności. Drugiemu płachta służyła najpierw za tarczę osłabiającą siłę ciosów; następnie posługiwać mógł się nią jak rzymski gladiator siatką, zarzucając ją na przeciwnika.

– Jestem na pańskie usługi! – rzekł Castillan, stając na stanowisku nie bokiem, lecz z wystawioną naprzód pierśią, którą osłaniało pokryte opończą ramię.

– Zaczynajmy – odparł zbir.

W tejże chwili zrobiło się zupełnie ciemno. Esteban schował latarnię za siebie.

Szalone natarcie, natychmiast zresztą odparowane, pouczyło Castellana, że ma przed sobą niepospolitego gracza.

Tymczasem jednak wzrok jego począł oswajać się z ciemnością. Rozeznawał już w mroku niepewną sylwetkę Estebana i czuł, że szpada jego jest jakby znitowana ze szpadą zbira. Wygiął ostrze, szarpnął nim gwałtownie i rozdzielił żelaza.

– Dobra! – rzucił Esteban, podbijając nerwowym ruchem szpadę młodzieńca.

W tejże chwili nagły rzut światła padł na twarz Castellana. Olśniony skoczył w tył – mimo to jednak uczył w piersiach szpadę przeciwnika.

Było to jednak tylko lekkie ukłucie. Opończa osłabiła siłę pchnięcia.

Esteban tak bardzo liczył na ów cios, że wykonawszy go cofnął szpadę w przekonaniu, że ujrzy już przeciwnika padającego.

– Jeszcze na nogach! – zadziwił się po krótkiej pauzie.

– Aby być gotowym na pańskie usługi! – odparł Castillan szydersko i rzucił się nań z wściekłością.

Latarnia rozpoczęła nowe sztuczki. Skakała ona teraz jak błędny ogień w ręce zbira, myląc przeciwnika co do miejsca, w którym znajdował się Esteban, oświetlając go to od stóp do głowy, to z jednego tylko boku, biegnąc wciąż za nim, prześladowając go zajadłe.

Wypadało odpowiedzieć w sposób właściwy na tę taktykę.

Castillan podniósł lewe ramię i jął machać rozwiniętą do połowy opończą, niby skrzydłem olbrzymiego, nocnego ptaka.

Płomień latarni zachwiał się kilkakrotnie i zbir zląkł się nie żartem, że może zagasnąć.

Trzeba było kończyć.

Podniósł szpadę i pchnął silnie, jakby chciał przebić młodzieńca z góry na dół.

Castillan skorzystał z tej chwili.

Silnym ruchem opończy zgasił latarnię, która wypadła z ręki Estebana, jednocześnie zaś wbił mu ostrze szpady w gardło.

- A!... – zacharkotał zbir, padając ciężko na ziemię.
A gdy Rinaldo pochylił się nad nim, wybełkotał jeszcze:
– Mówiłem... mó... wiłem... że to nie... pisklę... lecz... ko... gut!
To było wszystko. Po chwili wielmożny Esteban de Poyastruc był już trupem.
Castillan zwrócił się do jednego ze swych sekundantów.
– Może mi pan teraz list mój zwrócić! Już niepotrzebny.

XX

Sulpicjusz wybrnął z wielkiego niebezpieczeństwa; sądzonym mu jednak było wpaść natchmiasz w drugie.

Zaledwie oddalił się z dwoma towarzyszącymi mu oficerami, Ben Joel i Rinaldo złożyli radę i nowy plan wylał się w ich żywej wyobraźni.

Powróciwszy do oberży, zastali Castillana wieczerzającego ze swymi sekundantami.

– Panie! – rzekł do młodzieńca uprzedzająco grzecznie Rinaldo – to, co zaszło, nie narusza w niczym dobrego porozumienia, jakie panowało między nami dziś rano. Przeciwnik pański był dla nas człowiekiem obcym, z którym przygodnie spotkaliśmy się w drodze; wyznajemy też chętnie, że temu nieszczęsnemu sporowi on tylko jeden był winien, uparcie bowiem szukał z panem zaczepki. Upił się niezawodnie, przyplacił zaś to zbyt drogo, abyś pan mógł pamiętać jeszcze o urazie. Bylibyśmy w rozpacz, gdyby pan z tego powodu żywił do nas jakąkolwiek niechęć. Pragnęlibyśmy z całego serca, aby zapanowała między nami zupełna zgoda i skoro los zbliżył nas, abyśmy lepiej i dokładniej się zaznajomili.

Sulpicjusz, zanim odpowiedział, przez czas długi wpatrywał się w mówiącego i jakieś niejasne przypomnienia ponownie zbudziły w nim podejrzliwość.

Rinaldo ucharakteryzował się z właściwym sobie talentem i był niemożliwy do poznania z twarzy i figury; nie mógł jednak zmienić całkowicie głosu. Otóż Castillan przypomniał sobie, że już kiedyś, w jakichś niezwykłych okolicznościach, głos ten słyszał.

Nie przedłużając w tej chwili swych spostrzeżeń, uznał jednak za konieczne postępować jak najostrożniej – odpowiedział też zimno:

– Wiercie mi, panowie, że nie żywię żadnej urazy ani do tego zawadiaki, który padł ofiarą swej porywczoci, ani też do żadnego z was; jednak znajomość nasza nie może mieć tych następstw, których żądacie. Za kwadrans odjeżdżam i to z pewnością nie w tym kierunku, co panowie.

– Kto wie? – wtrącił milczący dotąd Ben Joel. – Czy nie jedzie pan wypadkiem w stronę Orleanu?

– Być może.

– W takim razie składa się to doskonale. My również do Orleanu dążymy. Wprawdzie zamiarem naszym było udać się w drogę dopiero jutro rano, gdyż podróż nocna nie jest dziś zbyt bezpieczna; jednak pod pańską opieką i dla przyjemności towarzystwa pańskiego gotowiśmy jechać zaraz.

Było to powiedziane tak dobrotliwie i serdecznie, że młodzieniec złapałby się z pewnością, gdyby nie owe wcześniej zrodzone podejrzenia.

Ściągnął brwi i tonem nie dopuszczającym już dalszego nagabywania odparł:

– Jeszcze raz muszę podziękować. Radzę panom najzyczliwiej: połóżcie się spać i pozwólcie jechać mnie samemu. Nie potrzeba mi eskorty; lubię też nade wszystko samotność.

– Ach, widzę, niestety! – wyrzekł płaczliwie Rinaldo – że nie możesz pan nam przebaczyć mimowolnego współdziałania w ostatnim wypadku. Musimy więc z żalem wyrzec się przyjemnego towarzystwa i życzyć panu szczęśliwej drogi! Niech Bóg ma pana w swej opiece!

– Dobranoc! – zakończył krótko młodzieniec, odwracając się plecami do podejrzanego osobistości, która zegnała go, zginając się do samej ziemi.

Zbóje wyszli – lecz zamiast udać się na spoczynek, jak im to doradzał Castillan, wemknęli się ostrożnie do stajni, osiodłali z pośpiechem konie i opuścili czym prędzej oberżę Pod Uwieńczonym Pawiem.

– Straciliśmy sprzymierzeńca; wypada nam zmienić plan działania i oprzeć się wyłącznie na własnych siłach – oświadczył Rinaldo towarzyszowi. – Do tej chwili postępowaliśmy za śladem Castillana; teraz, jak sądzę, będzie korzystniej wyprzedzać go.

– Jaki jest twój projekt?

– Bardzo prosty. Zamierzam wyprawić sekretarza tam, dokąd dostał się już twój przyjaciel Esteban.

– W jaki sposób?

– Przy pomocy tego oto.

I Rinaldo wyciągnął z olstrów dwa ciężkie pistolety.

Ben Joel uzbrojony był tak samo. Nie pytał o więcej, zrozumiałwszy od razu plan kamrata; obaj też w milczeniu skierowali konie na drogę do Orleanu, którą oświetlała blada jasność wschodzącego księżyca.

Castillan, pomimo przełożeń oficerów, z którymi wieszczył, uparł się postawić na swoim i wyruszyć w drogę z nadzieją wieczora.

Wierzchowiec jego wypoczął i miał dość siły do odbycia nowego etapu. Gdy wybiła dziesiąta, młodzieniec wskoczył na siodło i pomknął galopem przez milczące ulice.

W kwadrans później znajdował się w szczerym polu. Przed nim rozciągała się na kształt nieskończonej białej wstęgi droga, która zawieźć go miała prosto do Orleanu.

Księżyc wznosił się wysoko i świecił pełnią swego blasku, co pozwalało jeźdźcowi odbywać drogę równie swobodnie jak wśród białego dnia.

Tak daleko, jak wzrok jego sięgał, okolica wydawała mu się zupełnie pusta. Cwałował bez obawy, przedstawiając sobie w myśli wypadki tego dnia jako rzeczy bardzo odległe, a obraz Estebana poczynał się już w pamięci jego zacierać.

Z tego stanu wyrwał go odgłos dalekiego rżenia...

W okolicy nie było widać żadnego domostwa.

Castillan zapytał sam siebie ze zdziwieniem: skąd mógł głos ten pochodzić?

Droga biegła w tym miejscu pomiędzy kępami drzew, które otaczały w przerwach gęste krzaki; zarośla te odcinały się ciemnymi plamami od szarego tła ziemi.

Widocznie rzenie owo pochodziło z tych właśnie zarośli.

Może zbóje uczynili tu zasadzkę na przejeżdżających, a może Sulpicjusz spotka po prostu jakiegoś niewinnego jeźdźcę, którego w tej chwili zakrywają przed nim zakręty drogi, wijące się w tym miejscu wężowo?

Człowiek przezorny pomyślałby w każdym razie o środkach ostrożności, albo zatrzymałby się w miejscu, albo też objechał miejsce to dookoła. Ale Sulpicjusz, pchany naprzód wrodzoną sobie awanturnością oraz mając na uwadze nagłość powierzonej sobie misji, spał konia ostrogami i postanowił, tak czy inaczej, przedrzeć się przez ten przesmyk zdradziecki.

Zaraz na pierwszym zakręcie huknął wystrzał i kula przeleciała ze świstem tuż przy uszach młodzieńca.

Castillan uznał za właściwe nie stawiać czoła niewidzialnemu wrogowi.

Zachowując męstwo swe na lepszą potrzebę, pochylił się na siodle i szalonym galopem pomknął naprzód.

W tej chwili zagrzmiał drugi wystrzał. Tym razem padł on z innego miejsca, o jakie pięćdziesiąt kroków odległego, i jeśli Castillan został ugodzony, to w same piersi.

Hukowi wystrzału odpowiedział krzyk jeźdźcy.

– Dostał! – krzyknął triumfująco Ben Joel wychylający się z gęstwiny.

Nadbiegł też Rinaldo.

– Trafiłeś? – zapytał Cygana.

– Jestem pewny. Widziałem doskonale, jak puścił cugle i upadł w tył. Koń uniósł go galopem i zrzucił pewnie na drodze.

– A więc trup?

— Bez żadnej wątpliwości.

– To dobrze – rzekł Rinaldo – lecz... list?

– Prawda. List potrzebny nam koniecznie. Szukajmy zatem zwierzyny. Musi ona być gdzieś niedaleko.

Zbóje poprawili się na siodłach i ruszyli śladem Castellana. W ciągu dwóch godzin przeszukiwali nadaremnie przydrożne rowy, zarośla i pola.

Najmniejszy ślad nie wskazywał ani obecności, ani nawet przejazdu tego, który teraz tak bardzo był im drogi.

– Głupia historia! – zaklął Rinaldo. – Wolałbym sto razy wiedzieć, że ten dudek żyje i że będę jeszcze mógł się z nim spotkać, niż trapić się przypuszczeniem, że wpadł w jakąś dziurę, gdzie zgnije, zanim go odszukamy.

– Wróćmy na górę – doradził Ben Joel. – Na co przedłużać bezużyteczne poszukiwania?

– Masz słuszość. Wypada nam, na wszelki wypadek, dotrzeć do samego Orleanu.

Niepowodzenie dwóch z kolei zamachów zaniepokoiło nędzników i pozbawiło ich dotychczasowej pewności siebie. Jechali obok siebie w milczeniu i bez zbytniego pośpiechu. Może chcieli opóźnić chwilę, która przynieść im mogła ostateczne rozczarowanie...

W odległości mili od miejsca, w którym dokonany został ostatni zamach, ujrzeni nagle, na prawo od drogi, wielkie ognisko, przy którym kręciło się około dziesięciu ludzi. W pobliżu tej grupy stał wóz zaprzężony w parę silnych koni.

Trzeci koń leżał w trawie, cokolwiek dalej.

Sylwetki wszystkich ludzi rysowały się czarno na krwawym tle płomienia. Jeźdźcy, przyglądając im się z daleka, nie mogli odgadnąć, co by to byli za jedni i co w owym miejscu czynili?

Tajemnicze obozowisko rozkładało się pod spadzistą ścianą wysokiego wzgórza, którego szczyt porosły były karłowatymi drzewami, boki zaś, wydrążone przez kopaczów wybierających piasek i glinę, przedstawiały wygodne schronisko.

Ze szczytu wzgórza można było widzieć doskonale, co się działo w obozowisku i rozpoznać w potrzebie osoby skupione przy ogniu.

– Kumie Rinaldo! – odezwał się Ben Joel – nie trzeba pomijać najdrobniejszych szczegółów. Radzę zwrócić poszukiwania w stronę tych tam ludzi...

– Miałem właśnie to samo na myśli.

– Baczość zatem!

Łącząc czyn ze słowami, Ben Joel zsunął się z siodła, owinął łeb konia opończą, aby nie mógł rzeć głośno, i zaprowadził wierzchowca w gęstwinę, gdzie przywiązał go do opuszczających się nisko gałęzi jesionu.

Rinaldo uczynił toż samo.

– Zaczekaj tu na mnie – rzekł Cygan.

I przekradając się między drzewami, dostał się niepostrzeżenie do złomów skalistych, oświetlonych słabo .łuną ogniska, płonącego o jakie sto kroków stamtąd.

Pod osłoną skał mógł już posuwać się bezpiecznie, okrążył więc wzgórze i wdzierając się na nie od strony przeciwnej, dostał się w kilka minut na wierzchołek, skąd wzrok jego padał już prostopadle w sam środek grupy.

Grupa ta otaczała kogoś, co siedział i jak się zdawało, skupiał na sobie uwagę ogólną.

Ben Joel o mało nie krzyknął, poznawszy w siedzącym Castellana.

Co przytrafiło się młodzieńcowi, opowiedzieć się da w kilku słowach.

Kula Bena Joela ugodziła go rzeczywiście w same piersi, natrafiła jednak szczęśliwie na szeroką miedzianą sprzączkę, która rozped jej zniweczyła. Uderzenie wszakże było tak silne, że młodzieniec stracił chwilowo przytomność i zemdłał.

Koń, jak już wiemy, uniósł go szalonym pędem i biegł przez pola aż do chwili, gdy olśniony blaskiem ogniska stanął w miejscu jak wryty i zrzucił zemdlonego na ziemię.

Sulpicjusz upadł w trawę.

Upadł nieprzytomny, a gdy przyszedł do siebie, ujrzał się przy ognisku wśród dziwnego towarzystwa mężczyzn i kobiet, w których od pierwszego spojrzenia poznał wędrownych linoskoczków.

Ci ludzie obozowali pod gołym niebem, aby oszczędzić sobie wydatku na nocleg w obozowisku.

Sulpicjusz, orzeźwiony kilkoma łykami wódki, wtajemniczył swych wybawców w szczegóły zajścia, a ponieważ sztukmistrze udawali się do Orleanu, umówiono się, że młodzieniec spędzi resztę nocy z nimi, nazajutrz zaś o świcie wyruszą wszyscy w dalszą drogę.

Ochłonawszy ze zdziwienia, Cygan jął przyglądać się kolejno członkom wędrownej bandy.

Nagle spojrzenie jego zatrzymało się na obliczu jednej z kobiet, która stała obok Castellana – i radość zabłysnęła w jego oczach.

– Marota! – szepnął mimo woli, posyłając pozdrowienie przyjacielskie tej kobiecie, która zresztą widzieć go nie mogła.

– Marota! – powtórzył raz jeszcze z radością. – O, tym razem jestem pewny powodzenia!

Zrobiwszy tę uwagę, opuścił swój posterunek i wrócił do Rinalda, któremu o wszystkim opowiedział.

– Czy zechcesz na mnie polegać? – spytał następnie, nie dając mu czasu na oprzytomnienie. – Jeśli chcesz, jutro już będziemy mieli w rękach list Bergeraka.

– Jakim sposobem?

– Do tej chwili, w celu pochwycenia wysłańca, używaliśmy gwałtu i do niczego nas to nie doprowadziło. Wypada teraz użyć innych środków.

– To znaczy?

– To znaczy, że trzeba wprowadzić w wykonanie projekt, który obmyśliłem.

– Czy sądzisz, że doprowadzi nas to do posiadania listu?

– Jeżeli go nie posiadziemy, niech szubienica, na której spodziewam się kiedyś zawisnąć, stanie natychmiast przede mną i stryzyk na szyję mi zarzuci!

– Czyż zatem, co chcesz. Od tej chwili zdaję się na twą łaskę i miłosierdzie. Dokąd pojedziemy?

– Pozostajemy w tym miejscu. Przed rozpoczęciem łowów trzeba, aby nasz ptak odzyskał siłę do lotu.

Łotry wyciągnęli się na trawie, aby uważać z daleka na poruszenia bandy.

Grupa wędrownych skoczków odstąpiła już od ogniska, rozpraszając się dookoła.

Po pewnym czasie wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka pozostawionego na czatach przy dogasającym ogniu, spali twardo, czekając hasła odjazdu.

XXI

– Wstawać! – krzyknął wartownik o pierwszym brzasku dnia.

Porwali się wszyscy na nogi i w mgnieniu oka złożono na wóz cały ruchomy inwentarz bandy.

Castillan, pomimo że dolegała mu jeszcze wczorajsza kontuzja, dosiadł bez trudności konia i całe towarzystwo udało się w kierunku Orleanu.

Ben Joel i Rinaldo wyruszyli cokolwiek później.

Sulpicjusz nie domyślał się bynajmniej ich obecności. Mimo niedawnych podejrzeń przypuszczał, że pozostali w Estampes, nocny zaś napad był dziełem zwykłych rzezimieszków.

Na wstępie do Orleanu młodzieniec rozłączył się z nowymi przyjaciółmi, którzy zatrzymawszy się w skromnej oberży na przedmieściu, wskazali towarzyszowi, jako godniejsze jego stanu miejsce, zajazd „Pod Herbem Francji”, dokąd bronił im wstępu oplakany stan kieszeni.

Sekretarz poety wsunął kilka pistolew w rękę wodza tej trupy, jako nagrodę za okazaną mu życzliwość, po czym udał się na wielki plac, gdzie błyszczał złociście „Herb Francji”.

Zaledwie linoskoczkowie rozgościli się w swym ubogim schronieniu, zjawił się Ben Joel.

Cygan był sam. Doradził on przezornie Rinaldowi, aby trzymał się tymczasem na uboczu, obiecując sobie zniknąć z kolei, gdy już powodzenie dzieła będzie zapewnione.

Wsunąwszy się do szynkowni, ujrzał gospodarza nakrywającego długi stół, przeznaczony widocznie dla przybyszów.

– Hej, acanie! – zakrzyknął nań Ben Joel bez dłuższych wstępów – czy acan znasz ludzi, którzy zjechali tu przed chwilą?

– Czy ich znam? – odrzekł szynkarz. – Od dziesięciu lat stale odwiedzają mój zakład. Przybywają zawsze na święta.

– W takim razie nieobce jest ci pewnie imię Maroty.

– Tancerki? Śliczne ślepki ma ona, mój panie!

– Znasz ją zatem acan dobrze. Proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest w tej chwili?

– W swoim pokoju. Czy chcesz pan z nią pomówić?

– Być może. A gdzież to ten pokój?

– A któż pan jesteś, że tak bez żadnych ceregieli wybierasz się do pokoju panny Maroty?

– Nie obawiaj się, acan. Należę do przyjaciół tej panny i nie zamierzam bynajmniej czynić zamachu na jej cnotę, którą zresztą znam od dawna.

Na wspomnienie o cnotie szynkarz mrugnął dowcipnie i znacząco, jakby dawał do zrozumienia, że wie, czego się trzymać w tym względzie.

– Pierwsze piętro, drzwi na prawo – objaśnił wreszcie, uważając, że wszelkie dalsze uwagi byłyby zbyteczne.

Ben Joel pobiegł szybko, przeskakując po dwa stopnie na raz i kierując się w stronę, skąd dochodził go śpiew kobiety; niebawem stanął przed drzwiami panny Maroty.

Tancerka ubierała się właśnie i zajęta nadawaniem połysku swym czarnym włosom wyśpiewywała na cały głos jakąś bardzo swobodną piosenkę, mało dbając o to, czy jej zbyt wrogorsowane strofki nie zaniepokoją którego z sąsiadów.

Na pierwszy rzut oka poznawało się w niej dziecko cygańskie.

Była brunetką, a wielkie, czarne oczy, wydatne i jak krew purpurowe wargi oraz drżące nozdrza dostatecznie ujawniały, jaka krew w żyłach jej płynie.

Gibką, choć wspaniale rozwiniętą, postać Cyganki okrywał rodzaj wełnianego szlafrocza, spod którego wyglądał lekki kostium tancerki.

Było to, razem wzięwszy, zachwycające stworzonko, a choć brakło jej poważnej, posagowej piękności Zilli, wynagradzała ten brak nieprzepartym urokiem ponętnej, dojrzałego owocu, który sam przymyka się do chcącej zerwać go ręki.

Ben Joel znał dobrze Marotę, jako córkę plemienia, do którego sam należał; wspólnie też z nią włączył się przez czas jakiś w kompanii wędrownych komediantów.

Zatrzymawszy się na progu izdebki, przypatrywał się przez czas jakiś w milczeniu zaśpiewanej dziewczynie; potem wszedł do środka.

Marota, usłyszawszy kroki, odwróciła się.

– A, ty tu? – zaśmiała się wesoło.

– Tak. Ale sza!... nie wymawiaj głośno mego imienia.

– Tajemnica? Skąd przybywasz? A Zilla? Od dwóch lat nie miałam żadnej od was wiadomości!

– Odpowiem ci później na wszystko. Tymczasem chodzi o co innego. Jeżeli jesteś w usposobieniu dość rozsądnym, aby wysłuchać mnie nie przerywając, powiem ci zaraz, co mnie tu sprowadziło.

– Zaczekaj. Zaraz skończę.

Podczas gdy Marota kończyła układanie swych bujnych włosów, Ben Joel zamknął starannie drzwi, opukał mury, jakby dla upewnienia się, czy się w nich kto nie ukrywa, i zasiadł na stołku przy oknie.

– Już! – zawołała wesoło tancerka rzucając ostatnie, zadowolone spojrzenie w stłuczone zwierciadelko, które powtarzało jej liczko uśmiechnięte. – Teraz możesz mówić. Słucham cię z wyteżoną uwagą.

Rozmowa Ben Joela z Marotą trwała przeszło godzinę.

Cygan opuścił pokój Cyganki z miną człowieka, który doprowadził szczęśliwie do końca trudne i ryzykowne przedsięwzięcie.

– Dziś wieczorem – rzekł do dziewczyny na odchodnym. – A nade wszystko nie zapomnij o sygnale.

– Bądź spokojny i zostaw mnie samą, jeśli chcesz, aby wszystko było we wskazanym czasie gotowe.

Ben Joel wyślizgnął się zręcznie i poszedł szukać Rinalda. Marota tymczasem, zamiast sięść do stołu z kolegami, przygotowała się również do opuszczenia zajazdu.

Przed wyjściem rozmawiała kilka chwil ze swym dyrektorem; potem, zarzuciwszy na głowę duży szal, który prawie zupełnie twarz jej zakrywał, udała się do zajazdu Pod Herbem Francji, gdzie, jak wiadomo, zamieszkał Castillan.

Przed bramą służący hotelowy siodłał konia, w którym Marota poznała od razu wierzchowca Sulpicjusza.

Zwierzę, choć wzmocnione dwugodzinnym wypoczynkiem, nosiło jednak ślady wielkiego zmęczenia.

Kopyta jego pokrywało zeschnięte błoto publicznych gościńców, a sierść, choć już sucha zupełnie, sklejała się na bokach na kształt szerokich, połyskujących plastrów.

– Piękny rumak! – rzekła Marota, głaszcząc konia.

– Ładna dziewczyna! – odparł tym samym tonem służący, obejmując gorącym spojrzeniem twarz baletniczki.

– Prawdziwie pańska sztuka! – podjęła ta ostatnia, nie zważając na pochlebstwa sługusa.

– A w nogach jaka krzepka! – dorzucił pacholek, chcąc podtrzymać rozmowę. – Zrobiło to nie wiem ile drogi dziś rano i zdążyć ma jeszcze na nocleg do Romorantin.

Marota westchnęła.

– Ja muszę tam iść pieszo! – wyrwała się jej skarga.

– Pieszko? Ależ to porządny kawał drogi, piękna panno!

– Wiem o tym dobrze. Może znajdę w drodze jaką dobrą duszę, co pozwoli mi przysiąść na swoim wózku.

Po tych słowach Cyganka udała się w dalszą drogę, przyśpieszając kroku, jakby chciała wynagrodzić czas stracony na rozmowie ze służącym.

Przeszła bramę miejską, nie zatrzymując się nigdzie ani na chwilę i znalazła się na drodze do Romorantin.

Nadmienić wypada, że wychodząc z wielkiego placu, Marota otarła się o jakiegoś człowieka, stojącego z miną roztargnioną na rogu jednej z ulic, i szepnęła mu kilka słów głosem przyciszonym.

Tym człowiekiem był Ben Joel.

Tancerka znajdowała się już o pół mili za miastem, gdy Castillan wyjechał z niego.

Wybiła trzecia z południa. Sulpicjusz spodziewał się stanąć w Romorantin o zachodzie słońca.

– Spodziewam się – myślał jadąc – że skończyły się nareszcie moje utrapienia. Pojedynek i dwa strzały pistoletowe, to chyba dość, aby kupić sobie spokój na resztę podróży.

Sekretarz pomacał ręką kaftan i uczył pod palcami zaszyty za podszewkę list Cyrana, którego od dwudziestu czterech godzin bronił przed niewidzialnymi wrogami.

Uczyniwszy tę pocieszającą uwagę Castillan, o nic się już nie kłopotując, pozwolił koniowi, aby niósł go krokiem dowolnym i korzystając z tego, że wierzchowiec posuwał się noga za nogą, wydobyl z kieszeni kawałek pergaminu oraz ołówek i począł próbować, azali mu się nie uda dorobić zakończenia do rozpoczętego w Paryżu sonetu.

Gdy tak biedził się nad chwytnością wymykających mu się rymów, usłyszał nagle, że go ktoś dzwicznym głosem pozdrawia po imieniu. Odwrócił głowę i spostrzegł siedzącą na przydrożnym wzgórkowi ładną dziewczynę, w której poznał bez trudności tancerkę spotkaną minionej nocy przy gościnnym ognisku.

Marota odrzuciła szal na plecy i głowa jej, niczym nie nakryta, kąpała się w pełnym świetle dnia. Drobne jej stopy, popielate od kurzawy, spoczywały zgrabnie skrzyżowane na trawniku, cała zaś postać objawiała wielkie strudzenie, tłumaczące się pełnym kuszącego powabu zaniedbaniem.

Castillan wstrzymał konia.

– Dzień dobry, panie Castillan! – powtórzyła Marota, skłaniając powabnie główkę i posyłając mu uśmiech czarujący.

– Cóż się stało, że panią tu spotykam? – zapytał zdziwiony Sulpicjusz. – Czyżbyś pani porzuciła pana Aracan? Takie ma nazwisko, jeśli się nie mylę, pani dyrektor?

– Nie myli się pan. A więc tak, porzuciłam go. To wstrętny, stary samolub. Chciał obciąć mi gażę, ażeby mieć więcej dochodu z przedstawień w Orleanie.

– I cóż?

– Ano, ponieważ mam usposobienie żywe, a języczek ostry, nazwałam go sknerą, dusigroszem i jakoś tam jeszcze, i rzuciłam mu na głowę swe tamburyno.

– Tym sposobem pozostałaś bez środków utrzymania?

– Niezupełnie. Mogę znaleźć miejsce w innej kompanii, a w potrzebie mogę też żyć i sama, mam bowiem przy sobie wszystko, co mi do zarobkowania potrzebne, mianowicie: kastaniety i ubiór tancerki.

– Jesteś, pani, jak widzę, filozofką.

Marota uśmiechnęła się.

– Trzeba nią być w tym życiu. Gdy nie jest się niczym, gdy się nie ma nic za sobą i do niczego się nie dąży, jakżeby bez filozofii można znieść różne drobne nędze życia?

– Do licha. Wyznajesz pani zatem, żeś zupełnie wykolejona i że sama nie wiesz dobrze, co cię czeka!

– Tak jest rzeczywiście – nie w tym jednak stopniu, jak pan sądzisz. Teraz oto udaję się do Romorantin, a może i do Louches.

– Czy tak?! – zawołał Castillan głosem, w którym przebijało się wyraźnie zadowolenie.

– W jednym z tych miasteczek spodziewam się znaleźć kompanię komedianów i tancerzy, w której zapewne potrafię się umieścić. Imię moje jest dość głośne, mój panie!

– Nazywają panią Marotą, nieprawdaż?

– Do usług pańskich, panie Castillan.

– I zamierzasz pani udać się do Romorantin pieszo?

– Rozumie się, gdyż nie mam środków na odbycie tej drogi powozem.

– A więc posłuchaj, piękna Maroto. Byłoby grzechem, gdyby mężczyzna, wychowany w dobrych zasadach, pozwolił, aby twoje nóżki wykonać miały tak ciężką pracę. Jeśli zgodzisz

się, możemy odbyć tę drogę razem. Jest to przy tym dobra sposobność odwdzięczenia się za troskliwość, okazaną mi nocy minionej.

– Myśl pańska bardzo mi się podoba, ale – jakże wprowadzić ją w wykonanie? – rzekła Marota udając zakłopotanie, naprawdę zaś ciesząc się niezmiernie z tego obrotu rzeczy.

– Nic łatwiejszego! Nie mogę wprawdzie oddać pani konia, a sam iść pieszo, gdyż zależy mi na pośpiechu, siodło moje wszakże jest dość szerokie i mocne, abyśmy oboje siedzieć na nim mogli.

– Z całą chęcią, mój szlachcicu. Nigdy jeszcze dotąd tak wesoło nie podróżowała.

– Proszę zatem siadać.

Castillan zeskoczył lekko na ziemię i z rąk Maroty, która się doń zbliżyła, wziął małe zawiniątko. Zawiniątko to rozpląszczył na kształt poduszki i przymocował na siodle.

– Wybornie! – rzekła Marota. – Będę siedziała jak królowa. Nie wiem tylko, w jaki sposób dostanę się na pańskiego wierzchowca, który jest wysoki jak katedra. Chyba pan mnie unieśiesz.

– To nic trudnego, proszę o rękę.

Zamiast podać jedną rękę, Marota zarzuciła mu na szyję oba ramiona. Młodzieniec uczył na twarzy jej ciepły oddech, a jednocześnie z jej czarnych, do połowy przymkniętych oczu wybiegło spojrzenie, przenikające go do głębi duszy.

Pomimo silnego wzruszenia Castillan uniósł Marotę lekko jak piórko i posadził na przygotowanej poduszce.

Podczas gdy awanturnica przytrzymała cugle, młodzieniec zdążył już przyjść do siebie.

– Ach! Jakież ja niezręczny! – wyrzekł nagle. – Zapomniałem, że to mnie pierwszemu wsiąść wypada. Co teraz zrobimy?

– Czy mam zejść? – zapytała zalotnica, wyciągając ponownie ramiona.

– Nie trzeba. Postaram się oszczędzić pani tego kłopotu.

Castillan prawą ręką chwycił konia za grzywę, wykręcił się doń tyłem, a następnie, nie dotykając strzemion, uniósł się silnym skokiem w powietrze i spadł na siodło.

Zaraz też prawą nogą okrążył w powietrzu szyję konia i znalazł się w pozycji zwyczajnej.

– Wszystko w porządku! – rzekł do Maroty. – Teraz obejmij mnie pani mocno, jak najmocniej, gdyż pojedziemy ostro.

Ostatnie zalecenie było zbyt cenne.

Castillan jeszcze nie zdążył objawić go, gdy już uczył przy piersiach ramiona Maroty, opasujące go żywym pierścieniem. Niebezpieczne było to położenie dla zapalnego serca młodzieńca.

Odbywać długo drogę z przytuloną do siebie młodą i piękną dziewczyną, czuć nieustannie przy uchu i szyi słodki jej oddech i mieć w dodatku przeświadczenie o kruchości tej cnoty, osłabionej warunkami życia i zawodu – stanowiło pokusę zbyt silną nawet dla większego niż Sulpicjusz stoika!

„Czemuż by nie!” – rzekł do siebie młodzieniec po długich rozmyślaniach, w których rozbiór szczegółowy wdawać się tu nie będziemy.

– O czym pan tak dumasz? – spytała w tymże czasie Marota głosem zachęcającym. – Miałżebyś jakiś powód do smutku?

– Skądże by! Czyż można być smutnym w tak miłym towarzystwie?

– Pochlebca! Nieprawdaż, że ten sposób podróżowania jest zachwycający? Bieg konia, powietrze, słońce – wszystko to rozwesela duszę i napętnia ją niezmierną słodyczą. Chciałoby się tak jechać bez końca.

Rączki Maroty zacisnęły się silniej nieco na piersiach Sulpicjusza, przy czym posunęły się wyżej i znalazły się o kilka cali zaledwie od jego ust.

Młodzieniec nie mógł wytrzymać. Narażając się na ból w szyi, schylił głowę jak najniżej i ucałował szybko paluszki, znajdujące się pod samą niemal brodą.

– Aj, co pan robisz? – krzyknęła Marota cofając ręce, jakby dla ukarania go za śmiałość.

– To trudno! – odparł coraz śmielej Castillan. – Gdy się ma tak blisko piękną rączkę, same usta do niej biegną!

– Nadużywasz swych przywilejów, mości szlachcicu. Jeśli nie przyrzeczesz poprawy i nie będziesz się zachowywał przyzwoicie, pozbędę się tego oparcia, choćbym miała spaść i potłuc się.

– Nie czyni pani tego, na Boga! Przysięgam, że będę rozsądny.

Ale to były tylko słowa. Czyny zaraz im zaprzeczały, gdyż młodzieniec jął na nowo obcałowywać zgrabne paluszki tancerki.

– Widzę – rzekła Marota – że jesteś pan niepoprawny. Skoro więc nie można w żaden sposób uspokoić pana, muszę postąpić z tobą jak z dzieckiem, któremu daje się, czego się napiera, aby zaspokoić jego kaprys.

Przy tych słowach prawa ręka Maroty podniosła się do ust Sulpicjusza, który pokrył ją gorącymi pocałunkami.

Następnie nie przestając na tym pierwszym zwycięstwie i czując ocierające się o jego twarz czarne włosy Maroty, odwrócił szybko głowę i cmoknął ustami na los szczęścia...

Ten całus, rzucony na ślepo, musnął brzeżek gorących warg baletnicy, która szarpnęła się w tył, krzycząc:

– Ach, ach, panie zdrajco, to w ten sposób płacisz za moje dobre serce! Kiedy tak, poczekaj, ponieważ chciałeś osiąść wszystko, wszystko ci odbiorę!

I ponownie ramiona Maroty osunęły się niżej, na kaftan bawoli, zajmując stanowisko w równym oddaleniu od pasa i od kołnierza.

– Jesteś, pani, zachwycająca – rzekł Castillan – czemuż jednak chcesz nią być tylko w polowie? Przyznaj, że podróż stałaby się wkrótce nadzwyczaj nudna, gdybyśmy jej czymś przyjemnym nie urozmaicili. Gdybym więc na przykład oświadczył pani bez żadnych wstępów, że panią ubóstwiam, co byś na to odrzekła?

– Rzekłabym, że chcesz pan zbałamucić biedną dziewczynę i że źle wybrałaś się ze swymi zalotami, ponieważ choć jestem ostrożna, mam jednak w tych rzeczach doświadczenie.

Powiedziane to było głosem naiwnym.

Ale Castillan posunął się już zbyt daleko, aby miał zmieniać ton rozmowy. Nie zwracając też uwagi na odegrane znakomicie zmieszanie awanturnicy, zawołał w odpowiedzi:

– Najdroższa Maroto, gdybym nie był do ciebie zwrócony plecami lub też gdybym miał oczy z tyłu głowy, przekonałabyś się z mojej twarzy i spojrzenia, jak okropnie cię kocham!

– Nic mi do pańskich spojrzeń, panie umizgalski. Schowaj je dla innych!

– Przekłęte położenie! – zaklął Sulpicjusz. – Pomyśleć tylko, że pani jesteś tam, tuż przy mnie, a jednak za mną, i że nie mogę upajać się twoją pięknnością...

– Tracisz na próżno czas i piękne słówka, mości Castillanie! Gdybyś naprawdę życzył sobie tak bardzo wpatrywać się w moją twarz, mógłbyś doświadczać tej wielkiej rozkoszy nie ryzykując, gdyż dostrzegam już w oddaleniu wieżę kościoła w Romorantin i – tu opuszczam już pańskiego wierzchowca i pana.

– A, do kroćset diabłów! – wykrzyknął Castillan, pozbywając się wszelkiej powściągliwości języka – trzeba mi było najpierw o tym pomyśleć. A więc, moja piękna, ja zatrzymuję się również w Romorantin, gdzie spożyjemy sam na sam smaczną kolacyjkę.

Mam go! – pomyślała tancerka, zadowolona z odniesionego tak łatwo triumfu.

I rzekła głośno:

– Kolacyjka może nie grozi niebezpieczeństwem, gdy się zachowa pewne ostrożności. Zresztą dopiero na miejscu będzie można ocenić dokładnie, co warta pańska propozycja.

– Mam ją! – szepnęła do siebie Castillan, powtarzając bezwiednie myśli towarzyszki.

Zapominając chwilowo, dla przelotnej miłości, o ważnym posłannictwie, którym go obciążono, uspokajał się Castillan uwagą, że żadnej szkody nie poniesie ono na tej zwłoce.

Te kilka godzin – myślał – są jego wyłączną własnością i rozporządzać może nimi dowolnie, gdyż w każdym razie dopiero nazajutrz mógłby wyruszyć do Louches.

Żadnych przy tym nie uczuwał obaw ani podejrzeń.

Mógł był nie dowierzać Estebanowi i jego dwom towarzyszom, ale jakże podawać w wątpliwość niewinną duszę dziewczęcia, spotkanego przypadkiem, któremu nic zgoła nie mogło zależeć na wyprowadzeniu go w pole?

Młodzieniec oddał się więc bez żadnych skrupułów słodkiemu marzeniu i wypuściwszy konia galopem, w ciągu niecałych dziesięciu minut przebył przestrzeń dzielącą go od pierwszych domów w Romorantin.

XXII

Pierwszym budynkiem, na który padło spojrzenie Castillana, była właśnie oberża, postawiona w tym miejscu jakby umyślnie po to, aby na wstępie do miasta rzucać podróżnym wesołe pozdrowienie.

Oberża miała pozór miły i zachęcający. Nad bramą kołysała się zielona gałąź, w progu zaś stała świeża, puciołowata służąca, jako ponętna próbka miasteczkowych piękności. Ze wszystkich oberż, które Sulpicjusz spotkał w drodze, począwszy od samego Paryża, ta wydawała mu się najpowabniejszą i najporządniej utrzymaną; może dlatego, że trafił na nią w chwili, gdy szukał bezpiecznego schronienia dla swej świeżo wyklutej miłości.

Zatrzymał konia tuż pod wieżą, zeskoczył z siodła i nadstawił ramiona Marocie, opuszczającej z kolei swe miejsce. Przytrzymał też dziewczynę silnie, jakby obawiał się, aby mu nie uciekła.

– Czy ci się tu podoba, moja piękna? – zapytał. – I czy wyświadczysz mi zaszczyt zjedzenia ze mną wieczerzy?

Marota zrobiła minę, jakby głęboko nad tym rozmyślała, potem rzekła nagle z uśmiechem:

– Ha, cóż robić, zgadzam się... Spodziewam się, że pan jesteś młodzieńcem przyzwoitym i że w towarzystwie pańskim nie zagraża samotnej dziewczynie żadne niebezpieczeństwo. Zresztą – dodała, wesoło potrząsając główką – nie obawiam się go. Wszakże powszechnie sądzą, że my nie mamy nic do stracenia.

– Zawinęliśmy nareszcie do przystani – zakończył Castillan, upewniając się coraz bardziej o swym triumfie. – Wypada nam teraz jedynie zająć się ucztą, która powinna być możliwie najświetniejsza i uczcić jak się patrzy piwnicę tego oberżysty, która musi być dobrze zaopatrzona.

Podczas gdy Sulpicjusz odsyłał konia do stajni i dopilnowywał osobiście, aby przygotowano mu właściwą porcję obroku, Marota podjęła kawałek czerwonej dachówki, która spadła z dachu i na zewnętrznej ścianie oberży nakreśliła nim tak szybko, że służąca tego nie dostrzegła, bardzo wyraźny znak. Znak ten miał kształt trójkąta przeciętego strzałą, której ostrze zwrócone było w stronę dachu.

W chwili, gdy młodzieniec wszedł do oberży, tancerka siedziała przy stole w jednym z kątów obszernej izby gościnnej i wygładzała manatki swe, silnie w podróży zgniecione.

– Panienko – rzekł Sulpicjusz do tłustej służącej – jakkolwiek jeszcze jasny dzień na dworze i właściwa godzina wieczerzania jeszcze nie nadeszła, trzeba, żeby kucharz puścił w ruch rożen i pokazał nam, co umie. Jak prędko będziemy mogli zasiąść do stołu?

– Gdy się ściemni, to znaczy za godzinę.

– Wyśmienicie! Nic weselszego jak uczta przy świetle. W łunie zatłonych świeczników kryształ, wino i piękne oczy nabierają najsilniejszego blasku. Co o tym myślisz, Marotko?

– Myślę, że za wiele hałasu o zwykłą wieczerzę podróżnych.

– Proszę mnie to zostawić. A, panienko! – przerwał sobie, przytrzymując za ramię oddalającą się służącą – będziemy wieczerzać w moim pokoju. Gdzie jednak, u licha, mój pokój?

– Niech pan pozwoli, zaprowadzę – odrzekła tłuściocha.

– Proszę i dla mnie przygotować mały pokoik. Muszę poprawić trochę ubranie, aby nie zrobić wstydu amfitrionowi.

Młodzieniec i tancerka zamienili uśmiechy i ukłony, i rozłączyli się czekając na godzinę wieczerzy.

Potężny ogień płonął w kuchni, skwierczał tłuszcz w przystawionych doń rondlach i rozchodziły się dookoła zapachy najmilej w świecie lechące powonienie, gdy dwaj ludzie podejrzanej powierzchowności zatrzymali się przed domem.

Jeden z tych ludzi zauważył natychmiast czerwony znak na czołowej ścianie oberży. Pa-dały nań właśnie ostatnie promienie zachodu i czyniły tym wyraźniejszym.

– Są! – rzekł przyciszonym głosem do towarzysza. – No, tym razem mogę już ręczyć, że ptaszek się nie wymknie!

I obaj, przez nikogo nie dostrzeżeni, cofnęli się na drogę, którą przyszli. Nie opodal oberży był mur, do połowy rozrzucony; pod osłoną tego muru usiedli i czekali.

W kilka chwil później, gdy już szary mrok padać zaczął na ziemię, jeden z nich wytknął głowę z kryjówki, popatrzył w stronę oberży i wydał krzyk podobny do wołania puszczyka w pierwszych godzinach nocy.

Jedno z okien oberży otworzyło się. Mignęła w nim niewyraźna sylwetka Maroty.

Cyganka zrobiła jakiś szczególny znak ręką w kierunku, skąd głos się dobywał; potem okno zamknęło się i wszystko zapadło na powrót w ciszę.

Marota kończyła właśnie ubierać się, gdy do drzwi zapukała służąca wołając:

– Pani, pani, wieczerza na stole, proszę się śpieszyć.

– Idę – odrzekła Cyganka, rzucając ostatnie spojrzenie w zwierciadło, aby upewnić się, że ryszunek wdzięku i zalotności znajduje się w komplecie.

I przeprowadzona przez służącą weszła do pokoju, gdzie zastawiono wieczerzę i gdzie Castillan oczekiwał już z nie tajoną niecierpliwością.

Marota miała na sobie też samą luźną suknię, zakrywającą kostium baletowy, całe zaś gotowalniańskie upiększenia ograniczyły się do umycia twarzy i rąk oraz efektownego upięcia włosów, które były skędzierzone na skroniach i podtrzymywane diademem ze złocistych cekinów.

– Do stołu, moja królowo – wykrzyknął wesoło młodzieniec, pośpieszając na powitanie wchodzącej i wzięwszy ją za rękę, przyprowadził do przeznaczonego dla niej miejsca.

Sam zasiadł naprzeciw i zabrano się do jedzenia.

Oboje podróżni mieli doskonały apetyt. Oboje też zapomnieli chwilowo o swych dalej sięgających zamysłach i oddali się całą duszą temu, co mieli przed sobą.

W połowie uczy, gdy na stole zjawiała się para kuropatw, okolonych wianuszkami pieczonych skowronków, wzrok Sulpicjusza, roziskrzony od obfitych libacji, zwrócił się ku towarzysze z płomienną wymową uczucia i pożądania.

Młodzieniec osądził, że nadeszła chwila ponowienia ataków.

Pod tym względem Castillan był w zupełnej zgodzie z pewnym filozofem, który utrzymuje, że serce ulega w wysokim stopniu wpływom żołądka i że wykwentne jadło jest najlepszym przygotowaniem do miłosnych batalii.

Nie zaniedbał też niczego, aby przede wszystkim skusić Marotę do powszedniego grzeszku łakomstwa, który poza katechizmem nosi mniej groźne miano smakoszostwa.

Tancerka zdawała się dzielić poglądy i zamiary swego amfitriona; jadła i piła z zapałem godnym uznania i zazdrości. Ta wszakże była między nimi różnica, że gdy Sulpicjusz stawał się z każdą chwilą bardziej ożywiony i gorętszy, Cyganka nie traciła zimnej krwi i złośliwy, choć powabny, uśmiezek nie opuszczał kącików jej ust.

– Czy nie uważasz, śliczna Marotko – odezwał się Castillan, odprawivszy służącą, która pospołu z wetami postawiła na stole butelkę wina barwy topazu – czy nie uważasz, że jesteśmy bardzo daleko od siebie?

– Daleko? – zaprzeczyła Marota. – Żartujesz pan chyba. Wszakże ten stół nie jest wcale szeroki; czuję też, dalibóg, pańskie kolano tuż przy moim.

– Prawda, ale stół, choćby najwęższy, stanowi zawsze przeszkodę. Pozwól zatem, że zmienię cokolwiek porządek miejsc.

Mówiąc to przeniósł swe krzesło na drugą stronę stołu i usiadł obok Cyganki.

Ta ostatnia uczyniła ruch, jakby chciała się cofnąć, ale ramię Castillana zdążyło już otoczyć jej kibić, usta zaś szukały odpychającej go ręki, którą chciał okryć pocałunkami.

– Ach, dzieciaku! – zawołała Cyganka wybuchając śmiechem. – Po cóż przemocą i podstępem dostawać to, co...

Zatrzymała się i obrzuciła młodzieńca spojrzeniem upajającym, które już samo zdolne było odebrać mu rozum.

– Kończ, kończ! – wykrzyknął Sulpicjusz z zadyszanaą piersią. – Dostawać... dostawać to, co...

– Co dobrowolnie dać pragną.

I ujmując w obie dłonie głowę młodzieńca, przyciągnęła go do siebie i pozwoliła wycalać się, ile tylko pragnął.

– Ach, Maroto, kochasz mnie zatem?! – zawołał Sulpicjusz, rzucając się przed nią na kolana.

– Dopiero teraz dostrzegłeś to, nieznośniku? Czyż doprawdy mogłeś przypuszczać, że ja zgodziłabym się na podróż wspólną, na wieczerzanie przy jednym stole, bez świadków, gdybyś był pierwszym lepszym i obojętnym mi człowiekiem? Boże, jacyż ci mężczyźni są ślepi!

– Boże, jakież te kobiety zachwycające! – zawołał Castillan rozpromieniony, całując jej piękne i jak skrzydło kruka połyskujące włosy.

Po chwili Cyganka, jakby otrząsając się ze znużenia, które ją ogarniało, wskazała towarzyszowi pełną butelkę i nie napoczęte wety.

– Teraz – rzekła – gdy usłyszałeś już moje wyznanie, nie potrzebujesz już obawiać się, abym ci się wymknęła. A więc, kończmy wieczerzę i pijmy za naszą miłość. Sądzę, że uciecha nasza nic na tym nie straci.

– Pijmy! – wykrzyknął Castillan, oddany już z duszą i ciałem pięknej kusicielce. – I na honor, choćbym miał się upić, nic mnie to nie obchodzi! Czyż zresztą nie upoiłaś mnie już swymi cudnymi oczami, swym uśmiechem, swym głosem przesłodkim? Jesteś demonem, nie wątpię o tym; ale demonem, który ma w ręce klucze do rajy!

– Musisz mieć wzrok doprawdy oczarowany, skoro moja prosta postać budzi w tobie tyle zapału. Cóż by dopiero było, gdybym starała się uwieść ciebie?

– Nie staraj się. Cały płonę, mój aniele; czegoż żądasz jeszcze więcej?

– Czy chcesz, abym zaśpiewała dla urozmaicenia naszej samotności, czy też, abym zatańczyła *segedille*?

– Taniec – myśl zaprawdę wyśmienita! Ale jakże tańczyć będziesz w tej powłóczystej sukni, która czyni cię podobną do mniszki?

– Nie kłopotz się o to. Czyż zapomniałeś, że mam ze sobą swój kostium teatralny? Skocz no tylko do mego pokoju po tamburyno; ja tymczasem rozleję wino w kieliszki.

Podczas krótkiej nieobecności Castellana Marota napełniła szybko kieliszki, a następnie do kieliszka Sulpicjusza wpuściła kilka kropel z małego, kryształowego flakonika, który wyjęła zza gorsu.

Gdy Sulpicjusz powrócił, Cyganka pochwyciła z jego ręki tamburyno; postawiła na nim pełny kieliszek i podając mu rzekła:

– Za zdrowie naszej miłości, panie mój i królu...

Jednocześnie wzięła ze stołu swój kieliszek i wyciągnęła rękę, aby trącić się z kochankiem.

Temu ostatniemu myśl zalotna przebiegła przez głowę.

– Chwileczkę jeszcze, królowo! Na stwierdzenie naszego związku i naszej jedności chciałbym, jeśli pozwolisz, przemienić nasze kieliszki, aby moje usta dotykały miejsca, na którym twoje spoczęły.

Marota zbladła; szkło zadrżało w jej ręce. Ale nie była ona z tych, co to łatwo głowę tracą.

Prawie natychmiast przyszła do siebie i z czarującym uśmiechem odrzekła:

– Myśl twoja zachwyci mnie. Bądź pewny, że zachowam ją w pamięci, Na nieszczęście...

– Co za nieszczęście?

– Objawiłeś ją za późno.

– Za późno?

– Tak, gdyż tę samą myśl powzięłam już przed chwilą i kieliszek, który ci podaję, jest właśnie moim kieliszkiem.

– O, Maroto, jeśli nie przestaniesz osypywać mnie łaskami, wybuchnę jak zapalona mina!

– Nie wybuchaj i pij!

– Masz słuszność. Za naszą miłość!

– Za naszą miłość!

Castellan wychylił kieliszek jednym łykiem. Po chwili brzękowi trącanego szkła odpowiedział odgłos pocałunku.

Biedny Sulpicjusz znajdował się już całkowicie w pętach czarodziejki. Marota pochwyciła tamburyno.

– Teraz, władco mój – rzekła wesoło – siądź i patrz.

Pod palcami tancerki zadrżał i zahuczał pergamin na bębunku, ona zaś sama jęła śpiewać jakąś przeciągłą, monotonną melodię, próbując jednocześnie ruchów tanecznych, a raczej wykonywając coś na kształt uroczystego marsza, przeplatane go pełnymi wdzięku i dostojności pozami.

Sulpicjusz z rozszerzonymi oczyma, z ustami półotwartymi, wpatrywał się w Cyganę z takim zachwytem, jakby miał przed sobą jakieś nadprzyrodzone zjawisko.

Niebawem głos tancerki ożywił się.

Poważna i powolna miara pieśni ustąpiła miejsca lekkiemu i wesołemu rytmowi; dzwonki tamburyna żywiej zadźwięczały.

Nagle Cyganka stanęła w miejscu i za jednym poruszeniem zrzuciła z siebie powłóczytą szatę, która do stóp jej spadła.

Sulpicjusz doznał jakby olśnienia.

Zniknęła gdzieś Marota; przed sobą miał jakąś indyjską peri, jakąś czarodziejkę ze wschodniej baśni. Zjawiła mu się taka, jaką widział w marzeniu; lekka jak puch, lotna jak ptaszę, pożądliva jak bachantka.

Marota spostrzegła od razu, jakie wrażenie wywarła na młodzieńcu.

I zaczęła swój taniec cygański...

W rytmie tanecznym okrążyła Sulpicjusza, poruszając nagimi ramionami, niby parą białych skrzydeł, tuż nad jego głową, zaledwie muskając podłogę lekką i drobną stopą; przypadając do kolan młodzieńca i zrywając się natychmiast, aby odskoczyć w przeciwny koniec pokoju; zamykając swą ofiarę w czarodziejskim kole wyzywających ruchów, upajających spojrzeń, wabnych uśmiechów...

Wreszcie skończył się ten taniec zawrotny. Marota z dyszącym łonem, z drżącymi powiekami, ukłękła przed młodzieńcem.

Dopóki Sulpicjusz widział przed sobą uroczą postać tancerki, ulatującą na kształt motyla dokoła siebie, nie ruszał się z miejsca, jakby zaklęciem do niego przykuty.

Lecz gdy wróciło mu poczucie rzeczywistości, gdy nadziemskie zjawisko u stóp swych ujrzął, ramiona jego instynktownie wyciągnęły się i powstał, aby ją chwycić w objęcia, jako należną sobie zdobycz.

Marota przewidziała to.

– Hola! – krzyknęła, zanosząc się śmiechem szalonym – nie skończyłam jeszcze! Byłby szaleńcem, kto by mnie teraz chciał pochwycić!

Przy tych słowach, jak ptak spłoszony, odrzuciła na środek pokoju, lżejsza jeszcze i lotniejsza.

Castillan postanowił ją pochwycić.

Pobiegł za tańczącą z wyciągniętymi przed siebie rękoma, ale zaledwie wydało mu się, że ją trzyma za koniec szarfy, już śmiech jej, odzywający się w przeciwnej stronie pokoju, wskazywał mu, że uleciała daleko.

Po chwili Sulpicjusz uczuł, że nogi jego stają się ciężkie, jakby silny magnes przyciągał je do ziemi; szczególne odrętwienie spętało mu członki i spostrzegł, że już nie tylko Marota tańczy i ucieka przed nim; wszystkie naczynia na stole i wszystkie meble w pokoju, i wszystkie ściany nawet w ślad za Cyganką kręciły się, wirowały, porwane jakimś huraganem szaleństwa.

Wydało mu się nagle, że Marota niknie w różowym obłoku, po czym błysnęła mu na chwilę w umyśle świadomość doznanej porażki.

Dźwięczny śmiech Cyganki nie przestawał dobiegać doń to stąd, to zowąd, drażniąc go i szydząc z niego. Przeklinał swą bezsilność, wyęczał wszystkie siły, aby oderwać stopy od ziemi i pobiec za tancerką; bił powietrze rękoma jak ptak postrzelony i głuche przekleństwa wyrwały mu się z ust, wykrzywionych kurczowo.

Walka nie mogła trwać długo. W chwilę później Castillan spał wyciągnięty na łóżku, gdzie upadł, jak człowiek pijany.

Marota usiadła, przyglądając mu się w zamyśleniu, a od czasu do czasu dłoń jej wyciągała się pieścizotliwym ruchem, dotykając wilgotnego czoła młodzieńca.

Okolo północy wstała, wzięła ze stołu świecznik i postawiła go w oknie.

W jakiś czas później suchy chrzęst rzuconego w szybę żwiru zbudził senną ciszę panującą w całej oberży.

Marota otworzyła z cicha okno, zgasiwszy wpierw świecę, i dwaj ludzie uczepli u grubego sznura z węzłami, który Cyganka przymocowała do poręczy ganku, weszli do pokoju.

Byli to Ben Joel i Rinaldo.

Ten ostatni trzymał ślepą latarkę, której światło skierował wprost na łóżko.

– Śpi? – zapytał jednocześnie Ben Joel.

– Od dwóch godzin blisko – odrzekła Marota.

– Dobrześ nam usłużyła. A teraz wyjdź stąd.

I Ben Joel wyciągnął zza pasa wielki, otwarty nóż.

– Chcesz go zamordować? – spytała Marota z drzeniem.

– Dobre pytanie! Cóż cię to zresztą może obchodzić?

– Ja na to nie pozwolę – oświadczyła głosem stanowczym.

– Mówisz od rzeczy. Trzeba sprzątnąć młokosa. Przeszkadza nam. A zatem usuń się i pozwól nam czynić, co do nas należy.

– Nie.

– Uparta dziewczka! – mruknął Cygan.

Rinaldo nic nie mówił, ale chwycił Marotę za ramię.

Tancerka wyslizgnęła mu się w jednej chwili, pobiegła do łóżka i dobyła zza gorsu sztylet, z którym nigdy się nie rozłączała.

– Spróbujcie teraz zbliżyć się! – zawołała groźnie.

– Szkoda czasu! – zauważył Rinaldo.

– Nie zbliżajcie się – ostrzegała Marota widząc, że służący Rolanda chce przystąpić do łóżka – mój sztylet zatruty; najłżejsze draśnięcie śmierć sprowadza.

– Słuchaj no, Maroto – rzekł Ben Joel – czyżbyś się zakochała w tym paryżaninie?

– Kto wie? – odparła tancerka. – Tymczasem odejdźcie stąd, zbrodniarze, jeśli nie chcecie, abym dotrzymała więcej, niż przyrzekłam.

– Stanowczo zatem żądasz jego życia?

– Stanowczo.

– Ona nie ustąpi! – westchnął Ben Joel. – Dalej, Rinaldo, weźmy się do rzeczy pilniejszych.

Gdy wschodzące słońce oświetliło twarz Castellana, przebudził się on z trudnością i odrzony jeszcze przez narkotyk, którym uspiła go Marota, z trudnością starał się zebrać rozpierzchłe myśli.

Wspomnienia tej dziwnej nocy, rozpoczętej przy stole biesiadnym, zakończonej męczącym snem letargicznym, z wolna i ociężale wracały mu do pamięci.

Jednak przypomniał sobie wreszcie główne zdarzenia i uniósłszy się na posłaniu, jął szukać wzrokiem Maroty, która znikła w różowym obłoku.

Jedynie kawałek wstążki na podłodze wskazywał niedawny pobyt w tym miejscu tancerki.

Castillan zerwał się z łóżka na równe nogi i postanowił wybiec natychmiast dla zasięgnięcia wiadomości, leżał bowiem na pościeli w ubraniu.

Gdy poprawiał kaftan, który przy wieczery rozpiął, aby móc swobodniej oddychać, krzyk zdziwienia i wściekłego gniewu wyrwał mu się z piersi.

Ruchem instynktownym pomacał miejsce, gdzie Zuzanna zaszyła list Cyrana do proboszcza w Saint-Sernin, i poczuł, że miejsce to – puste.

Podszewka była przecięta i drogocenne pismo znikło.

XXIII

To odkrycie pogrzyżyło Sulpicjusza w rozpacz i wprost – odrętwiło go. Oprzytomniawszy postanowił w łeb sobie strzelić, wymierzając sobie samemu karę za niewierność.

Nabił jeden z pistoletów i jął podnosić go z wolna do czoła.

Broń zatrzymała się na chwilę w drodze i Sulpicjusz, rozmyśliwszy się widocznie, położył ją na powrót na stole.

– Jakież ja głupi! – mruknął. – Gdybym umarł, sprawa nic by się przez to nie polepszyła. Przeciwnie! Lepiej żyć i starać się głupotę swą naprawić.

Pierwszą jego myślą było powrócić do Paryża. Ale zaraz zrozumiał, że go to do niczego nie doprowadzi. Podczas gdy on dążyłby do stolicy, wrogowie pośpiesziliby jak najszybciej do Saint-Sernin i stać by się mogło nieszczęście niczym nie powetowane.

Zaczynał właśnie z tego punktu widzenia rozpatrywać sprawę, gdy służąca zapukała lekko do drzwi. Sulpicjusz otworzył z pośpiechem.

– Gdzie ona? – zapytał wchodzącej.

– Kto taki, proszę pana?

– Marota, dama, z którą wieczerałem.

– O, już kawał czasu jak oddaliła się, proszę pana.

– Oddaliła się. A w jakim kierunku?

– W kierunku Orleanu.
– Przeklęta oszukawica! – zaklął młodzieniec. – Ona to okradła mnie! Ale dlaczego? Nie rozumiem.

Służąca wyciągnęła z kieszeni kartkę w kilkoro złożoną i podała Sulpicjuszowi.

– To do pana – rzekła.

– Od kogo?

– Od pięknej damy, proszę pana.

– A, zobaczymy.

Otworzył mały liścik skreślony niepewną ręką i wyczytał te słowa:

„Ben Joel udał się do Saint-Sernin. Przebacz mi; z całego serca żałuję”.

– Ben Joel! A, teraz już wszystko rozumiem! – wykrzyknął młodzieniec.

Potem z wybuchem gniewu:

– Ona żałuje, zmija! Dobrą chwilę wybrała do żalów. Chwyta mnie jak dudka w sidła, drwi ze mnie, upaja mnie, okrada, a po tym wszystkim prosi o przebaczenie! Kto by się był jednak spodziewał! Marota w przymierzu ze zbójami! A, plemię cygańskie, zdeptałbym cię teraz nogami! Wybrnąłem ze wszystkich zasadzek, zwalczyłem wszystkie przeszkody, a tymczasem jedna samiczka wyprowadziła mnie tak fatalnie w pole! Ale do diabła i wszystkich sług jego, to się tak dobrze nie skończy! Odbiorę swój list, choćbym miał rozpruć tego Ben Joela od brzucha do gardła! Dalej, panienko, każ osiodłać mego konia i wynajdź mi jak najspieszniej kogo, co mógłby wyruszyć natychmiast do Paryża. Dostanie dwadzieścia pistoletów, jeśli stanie na miejscu jutro przed wieczorem.

– Znajdzie się taki, proszę pana – odrzekła służąca. – Podejmie się tego Piotr Morel.

– Biegnij więc i sprowadź go tu zaraz.

Podczas gdy służąca śpieszyła spełnić rozkazy niecierpliwego gościa, ten ostatni przygotował list do Cyrana i opowiedział w nim w krótkości wszystko, co zaszło.

Nie próbował nawet usprawiedliwiać się. Znał Cyrana i wiedział, że jest nawzajem znany; nie wątpił, że poeta jego dobrej wiary podejrzewać nie będzie.

Gdy list był już gotowy, młodzieniec zszedł na dół, gdzie czekał już Piotr Morel.

Umówiono się prędko o warunki. Posłaniec ruszył w drogę przy Sulpicjuszu, który uspokoiwszy się z tej strony, dosiadł z kolei swego wierzchowca i popędził wyciągniętym galopem, aby ścigać Ben Joela i nie dopuścić za żadną cenę, aby dostał się on do Saint-Sernin.

Marota, jak się zdaje, uczuła naprawdę żal i wstyd – spóźnione, co prawda. Samym słowom jej można by było nie ufać; poparła je wszakże czynem, wyjawiając Castillanowi w ostatniej chwili nazwisko współnika i jego zamiary.

Pozostała ona w towarzystwie zbójów dotąd tylko, dopóki nie podchwyciła ich tajemnicy; zaraz potem, skreśliwszy naprędce kartkę do Sulpicjusza, udała się z powrotem do Orleanu, żywiąc skrytą nadzieję, że spotka się jeszcze kiedyś z romansowym młodzieńcem i zniewoli go do zapomnienia wypadków tej nocy.

Co się tyczy Rinalda i Ben Joela, rozłączyli się oni, porozumiewszy się wprawdzie co do planu najbliższych działań.

Ben Joel wyruszył w kierunku Louches; Rinaldo pojechał wprost do Paryża, gdzie nie spiesząc się zbytecznie, stanął dopiero trzeciego dnia rano.

Gdy łotr zjawił się w pałacu hrabiego de Lembrat, dzień nie zaczął się tam jeszcze, jakkolwiek była już godzina jedenasta. Roland był tej nocy na balu i położył się spać bardzo późno, silnie rozdrażniony obojętnością okazywaną mu przez Gilbertę. Wejście służącego, który go przebudził, zbudziło w nim gniew wielki, gniew ten wszakże natychmiast ustąpił, gdy hrabia usłyszał wymówione przyciszonym i tajemniczym głosem imię Rinalda.

– Rinaldo tu? – zawołał, zrywając się z pościeli. – Cóż się stało? Niech wejdzie natychmiast!

Rinaldo nie czekał na pozwolenie; stał już przy drzwiach.

– I cóż? – spytał niecierpliwie Roland, spostrzegając wysłańca. – List?

– Mamy go.

Hrabia odetchnął.

– Daj – rzekł, wyciągając rękę.

– Jaśnie pan żąda listu?

– Rozumie się.

– Ja listu nie mam.

– A gdzież on, gamoniu?

– U Ben Joela.

– A Ben Joel?

– W drodze do Saint-Sernin.

– To wymaga wyjaśnień.

– Przybyłem właśnie po to, aby ich jaśnie panu udzielić.

Rinaldo opowiedział wówczas szczegółowo o wszystkim, co zaszło.

Gdy opisywał z kolei scenę nocną w oberży i rozpowiadał, jak Marota bronila Castellana, wskazując zarazem miejsce, gdzie list był zaszyty, hrabia zapytał:

– Więc ta dziewczyna rozkochała się tak na poczekaniu w sekretarzu Cyrana?

– Kobieta jest tak osobliwym stworzeniem, jaśnie panie! Ja i Ben Joel zadaliśmy sobie również to pytanie, ale nie było już czasu, aby je sprawdzić.

– Mało nas to zresztą obchodzi. Co znajdowało się w liście? Do kogo był adresowany?

– Do wielbnego Jakuba Szablistego, proboszcza w Saint-Sernin.

– Rozumiem! To jakiś przyjaciel Cyrana.

– Jego brat mleczny, jaśnie panie. List zawierał drugie zapewnienia przyjaźni i kończył się kilkoma zleceniami, dotyczącymi pisma hrabiego-ojca.

– Mów dokładnie.

– Według zaleceń Cyrana proboszcz powinien był okazać jego sekretarzowi zupełne zaufanie, wydobyć z ukrycia powierzony sobie depozyt i udać się zaraz z Castillanem do Colignac, gdzie spotkać się miał z nim Bergerac.

– Ileż ostrożności... A czy w liście – dodał po chwili wahania – nie było jakich napomknień o treści pisma mego ojca?

– Nie, jaśnie panie.

– Dobrze i to – rzekł do siebie hrabia – że Cyrano zachowuje tajemnicę przy sobie.

– Jaśnie panie – kończył Rinaldo – dalszy ciąg sprawy jest już zupełnie prosty. Ben Joel, na którym w zupełności można polegać, znajduje się w tej chwili na drodze do Saint-Sernin. Proboszczowi przedstawi się on pod imieniem Castellana. Wobec listu Bergeraca ksiądz nie będzie mógł mieć żadnych podejrzeń, a gdy tylko Ben Joel ujrzy choćby różek koperty zamykającej w sobie drogocenny papier, w bardzo krótkim czasie potrafi wejść w jej posiadanie. O tym na chwilę nawet wątpić nie można. Tu kończy się moje sprawozdanie. Czy jaśnie pan ze mnie zadowolony?

– Jesteś dobrym sługą, Rinaldo. W dniu, w którym dzieło nasze doprowadzimy ostatecznie do końca, grunta dotyczące do mego zamku w Gardannes, które twój ojciec dzierżawi, przejdą na zupełną twoją własność.

– O, jaśnie pan po królewsku wynagradza! – wykrzyknął sługus, któremu oczy zaiskrzyły się płomieniem zaspokojonej chciwości.

– Teraz idź i staraj się dowiedzieć, co porabia Cyrano, który już się podobno wylizuje ze swej rany...

– Za dwie godziny będzie miał jaśnie pan wiadomość.

Gdy Rinaldo udał się na zwiady, hrabia de Lembrat przywołał służącego i kazał się ubierać; następnie polecił, aby zaprzężono do karety, miał bowiem zamiar udać się w odwiedzinę do margrabiego.

Zaledwie jednak zdążył zasiąść do śniadania, Rinaldo zjawił się niespodziewanie z powrotem.

Upłynęło niecałe pół godziny od jego wyjścia.

Twarz Iotra objawiała wielkie pomieszenie.

Roland odgadł, że przybywa on ze złą wieścią.

– Ach, jaśnie panie! – wykrzyknął sługus w progu jeszcze. – Gdyby jaśnie pan wiedział, co się stało...

– Żadnych wstępów, proszę cię! Mów od razu wyraźnie.

— A więc, jaśnie panie, powracam właśnie od Bergeraka.

– Dalej?

– Ptaszek wyfrunął z gniazda.

– Kiedy!?

– Ostatniej nocy.

– A!

– Wypytywałem jego gospodarza, który jest wielkim gadułą. Powiedział mi, że...

– Że co?

– Że jakiś wieśniak z Romorantin zjawił się u poety wczoraj wieczorem i oddał mu list bardzo pilny. Cyrano natychmiast po przeczytaniu listu, nie słuchając żadnych uwag, dosiadł konia i z największym pośpiechem wyjechał z Paryża. Udał się on bez żadnej wątpliwości na pomoc Castillanowi, gdyż ja w tym wszystkim znów wietrzę tego przekłętego pisarka!

– Tak jest niezawodnie, ale to tylko z twojej winy, gamoniu! Gdybyś był uprzątnął sekretarza, nie mielibyśmy w tej chwili na karku poety!

– Ależ, jaśnie panie...

– Milcz. Wyjazd Cyrana niweczy wszystko, cośmy dotąd zdziałali i kto wie, czy nie ja padnę teraz ofiarą twojej głupoty, a nawet, czy pismo mego ojca nie będzie dla nas na zawsze stracone!

– Pismo to dostaniemy; przysięgam jaśnie panu.

Roland cokolwiek się uspokoił i odprawił służącego, mówiąc mu w ostatniej chwili:

– Jedź zatem i czyn, co potrzeba. Powierzam ci załatwienie się z Cyranem. Ja ze swej strony zajmę się Manuelem. On to, prawdę rzekłszy, jest głównym i jedynym powodem tych wszystkich utrapień. Gdyby umarł, nic bym już sobie nie robił z prześladowania i rycerskich sztuczek Bergeraka. Muszę o tym pomyśleć. Niech sobie potem Cyrano dokazuje – mniejsza o to!

Zostawszy sam, dodał jeszcze:

– Mogą zmusić mnie do uznania w Manuelu brata; nie przeszkodzą mi jednak dziedziczyć po nim. Na diabła się zdały wszelkie skrupuły! Gdybym był wcześniej o tym pomyślał, Manuel, zamiast murów więziennych, miałby dziś cztery deski za schronienie.

Utwierdziwszy się w tych postanowieniach, hrabia zapomniał o swym pierwszym projekcie, aby oddać się wyłącznie myśli o zgładzeniu Manuela.

Podczas gdy Rinaldo z pośpiechem opuszczał Paryż, aby podążyć za Cyranem i gdy Castillan ścigał Ben Joela, hrabia de Lembrat postanowił również nie próżnować.

Przede wszystkim udał się do czciwego starosty Jana de Lamothe, który z właściwą sobie zaciekłością prowadził sprawę Manuela.

Ten ostatni, w oczekiwaniu ostatecznych wyników procesu, liczył długie i bolesne godziny samotności w jednej z najmroczniejszych celek więzienia Châtelet.

– I cóż tam, kochany starosto? – zapytał hrabia. – Daleko już posunęliśmy się ze sprawą?

– Posuwamy się z wolna, lecz sprawiedliwość im powolniejsza, tym pewniejsza. Co parabia Cyrano?

– Nie wiem – odparł Roland z udaną obojętnością. – Jesteśmy trochę na bakier od czasu, gdy wyszło na jaw oszustwo jego protegowanego.

– Rozumiem to dobrze. Bergerac poczytuje się za nieomylnego i rzuca się wściekle na wszystkich, co próbują wyleczyć go z zarozumiałstwa.

– Osądziłeś go, starosto, nadzwyczaj trafnie. Ale zapomniałem, że mam do pana małą prośbę.

– Jaką?

– Chciałbym zobaczyć tego Manuela.

– Osobliwa fantazja!

– Nie; upewniam pana, że to nie fantazja. Czy trwa on w swym uporze i pretensji swych nie chce się wyrzec?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Otóż pochlebiam sobie, że potrafię uczynić go skromniejszym. Czy możesz mi, panie starosto, udzielić upoważnienia, o które proszę? I czy zezwolisz łaskawie, aby to upoważnienie mogło być w potrzebie przekazane innej osobie?

Starosta nakreślił kilka słów na karcie i podając Rolandowi dodał:

– Z tą kartą w ręce dostaniesz się pan bez trudności do celi Manuela. Zapewni też ona wolny wstęp do więzienia osobie, którą wskażesz odźwiernemu.

– Jestem ci szczerze wdzięczny, kochany starosto, i dziś jeszcze skorzystam z twego pozwolenia.

– Spodziewam się, że przy pomocy Boskiej w ciągu tygodnia ukończę tę sprawę. Ogiętych dowodów, które mam już w rękach, wystarczy, jak sądzę, do wymuszenia z obwinionego przyznania się do winy. Na wypadek jednak, gdyby zaciął się w swym uporze, przygotowałem środek, który mu usta niezawodnie rozwiąże.

– Jakież to środki, sędzio niezrównany?

– Tortury, kochany hrabio. Mocne, żelazne śruby do ściskania nóg albo też trzy tęgie miary wody wprowadzone lejem do żołądka – oto argumenty przywodzące do opamiętania najzatwardziały grzeszników. Do widzenia.

XXIV

Kilka kroków zaledwie dzieliło kancelarię starosty od furty więziennej. Szybko przebył tę przestrzeń Roland i stanął przed odźwiernym, pokazując mu kartę.

Furta otwarła się i hrabia wszedł swobodnie do środka.

W towarzystwie klucznika, który wskazywał drogę, przebył Roland kilka długich, mrocznych korytarzy. Przy końcu jednego z nich znajdowały się wąskie, ponure schody, wiodące do podziemi.

Zstąpili obaj w czarną głębię i przebyli w milczeniu około trzydziestu spadzistych stopni.

Następnie klucznik zatrzymał się przed ciężkimi, dębowymi drzwiami i potrząsając pięciem kluczy, rzekł:

– Tu.

Klucz obrócił się z wolna w zamku, zgrzytnęły zawiasy i przez na pół domkniętą zapórę, w mroku, który celę zalewał, dojrzał hrabia niewyraźnie kształty istoty ludzkiej, siedzącej na kamiennej ławce.

Skrzypnięcie otwieranych drzwi nie zbudziło więźnia z odrętwienia. Nie odwrócił nawet głowy w stronę wchodzących. Przyzwyczajony do codziennych odwiedzin strażników, przyjmował je obojętnie i ze stróżami więziennymi nie wdawał się nigdy w rozmowę.

Choć zamknięcie młodzieńca nie trwało długo, zmienił się on już widocznie pod jego wpływem.

Twarz jego, już dawniej nieco bladawa, przybrała żółtawe tony kości słoniowej; policzki i skronie zapadły się, a oczy z głębi ciemnych dołów błyszcząły silnie, jakby rozpalone gorączką lub obłędem.

Cierpiał on strasznie przez te kilka dni; cierpiał bardziej moralnie niż cieleśnie, gdyż wszystko, co się odnosiło do spraw materialnych, było mu najzupełniej obojętne.

Alboż nie wychował się w szkole nędzy i utrapienia?

Siłą wrogą, która pochylała mu czoło, pozbawiając go wszelkiego hartu, była myśl o Gilbertcie, o hańbie, którą go okryto w jej oczach, o przepaści, która już na zawsze od niej go odgradziła.

Siedział nieruchomo, z twarzą zakrytą włosami, które na nią w nieładzie spadały, obojętny zarówno na przygnębiające działanie ciągłego mroku, jak na wilgoć, która go przenikała do szpiku.

Widząc, że wcale się nie porusza, klucznik położył mu rękę na ramieniu. Manuel odwrócił się z wolna.

– Czy pan hrabia życzy sobie pozostać sam na sam z więźniem? – zapytał stróż.

– Tak – odrzekł z cicha Roland.

Usłyszawszy głos brata, Manuel zadrżał i podniósł oczy na przybysza, którego blado oświetlał blask płynący z małego, okratowanego okienka.

– Pan tu?! – wykrzyknął, zrywając się gwałtownie z ławki, jakby chciał podbiec ku hrabiemu.

Ten ostatni cofnął się instynktownie.

– O, panie – rzekł gorzko młodzieniec – nie lękaj się! Widzisz przecież, zem w kajdanach.

Roland dojrzał jedynie, że prawa noga Manuela przytwierdzona była krótkim, silnym łańcuchem do podłogi więziennej.

Skinął na klucznika, aby się oddalił, i przystąpił do Manuela.

– Nie spodziewałeś się pan moich odwiedzin? – rzekł.

– Dlaczego? – odrzekł więzień z ironią. – Pragnąłeś pan może własnymi oczami upewnić się, czy jestem dobrze strzeżony.

– Mylisz się pan. Przybywam, aby się dowiedzieć, czy chcesz się stąd wydostać?

– Pan mówisz o uwolnieniu mnie, pan!

– To pana dziwi?

– Nie, nic mnie już nie dziwi. I słyszysz pan, że nawet to słowo „uwolnienie” wymawiam głosem spokojnym, bo wiem, że w ustach pańskich jest ono przynętą, którą się rzuca do sideł.

– Fałszywie sądzisz mnie, Manuelu!

– Czyż mogę sądzić inaczej! Racz pan przedstawić wyraźnie swoje zamiary.

Roland wyciągnął z kieszeni kieszę.

– Mieści się tu – rzekł – suma znaczna, prawie majątek dla ciebie, coś dotąd żył w niedostatku, a nawet w nędzy. Zgódź się, Manuelu, opuścić Francję, wynieść się stąd na zawsze, a ten majątek będzie twoim.

– Niezręczny to krok, mój panie – zaszydził więzień. – I gdyby czcigodny starosta słyszał pańskie słowa, wystarczyłyby one do popsucia całej pańskiej sprawy.

– Nie rozumiem pana.

– Jak to? Poczytujesz mnie pan za fałszerza, oskarżasz o podstępne przywłaszczenie imienia twego brata, posiadasz pan zupełną pewność potępienia mnie w oczach sprawiedliwości i ofiarowujesz mi tak nedorzeczne pieniądze, abym cię tylko uwolnił od siebie! Ależ, mój panie, to znaczy po prostu, że pan uznajesz mnie za Ludwika de Lembrat i że obawiasz się oka sprawiedliwości.

Roland przygryzł usta. Rozumowanie więźnia, proste a niezłomne, niweczyło od razu długo przygotowywaną kombinację, którą hrabia uważał za genialną.

Zmusić Manuela do ucieczki byłoby to w istocie potępić go ostatecznie w oczach sędziów i świata całego. Człowiek pewny siebie i słuszności swej sprawy nie ucieka się nigdy do takiego środka. Walczy on wytrwale do końca; ogłasza swą niewinność jeszcze na stopniach rusztowania.

Trzeba było odpowiedzieć cokolwiek na jadowitą uwagę Manuela.

Hrabia poprzestał na słowach:

– Tylko tacy jak pan obawiać się mogą sprawiedliwości.

Więzień wzruszył ramionami.

– Wynajdźże pan – oświadczył spokojnie – wynajdź jakikolwiek pozór na usprawiedliwienie swej propozycji. Żaden nie przychodzi ci na myśl, nieprawda? Pozostawmy więc rzeczy, jak są, mój panie. Moim największym przewinieniem, do którego przyznaję się otwarcie i za które odbywam właśnie pokutę, jest: że kocham kobietę, którą już przedtem pan wybrałeś!

– Sądzi pan zatem?

– Sądzę, że obrażona miłość własna zniewoliła pana do odegrania niecej komedii, której ofiarą padłem. Z tego powodu budzi pan we mnie więcej współczucia niż nienawiści. Namietność bywa szaleństwem, doprowadzić ona może do wszystkiego, nawet do pożądania zguby rywala.

Manuel wyświadczył bratu zaszczyt, na jaki ten w rzeczywistości nie zasługiwał.

Szlachetna dusza młodzieńca nie mogła zniżyć się aż do tego, aby odgadnąć główną sprężynę jego działań, którą była najnędniejsza chciwość.

Roland stał w miejscu, nieruchomy i milczący.

– Idź pan – zakończył więzień – wracaj do swego pałacu bez obawy, ja nie jestem już w stanie wydrzeć ci narzeczonej! Ale i ty również siliłbyś się daremnie wydrzeć mi z serca tę miłość, tak jak wydarłeś już nazwisko. Kocham Gilbertę i zemstą moją jest myśl, że dusza tej czystej dziewczynki, na zawsze przed tobą zamknięta, stanęła raz przede mną otworem i ukazała mi skarby swej niezmiernej czułości.

– Nędzniku! – ryknął hrabia, ugodzony w najczulsze miejsce nie serca, lecz miłości własnej.

– Chcesz mnie uderzyć? – zapytał zimno Manuel. – Możesz to uczynić. Powiedziałem ci już, jak sądzę, że jestem skrepowany kajdanami.

Roland zapanował nad wściekłością.

Dowiedział się już zresztą o wszystkim, co mu było potrzebne. Był teraz pewny, że Manuel wytrwa niezłomnie w swym postanowieniu, i trwożę, którą wzbudziły w nim pogrożki Cyrana, zwiększyła myśl, że w ostatniej chwili śmiałość i przekonywające dowodzenia oskarżonego mogą zachwiać w umysłach sędziów tę pewność, którą sztucznie w nie wszczepiono.

– Chodźmy – rzekł do siebie, opuszczając celę i nie zwracając już ani jednego słowa do więźnia. – Odwiedziny te wpłynęły ostatecznie na moje postanowienie. Manuel musi być usunięty.

Roland przed wyjściem z więzienia zwrócił się do odźwiernego.

– Z rozporządzenia starosty – oświadczył mu – wolno mi wprowadzić tu osobę przeze mnie wybraną, która przybędzie dla wybadania więźnia, w razie gdybym osobiście dopełnić tego nie mógł.

– Tak jest, jaśnie panie.

– Być może, że osobę tę przyślę wkrótce, może jutro, może nawet dziś jeszcze wieczorem. W każdym razie będzie ona zaopatrzona w kilka słów, skreślonych moją ręką, proszę zaś obchodzić się z nią, jak ze mną samym.

– Jaśnie pan może być pewny, że jak najściślej spełniona będzie wola pana starosty i jaśnie pana.

Gdy hrabia wyszedł na świeże powietrze, głęboko odetchnął.

Silniej od dusznego powietrza więzienia ścisnęły mu piersi doznane przed chwilą wrażenia.

– Pomyślmy – mówił do siebie, postępując drobnym krokiem, z miną wyrażającą wahanie się – co czynić wypada?

Nagle twarz jego rozjaśniła się.

– Zilla... – szepnął do siebie.

Przeszedł most i skierował kroki ku domowi Cyklopa, gdzie od pewnego czasu Zilla przemieszkiwała sama, nie znając właściwych powodów nieobecności Ben Joela.

Cyganka zresztą bardzo mało kłopotowała się o brata. Wszystkie jej myśli zajęte były Manuelem – Manuelem, którego ubóstwiała i którego porażka była najpomyślniejszym dla jej miłości zdarzeniem.

Czekała, rychło wróci, rozczarowany i pokonany, pod dach Ben Joela. Przygotowywała się pocieszać go, leczyć i zamiast rozwianych marzeń, obdarzać czułą rzeczywistością.

Czekała jednak i przygotowywała się na próżno. Manuel znajdował się wciąż pod kluczem. Nie miała od niego żadnej wiadomości; nie mogła zwrócić się do nikogo, kto mógłby jej takowej udzielić.

Po całych dniach przebywała w swojej komnacie, pogrążona w myślach, uczuwając niekiedy trwożę, gdy głos sumienia wyrzucał jej głośno samolubstwo i zdradę.

Żaden natręt nie zjawił się w tym czasie, aby zamącać ciszę jej samotności. Gdy zatem usłyszała, że stopnie zmurszałych schodów skrzypią pod czyjąś stopą, pobiegła ku drzwiom zdyszana, z ustami półotwartymi, ze wzrokiem rozplómiętym namiętnością.

Myślała, że to wraca Manuel.

We drzwiach, które niecierpliwą ręką odemknęła, pojawił się hrabia.

Cień smutku i rozczarowania padł na twarz Cyganki.

Ucieszyły ją jednak te odwiedziny. Od hrabiego dowiedzieć się mogła o Manuelu. Kto wie, może przybywał on właśnie, aby zwiastować jej wypuszczenie na wolność młodzieńca.

– Ach, panie hrabio! – zawołała. – Pan mi nareszcie powiesz, co się dzieje z Manuelem, nieprawdaż?

– Posłuchaj, moja piękna – rzekł Roland, rozsiadając się swobodnie. – Przybyłem umyślnie po to, aby z tobą pogawędzić; z całą chęcią zatem będę odpowiadał na twoje pytania.

– Gdzie Manuel? – W Châtelet.

– Jego sprawa?

– Prowadzi się energicznie.

– Czy pamiętasz, panie hrabio, coś mi przyrzekł? Upewniłeś mnie, że ta scena nie będzie miała dalszych następstw i że odesławszy Manuela do więzienia... wypuścisz go stamtąd natychmiast.

– Prawda, przyrzekłem to wszystko, gdyż poznałem twe rzeczywiste uczucie. Na nieszczęście staroście, który nie potrzebował nic nikomu przyrzekać, sprawa nie wydała się tak prostą, jak mnie i tobie. Żąda on procesu i – skazania.

Zilla zbladła.

– Pan żartujesz, panie hrabio – rzekła głosem drżącym. – Złą chwilę wybrałeś dla żartów...

– Jeśli żartuję, moja piękna, to tylko dlatego, że twemu przyjacielowi nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Sądziś więc pan, że...

– Sądzę, że nie trzeba czekać na proces i że ptaszek dziś nawet jeszcze może najdoskonalej wyfrunąć z klatki.

– Gdzie znajdzie środki do tego? Châtelet jest silnie strzeżone. Któż mu otworzy bramy więzienia?

– Ja.

– Pan?

– Niezawodnie; wówczas jednak, jeśli ty nie odmówisz mi swej pomocy.

– O, mów pan, co mam czynić!

– Kochana Zilla – zaczął hrabia z wolna – nie potrzebuję przypominać, że ty właśnie jesteś pierwszą przyczyną uwięzienia Manuela. Ty uwiadomiłaś władzę o jego podstępie, czyniąc to zresztą nie w moim, lecz w swym własnym interesie. Kochałaś go i przeraziła cię myśl, że może być na zawsze dla ciebie stracony.

– Dokąd pan zmierza? – przerwała Zilla krótko.

– Do tego: twoja ręka zgubiła go, twoja ręka winna go ocalić. Napisz do niego; wyraż w liście żal i skruchę, przyrzeknij mu wolność. Znajdę człowieka, który doręczy mu twój list i dopomoże do ucieczki. Trzeba, żeby pokładał on w tym człowieku nieograniczone zaufanie. Nie zapomnij napisać mu o tym.

– Tak, masz pan słuszność – odrzekła Zilla przekonana. – Ja tylko powinnam do niego napisać i jestem pewna, że mi uwierzy, gdyż wyznam mu szczerze całą prawdę.

– Miłość nie potrzebuje usprawiedliwień się. Otrzymasz łatwo przebaczenie. Pisz zatem; ja zaczekam.

Zilla siadła przy stoliku i po chwilowym namyśle wzięła pióro do ręki.

Papier pokrył się wkrótce pismem gorączkowym, dziwnym. Dziewczyna pisała w nareczu cygańskim, używanym przez pokolenia koczujące, które dla Manuela było od dzieciństwa rodowitym językiem.

Gdy hrabia zauważył, że Cyganka zajęta jest całkowicie pisemną rozmową z ukochanym i że ta rozmowa wszystkie myśli jej pochłania, jął przechadzać się z wolna po komnacie, zapuszczając badawczy wzrok w najtajniejsze jej zakątki.

Widoczne było, że czegoś upatruje.

Oczy jego zatrzymały się wkrótce na małym stolczku, stojącym po prawej ręce Zilli i zastawionym mnóstwem drobnych przedmiotów różnego kształtu i użytku.

Zbliżył się z cicha, wyciągnął rękę i, nie dostrzeżony przez Cyganke, ściągnął ze stolika przedmiot jakiś, który ukrył starannie w kieszeni kaftana.

– Skończyłaś? – zapytał, podchodząc do wróżki.

– Tak. Oto list.

I podała mu kartę w kilkoro złożoną.

– Doskonale – rzekł, chowając list. – Za dwa dni nie będziesz już potrzebowała lękać się niczego. Manuelowi przestanie grozić wszelkie niebezpieczeństwo.

Zagadkowy uśmiech słowom tym towarzyszył.

Uśmiechu tego nie zauważyła Zilla.

Chwyciła się namiętnie tej nowej nadziei, a oczy jej, nawykłe do czytania w głębi dusz ludzkich, tym razem nic nie widziały, jakby olśnione blaskiem przyszłego szczęścia.

Ta Zilla – rozmyślał hrabia, wracając do pałacu – złapała się w potrzask jak najpospolitsza sikorka. Ani przypuszcza, że nią to właśnie posłużę się do uprzątnięcia Manuela.

I zwijając w palcach list Cyganki, wszedł do swego gabinetu, gdzie przede wszystkim wyjął z kieszeni kaftana i schował starannie drogocenny przedmiot pochwycony u wróżki. Przedmiotem tym był flakonik z trucizną.

Pewnego razu, gdy Roland i Ben Joel odbywali naradę w pokoju Zilli i rozmawiali o Cyranie, Cygan, pokazując hrabiemu ten flakonik, oświadczył:

– Proszę spojrzeć, panie hrabio, oto broń stokroć groźniejsza od szpady Kapitana Czarta. Kropla płynu zawartego w tej flaszeczce w ciągu dwóch sekund uśmierca najsilniejszego.

W owej chwili Roland nie zwracał wielkiej uwagi na słowa Ben Joela, który szukał niejkiej chluby w sławieniu groźnej mocy swego cygańskiego arsenału.

Patrzył na ów flakonik, brany z miejsca i stawiany na powrót, bez najmniejszej myśli przywłaszczenia go sobie.

Ale w chwili, gdy opuszczał Châtelet, wspomnienie tego drobnego zdarzenia przebiegło mu przez głowę błyskawicą. Zaraz też powziął myśl, która miała być bezzwłocznie skuteczną.

Idąc do Zilli, nie miał bynajmniej zamiaru kupować trucizny; byłoby to zbyt niezręczne.

Postanowił po prostu skraść flakonik i – jak wiemy – udało mu się to w zupełności.

List, który z jego porady pisała Cyganka, był tylko pozorem ułatwiającym mu kradzież przez odwrócenie uwagi Zilli; dziewczyna zatem, nie domyślając się tego, przyczyniła się pośrednio do zguby człowieka, który był jej droższy nad wszystko.

Cyganka aż do wieczora nie domyślała się, jaki cel miały w rzeczywistości odwiedziny Rolanda.

Wieczorem jednak, bardzo dbała o swą piękność, którą – jak wszystkie Cyganki – umiała utrzymywać i podnosić za pomocą przeróżnych kosmetyków, zbliżyła się do stoliczka, aby wziąć słoik z jakąś maścią i natrzeć nią usta i policzki.

Jedno spojrzenie, rzucone na liczny zbiór szklanych i metalowych naczyń, wystarczyło jej do spostrzeżenia, że flakonik z niebezpieczną trucizną zniknął.

Zaniepokoiło ją to odkrycie.

Odsuwając na stronę kosmetyki, jęła przeglądać jak najstaranniej wszystko, co znajdowało się na stoliku, szukając tamtego flakonika i czyniąc sobie wyrzuty, że tak nieostrożnie pozostawiła była go na widoku.

Gdy poszukiwania okazały się bezskuteczne, niepokój Cyganki wzrósł bardziej jeszcze.

Nagle rozjaśniło się jej w umyśle.

– Hrabia – wykrzyknęła – hrabia ukradł truciznę! Ach, jakaż byłam szalona, wierząc w jego szczerość! On postanowił zabić Manuela i do mnie, do mnie przyszedł po broń na niego. Podły zdrajca! Znałam go dobrze i pozwoliłam, aby mnie tak haniebnie oszukał!

Zilla, na pół nieprzytomna, zarzuciła płaszczyk na ramiona, po których spływały jej rozplecione włosy, zbiegła z szybkością strzały po schodach i wypadła na ulicę.

– Dokąd, piękna panienko? – rzuciła jej w przejściu stara odźwierna. – Za późno już na przechadzkę.

Zilla nie usłyszała tego zapytania.

Zanurzyła się w mroku i jęła bieć szybkim krokiem ku Nowemu Mostowi, gdzie już od dawna po zgiełku dziennym zapanowała cisza głęboka.

XXV

W zamku Colignac, w tydzień może po opowiedzianych wyżej wypadkach, Cyrano od dwudziestu czterech godzin przebywał w gościnie u właściciela tej pańskiej posiadłości.

Ten, co gościł u siebie poetę, był również przyjacielem jego od dzieciństwa i nazywał się hrabia de Colignac.

Sawiniusz, jakkolwiek było mu bardzo pilno połączyć się z Castillanem, od którego nie miał wiadomości, nie chciał ominąć zamku bez pozdrowienia przyjaciela.

Tu zresztą naznaczył spotkanie Castillanowi i Szablistemu.

Nie zastał ich, lecz naturalnie wcale go to nie zdziwiło.

Podróż swą odbył z nadzwyczajną szybkością i mógł przypuszczać, że Castillan z powodu zawikłań wywołanych przez Ben Joela opóźni się z przybyciem.

Innych niepokojów Sawiniusz nie doświadczał. Wiedział on, że jego przyjaciel Szablisty potrafi o własnej sile obronić przed Cyganem drogocenny depozyt hrabiego de Lembrat.

Wesoło zatem spędzał czas w zamku hrabiego de Colignac, traktując z należnym szacunkiem obfite jadło, którym zastawiano tam stoły.

Od dnia poprzedniego Sawiniusz, zwykle skromny i wstrzemięźliwy jak anachoreta, nie opuszczał swego miejsca przy stole. Hrabia oraz jego sąsiad, margrabia de Cussan, wielcy myśliwi, a więksi jeszcze suszykufle, zmuszali go, aby im dotrzymywał towarzystwa.

Podczas gdy trzej przyjaciele pozdrawiali świtający ranek wesołymi toastami, człowiek jakiś przybył do Colignac i zatrzymał się w najlepszej oberży, jaka tam istniała.

Człowiekiem tym był Rinaldo.

Łotr – jak widzimy – nie tracił czasu. Od samego Paryża tropił Cyrana i starał się wyrównać przewagę czasu, jaką miał nad nim poeta.

Przybrał on teraz nową zupełnie postać. Zjawił się w oberży odziany od stóp do głów na czarno, a mina jego, poważna i tajemnicza, dała wiele do myślenia oberżycie, przywykłemu do jowialnych twarzy i swobodnego obejścia się okolicznych wieśniaków.

Rinaldo wziął go na stronę i szepnął mu kilka słów do ucha.

Oberżysta otworzył szeroko oczy, usłyszawszy to zwierzenie, a oznaki uszanowania, których nie szczędził przybyszowi, pouczyły gości, pijących przy wspólnym stole, że mają przed sobą wielce szanowną osobistość.

Niedługo potem Rinaldo kazał przygotować dla siebie oddzielny pokój, do którego zaprowadził go oberżysta.

Dopiero po upływie godziny ujrzano ich obu wychodzących stamtąd. Gospodarz powrócił do swych zajęć; podróżny wyszedł z oberży i udał się do domu wójta, urzędowego przedstawiciela sprawiedliwości.

Ciekawość pijących była silnie podniecona.

Kto był ten człowiek czarny i po co przyjechał do Colignac?

– Hej, Landriot! – zakrzyknął wreszcie jeden z wieśniaków, niecierpliwszy, a może tylko śmielszy od innych. – Chodź no tu do nas!

Jegomość Landriot, to jest oberżysta w swej własnej, mocno spasionej osobie, zbliżył się do stołu.

– Czego chcesz? – zapytał wołającego.

– Chcę dowiedzieć się, odkąd to ukrywasz tajemnice przed przyjaciółmi, z którymi bywałeś zawsze gadatliwy jak sroka?

– Tajemnice?

– A tak, tajemnice. Kto jest ten śledziowy pan, skrzywiony jak piątek na sobotę, któremu wybijasz pokłony do samej ziemi i który jak węgorz prześlizguje się między płotami, zmierzając do urzędu wójta?

– To do ciebie nie należy, mości ciekawski.

– Jedno z dwojga: albo język zrobił ci się dziś bardzo powściągliwy, albo też – sam nic nie wiesz.

– Ja nie wiem? – wykrzyknął gospodarz, w którego najczulszą strunę ugodziły widocznie te słowa. – Gdyby nie to, żem zobowiązał się milczeć jak karp, zaraz byś dowiedział się, czy ja nic nie wiem!

To wyznanie, któremu towarzyszyła wielce znacząca mina, spowodowało, że cała kompania, wstawszy ze stołków, skupiła się dookoła oberżysty.

Wietrzono jakąś ciekawą historyjkę i za wszelką cenę usłyszeć ją chciano.

– Jeśli przyrzekłeś dochować tajemnicy – wyrwał się jeden z wieśniaków – my również możemy ci ją przyrzec. Co u diabła! Nie trzyma się języka za zębami przy kumach i sąsiadach! Dalej, gadaj nam tu zaraz, co wiesz o czarnym człowieku!

– Ależ...

– Gadaj, gadaj, nie ma rady! – jęła powtarzać chórem cała kompania, której ciekawość podniecona była do najwyższego stopnia zachowaniem się oberżysty.

– Przyrzekłem...

– Ależ... wariacie! zachowamy to przy sobie!

- Przysięgnijcie.
- Przysięgamy, przysięgamy!
- Bo to, widzicie, gdybyście mnie zdradzili, mogłoby to ściągnąć na mnie nieszczęście.
- No dalej! Gadasz, czy nie gadasz?
- Ha, kiedy przysięgliście, że będziecie milczeli...
- Więc?
- I że nie będziecie niepokoili podróżnego...
- A zatem?
- Zatem, opowiem wam wszystko. A, okropne to rzeczy, okropne!

Grupa wieśniaków zbliżyła się bardziej jeszcze do niewiernego powiernika Rolanda, który przyciszając i zasłaniając dłonią usta, wyrzekł tajemniczo:

- Czy wiecie, moje dzieci, kto jest ten czarny człowiek?
- No, któż taki?

– Jest to ani mniej, ani więcej, jak – urzędnik do szczególnych poruczeń przy staroście paryskim!

- Ho, ho! To ciekawe!

– Ciszej! – upominał oberżysta. – Jeśli będziecie tak krzyczeli, nic więcej nie powiem. Taki urzędnik, jak wam wiadomo, jest figurą ważną, której zlecane bywają wielkie sprawy dotyczące wymiaru sprawiedliwości. Ten, którego widzicie, przybył tu w pościgu za niesłychanym przestępcą, za wyjątkowym zbrodniarzem, za sługą Lucypera i całej jego świty, za... czarownikiem, jeśli mam już wszystko powiedzieć!

Ostatnie słowo rzuciło popłoch między słuchaczy.

Wieśniacy jęli spoglądać na siebie ze strachem i przerażone ich oczy zwróciły się mimo woli w ciemny kąt izby, jakby obawiali się, czy się zeń nie wynurzy straszna postać diabelskiego sługi.

W owym czasie, zwłaszcza na odleglejszej prowincji, czarownik był największym postrachem niewykształconej gawiedzi.

Obawiano się czarów gorzej niż diabła we własnej postaci, na wszelki też sposób walczone z nimi i zabezpieczano się od nich.

A ponieważ strach ma wielkie oczy, niewiele wówczas trzeba było, aby człowiek najniewinniejszy został posądzony o bezpośrednie stosunki z piekłem i uległ w następstwie ciężkiemu prześladowaniu.

Umysły oświecześnie ulegały na równi z motłochem średniowiecznemu przesądowi i nie należało wcale do osobliwości palenie żywcem na placu publicznym osób oskarżonych o czary.

Gdy wieśniacy ochłonęli cokolwiek z przerażenia, posypały się na nowo pytania.

– A ten czarownik... gdzie jest w tej chwili? Czyżby, broń Boże, przebywał w naszej okolicy?

– Wszyscyście widzieli – rzekł Landriot – tego jeźdźca z zakrzywionym nosem, który przybył wczoraj w odwiedziny do naszego pana.

– Widzieliśmy – ozwał się czyjś nieśmiały głos. – Ja nawet dobrze pamiętam, że gdy wymijał mnie, spojrzął mi w oczy takim strasznym wzrokiem, że ciarki przeszły mi po skórze.

– Otóż właśnie, ten jeździec, to on... to czarownik.

– Ale kiedy bo... – zauważył starszy wieśniak z siwymi włosami – jeśli się nie mylę, ten jeździec z naszych stron pochodzi. Czyż nie nazywa się on Cyrano de Bergerac?

– Bergerac czy nie Bergerac, człowiek czy diabeł – zgromił go jespian Landriot – to wcale rzeczy nie zmienia. Dowiedziono, że zaprzedał się piekłu, że z czartami ma ciągłe stosunki i że ogłasza w Paryżu książki przeciw naszej świętej religii. Dlatego właśnie wysłano za nim pogoń, aby go schwytać i spalić żywcem, jak na to sumiennie zasłużył.

– Czyście zauważyli – wtrącił inny wieśniak – że zagrzmiało, w chwili gdy ten człowiek zatrzymał się na placu przed zamkiem? A jednak nie było ani jednej chmurki na niebie. To nie jest przecież naturalne.

– Gotów jeszcze rzucić czary na naszą wioskę! – odezwał się drugi.

– A cóż! – potwierdził oberżysta – o to nietrudno! Taki przyjaciel Lucypera spojrz tylko na ciebie i już przepadłeś. Nic ci już odtąd nie będzie się wiodło; nieszczęście po nieszczęściu zaczniesz spadać na twoją głowę. Jemu niewiele trzeba, aby sprowadzić mór na cały inwentarz, wytłuc zboże gradem, pozbawić krowy mleka i skwasić wino w beczkach.

– Uwiężą go chyba, co?

– Dziś jeszcze. Właśnie w tym celu ów pan udał się do wójta. Da Bóg, że już wieczorem nałożą mu kajdany i odprowadzą do więzienia w Tuluzie. A niezadługo pójdziemy tam wszyscy przypatrywać się, jak będą go piekli.

– Ale – zapytał jakiś nieśmiały – kto go przytrzyma?

– My wszyscy, gdy będzie trzeba. Gdzie idzie o uwolnienie całej okolicy od takiej zarazy, nikt chyba nie odmówi pomocy.

– Dobrze mówi gospodarz! – zakrzyknęła gromada. – Pójdziemy wszyscy. I ciebie też, mości zakrystianie, weźmiemy ze sobą; będziesz niósł za nami kubeł wody święconej.

Zakrystian, mały staruszek o tłustej, bladej twarzy, który przysłuchiwał się rozmowie z miną niespokojną, odpowiedział na wezwanie ruchem wyrażającym największy przestach.

– Tak, tak – powtórzył oberżysta – weźmiemy Guillemina.

– W istocie... bez wątpienia... – bąkał zakrystian – woda święcona... Ale będziecie mieli też z sobą i widły, nieprawda?

– Widły i noże, do stu piorunów! – wykrzyknął wojowniczo Landriot, wyciągając zza pasa swój nóż kuchenny. – Poczekajmy tylko, aż powróci nasz urzędnik do szczególnych porużeń.

Podczas gdy w ten sposób zagrzewały się głowy zwykłych gości Landriota – co doskonale przewidział i na co właśnie liczył przebrany Rinaldo, zalecając oberżystę najściślejszą tajemnicę – fałszywy urzędnik przybył do wójta.

Ten ostatni przy pierwszych słowach nieznanego posadził go na własnym fotelu, sam zaś, na znak szacunku i uniżoności, słuchał go w pozycji stojącej.

Wójt przedstawiał się zewnętrznie jako pocziwy tłuszcioch, o twarzy kwitnącej zdrowiem, o silnie występującym brzuszku. Bładoniebieskie, pozbawione blasku oczy z długimi, jasnymi rzęsami nadawały jego twarzy cechę niepewności i zaleknienia, która szkodziła niemało powadze jego urzędu. Pod względem umysłowym był to człowiek naiwny, przesądny i ciemny. Dbał on przede wszystkim o własną spokojność i chętnie dawał się powodować innym, byle uniknąć osobistego prowadzenia wszelkich spraw, cokolwiek choćby trudniejszych.

Jegomość ten wypełniał swe obowiązki z solenną głupotą i zawsze był gotów obejść prawo, gdy szło o człowieka, którego niełaski obawiał się lub którego łaski potrzebował.

Wszystko, co miało choćby daleką łączność ze sprawiedliwością, było przedmiotem jego czci najwyższej. Pacholek policyjny wydawał mu się istotą doskonalszą od zwykłych śmiertelników; wpadał w zachwyty, ile razy, podczas rzadkich wycieczek do Tuluzy, udało mu się stanąć w obliczu najskromniejszego przedstawiciela wyższej władzy; a samo imię króla wywoływało w nim tyle uczuć bałwochwalczych, że najśmielsze porównania nie mogły dać o nich właściwego pojęcia.

Rinaldo spostrzegł od razu, z jakim człowiekiem ma do czynienia i z wielkim zadowoleniem wewnętrznym pomyślał:

– Diabeł mi pomaga. Nie spodziewałem się tak dobrze trafić.

Gdy fałszywy delegat starosty, poważnie zasiadłszy w fotelu, wyczerpał już wszelkie niby urzędowe ogólniki, do okoliczności zastosowane i gdy przekonał się, że wójt również nie ma

ich już więcej w zapasie, gdy wreszcie skłonił wójta, aby zajął miejsce naprzeciw niego, przystąpiono do właściwej rozprawy.

– Czy wiesz pan, jakie uczyniłem w tej chwili spostrzeżenie? – zapytał Rinaldo.

– Domyślność moja nie sięga tak daleko – odrzekł wójt skromnie. – Proszę uniżenie, aby szanowny delegat był łaskaw domyślności tej dopomóc – i powiedzieć wyraźnie, o co idzie.

– A więc, mości wójcie, pomyślałem w tej chwili, że się pan urodziłeś pod szczęśliwą gwiazdą i że wielu ludzi zazdrościłoby panu dzisiejszego stanowiska, gdyby wiedziało, jak ważną przysługę masz oddać królowi i sprawiedliwości.

– Królowi! Sprawiedliwości! – powtórzył w zachwycie wójt, którego każde z tych słów przyprawiało o rozkoszne wzruszenie.

– Tak jest, królowi i sprawiedliwości – wyrzekł raz jeszcze przybysz. – Powiedziałem już panu, że jestem delegatem starosty paryskiego; nie objaśniłem go jeszcze, jaką to misję powierzono mi, wysyłając do waszej wioski. Chodzi tu o rzecz wielkiej wagi, mości wójcie.

– A, a, o rzecz wielkiej wagi! – powtórzył tłuszcioch, otwierając możliwie najszerzej swe oczy bez blasku.

– Sam to pan zaraz najlepiej osądzisz. Poruczono mi pochwycić wielkiego winowajcę, człowieka, co ośmielił się pisać i drukować dzieła przewrotne, poniewierające najszczytniejszymi zasadami naszej świętej religii; dzieła, mości wójcie, w których autor przyznaje się bezczelnie do swych praktyk diabelskich i w których bezwstyd czarodzieja łączy się z bluźnierstwami heretyka.

– Boże! – wykrzyknął wójt, załamując ręce. – Ależ to zbrodniarz, zakała społeczeństwa, kryminalista!

– Wart stosu, mości wójcie. Dzięki swej piekielnej zręczności potrafił on wymknąć się z Paryża i przez kilka dni z rąk się wyślizgiwał. Ale ściagałem go bez wytchnienia i – trzymam go teraz. Mówię: trzymam go – co znaczy w rzeczywistości, że wiem, dokąd się schronił i że przedsięwzięłem środki, aby ujść nie mógł.

– Czyżby znajdował się on... w Colignac? – szepnął zmieszany wójt.

– Zgadłeś, mości wójcie. Od wczoraj tu się on znajduje.

– Wielki Boże! – wykrzyknął wójt, uważając za stosowne objawić święte oburzenie – ten wielki przestępca znajduje się pomiędzy nami, oddycha tym samym co my powietrzem, a jam jeszcze dotąd o tym nie wiedział! A, i cóż pan gotów jesteś pomyśleć o mojej urzędowej czujności, szanowny panie delegacie?

– Uspokój się pan. Pańska czujność nic tu nie ma do rzeczy. Nic z pierwszego wejrzenia nie odróżnia przestępcy od człowieka uczciwego i mogłeś pan być przejść po sto razy obok człowieka, o którym mowa, nie podejrzewając na chwilę, czym on jest w rzeczywistości.

– Ha, to co innego.

– Człowiek ten – ciągnął Rinaldo – ukrywa się w tej chwili u hrabiego de Colignac.

To nazwisko wywołało lekkie skrzywienie na twarzy wójta.

Obawiał on się hrabiego i nie mieszał się nigdy w jego sprawy osobiste; czuł jednak, że obowiązki urzędu zmuszają go teraz do zapanowania nad wszelkimi względami natury prywatnej. Poprzestał na zrobieniu trwożliwej uwagi:

– Ośmielam się uprzedzić szanownego pana delegata, że pan hrabia de Colignac jest dobrym chrześcijaninem i wiernym sługą jego królewskiej mości.

– Cóż stąd! Alboż wilki obawiają się wchodzić do owczarni? Ale nie wymieniłem panu dotąd nazwiska mego zbiega.

– To prawda.

– Nazywa się on Cyrano de Bergerac.

– Bergerac! – wykrzyknął wójt. – Czy to nie ten, co ogłosił ohydny świstek, stek kłamstw i niegodziwości przeciwko najdosłojniejszemu kardynałowi Mazariniemu?

– Ten sam, mości wójcie. Widzisz zatem, że nie zasługuje on na żadną względność. Gdyś już poznał człowieka, muszę ci udzielić z kolei kilku dotyczących go poleceń.

– Poleceń?

– Tak, gdyż pan go uwięzisz.

– Ja!?! – zawołał wójt zmieszany.

– Czyżbyś chciał cofnąć się przed spełnieniem tego świętego obowiązku? A, mości wójcie, gdyby o tym król się dowiedział!

– Król! To prawda! Uwięzę go, panie delegacie. Ale jeśli zechce stawić opór?

– Tutejsi wieśniacy pomogą w tym panu zbrojną ręką. Wierz mi pan, że powierzając tobie tę piękną misję, powodowałem się głównie życzliwością, jaką od pierwszego wejrzenia wzbudził pan we mnie potrafiłeś. Jesteś pan pierwszym urzędnikiem w tej okolicy, przedstawicielem sądów królewskich, wykonawcą sprawiedliwości – wypada zatem, abym panu odstąpił zaszczyt doprowadzenia do końca dzieła, w które włożyłem cały swój rozum i całą swą zręczność. Nie miałemże słuszności twierdząc, że urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą?

– Taki honor... – wyjąkał wójt wzruszony. – Proszę mi wierzyć, szanowny panie delegacie, że... A czyjego królewska mość będzie wiedział, że to ja...

– Rozumie się. Wszakże obowiązkiem moim będzie złożyć szczegółowy raport i opisać w nim wszystko jak najwierniej.

– Król będzie wiedział! Ach, to jeden z najpiękniejszych dni mojego życia!

Rinaldo wyciągnął z kieszeni i przesunął szybko przed oczami wójta pergamin, przy którym wisiała wielka pieczęć z herbem państwa.

Wójt skłonił się z uszanowaniem.

– Oto – wyrzekł mniemany delegat – rozkaz starosty, dający mi całkowite pełnomocnictwo w tej sprawie. To pełnomocnictwo tobie przekazuję, mości wójcie.

Wójt zbyt był przejęty szacunkiem i uniżonością, aby mógł ośmielić się na poddanie ścisłszemu badaniu przedstawionego sobie dokumentu. Widział herb państwa, to dość; domagać się innych jeszcze dowodów wydawało mu się czymś potwornym.

– Proszę wziąć zatem pergamin – ciągnął Rinaldo – i napisać własnoręcznie, wedle zwykłej, urzędowej formy, rozkaz uwięzienia wszędzie, gdziekolwiek by się znajdował, niejakiego Sawiniusza de Cyrano, zwanego de Bergerac, oskarżonego o herezję i świętokradztwo. Ja rozkaz ten podpiszę.

Wójt zasiadł przy stole i niezbyt wprawną ręką jął pisać akt żądany. Pot kroplisty występował na czoło pocziwcowi, tak wielkim przejęty był strachem, aby nie popełnić jakiej omyłki w urzędowej osnowie rozkazu. Uciekając się do zwykłego autorskiego fortelu, to jest do gryzienia chorągiewki pióra, ile razy nie przychodził mu na pamięć wyraz potrzebny, doprowadził on po pewnym czasie, z trudem niemałym, dzieło swe do końca.

Rinaldo po skończeniu wziął akt do ręki i odczytał go z wybornie odegraną powagą, następnie zwrócił wójtowi, nabazgrawszy u spodu: *Klaudiusz Popelin*, gdyż tym nazwiskiem postanowił posługiwać się w tym wypadku.

– Jesteś pan teraz w porządku – rzekł zachęcająco. – Za godzinę udasz się do zamku hrabiiego de Colignac, aby dopełnić uwięzienia Cyrana.

– A następnie?

– Następnie... Czy macie tu gdzie dobry areszt?

– Rozumie się!

– A więc zamkniesz pan w nim więźnia i będziesz go trzymał pod kluczem aż do mego powrotu.

– Pan odjeżdża, panie delegacie?

– Udaję się do Tuluzy, gdzie mam do załatwienia niecierpiącą zwłoki sprawę urzędową. Wracając przyprowadzę ze sobą oddział żandarmów, który odstawi więźnia do Paryża. Do tego czasu będziesz mi pan głową swą odpowiadał za niego.

– Jestem gotów, panie delegacie, ofiarą życia całego stwierdzić posłuszeństwo rozkazom jego królewskiej mości. Sam nie posiadam daru szybkiego czynienia postanowień, ale gdy już mam w ręku rozkaz, sam diabeł nie powstrzyma mnie od wprowadzenia go w wykonanie.

– Pięknie powiedziane, mości wójcie. Tymczasem opuszczam pana, aby nie opóźnić na chwilę nawet załatwienia tak pilnej sprawy.

– A ja biegnę do oberży Landriota, gdzie spodziewam się znaleźć swego pisarza oraz kilku dzielnych ludzi, których wezmę ze sobą do pomocy.

– Zdaje mi się, że ich pan znajdziesz zupełnie przygotowanych do dzieła. Jespan Landriot wygląda cokolwiek na gadułę, a ponieważ szepnąłem mu kilka słów o celu mego przybycia, przypuszczam, że ich przy sobie nie zatrzymał.

– Stało się tak niezawodnie. A, panie delegacie, jesteś pan człowiekiem genialnym! Najmniejszy szczegół uwagi pańskiej nie ujdzie!

Wyszli obaj i skierowali się ku oberży.

Podczas gdy wójt umawiał się w izbie z zebranymi wieśniakami, Rinaldo kazał osiodłać konia i wyjechał, pozostawiając dalszy przebieg sprawy zabiegom swego pełnomocnika.

Przebiegły łotr cel swój osiągnął. Udało mu się przytrzymać Cyrana, a przynajmniej unieruchomić go na czas dość długi, aby nie mógł zjawić się w Saint-Sernin wówczas, gdy Rinaldo pospołu z Ben Joelem będą używali wszelkich środków, aby wydobyć od proboszcza drogocenny dokument.

Zgodnie z obliczeniami służącego, Ben Joel znajdował się od dwóch dni w Saint-Sernin i jeżeli tylko potrafił pozyskać zaufanie proboszcza, sprawa jego powinna znajdować się na jak najlepszej drodze.

Rinaldo przybędzie w samą porę, aby zebrać owoce długich trudów.

Posiadłszy za jaką bądź cenę pismo hrabiego de Lembrat, Rinaldo mało już będzie troszczył się o Cyrana. Powróci do Paryża, odda swemu panu skarb, w pocie czoła zdobyty, i otrzyma nareszcie upragnioną nagrodę.

Śmiały i niezwykle pomysł Rinalda nie był w gruncie rzeczy takim dziwactwem, na jakie z pozoru wyglądał.

W owej epoce formy prawne były bardzo zawiłane i wymiar sprawiedliwości odbywał się nader opieszale.

Nierzadko, bez żadnej uzasadnionej przyczyny, pozbawiano wolności ludzi niewinnych, którzy tracili w więzieniu zdrowie, a niekiedy i życie, zanim przypomniało się komuś zbadać rzeczywisty powód ich przytrzymania i zdjąć z nich brzemię winy, narzucone im przez omyłkę albo przez czyjąś złą wolę.

Byli uwięzieni i okoliczność ta wystarczyła dla sędziów, aby ich uznać winnymi.

Zarzucenie komuś zmyślonego przez siebie przestępstwa bywało częstokroć dostatecznym powodem do pochwylenia go w szpony tak zwanej sprawiedliwości, a gdzie było oskarżenie, tam domniemywano się zaraz i winy.

Przypuszczenia, domniemania, przeróżne prawne fantazje i hipotezy gmatwały fakt w gruncie rzeczy zupełnie prosty, a dochodzenie sądowe, zamiast rozjaśniać sprawę, pograżało ją w nieprzejrzaną ciemność.

Niezmiernie zawiłany aparat sądowy czekał oskarżonego, odbierając mu siłę do bronienia się, a następnie i wiarę w siebie, i niemal zawsze w końcu osłabionego, zwątpiałego i zubożonego rzucał na pastwę czyhających nań oprawców.

Zdarzało się wreszcie, że wobec nie rozwikłanej płataniny dowodów i przeciwdowodów, nie mogąc z zupełną słuszością ani potępić oskarżonego, ani go uniewinnić, o jęczącym w podziemiach więziennych po prostu – zapominano.

O tym wszystkim wiedział bardzo dobrze Rinaldo i stwierdził znajomość ówczesnej procedury tym właśnie, że zaraz po urządzeniu pułapki najspokojniej stamtąd się oddalił.

Pozostać, znaczyłoby narazić się na stawianie sobie do oczu oskarżonego, na badania, objaśnienia, udowodniania i może w końcu na wstydliwą porażkę.

Przeciwnie, wcisnąć w ręce wójta broń zaczepną, pchnąć go naprzód i pozostawić samemu sobie, wmówiwszy weń przedtem niezmierną ważność jego roli, było to: przygotować tajemnicze powikłania, wśród których wójt, zakłopotany, a jednak do końca obowiązkom swym posłuszny, z zaciętym uporem będzie pilnował spełnienia powierzonego sobie aktu, w słuszność jego nie wchodząc i wchodzić nie ośmielając się nawet.

Toteż doświadczony łotr poprzestał na udzieleniu wójtowi ogólnych jedynie wskazówek, dotyczących zarzucanego Cyranowi przewinienia. Nacisk główny położył na jedno tylko: na konieczności uwięzienia.

Wprowadzony z zamkniętymi oczyma na tę krętą ścieżkę, dobroduszny przedstawiciel władzy miał już postępować nią sam, nie zbaczając, i stać się w końcu nieświadomym współnikiem podstępów Rinalda oraz nikkczemności hrabiego de Lembrat.

XXVI

Sawiniusz, hrabia de Colignac i margrabia de Cussan biesiadowali w najlepsze, gdy do wspaniałej jadalni wszedł marszałek zamku i oznajmił swemu panu, że przybył wójt i chce się natychmiast z nim zobaczyć.

– Wójt! – zawołał wesoło hrabia. – I czegoż to żąda od nas sławetny Cadignan? Niech wejdzie. Opowie nam swój interes przy kieliszku starego medoku.

Drzwi otwarto i zjawił się w nich sławetny Cadignan, mrugając oczami i wybijając niskie pokłony aż do nadwężenia sobie boków.

– Bez tych ceregieli, kochany Cadignan – rzekł hrabia. – Jesteśmy w wesołym usposobieniu i wszelka ceremonialność śmiertelnie nas nudzi. Siadaj, kochanie, bierz kielich i nie spiesząc się rozpowiadaj nam swoją historię.

Jak widzimy, hrabia de Colignac był człkiem wesołym, lubiącym żyć dobrze i swobodnie, wcale nie dumnym i gotowym każdej chwili do napełnienia kielicha i wychylenia go za czyjeś zdrowie.

Wójt usiadł, nie pozbywając się jednak sztywnej i zagadkowej miny.

Prawdę rzekłszy, własna wielkość sprawiała mu niemało kłopotu wobec tak dostojnego towarzysza i nie śmiał podnieść oczu na trójkę wesołych biesiadników, zarumienionych od wina i oświetlonych jaskrawo blaskiem licznych świeczników.

Zwłaszcza osoba Cyrana przejmowała go szczególnym strachem, nad którym na próżno starał się zapanować.

– I cóż, mości wójcie! – przemówił Sawiniusz, litując się nad jego kłopotliwym położeniem – czyż nie przyznajesz hrabiemu słuszności? Twoje zdrowie, mości wójcie, choć zdrowie to, jak mi się zdaje, znajduje się już w dostatecznie kwitnym stanie. Na honor, jesteś pan najokazalszym z urzędników w granicach Francji i Nawarry.

Poeta wyciągnął rękę z kielichem do wójta.

Ten ostatni nie śmiał odtrącić wyświadczonego sobie zaszczytu, lecz ręka jego od wielkiego wzruszenia tak silnie drżała, że rozlał na obrus część wina, którym mu kielich napełniono.

– Cóż to, czyś słaby? – zapytał hrabia. – Uważam, że jesteś czymś silnie wzruszony. Pij, to ci dobrze zrobi.

Cadignan spełnił wolę hrabiego, ale omal nie udusił się pijąc, tak mu od dziwnego wzruszenia ścisnęło się gardło.

Mimo wszystko nie zapomniał o celu swego przybycia.

– Panie hrabio – rzekł – chciałbym pomówić z panem na osobności. Czy pan hrabia raczy wyświadczyć mi tę łaskę?

– Z ochotą. Czemu jednak nie chcesz mówić przy wszystkich? Ja nie mam żadnych tajemnic przed tymi panami.

– Tu nie chodzi o tajemnice pana hrabiego.

– To co innego. Chodź zatem ze mną do ogrodu. Zresztą biesiada ukończona i świeże powietrze bardzo nam się przyda.

Hrabia wstał od stołu i wiodąc za sobą wójta, zszedł po kilku stopniach marmurowych, prowadzących wprost z sali jadalnej do ogrodu, urządzonego w przesadnym stylu owej epoki.

Obaj przeszli kilkanaście kroków w milczeniu.

Bergerac i margrabia de Cussan postępowali w pewnej odległości za nimi, żartując po cichu z ciężkiego chodu i śmiesznej postaci wójta.

Sławetny Cadignan czuł się tu bardziej jeszcze zakłopotanym niż przy stole i nie wiedział zupełnie, od czego zacząć swą przemowę.

– No, przyjacielu – odezwał się hrabia – mów teraz; jesteśmy sami.

Nic już nie mogło usprawiedliwiać dłuższego milczenia, wójt przeto, przewyciężając ostatnim wysiłkiem swą nieśmiałość, przystąpił do spełnienia ciężkiego obowiązku, przy czym jednak nie zapomniał o oszczędzaniu hrabiego, którego łaska była mu bardzo potrzebna.

– Wiadomo panu hrabiemu – zaczął głosem ubolewającym – że między mieszkańcami Colignac nie ma ani jednego, który by nie był powinowatym, kumem, przyjacielem lub wprost najuniżeńszym i najwierniejszym sługą pana hrabiego. Wynika stąd, że cokolwiek zdarzy się panu hrabiemu i nas wszystkich dotyka.

– Do pioruna! Ten wstęp jest bardzo groźny. Ale mów dalej, kochanie; zaczynasz mnie zaciekawiać.

– Powiedziałem zatem – podjął wójt, powtarzając się dla uzyskania na czasie i oszczędzenia słuchaczowi zbyt silnego wzruszenia – powiedziałem, że nic nie może zdarzyć się panu hrabiemu pomyślnego, co by nas nie uradowało, i nic niepomyślnego, co by nas nie zasmuciło. Otóż dowiedzieliśmy się z najlepszego źródła, że pan hrabia... że u pana hrabiego... że...

Cadignan zaciął się i nie mógł żadną miarą dokończyć.

– Kończcie, mój kochany – nalegał hrabia. – Mówisz zatem, że ja...

– Że pan hrabia gości w swym zamku heretyka i czarownika.

Powiedziane to zostało bardzo szybko, jednym tchem i wójt uczuł nagle ulgę, jakby się pozbył niezmiernego ciężaru.

Hrabia zaczął się śmiać serdecznie.

– Czarownika? – powtórzył ze śmiechem. – O bogi! I któż on taki? Wymień tego przestępcę, natychmiast ci go wydam. Ale strzeż się, żebyś nie powiedział oszczerstwa.

– Nie, panie hrabio, to nie oszczerstwo. Bo i któż może lepiej znać się na czarach i czarownikach, jeśli nie trybunał paryski? A właśnie z samego Paryża otrzymałem rozkaz uwięzienia człowieka, który nadużywa uprzejmości pana hrabiego.

– Do diabła! – rzekł hrabia, wpatrując się bacznie w wójta, którego podejrzewał o małego bzika – to ważniejsze, niż sądziłem, mój mości Cadignanie!

– Jego królewska mość wdał się w to, panie hrabio, mam przy sobie rozkaz, podpisany przez jednego z urzędników do szczególnych poruczeń przy staroście paryskim. Colignac był tak zdumiony, że nic nie odpowiadał.

– Widzi pan hrabia – ciągnął wójt, którego śmiałość wzrastała, gdy się nie potykał o przeszkody – wiem bardzo dobrze, że to nie może być mu przyjemne. Czarownik jest osobą lubianą przez pana hrabiego. Ale proszę nie obawiać się; o ile tylko się da, będziemy oszczędzali spokój pana hrabiego. Zrobi się wszystko gładko i po cichu. Trzeba tylko, aby bez straty

czasu zbrodzień został nam wydany. Upewniam zaś pana hrabiego honorem, że go każę spalić bez najmniejszego skandalu.

– Jesteś bardzo uprzejmy – rzekł hrabia z uśmiechem. – Nazwisko czarownika, jeśliś łaskaw...

Wójt zniżył przezornie głos.

– Jest nim gość pana hrabiego – szepnął – niejaki Sawiniusz de Cyrano.

Tego już było za wiele.

Colignaca porwała taka szalona wesołość i jęły nim wstrząsać tak gwałtowne wybuchy śmiechu, że aż musiał ścisnąć sobie boki dla uspokojenia.

Sławetny Cadignan, zbity z tropu, spoglądał nań z miną obrażoną.

– Przybywaj, Bergeraku, przybywaj! – wołał hrabia, nie przestając dusić się od śmiechu. – A, wysmienite to rzeczy, ale niepożądane w czasie trawienia!

– Panie hrabio! – rzekł wójt, usiłując przygryzać swe grube wargi – nie mogę podzielać pańskiej wesołości...

Sawiniusz i margrabia zbliżyli się.

– A, mój drogi! – odezwał się hrabia do poety – sam ucieraj się z naszym niezrównanym Cadignanem — ja już nie mogę! Zwyciężył mnie, powalił i uczynił niezdolnym do walki! Jesteś podobno, przyjacielu, heretykiem, czarownikiem, diabłem we własnej osobie i nasz wójt przybywa, aby cię uwięzić!

– Oho! – rzekł Cyrano – lubią tu, jak widzę, żarciki!

– Nie mam nic z waćpanem do mówienia – oświadczył surowo sławetny Cadignan. – Spełniam jedynie obowiązek swego urzędu. W imieniu jego królewskiej mości, aresztuję waćpana!

– Sam jeden tylko? – zaśmiał się Sawiniusz.

– Mam do pomocy powagę prawa – odparł wójt uroczyście.

– A co ważniejsza – wtrącił margrabia – gromadę wieśniaków, gotowych poprzeć cię powagą swych pięści. Widziałem tę hołotę, stłoczoną na dziedzińcu zamkowym.

– O, tego już za wiele! – krzyknął Colignac. – Słuchaj, mości Cadignanie, każę cię i twoich ludzi przez różgi przeprowadzić, jeśli mi się stąd natychmiast nie wyniesiecie! Aresztować Sawiniusza! Przekracza to już najdalsze granice farsy!

Cyrano zamyślił się.

– Być może zresztą – rzekł, zwracając się do wójta – że polecono panu pozbawić mnie wolności. Bądź pan łaskaw pokazać mi rozkaz urzędowy.

„Jest rzeczą wielce możliwą – pomyślał – że to nowa sztuczka Rolanda de Lembrat i że ten stary cymbał, Jan de Lamothe, dopomógł mu w niej, zadowolony, że będzie mógł podstawić mi nogę”.

Wójt rozwinął swój pergamin i podsunął go pod oczy Cyrana.

– Ech! – rzucił lekceważąco poeta – i cóż to jest? Rozkaz podpisany przez podwładnego? Odkądże to wysłańcy starosty mają prawo podpisywania takich rozkazów?

– Odkąd sam starosta upoważnił ich do tego! – odparł dumnie Cadignan.

– Gdzież ów delegat? Dlaczego sam tu nie przyszedł?

– To już należy tylko do niego i do mnie, i waćpan nie masz potrzeby tym się zajmować. Dalej, proszę udać się za mną bez oporu. Będę miał na uwadze, że pan hrabia de Colignac wyświadczył panu zaszczyt ugoszczenia cię u siebie.

– Wójcie! – rzekł Cyrano, ściskając mu ramię jak kleszczami i zatapiając w nim oczy jak sztylety – wiedz, że w tej chwili ani Bóg, ani szatan nie byłiby w stanie zatrzymać mnie!

– Czy słyszy pan hrabia? – zawołał płaczkliwie Cadignan. – Bluźni, dalibóg bluźni!

– I możesz być najpewniejszy – ciągnął poeta – że gdybyś ty sam lub kto z twoich ludzi dotknął palcem nawet poły mego płaszcza, posiekam was tak doskonale, że skóra pasami będzie się z was zwieszać. Sługa pański, mości Cadignanie.

- Ależ... – spróbował jeszcze wójt.
- Milion milionów diabłów! – wybuchnął hrabia – czy trzeba cię, mój panie, wypraszać stąd kijem? Ale nie; szkoda go na ciebie. Idź po prostu spać i nogi nakryj ciepło. Gdy ci mógownica ochłodnie, wrócisz tu, aby mnie przeprosić za swą napaść dzisiejszą.
- Odchodzę, panie hrabio, ale od swych praw ani na krok nie odstępuję. Pragnąłem uniknąć skandalu. Pan hrabia go chce; będzie go miał. Dopóki ten jegomość będzie pod dachem pana hrabiego, uszanuję dom pański; gdy opuści zamek...
- Opuścę go dziś jeszcze wieczorem, mości Cadignanie – przerwał Cyrano. – Teraz myślę, że dość już się dowiedziałeś. Możesz odejść, aby postawić swą armię na stopie wojennej i – zawczasu przygotować swe plecy.
- Cadignan rzucił się z oznakami wściekłego gniewu, nacisnął kapelusz na oczy i wybiegł z zamku wielkimi krokami.
- Oszałał pocziwiec! – zauważył spokojnie poeta, wyglądając za odchodzącym.
- Nie lekceważmy tego zbyt – rzekł hrabia. – Cadignan jest głupi jak gęś, ale uparty jak muł. Gdy się uczepli jakiego głupstwa, trzyma się go jak pijany płota. Zdolny on jest wypłatać ci jakiego niedorzecznego figla. Wierz mi, że najlepiej uczynisz, pozostając tu jeszcze przez jedną dobę. Przez ten czas wyjaśnię i załagodzę tę sprawę.
- Żartujesz, hrabio! Obecność moja w Saint-Sernin jest konieczna i z pewnością nie wasz Cadignan przeszkodzi mi tam się dostać.
- Nareszcie: co znaczy ów rozkaz? Kto sprowadził ci na głowę ten cały kłopot?
- Sam nie wiem dobrze. Napisałem *Podróż na księżyc*, w której głupcy dopatryli się wszelakiego rodzaju napaści na religię oraz przeróżnych praktyk, stwierdzać jakoby mających moje bliskie pokrewieństwo z diabłem. Alboż nie nazywają mnie Kapitanem Czartem? Wrogowie, a nie zbywa mi na nich, uznali bez wątpienia za właściwe dorzucić tę jedną jeszcze niedorzeczność do wielu innych, którymi mnie zasypują. Ale co tam! Kpię z tych ludzi i ich wynalazków! Posiadając konia i szpadę, czuję się dość silnym do wywrócenia lub rozbicia wszystkich zawad, które mi na drodze stawiają. I dlatego właśnie, mój drogi, wyruszam w drogę dziś, gdy tylko zmierzch zapadnie.
- Będziemy ci towarzyszyli.
- Nie ścierpiałbym tego.
- Ale jeśli spotka cię nieszczęście!
- Ech, co ma mnie spotkać! Ten zabawny Cadignan na sam widok mój trząsł się ze strachu. Nie ośmieli on się z pewnością stanąć mi oko w oko na gościńcu publicznym, choćby miał nawet przy sobie całą wiejską gromadę.
- Ha, może masz słuszość. Doznawszy porażki, wójt zwróci się pewno o posiłki do urzędu marszałkowskiego w Tuluzie. A podczas gdy on będzie tracił czas na te wojenne kombinacje, ty zrobisz już potężny kawał drogi. Wieczorem wskażę ci pewien przejazd, którym wprost z parku dostaniesz się na gościniec, nie potrzebując przejeżdżać przez ulice naszej wsi.
- Ani myślę! – oświadczył Cyrano, zawsze gotów stawiać czoło niebezpieczeństwu. – Gdybym się wymykał po kryjomu, znaczyłoby to, że się boję, a wiesz, do kroćset, że tak nie jest i nigdy nie bywało.

XXVII

Złączywszy się ze swymi sprzymierzeńcami, to jest z oberżystą i jego przyjaciółmi, wójt okazał im twarz zafrasowaną i w kilku słowach opowiedział, co go spotkało.

Wszyscy powrócili do oberży, gdzie złożono walną radę, mającą obmyśleć najlepszy plan działania.

– Nie chciałbym narazić się na gniew pana hrabiego – rzekł Cadignan. – Sądzę przeto, że należy działać ostrożnie, w jak największej cichości, oszczędzając przede wszystkim pana de Colignac. Byłoby najlepiej zebrać się na drodze do Cussan, w pewnym oddaleniu od zamku, i pochwycić czarownika, gdy tamtędy będzie przejeżdżał.

– Wezmę kropidło, aby go egzorcyzmować! – oświadczył zakrystian.

– To nie zaszkodzi – potwierdził Cadignan.

– A ja rusznicę – dodał Landriot.

– To jeszcze lepsze. Inni niech się zaopatrzą w grube kije, kosy, noże i mocne sznury do skrępowania więźnia. Garisac, Piotr Cornu i Lescuyer staną na czatach w pobliżu zamku i gdy tylko czarownik ukaże się, przybiegną natychmiast zawiadomić nas o tym. Będziemy czekali na prawo od figury.

– Zgoda, panie wójcie! – przytwierdzili trzej wymienieni wieśniacy.

– A teraz rozejdźmy się, aby się przygotować; za godzinę zaś – przy figurze! Ja idę przekonąć się, czy komórka przy mojej kancelarii jest dostatecznie opatrzona, aby można było zamknąć w niej więźnia. Na wszelki wypadek dodam dwie nowe zasuwki.

Była godzina piąta, gdy Cyrano opuścił zamek.

Hrabia pospołu z margrabią odprowadzili go aż do głównego placu osady, gdzie na wyraźne żądanie poety pożegnali go, upewniwszy się jednak przedtem, że nigdzie w pobliżu nie widać niepokojącego zbiegowiska.

Sawiniusz z podniesioną wysoko głową i z piersią wystawioną naprzód przejechał z wolna przez osadę. Orli jego nos i oczy ciskające błyskawice napełniały niewymownym strachem wszystkie kumoszki, uprzedzone przez mężów o przygotowanej zasadzce i wystające przed domami umyślnie w tym celu, aby zobaczyć czarownika.

On tymczasem uśmiechał się w sposób iście szatański, jakby czynił sobie igraszkę z pomieszania łatwowiernych kobiecim.

Na drodze, którą przejeżdżał, nikt nie odważył się przemówić ani słowa.

Wreszcie dał koniowi ostrogę i szybciej pocwałował, aby wynagrodzić czas stracony na tej bohaterskiej paradzie.

Tymczasem przy figurze Cadignan z gromadą wieśniaków, około dwudziestu ludzi liczącą, wyczekiwał cierpliwie na swą ofiarę.

Oberżysta pełnił obowiązki adiutanta przy grubym wójcie, który nadto miał przy boku swego pisarza, gotowego do skreślenia w potrzebie urzędowego protokołu, oraz zakrystiana z olbrzymim kropidłem, moknącym w wielkim miedzianym naczyniu z wodą święconą.

Wieśniacy uzbrojeni byli w kosy, cepy i stare rusznice. Arsenał środków rycerskich i kocielnych znajdował się w komplecie.

Prócz tego oberżysta, jako biegły i przewidujący strategik, przeciągnął gruby sznur przez całą szerokość drogi.

Sznur ten, przymocowany do dwóch mocnych kołków dębowych i rozciągnięty na wysokości jednego łokcia od ziemi, przy zapadającym zmroku był prawie niewidoczny, barwa bowiem jego zlewała się w jedno z barwą piasku na drodze. Liczono wiele na ten środek, w razie gdyby Cyrano, wytrzymawszy pierwsze natarcie, chciał szukać następnie ocalenia w ucieczce.

Piotr Cornu – jeden z trzech szpiegów, wybranych przez wójta z gromady – przybiegł niebawem zdyszany na placyk pod figurą.

– Jedzie! Już jedzie! – zawołał.

Wszyscy chwycili za broń. Zakręcająca się w tym miejscu droga nie pozwalała widzieć jeźdźca, usłyszano jednak jak najwyraźniej tętent kopyt jego wierzchowca.

Cadignan miał chwilę słabości. Nie trwała ona jednak długo. Przypomnienie słów starościńskiego delegata, myśl, że idzie tu o dobro społeczeństwa i religii, najbardziej zaś widok licznej uzbrojonej eskorty – słabość ową wprędce rozproszyły.

Rozproszyły nawet tak dalece, że w chwili gdy Sawiniusz, w przekonaniu, iż pozbył się już niedorzecznych prześladowań wójta, wjeżdżał śmiało na placyk pod figurą, znalazł się twarz w twarz z zaciętym wykonawcą prawa.

Koń poety, przestraszony szczękiem broni, wspiął się, a następnie stanął w miejscu jak wryty i Cyrano dostrzegł natychmiast, że podczas gdy około dziesięciu wieśniaków, z wójtem pośrodku, stawiało mu czoło, reszta gromady otoczyła kępę drzew, aby zająć mu tyły i odciąć odwrót do Colignac.

– Hola, mości wójcie, a to co?! – wykrzyknął szlachcic, nie racząc jednak jeszcze dobywać szpady dla utorowania sobie wolnego przejazdu.

– W imieniu jego królewskiej mości aresztuję pana – wrzasnął wójt, umyślnie głos podnosząc dla pokrycia wewnętrznego niepokoju.

I zwracając się do wieśniaków, rozkazał:

– Wiązać tego człowieka!

Cyrano zaśmiał się.

– Radzono ci już, mości wójcie – rzekł, nie tracąc zimnej krwi – żebyś położył się do łóżka; pozwól, że ci nastęcę do tego okazję.

I przy tych słowach machnął kilkakrotnie biczem, naznaczając dwiema czy trzema pręgami puciołowatą twarz niefortunnego przedstawiciela sprawiedliwości. Zaraz też ścisnął kolanami konia i czyniąc bez trudności wyłom wśród zagradzającego mu drogę motłochu, pogalopował w stronę Cussan.

Niestety, o jakie dwadzieścia kroków stamtąd biedny rumak zaplątał się w rozciągnięty sznur i wraz z jeźdźcem przewalił na ziemię.

Upadając Cyrano rzucił straszliwe przekleństwo, któremu odpowiedział z gromady dziki okrzyk triumfu, i w chwilę później szlachcic został otoczony, przemożony samą ilością przeciwników, przygnieciony kolanami, rozbrojony i skrępowany.

Ponieważ koń przycisnął mu nogę, uniemożliwiając wszelką obronę, był chwilowo całkowicie bezwładny.

Podniesiono go z ziemi, związanego wielokrotnie od stóp do głowy mocnymi sznurami, zaplątanymi na niezliczone węzły, i w tej chwili uczuł, że mu spada na twarz deszcz kroplisty.

To występowało do dzieła wszechmożne kropidło zakrystiana.

– *Satanus Diabolus!* – wołał sługa kościelny, kalecząc swą łacinę – zaklinam cię w imię Boga żyjącego...

– Łotry, łajdaki, plugawe robactwo, motłochu nikczemny! – krzyczał Cyrano – zapłaćcie drogo za zniewagę wyrządzoną człowiekowi mego stanu! Ja was wszystkich...

– *Satanus Diabolus!* – przerwał mu zachrypły głos oberżysty, ciągnącego dalej egzorcyzm zakrystiana – zaklinam de w imię Boga i świętego Jana, uspokój się i nie przeszkadzaj, bo jeśli ręką albo nogą poruszysz, niech mnie diabli porwą, jeśli ci tym nożem nie rozpruję wnętrzości.

I potrząsnął groźnie swym kuchennym żelazem.

Podczas tej rozprawy pisarz wójta przeglądał podrózne manatki poety, zawarte w małym, przytroczonym do siodła tłumoczku.

Znalazłszy w tłumoczku tom Kartezjusza, naślinił palec i jął przewracać kartki, a natrafiwszy na tablicę, gdzie filozof nakreślił koła, ruch planet przedstawiające, wykrzyknął triumfująco:

– Patrzcie no, panie wójcie, oto figury magiczne, za pomocą których czarownik rzuca na ludzi zaklęcia!

Gdyby nie pożałowania godny stan, w jakim znajdował się poeta, jakże serdecznie uśmiełby się z tego.

Ale sławetny Cadignan, przykładający sobie wodę święconą do pokieraszowanego w tak szlachetnej okazji oblicza, wziął książkę z nadzwyczajną powagą, przyjrzał się figurom astronomicznym z miną wyrażającą wielką mądrość i znacząco potrząsnął głową.

– To okoliczność bardzo obciążająca dla oskarżonego! – wyrzekł po namyśle. – Muszę zawiadomić o niej szanownego delegata. Teraz, wiara, wziąć więźnia na plecy i – marsz do aresztu gminnego.

Zwycięski orszak ruszył w pochód.

Cyrano nie wydał ani jednej skargi. Wydawał się zrezygnowany. W rzeczywistości jednak rozmyślał tylko o sposobach wybrnięcia z tej głupiej przygody, do czego nie doprowadziłyby go z pewnością żadne układy z prowadzącą go hołotą.

Wierzchowiec poety został na gościńcu przez wszystkich opuszczony. Przypomnił sobie o nim dopiero pisarz wójta, człek zamiłowany w porządku, który wzięwszy konia za uzdę, pociągnął go z wolna do osady i zamknął w stajence wójtowskiej w tym samym czasie, gdy drzwi więzienne zatrasnęły się z łoskotem za poetą.

Dozorcą owego niezbyt groźnego w rzeczywistości więzienia był szewc nazwiskiem Cabirol. Ponieważ nader rzadko zamykano kogoś do strzeżonej przezeń celi, poświęcał on prawie cały wolny czas uprawianiu swego rzemiosła, w którym doszedł też do wyjątkowej doskonałości.

Czeladnik tegoż samego zawodu pełnił przy Cabirolu obowiązki stróża więziennego – w tych rzadkich tylko wypadkach, gdy którego z mieszkańców osady, poróżnionego z prawem, musiano pozbawić osobistej wolności.

Żona Cabirola i jego córka dopełniały czwórki wolnych mieszkańców budynku więziennego, który był rodzajem piwnicy, łączącej się z większą izbą, służącą jednocześnie za rozmównicę i za warsztat, i posiadającą małe piętérko, na trzy izdebki podzielone.

W piwnicy znajdowały się cztery ciasne celki, pozbawione światła i powietrza. Do najciemniejszej wtrącono Cyrana.

– Pietrek! – krzyknął dozorca do swego pomocnika, gdy gromada przyniosła i na zimnej podłodze rozmównicy złożyła skrępowanego silnie Cyrana – zapal latarnię i poświeć mi! Trzeba tego czartowskiego syna zamknąć do komórki furiatów!

Pietrek wypełnił rozkaz i Cabirol, wzięwszy na plecy swego nieruchomego i milczącego więźnia, zaniósł go do ciemnicy.

Tam rzucił go bez wielkich zachodów na barłóg, zbutwiały od wilgoci, i wiedząc dobrze, że poeta daremnie próbowałby stąd uciec, wziął się do rozwiązywania krępujących go sznurów.

Cyrano, odzyskawszy swobodę ruchów, rozejrzał się po swym więzieniu i przy słabym świetle latarni przekonał się, jak ohydną była cela, do której go zamknięto i którą Cabirol nazwał znacząco: komórką dla furiatów.

– Przyjacielu – odezwał się wówczas do dozorca – jeżeli ten futerał kamienny ma służyć mi za ubranie, jest nazbyt obszerny, ale jeśli za grób – to zanadto ciasny.

– To nic – odburknął mrukiwy dozorca – przyzwyczaisz się jegomość do niego.

I opatrywał z nadzwyczajną pilnością wszystkie kąty celi, co było zresztą zupełnie zbyteczne, gdyż te mury z gładkiego kamienia nie miały innego otworu prócz drzwi, te zaś zamykały się nadzwyczaj szczelnie.

Podczas tego przeglądu, równie pilnego, jak bezużytecznego, Sawiniusz, świadomy zwyczajów więziennych, wsunął nieznacznie do obuwia wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie.

Okazało się zaraz, jak pożyteczną była ta ostrożność.

Cabirol zbliżył się do więźnia i bez ceremonii jął przetrząsać jego kieszenie.

– Co robisz! – obruszył się Cyrano, udając wielkie zagniewanie.

– To moje prawo – odparł dozorca. – Spodziewam się zresztą, że nie czynię jegomości nic złego?

– Przeciwnie; masz na celu moje dobro – zauważył Cyrano, zadowolony z dwuznacznika.
– Szukaj, szukaj, przyjacielu! Jeżeli mam konszachty z diabłem, o co mnie oskarżają, to mieszka on nie gdzie indziej, jak właśnie w mojej kieszeni.

– O rany boskie! – wykrzyknął wreszcie dozorca, stropiony i zły, gdyż nie zdybał nigdzie złamanego szeląga – a to prawdziwy czarownik! Goły, bestia, jak jego patron Belzebub!

Podjął z ziemi swój pęk kluczy, aby otworzyć zamknięte drzwi i wyjść dla zwierzania się żonie z doznanego zawodu.

Sawiniusz skorzystał z chwili, gdy dozorca był doń zwrócony plecami i wydostawszy prędko trzy pistole z kryjówki, rzekł:

– Panie dozorczo, pragnę przekonać cię, że diabeł nie tak czarny, jak go malują. Oto dla pana. Weź ten pieniądz i przyślij mi co do jedzenia; od południa nic w ustach nie miałem.

Cabirol otworzył szeroko oczy.

– Pistol? – zadziwił się. – A jegomość skąd go wziął?

– Oto jeden jeszcze, jako zapłata za trudy, które pan z mojego powodu poniosłeś.

– O, o, co ja widzę! – wyrzekł Cabirol, od razu uspokojony i złagodzony. – Ależ to jegomością niktzemnie oszkalowano! Ja widzę, że jegomość jesteś szlachetnym i dostojnym panem!

Wyciągnął rękę po pieniądz i dodał:

– Zrobi się wszystko, czego będzie sobie wielmożny pan życzył.

– Zrób, przyjacielu, więcej jeszcze – tu trzeci pistol błysnął pomiędzy palcami Cyrana – i przyślij mi do towarzystwa swego pomocnika, gdyż nie lubię samotności.

Ręka dozorczy wysunęła się z większą jeszcze skwapliwością.

– Wielmożny pan znalazł się tu niezawodnie wskutek pomyłki – rzekł głosem rezolutnym.
– Czyżby człowiek tak spokojny, tak szlachetny mógł być zdolny do... Nie! Nie mogę dokończyć. Wielmożny pan nie potrzebuje się niczego lękać. W ciągu trzech dni podejmuję się zrobić go bielszym od śniegu.

Te zapewnienia nie przeszkodziły jednak Cabirolowi mocno zaryglować drzwi po wyjściu z ciemnicy.

– Poznałem już czułą stronę poczciwca – rzekł sam do siebie Cyrano. – A ponieważ zwykle jaki pan, taki sługa, więc prawdopodobnie szczerza kompania, która w tych murach przemieszkuje, nie będzie cieszyła się długo moim towarzystwem.

XXVIII

Sawiniusz przepędził w swej celi nader nieprzyjemną godzinę.

Zaczynał już niecierpliwie się i powątpiewać o swej dobrej gwieździe, gdy brzęk kluczy połączony ze zgrzytem odsuwanych zasuw wyprowadziły go z posepnej zadumy.

Światło lampy przeniknęło do ciemnicy i zjawił się ten, którego nazywano Piotrkim, niosąc dymiący garnuszek, który postawił tuż przy więźniu.

– Chwała Bogu! – rzekł do siebie poeta – nie okradają mnie tu zaudadto.

– He, he! – odezwał się przybyły, którego twarz naiwną i bynajmniej nie okazującą pewności siebie rozszerzał uśmiech głupowaty – masz waćpan rację, że się nie frasujesz. Przyniosłem śliczności kapuśniaczek. Palce lizać, jak waćpana szanuję. Gospodyni sama gotowała go na prawdziwym sadle, jak Bożię kocham. – Przy tych słowach zanurzył łyżkę, a z nią razem i palce w gorącej zupie, dając znak Cyranowi, aby poszedł za jego przykładem.

Szlachcicowi dokuczał głód szalony.

Zabrał się odważnie do tej grubej stawy, pochwycił łyżkę drewnianą, którą mu podsunął Pietrek, i z kolei zanurzył ją w garnku.

– Tak to lubię! – wykrzyknął stróż. – Dobry kum z waszeci! niesprawiedliwie obgadują jegomościa, jakem Pietrek! Kpij waćpan zdrów z tych gadanin! No, dalej, zawijaj jegomość, wystarczy dla nas obu!

Cyrana pobudziła do śmiechu naiwność chłopaka i jał naprawdę współzawodniczyć z nim w opróżnianiu garnka. A nie było to zadanie łatwe, Pietrek bowiem, zanim zdążył jedną łyżkę przełknąć, już drugą niósł z pośpiechem do gęby.

Gdy już garnek został opróżniony, zabrano się do rozmowy. Pietrek porozpinał bez ceremonii wszystkie guziki przy ubraniu, aby mu nic nie przeszkadzało w trawieniu.

Sawiniusz dostrzegł przy tej sposobności sznurek od szkaplerza, który Pietrek nosił na piersiach.

To odkrycie nasunęło mu pewną myśl, którą zaraz też wprowadził w wykonanie.

– Tyś biedny, kochanku, nieprawda? – odezwał się do Pietrka – i nie zarabiasz dużo przy tym areszcie?

– Ano zgadłeś, jegomość – odrzekł chłopak drapiąc się w głowę. – Nie przelewa mi się tu wcale!

– Masz tu zatem pistola; przyda ci się.

Pietrek wyciągnął rękę, ale drżała mu tak silnie, że omal nie upuścił pieniądza.

Nie zdziwiło wcale Cyrana to drżenie. Jednak zapytał:

– Dlaczego drżysz, mój chłopcze?

– To z wielkiego szczęścia, mój jegomość! Jeszcze nigdy nie miałem tyle pieniędzy na własność.

– Jeśli tak, to mógłbym cię uczynić bardzo szczęśliwym.

– Ciekawym jak?

– Gdybyś spełnił to, czego od ciebie żądam, dostałbyś dwadzieścia takich samych pistołów, które byłyby twoją własnością, jak ten oto kapelusz, co go masz na głowie.

– Co też jegomość wygaduje! Dwadzieścia pistołów? Alboż ja mógłbym tyle schować przy sobie?

– Przekonasz się, gdy zrobisz, o co cię poproszę.

– To niechże już jegomość powie raz, o co chodzi?

Cyrano przybrał minę tajemniczą.

– Dowiedz się zatem, przyjacielu, że nie ma jeszcze pół godziny, jak objawił mi się tu anioł i oznajmił, że sprawa moja przybierze obrót korzystny dla mnie, jeśli jutro rano wysłucham mszy świętej w kościele Marii Panny w Cussan przed wielkim ołtarzem. Oświadczyłem aniołowi, że uczynić tego nie mogę – gdyż jestem zamknięty i pilnie strzeżony, ale anioł odpowiedział, że przyjdzie do mnie człowiek, przysłany przez dozorcę dla towarzystwa, i że temu człowiekowi wystarczy objawić tylko wolę anielską, aby bez żadnego oporu zaprowadził mnie do kościoła. Sądzę, mój chłopcze, że tym człowiekiem jesteś ty właśnie.

– To jeszcze nie wiadomo, mój jegomość! – odpowiedział Pietrek.

– Poczekaj; anioł oznajmił mi prócz tego, że z kościoła człowiek ten przyprowadzi mnie na powrót do więzienia i że musi być mi posłuszny, bo inaczej w tym roku umrze.

– Nie, to na pewno nie ja! – zaprzeczył ponownie wieśniak, któremu nie trafiły jakoś do przekonania myśli podsuwane mu przez poetę.

– Nie wiem, czy to ty, czy kto inny, ale to wiem, że w razie wątpliwości wystarczy mi zapytać go, czy zapisany jest do bractwa szkaplerzowego. Więc zapytuję cię właśnie o to. Odpowiedz.

– No, no, to jegomość musi mieć podwójny wzrok, kiedy tak wie o wszystkim. Należę do bractwa, nie zapieram się tego. Jak to jednak jegomość mógł taką rzecz odgadnąć, nie znając mnie wcale?

– Mogę wszystko zrobić, co zechcę. Czy wątpisz jeszcze o tym?

– Oj nie, już nie wątpię! I zrobię, co anioł rozkazał, nie ma rady.

Cyrano odetchnął uspokojony.

– Ale – ciągnął Pietrek – to musi być zrobione jutro o dziewiątej rano. Mój pan będzie wtenczas w mieście, gdzie wyprawia zaręczyny swojej córce, którą wydaje za mąż za syna kata. A ten kat, to bogacz całą gębą. Mówią, że synek dostanie od niego taką kupę pieniędzy, ale to, mówię jegomości, taką kupę...

Sawiniusz przerwał to zajmujące opowiadanie uwagą:

– Nie zapomnij przynieść swego ubrania, które włożę, aby mnie nie poznano, i które ci oddam, wróciwszy do więzienia.

– Przyniosę jegomości swój kaftan barchanowy.

– Oprócz tego jutro z samego rana pójdiesz do zamku i zapytasz: czy pan hrabia wie o moim uwięzieniu?

– Niech tam! I to zrobię.

– Teraz bądź zdrów! – zauważył Cyrano, odprawiając sprzymierzeńca, którego bezbrzeżna naiwność była mu tak bardzo na rękę w jego zamiarach. – Chciałbym przespać się cokolwiek.

Wyciągnął się na przegniłej słomie, porzuconej w kącie, i zamknięwszy oczy starał się zasnąć.

Nazajutrz Pietrek przybył na długo jeszcze przed godziną oznaczoną. Trzymał on pod pachą ubranie, które miał przywdziać poeta.

Gdy już przygotowania zostały ukończone, młody stróż zapytał:

– Ale czy naprawdę prosto z kościoła powrócisz jegomość tutaj?

– Skoro jestem pod twoją strażą, jakże mógłbym nie powrócić? Zastanów się tylko.

– Bo to takie czarownik, co z aniołami za pan brat gadają, mogą robić, co zechcą. A jakbyś mi jegomość zniknął w ręku jak kamfora, to co? Ale tymczasem zabierajmy się, bo to już dziewiąta.

– Na to tylko czekam, kochaneczku. Prowadź mnie, a uważaj, żeby nas nie odkryto.

– Nie ma strachu! Niech no tylko jegomość lepiej nasunie kapelusz na nos, bo bez urazy jegomości, trochę zanadto on wystaje.

Cyrano nie bardzo lubił, gdy mu przypominano wyjątkowe rozmiary jego organu powonienia. Tym razem jednak okoliczności uczyniły go wyrozumiałym i pobłażliwym.

– Uwaga twoja – rzekł łaskawie – nie jest pozbawiona słuszności; zapomniałeś mi jednak powiedzieć o rzeczy znacznie ważniejszej.

– O czymże?

– Czyś był w zamku i czyś spełnił, co ci zleciłem?

– Ba, toć byłem, ale spełnić tom nic nie spełnił, bo pan hrabia, jak tylko świtało, wyjechał z panem margrabią na polowanie o dwadzieścia mil stąd.

– Tam do diabła! – zaklął Cyrano. – Ale cóż robić... chodźmy!

Zanim jednak przestąpili próg więzienia, Pietrek odezwał się z dziwną miną:

– Jeszcze jedno, z przeproszeniem jegomości. Ja wiem, że jegomość jesteś osoba godna, muszę więc go po przyjaźni przestrzec. Pójdziemy do kościoła w Cussan, to już omówione, ale gdyby jegomości przyszła w drodze ochota drapnąć, to ten oto piesek zaraz by jegomością chwycił zębami za nogę...

I Pietrek wyciągnął przy tych słowach z zanadrza niezmiernie długi pistolet, pokazując go z daleka Cyranowi.

– Bardzo dobrze – odrzekł poeta – jesteś chłopiec roztropny. Ale pies twój zdechnie wpierw, zanim ja mu dam powód do szczeknięcia.

Tak rozmawiając wyszli z podziemia i dostali się do dużej izby posłuchalnej.

Dochodziło tu z zewnątrz świeże i wonne powietrze, które z rozkoszą wciągał w płuca Cyrano.

– A! – wyrzekł – jakże rozkoszną rzeczą jest wolność. A teraz nadstaw rękę, chłopcze, muszę ci wypłacić twą należność.

I na nadstawioną dłoń chłopaka wysypał dwadzieścia pistolów, które zawczasu przygotował.

Pietrkowi wydało się, że ma przed sobą dwadzieścia słońc, które oślepiają go swymi promieniami; uczuwał też jakby wstyd przed przywłaszczeniem sobie tak wielkiej sumy.

Uważając za niedowierzanie to, co było tylko nieśmiałością, poeta rzekł:

– Bierz, nie obawiaj się. To czyste złoto i upewniam cię, że trzyma wagę przepisaną.

– Ech, proszę jegomości, toć ja nie mam o to strachu!

– Bierz zatem. O czymże myślisz?

– Ja myślę, że gruby Jędrzej ma do sprzedania dom jak się patrzy, z polem i winnicą. Kupię to od niego za dwieście liwrów. Trzeba tygodnia na przybicie targu, więc bardzo proszę jegomości, mój jegomościu najdroższy, aby te pistole, dopóki je będzie trzymał w skrzyni Jędrzej, nie

przemieniły się w suche liście – jak to zwykle bywa z pieniędzmi czarowników.

– Bądź spokojny; nie przemienia się – rzekł ze śmiechem Cyrano, ubawiony naiwnym samolubstwem chłopca. – Przyrzekam ci to.

Wyszli z budynku więziennego boczną furtką, prowadzącą na pole, i strażnik wiódł poetę przez czas długi wśród dojrzewającego zboża, które ich prawie całkiem zakrywało.

Potem wstąpił na ścieżkę, która wiodła ukośnie do głównej drogi, w odległości strzału muszkietowego od ostatnich domów w Colignac.

– Suma odprawia się o dziesiątej – rzekł wówczas do szlachcica. – Zbierajmy ostro nogi, jeśli chcemy zdążyć na *Introit*.

Cyranowi nie trzeba było powtarzać tego zalecenia. Myśląc ze smutkiem o swym koniu, zmuszonym przegryzać chudy obrok przy żłobie pana wójta, a który tak bardzo przydałby mu się w tej chwili, stawiał tak szerokie kroki, że towarzyszy z trudnością mógł za nim zdążyć.

Dzwon kościelny w Cussan, wzywający na sumę, milknął już, gdy dwaj podróżni przybyli do wsi.

Prawie wszyscy wieśniacy znajdowali się w polu przy robocie, gdyż był to dzień powszedni i proboszcz odprawiał nabożeństwo wobec szczupłej garstki wiernych.

Pietrek, nie odstępujący na krok więźnia, ukląkł razem z nim w ostatnim rzędzie modlących się w chwili właśnie, gdy ksiądz przystępował do ołtarza. Poczciwy chłopiec zaczął nabierać zupełnej wiary w pomyślne zakończenie tej ryzykownej sprawy. Spokojne zachowanie się Cyrana usuwało z jego umysłu wszelką obawę i myślał już, z jakim zadowoleniem zamknie go na powrót do wilgotnej celi i odejdzie do siebie nacieszyć się widokiem zarobionego złota. Nie mógł też wyjść z podziwienia, że istnieją na świecie tak przyjemni i wspaniałomyślni czarownicy.

Tymczasem nabożeństwo zbliżało się do końca. Przy ofiarowaniu wszyscy zbliżali się do ołtarza, gdzie kolejno przyklękali dla ucałowania pozłacanej pateny po wrzuceniu skromnej ofiary do miseczki, którą podsuwał im dziadek kościelny.

Sawiniusz wcisnął srebrny pieniądz do ręki Pietrka.

– Idź, połóż to od siebie; ja ofiaruję następnie pistola.

– Nie ma co mówić – szepnął Pietrek – dobry z jegomością chrześcijanin.

Gdy przyszła na niego kolej, wstał i ruchem ręki wezwał za sobą Sawiniusza. Usłyszawszy kroki więźnia za sobą, posunął się, zupełnie już spokojny, ku ołtarzowi, a na stopniach ołtarza upadł na kolana, odmawiając krótką modlitwę.

Miseczka metalowa zjawiała się tuż przed nim. Wrzucił do niej swój srebrny pieniądz, potem, ucałowawszy pobożnie patenę, usunął się na bok, robiąc miejsce Cyranowi.

Ale szlachcic nie śpieszył się jakoś z przybyciem.

Pietrek odwrócił się, powiódł wzrokiem po małym kościółku i wydał okrzyk przestachu, który zgorszył niezmiernie wszystkich pobożnych.

Cyrano zniknął.

Skorzystał on z chwili, gdy Pietrek przebywał trzy stopnie wiodące do ołtarza, skupiając następnie całą uwagę na akcie uroczystym, i najpierw przystanął na chwilę, potem bez zbytniego pośpiechu przemknął się wzdłuż kraty, oddzielającej kapłana od modlących się, wreszcie w trzech susach przebiegł kościół i wypadł w pole.

Był już za ostatnimi kopcami wioski, gdy Pietrek spostrzegł jego nieobecność i gdy puścił się w pogoń za nim, bijąc się pięścią w czoło w przystępie bezsilnej rozpacz.

Cyrano znał te strony równie dobrze, może nawet lepiej niż łatwowierny strażnik więzienny.

Nietrudno też mu było zmylić pogoń.

Po dwugodzinnym nadaremny zbijaniu nóg po polach i lasach Pietrek, ze zwieszoną smutnie głową, zawrócił się do Colignac, wysilając rozum nad sposobami wytłumaczenia ucieczki czarownika, choć w głębi duszy ostatecznie pocieszony w tym strapieniu dwudziestoma pistoletami, które ścisnął z całej siły w garści z obawy zgubienia i które, wbrew jego obawom, nie zdradzały najmniejszej ochoty do przemienienia się w suche liście.

XXIX

Przestrzeń dzieląca Cussan od Tuluzy jest niewielka i zbieg mógł być ją łatwo przebyć w ciągu dwóch godzin. Szczęśliwa okoliczność, która nastęrczyła się niespodziewanie, pozwoliła mu dokonać tego w czasie trzykrotnie jeszcze krótszym.

Biegnąc manowcami dla zmylenia tropu, Cyrano dostrzegł na pastwisku konia, którego puszczono samopas nie przewidując, aby do tego kąta zabłąkał się złodziej lub też awanturnik, któremu zależało na jak najprędszym oddaleniu się od przedstawicieli i wykonawców sprawiedliwości.

Szlachcic chwycił bez namysłu podjezdka, skoczył mu na grzbiet, jakkolwiek nie było tam ani siodła, ani strzemion, i trzymając się obiema rękami grzywy, puścił się galopem po drodze do Tuluzy, dokąd przybył około południa.

Pod samym miastem zsiadł z konia i z całej siły uderzył go po biodrze, co wystarczyło, aby rumak pogalopował z powrotem w stronę Cussan. Sam zaś wszedł skromnie na przedmieście, zamierzając bez straty czasu udać się pocztą do Saint-Sernin.

Jak wiemy, odzież Cyrana wyglądała w tym dniu bardzo niepokaznie.

Kaftan i spodnie, pożyczone uprzejmie przez strażnika więziennego, były w rzeczywistości łachmanami pełnymi łat i dziur, z których zwieszały się dokoła strzępy ohydne.

Co gorsza, poeta, nieprzywykły do żebrackiej odzieży, umieścił ją na sobie w sposób tak dziwaczny, że przy swej minie wyniosłej i dumnych ruchach podobniejszy był do przebranego awanturnika niż do żebraka.

Zaczynano też przyglądać mu się wzrokiem podejrzliwym dziwiąc się, że mimo łachmanów szedł szybko, z głową podniesioną do góry i do nikogo z przechodniów ręki nie wyciągał.

Cyrano zrozumiał nareszcie, że wypada mu koniecznie przejąć się swą rolą, ile razy zatem zauważył, że mu się ktoś podejrzliwie przygląda, przewyciężał wstyd i zbliżał się doń, prosząc głosem żalnym o datek.

Dostał się w ten sposób na rynek, gdzie zaraz na samym rogu potracił silnie jakiegoś człowieka, wychodzącego z wielkiej kamienicy.

Potrącony jegomość zaklął siarczyście.

– Litości... – zajęczał natychmiast Cyrano. – Biedny żołnierz... raniony... chory... Co łaska, chrześcijańska osobo!

Przerwał mu tę żebracką litanie głośny okrzyk tamtego.

Podniósł oczy i zdrętwiał, poznawszy w potraconym dozorcę więzienia w Colignac, który – jak wiadomo – udał się tegoż ranka do Tuluzy na zaręczyny swej córki.

Obaj przez chwilę przypatrywali się sobie, nie mogąc przyjść do słowa.

– A, przeklęty czarowniku! – wykrzyknął wreszcie dozorca. – Jestem przez ciebie zgubiony!

Sawiniuszowi błysnęła w głowie myśl nagła. Postanowił chwycić się środków ostatecznych.

– Na pomoc, na pomoc! – zawołał zwracając się do ludzi, którzy otaczać go zaczęli. – Chwytajcie złodzieja! Ten łotr skradł brylanty hrabiemu de Colignac! Od trzech dni go szukałem.

Zaledwie zdążył to wygłosić, tłum rzucił się na biednego strażnika, którego poeta chwycił odważnie za kołnierz i ścisnął mocno, aby mu nie dać przemówić.

– Chwytaj, łapaj! – wrzasnęli natychmiastowi sprzymierzeńcy poety. – Na ratusz łotra, na ratusz!

Tuzin rąk wyciągnął się z tłumy i wyrwał Cabirola z uścisków Sawiniusza. Dozorca począł wydierać się i upadł na ziemię, pociągając za sobą swych prześladowców. Wszelkiego rodzaju obdartusy i chciwi przygód włóczęgi uczepili się jego nóg, rąk i odzieży, jak gończe psy szczonego jelenia.

Zapanował na chwilę zamęt niesłychany. Skorzystał zeń Cyrano i drapnął, krzycząc na cały głos:

– Nie puszczajcie złodzieja! Trzymajcie go krzepko! Ja biegnę po pachołków!

I skoczył w ciasną uliczkę, która miała go doprowadzić do mniej ludnej dzielnicy, gdzie spodziewał się znaleźć bezpieczne schronienie, przebrać się i zamówić konie pocztowe.

Tymczasem wkroczył na rynek oddział łuczników należących do straży starościńskiej. Przybywał on usmierzyć popłoch i zbadać jego przyczynę. Dowódca, poznawszy Cabirola, polecił rozpedzić zbiegowisko i oswobodzić z rąk motłochu człowieka niewinnego.

Dozorca rozpowiedział wówczas wszystko i wskazał pachołkom rzeczywistego winowajcę.

Motłoch, zawsze gotowy iść za nowym głośniejszym hałasem, zapragnął wyrzucić na zbiegu szlachetny zapał, którego ofiarą był dotąd dozorca. Obdartusy i włóczęgi przyłączyli się do straży, aby z nią razem chwycić i więzić Cyrana.

Nie upłynęło pół godziny, a już cała Tuluza wiedziała, że przestępca w najwyższym stopniu niebezpieczny, czarownik na spalenie skazany, heretyk bluźniący jawnie Bogu i wszystkim świętym, wyłamał się z więzienia w Colignac i ścigany jest w tej chwili po tuluzińskich ulicach.

Powychodzili z domów mieszczanie, aby połączyć się z tłumem i żołnierzami, a w potrzebie dopomóc czynnie do schwytania i ukarania winowajcy.

Ożywał wszystkich zapał tak wielki, że Cyrano, który sądził się już bezpiecznym wśród wężowiska ciasnych, ciemnych i prawie bezludnych uliczek, usłyszał nagle, o kilka kroków od siebie, straszną wrzawę i zaraz też ujrzał zmierzający ku sobie oddział łuczników, prowadzony przez Cabirola we własnej osobie.

Zbieg, z chyżością prawdziwie jelenią, skoczył w bok i jął uciekać co siły.

Na nieszczęście, został już dostrzeżony.

Straż rzuciła się w jego ślady.

Łucznicy biegli szparko, ale Cyrano leciał jak na skrzydłach.

Dzięki tej nadzwyczajnej chyżości potrafił oddzielić się od goniących kilkoma uliczkami i spocony, zdyszany, prawie omdlewający, zatrzymał się na jakimś małym placu.

Trzeba było w jednej chwili wymyśleć i wprowadzić w wykonanie jakikolwiek środek ocalenia, bo inaczej groziła natychmiastowa zguba.

Dzięki Bogu, poeta odznaczał się zawsze umysłem wynalazczym.

Czym prędzej unurzał sobie twarz błotem, osypał włosy piaskiem, ściągnął z siebie kaftan, zakasał spodnie i cisnął do otworu piwnicznego kapelusza.

Zrobił to wszystko w mgnieniu oka, po czym rozpostarł chustkę na bruku, przycisnął ją na rogach czterema kamykami, jak to czynili wówczas trędowaci żebracy, wyciągnął się przy niej na brzuchu i począł jęczeć rozpaczliwie żalonym głosem. Zaledwie to zrobił, ozwały się w pobliżu zażarte wrzaski goniących.

Na widok chudego, rozciągniętego na ziemi ciała poczciwi tuluzanie przyśpieszyli bardziej jeszcze kroku i wyminęli żebraka, zatykając sobie nosy, przy czym wszakże wielu z nich sypnęło na chustkę obfitą jałmużnę.

Cyrano odetchnął swobodniej wówczas dopiero, gdy ostatnie odgłosy wrzawy ucichły w oddaleniu.

Podniósł się z ziemi, zawinął w chustkę miedziaki, które uważał za słuszne wynagrodzenie swej wielkiej zręczności, przeznaczając je dla prawdziwie biednego, i schował się do kąta, aby przywdziać na powrót odzież.

Po upływie kwadransa, nic już nie słysząc, postanowił wreszcie wychylić się na świat.

Ale w tej samej właśnie chwili, gdy opuszczał kryjówkę, druga banda, nie hałasująca na kształt tamtej, lecz przeciwnie, skradająca się w milczeniu kocim, zdradzieckim krokiem, zjawiła się niespodzianie naprzeciw niego.

Sam wpadł jej w ręce, nie przeczuwając tak bliskiego niebezpieczeństwa.

Potężny krzyk triumfu powitał ofiarę i łucznicy pospołu z mieszczanami rzucili się na Cyrana.

W jednej chwili został pochwycony przez kilkanaście rąk za włosy, za nogi, za odzież, po czym ciągnąc go zaczęto w stronę więzienia.

Pomiędzy ciągnącymi znaleźli się – jak zwykle – i tacy, których bardziej obchodziły jego pieniądze niż osoba. W jednej chwili przeszukali oni kieszenie poety i przywłaszczyli sobie resztę jego pistoletów.

Do licha! – myślał Cyrano, stawiając daremny opór motłochowi – trudno mi będzie, jak widzę, przybyć w porę do Saint-Sernin. I cóż się stanie z biednym Ludwikiem?

– Panowie łucznicy! – wyrzekł głośno – oddaję się pod waszą opiekę. Bądźcie łaskawi powstrzymać swawolę motłochu. Czynię was odpowiedzialnymi za całość swej osoby.

– Dalej, w drogę! – rozkazał jeden z żołnierzy. – Zaprowadzą cię do ratusza.

Wielka wrzawa, dochodząca z ulic wyżej położonych, dała się słyszeć w chwili, gdy Cyrano, otoczony pacholkami, powrócił na rynek.

Prawie w tejże chwili nadbiegł jakiś człowiek i zwracając się do straży, zawołał:

– Trzymajcie go mocno, bo nadchodzą łucznicy starosty, którzy twierdzą, że do nich wyłącznie ten więzień należy.

– Masz tobie! – rzekł Cyrano – zacznę teraz spierać się o honor posiadania mojej osoby.

– Pamiętaj – rzekł jeden z żołnierzy – że do nas tylko należysz. I strzeż się wpaść w szpony starościńskich, bo w ciągu dwudziestu czterech godzin możesz być osądzony i skazany, a sam król nawet nic ci wówczas nie pomoże.

Mimo tych słów, zapowiadających opór zacięty, miejscy łucznicy nie dotrzymali kroku ludziom starosty, którzy przybyli na rynek w pełnym szyku.

Dowódca krzyknął:

– Nacieraj!

I natychmiast łucznicy miejscy i łucznicy starościńscy zmieszali się razem, tworząc zbitą masę, w której niepodobna było odróżnić jednych od drugich.

Podobne starcia powtarzały się często między tymi dwiema strażami, wyobrażającymi dwie różne współzawodniczące z sobą jurysdykcje: królewską i miejską.

Motłoch tuluzkański, jak zwykle, wziął stronę miejskich łuczników. Mimo to zostali oni odparci z siłą i energią, które wprawiły w podziw Cyrana.

„Do kroćset! – pomyślał – oto ludzie umiejący czynić właściwy użytek z pięści. Jeśli jednak w podobny sposób obchodzą się oni ze swymi współobywatelami, cóż dopiero będzie, gdy się do mnie zabiorą!”

Motłoch z pośpiechem ustępował z placu.

Korzystając z zamętu, główny jego sprawca, Cyrano, wmieszał się pomiędzy tłum, który na kształt wezbranego potoku unosił go jał z sobą. I była chwila, gdy zdawało się poecie, że wybrnął z niebezpieczeństwa i że go już nie pochwyci ręka sprawiedliwości – tak bardzo w tym razie niesprawiedliwej!

Tymczasem straż staroścńska nie przestawała nacierać na tłum; straż miejska zaś, z coraz groźniejszą energią, domagała się wydania sobie więźnia.

Cyrano biegł ciągle.

Jakiś grubas, pędzący tuż obok niego, zwrócił się nagle do towarzyszków.

– Schronienie, schronienie! – zawołał radośnie. – Pakujmy się, bracia, a zje diabła starosta, jeśli nas stąd wykurzy.

I przy tych słowach pobiegł do wielkiej, ciemnej bramy, w którą grzmotnął z całej siły pięścią, krzyząc:

– Otwierać, otwierać! Schronienie dla tuluzkańczyków.

Bramę otworzono.

Cała banda, do której i Cyrano przyłączył się roztropnie, wdarła się z pośpiechem do wnętrza.

Tam dopiero poczciwi mieszczanie poczęli uspokajać się z wolna.

Natomiast Cyrano stawał się z każdą chwilą niespokojniejszy. Poznał on na koniec – za późno już, niestety – co to było za miejsce, do którego tak lekkomyślnie wtargnął.

Owym schronieniem, powitany z taką radością przez mieszczan i łuczników, było po prostu więzienie miejskie, którego dozorca, oddany całkowicie municypalności, pospieszył z otwarciem bramy, aby ocalić swych przyjaciół przed drapieżnością strony królewskiej.

Pomiędzy uciekającymi znajdowało się —jak już powiedzieliśmy – kilku łuczników.

Jeden z nich, odzyskawszy krew zimną i przeświadczony, że już mu nic nie zagraża, jał udawać zucha:

– Kamraci! – zawołał – będziemy się tu bronili. Zatarasujemy bramę i biada temu, kto do niej atak przypuści!

Przyjęto tę myśl wojowniczymi okrzykami i ci, co przed chwilą sromotnie podawali tył nieprzyjacielowi, rzucili się teraz bohatersko, za danym przez łucznika hasłem, do barykadowania wejścia.

Jeden tylko Cyrano nie dzielił i dzielić nie mógł ogólnego zapału, i dopadłszy kamiennej ławki, krokiem się z niej nie ruszał.

Biedny poeta gonil ostatkiem sił i wielką, wrodzoną mu energią z trudnością powstrzymywała go od zupełnego zwątpienia o sobie. Pokonany, zbity, okrwawiony, znękany myślą, że nie zdoła zapobiec szatańskiemu intrydze wrogów, był bliski rozpaczki.

– Hej, przyjacielu! – krzyknął nań łucznik, nawołujący wszystkich do obrony – dlaczego pomagać nam nie chcesz?

Cyrano mimo woli podniósł głowę, czyniąc znak przeczący.

Na widok tej twarzy wybladłej, wilgotnych, przylegających do skroni włosów i dużego, znamienego nosa łucznikowi wróciła pamięć. We współtowarzyszu poznał on ze zdziwieniem swego więźnia, którego obecności nie pozwalało mu dotąd zauważyć zajęcie się własnym bezpieczeństwem.

– Co u diabła! – zawołał. – Nasz więzień. Kamraci, a chodźcie no zobaczyć wilka, co sam wlaź w żelazo! Dobry miał węch, że tu się skierował, bo już go starościńscy nie dostaną!

Następnie, zapominając o swych planach obrony, przyskoczył do Cyrana, mówiąc:

– W imieniu króla więźniem cię swym czynię!

– Czyń, co chcesz, przyjacielu – rzekł z obojętną uległością poeta, którego wypadki tego dnia uczyniły na wszystko już obojętnym. Zaledwie też słowa te wymówił, uczył, jak rozhar-towywa się nagle i duch jego, i ciało. Nie mogąc użyć na swą obronę ani siły, ani podstępu, ugiął się pod ciosem, i ten najwaleczniejszy z walecznych upadł zemdlony jak słaba niewiasta na ręce stojącego przy nim łucznika.

XXX

Gdy Ben Joel, odbywający drogę pod nazwiskiem Castellana, zaopatrzony w list Bergeraca, przybył do Saint-Sernin i zapukał do drzwi plebanii, proboszcz wstał już od wieczerzy i zamyślał udać się na spoczynek.

Cygan, wprowadzony przez Joannę, wszedł do pokoju z kapeluszem w ręce i ruchem szlachetnym a powściągliwym podał księdzu pismo Cyrana.

Jakub Szablisty rozerwał kopertę i szybko przebiegł list oczami.

Ale zamiast objawić wielką serdeczność i zasypać przybysza grzecznściami – czego Ben Joel spodziewał się – proboszcz zwrócił nań wzrok pytający i jał badać go z odcieniem podejrzliwości.

Ksiądz Jakub nie zapomniał zaleceń swego przyjaciela Cyrana. Poeta z taką pilnością starał się zabezpieczyć depozyt swój od wszelkiego rodzaju podstępów, tak wielką ostrożność nakazał proboszczowi, że poczciwy Szablisty, nawet wobec świadectw najwiarygodniejszych z pozorów, nie śmiał pójść za popędem swego dobrego serca i wyciągnąć ręki do nieznajomego, który przybywał doń od mlecznego brata.

Instynktownie przy tym odczuwał jakąś niechęć do niego. Proboszcz inaczej przedstawiał sobie Sulpicjusza, tego żywego, roztropnego, ale zarazem pełnego poświęcenia sekretarza poety, o którym Cyrano niejednokrotnie mu wspominał.

Śniada twarz przybysza, jego ciemne oczy i fałszywy uśmiech, do którego zdawał się przymuszać, nie zgadzały się z obrazem, jaki ksiądz Jakub w pamięci przechowywał.

Być może zresztą – pomyślał wreszcie proboszcz – że chłopiec ten wyrósł i postarzał się, może chorował... a w każdym razie od czasu, gdy Sawiniusz mówił mi o nim, mógł z młodzieniaszka stać się mężczyzną. Źle robię, niechęć mu okazując.

I pragnąc błąd swój naprawić, poczciwy ksiądz Jakub podał rękę gościowi i dłoń jego uprzejmie uściskał.

– Kochany panie Castillanie – rzekł, przybierając minę życzliwą – wybacz, że nie przyjąłem cię od razu z należną serdecznością, ale Cyrano uprzedził cię zapewne, że w tej sprawie podejrzliwość musi być najpierwszą zasadą postępowania. Nie znałem pana dotąd osobiście, więc...

– Więc – dokończył bezczelnie Ben Joel, uprzedzając domysł księdza – podejrzewał ksiądz proboszcz przez chwilę, że nie jestem tym, za kogo się przedstawiam.

– Tak jest, rzeczywiście.

– Na szczęście – prawil dalej Cygan z zadziwiającą krwią zimną – podróż moja odbyła się bez żadnego wypadku. Nikt nie domyślał się, że wiozę list tak ważny, a wrogowie mego mistrza obdarzeni są widocznie złym węchem, bo żaden tropu mego nie zwęszył.

– Wiem, kochany Castillanie, żeś rozumny i ostrożny – rzeki proboszcz, stając się z każdą chwilą uprzejmiejszy. – Ale przepraszam, zapomniałem o wieczerzy dla ciebie. Musisz być

niezawodnie głodny. Zasiądź no bez ceremonii przy stole, a choć kuchnia moja skromna bardzo, gdy nikogo z gości nie oczekuję, Joanna dołoży starań, aby cię zadowolić.

– O, nie jestem wcale wybredny w jedzeniu. Wiadomo zresztą księdzu proboszczowi, że czasu mamy mało; aby więc go nie tracić, przy wieczerzy zaraz poproszę księdza dobrodzieja, aby przedstawił mi łaskawie, jakie powziął postanowienie.

– Postanowienie? Ależ wiadomo panu dobrze, co pisze Bergerac.

– Bez wątpienia. Mistrz mój żąda, aby ksiądz proboszcz udał się razem ze mną do Colignac, gdzie oczekiwać będzie, aby z rąk księdza otrzymać ów ważny depozyt. Chcę więc tylko zapytać, czy ksiądz dobrodziej gotów jest udać się ze mną w drogę jutro rano.

– Jutro? – zapytał zdziwiony Jakub – co też pan mówisz! Alboż ja mogę porzucić tak nagle swych parafian? Zresztą – dodał, ponownie przebiegając list wzrokiem, podczas gdy Ben Joel zabierał się do jedzenia – z tego, co pisze Cyrano, widzę, że mamy jeszcze dwa dni przed sobą. Przyjaciel mój ma wyruszyć z Paryża dopiero w cztery dni po panu, nie mamy więc żadnej potrzeby uprzedzać go w przybyciu do Colignac. Dość będzie, gdy znajdziemy się tam jednocześnie z nim, a przez ten czas wypoczniesz pan po podróży.

Nie uśmiechało się to wcale Cyganowi.

Obawiał się, aby lada chwila nie odkryła się jego zdrada, spieszo mu było kończyć.

W każdym razie jednak nie zaniedbał odrzec z uniżonością:

– Jak się podoba księdzu proboszczowi. Zastosuję się w zupełności do jego rozporządzeń.

Mówiąc tak pocieszał się myślą, że jeszcze przed upływem owych dwóch dni uda mu się, podstępem lub siłą, zdobyć dokument, którego rzeczywistej ważności bynajmniej księdzu nie wyjawiał.

W tej samej godzinie, w której ksiądz Jakub i gość jego siedzieli przy stole, gawędząc po przyjacielsku, do Saint-Sernin przybył z kolei prawdziwy Castillan.

Wypada wyjaśnić okoliczności, w jakich odbył się ten przyjazd, do tego zaś konieczne jest małe cofnięcie się w opowiadaniu.

Nic takiego, o czym byłoby warto wspominać, nie przytrafiło się Castillanowi w drodze aż do Fontaines, dokąd przybył tak samo wściekły na swych wrogów, tak samo chciwy pochwylenia Ben Joela i tak samo dyszący pragnieniem zemsty, jak w pierwszej chwili po przebudzeniu się. Ale w Fontaines czekała nań niespodzianka.

Gdy przy zapadającym zmroku wjeżdżał w jedyną ulicę wioski, postać jakaś, niewidoczna pod murem, wynurzyła się z cienia i skierowała ku niemu.

Sulpicjusz rozpoznał chłopca wiejskiego, którego długie włosy, nakryte dziurawym kapeluszem, spływały na bluzę z ciemnego płótna.

– Hola, chłopcze, co to znaczy?! – wykrzyknął młodzieniec widząc, że tamten chwyta za uzdę jego konia.

– Chcę zaprowadzić wielmożnego pana do oberży – odrzekł wieśniak – jeżeli wielmożny pan życzy sobie tego.

Na dźwięk tego głosu Castillan mimo woli zadrżał. Wydało mu się, że już ten głos słyszał kiedyś, choć teraz brzmiał on nieco inaczej.

– Bardzoś uprzejmy, mój chłopcze. Prowadź zatem, gdy masz ochotę.

Chłopiec pobiegł przed koniem, wskazując drogę i nie opodal stamtąd zatrzymał się przed wrotami stajni.

– Janie – zawołał – poświeć no wielmożnemu panu i zaprowadź konia do żłobu.

Gdy stajenny wszedł z latarnią, Sulpicjusz wziął ją do ręki, chcąc skierować światło na twarz swego przewodnika. Ale chłopiec zniknął.

Co też mi się roi!... – pomyślał Castillan.

I zwrócił się z zapytaniem do służącego:

– Czy tu można wieczerzać?

– Wieczerza wielmożnego pana już gotowa – odrzekł zapytany.

- Moja... wieczerza... gotowa! – wyskandował sekretarz poety.
- Rozumie się! Oczekują tu na wielmożnego pana już od południa.

Do diabła! – jął rozmyślać Castillan – sprawa zaczyna się coraz bardziej wikłać. No, w każdym razie zbadać ją trzeba! W tej chwili nie mam już nic więcej do stracenia.

Skierował się instynktem ku drzwiom, z których wpadała do stajni smuga światła.

- To tu – objaśnił Jan, który szedł za nim, wskazując pokoik łączący się z izbą wspólną.
- Dziękuję – rzekł młodzieniec, postanawiając nie dziwić się już niczemu.

I odchylił zasłonę dzielącą go od pokoju, w którym czekać nań miała nie zamawiana przezeń wieczerza.

Stół był nakryty; przy stole stał ten sam chłopiec wiejski, którego głos w sposób tak szczególny oddziaływał na Sulpicjusza.

Zaledwie spojrział nań przy świetle, gwałtowny rumieniec twarzy mu rozplomienił.

Wściekły gniew napędził mu falę krwi do mózgu.

– Marota!... A, nędznico! – krzyknął, chwytając za ramię Cygankę, którą natychmiast poznał pod wieśniaczym przebraniem.

Marota ani drgnęła, czekając na przejście tego pierwszego wybuchu.

Była bardzo błada i spuściła oczy pod piorunującym wzrokiem Sulpicjusza.

Młodzieniec sięgnął machinalnie po rękojeść szpady; potem nagle, zmieniając zamiar, potrzęsła silnie ramieniem Cyganki krzycząc:

– Mój list! Oddaj mi mój list! Coś zrobiła z moim listem, przekłeta! Nie dość, żeś mnie podle zdradziła, jeszcze przybywasz tu, aby naśmiewać się ze mnie, aby mi urągać!

Marota podniosła oczy i przez długą chwilę wpatrywała się w młodzieńca w milczeniu. Wreszcie rzekła głosem drżącym od szczerzego wzruszenia:

– Panie Sulpicjuszu, możesz mnie zabić; masz do tego prawo. Popeliłam podłość, przyznaję. Co jednak dziwić się temu! Nie nauczono mnie odróżniać złego od dobrego. Skrucha objawiła się we mnie zbyt późno, abym mogła cię ocalić, ale dość jeszcze wcześniej, abym stała się użyteczną dla ciebie i dopomogła ci do odzyskania tego, coś stracił. Czy chcesz mieć we mnie sprzymierzeńca? Nie gardź moimi usługami; przysięgam, że żałować tego nie będziesz!

Castillan wpatrywał się z niedowierzaniem w tę dziwną istotę.

– Hm, pięknie mówisz! – wtrącił. – Szkoda, że inaczej postępujesz.

– Nie dowierzasz mi? – rzekła Marota, silnie wzruszona. – Wierz mi, źle czynisz!

I przybierając nagle swój zwykły ton, uprzejmie wesoły, mówiła dalej:

– Jedno słowo, mój panie, skrupuły twoje rozproszy. Nie wiem, czego chcą od ciebie, Ben Joel jest daleko; gdybym zechciała, nigdy byś już mnie nie zobaczył. Podaj mi rękę i siądźmy do wieczerzy. Powiem ci następnie, co mogę dla ciebie zrobić.

Czarujące spojrzenie słowom tym towarzyszyło.

Ale Castillan nie myślał już o miłości. Pilno mu było znaleźć się jak najprędzej w Saint-Sernin i krzywdę swą pomścić.

– Jesteś czarodziejką, wiem o tym – rzekł surowo, choć uśmiech cisnął mu się gwałtem na usta. – Robisz, co chcesz i urządzasz wszystko w sposób dla siebie najdogodniejszy. Ale strzeż się, tym razem już ci się nie uda oszołomić mnie i usnąć sztuczkami diabelskimi.

Jednak trzeba dodać, że mówiąc to, ścisnął rączkę, którą mu Cyganka podała.

Pokój został zawarty – warunkowo, rozumie się.

W połowie uczyty, która była tak prawie obfita, jak wczorajsza, Castillan, który nie przestawał rozmyślać nad swą dziwną przygodą, zwrócił się nagle do Maroty z zapytaniem:

– Czemu przypisać, że stosunek twój do mnie uległ tak zupełnej przemianie? Wiesz, w jaki sposób rozstaliśmy się, a teraz oto chcesz odegrać względem mnie rolę dobroczynnej wróżki.

– Czyja wiem, jak się to stało? – odrzekła z uśmiechem Cyganka. – Czy takie rzeczy dadzą się wytłumaczyć? Gdyś cię zobaczyła po raz pierwszy, byłeś dla mnie, doprawdy, zupełnie

obojętny. Potem zgodziłam się na to, aby cię zdradzić. Potem znów przyszedł namysł, zaczęłam myśleć o tobie, o twym prawym, szlachetnym charakterze, o twych słowach, o twych spojrzeniach. Doprowadziło mnie to do tego, że się spostrzegłam nagle zupełnie inną istotą, że zbudziło się we mnie coś, co mną nie było. Zapraǳnęłam gwałtownie zobaczyć cię, służyć ci, kazać ci zapomnieć, czym byłam, okazując ci, czym mogę być. Widzisz doskonale, że to wszystko nie da się wyrozumować i wytłumaczyć. Dość zresztą, że tak jest, a już mniejsza o to, dlaczego! Przysięgam ci, że we dwoje potrafimy spłatać porządnego figla Ben Joelowi. Uczyni mnie swą niewolnicą, psem swoim – więcej nie żądam. Nie zbywa mi na odwadze i zřeczności. Pragnę pojechać z tobą do Saint-Sernin.

Cała ta wymowa niewieścicia, której dziwnej mocy dodawał urok spojrzenia i słodycz głosu, oddziaływała w szczególny sposób na młodzieńca.

– Przekonałaś mnie – wyznał nareszcie – choć przygody w Romorantin zapomnieć nie mogę. Jedź zatem ze mną; dwie głowy zawsze więcej warte niż jedna, zwłaszcza w okolicznościach tak wyjątkowych.

Stało się zatem, że Marota, przebrana za chłopca wiejskiego, znów zajęła miejsce przy Castillanie na tym samym wierzchowcu, który niósł ich oboje z Orleanu do Romorantin, i że niebawem oboje po Ben Joelu przybyli do Saint-Sernin.

– Idzie teraz o to – rzekł Castillan do swej sojusznicy, gdy już znajdowali się w wiosce – gdzie szukać plebanii, proboszcza i lotra, co mi skradł list i nazwisko.

– Sam rozum wskazuje, że plebania musi być przy kościele, a znajdujemy się właśnie przed dzwonnica. Zresztą, ja znam Saint-Sernin. Pozwól, że będę twą przewodniczką.

– Nie ma więc nic takiego, czego byś nie znała!

– Co znowu! Ale znam Saint-Sernin, a tym razem to nam wystarczy.

– Śpieszmy zatem!

– Jesteś zbyt prędko. Czyż chciałbyś tak od razu wejść do mieszkania proboszcza?

– Rozumie się!

– Jakaż nieroztropność! Postawiono by cię oko w oko z Ben Joelem, który naturalnie nazwałby cię oszustem. Mimo twych zapewnień ksiądz wahałby się z uznaniem w tobie prawdziwego Castillana i być może nawet wyrzuciłby cię za drzwi, gdyż Ben Joel ma tę wyższość nad tobą, że przybył wcześniej i że posiada w ręce list Cyrana.

– Cóż więc czynić?

– Nie pokazywać się nieprzyjacielowi i przed natarciem obserwować go z ukrycia.

– Obserwować – mruknął Sulpicjusz – to łatwo powiedzieć! Ale co i kogo obserwować! Na tym placu czarno jak w piekle.

– Prawda, ale tam na końcu tego placu błyszczy jedno jasno oświetlone okno.

– Więc cóż?

– Jest to okno plebanii. Pański człowiek tam się właśnie znajduje, mości Sulpicjuszu!

– To bardzo możliwe.

– Chodzi teraz o to, aby wiedzieć, co on porabia.

– A widzisz, że wyszło na moje. Trzeba, żebym poszedł do proboszcza.

– Broń Boże! Chodź za mną, pokażę d, co masz czynić.

Koń został przywiązany do drzewa na miękkim, świeżym trawniku, który dostarczał mu zarazem i miękkiej podściółki, i pożywienia, a para sprzymierzeńców udała się w kierunku oświetlonego okna.

Okno znajdowało się na wysokości ośmiu stóp od ziemi.

– Oprzyj się o mur – szepnęła Marota – i nadstaw mi z łaski swej plecy.

Castillan wsparł się obiema rękami o ścianę i plecy nadstawił.

W dwóch skokach tancerka znalazła się na jego ramionach i stanęła na nich jak na szczeblu drabiny.

– Czy widzisz co? – spytał cicho Sulpicjusz.

– Tak – szepnęła Marota. – Są obydwaj w pokoju.

W ten sposób zostało podpatrzone przez Cygankę pierwsze spotkanie Ben Joela z księdzem Szablismem.

Nie mogła dosłyszeć, o czym ze sobą rozmawiali, ale z postawy, miny i całego obejścia się tak gospodarza, jak gościa łatwo odgadła, że panowała między nimi najdoskonalsza zgoda i że Cygan przyjęty został przez proboszcza za prawdziwego Castellana.

Dobrze więc uczyniła, doradzając młodzieńcowi przezorność.

Spór pomiędzy Ben Joelem i Sulpicjuszem mógł być popsuć całą sprawę, gdyż wzbudziłby podejrzliwość w księdzu, który najpewniej obu posłańców wyrzuciłby za drzwi.

Trzeba było postępować z jak największą ostrożnością. Zrozumiał to dobrze Castellan, gdy Cyganka, opuściwszy swe stanowisko, zdała mu dokładną sprawę ze swych spostrzeżeń.

– W tej chwili – rzekła – myśleć trzeba o tym tylko, aby zapewnić sobie na jutro rano tajemne widzenie się z proboszczem. Niełatwa to sprawa, gdyż w wiosce trudno nawet przez godzinę pozostać nie dostrzeżonym.

Sulpicjusz nic na to nie odpowiedział. W głowie jego dojrzywał nowy plan działania.

– Posłuchaj – rzekł nareszcie. – Dostatecznie już cię poznałem, aby pozbyć się dawnego niedowierzania; wiem już teraz, żeś gotowa słuchać mnie ślepo we wszystkim. I ty również, spodziewam się, nie uważasz mnie za dudka, jakkolwiek w Romorantin... Ale dajmy pokój wspomnieniom, już ci przebaczone. Otóż, kochana Maroto, chcę zażądać od ciebie wielkiej przysługi.

– Mów, jakiej?

– Ben Joela i proboszcza biorę na siebie. Dziś jeszcze wynajdę sposób załatwienia się z nimi. Ale ponieważ mogą zajść okoliczności nieprzewidziane i cała sprawa przybrać może obrót niepomyślny, byłoby najlepiej sprowadzić tu do pomocy mego mistrza.

– Twego mistrza?

– Tak, imci pana Cyrana de Bergerac. On przetnie od razu węzeł intrygi, w razie gdybym ja podołać temu nie mógł.

– Ale wnosząc z tego, coś mi mówił, twój mistrz znajdować się musi w tej chwili w Paryżu.

– Zawiodła cię tym razem pamięć. Według mego obliczenia pan de Bergerac powinien w tej chwili dojeżdżać do Colignac lub nawet już się tam znajdować.

– Chcesz zatem...

– Chcę prosić cię, abyś się udała o świcie do Colignac i sprowadziła tu mego mistrza.

– Alboż mi on zaufa?

– Karta, w którą cię zaopatrzę, usunie wszystkie jego wątpliwości. Czy umiesz jeździć wierzchem?

– Jak amazonka.

– Wybornie! Siądziesz zatem na mego wierzchowca, z którym zresztą nie wiedziałbym nawet, co tu czynić. Ja zajmę się przygotowaniem wszystkiego do twego powrotu. Upomnij jednak pana de Bergerac, aby przybywał bez najmniejszej straty czasu i opowiedz mu wszystko, co tu zaszło.

– Czy i to nawet, co się mnie dotyczy?

– Nawet i to. Jest to zacne serce. Potrafi on ocenić jak należy twoją skrucę i twoje poświęcenie.

– Czy twój mistrz jest kochliwy, mości Sulpicjuszu?

– Tego rodzaju zapytania są wzbronione, mościa panno Maroto!

– Spodziewam się, że nie jesteś zazdrosny.

– Hm, te kobiety!... Wreszcie nie chodzi w tej chwili ani o miłość, ani o zazdrość. Mamy na głowie inne kłopoty.

– Pojadę zatem, skoro taka twoja wola, panie mój i królu – rzekła Marota z uległością.

– Wyruszysz o pierwszym brzasku.
– Po co zwlekać? Czy sądzisz, że się lękam nietoperzy i puszczyków? Czas długi, a przez te trzy godziny nocy, które nam jeszcze pozostają, można kilka mil zrobić. Pisz więc, co masz pisać.

– Ciemno tu, choć oko wykol!

– Poczekaj.

Marota wydostała z kieszeni maleńką, ślepą latarkę i zapaliła ją, zapewniając Sulpicjuszowi dość światła do pisania. Nakreślił on szybko kilka słów na kartce wyrwanej z notatnika, złożył ją w kilkoro i wręczył Cygance.

– Jesteś doprawdy nieocenioną dziewczyną – rzekł, załatwiwszy się z tym – i wielkie to szczęście, że mam cię przy sobie.

– Czułości na później, a teraz – bądź zdrow!

Castillan wycisnął dwa tęgę całusy na śniadych policzkach Cyganki i Marota, której męskie przebranie zapewniało zupełną swobodę ruchów, wskoczyła na siodło ze zręcznością zawodowej wołyżerki.

– Widzę, że to nie były przechwałki – zauważył Sulpicjusz. – Jesteś prawdziwą amazonką.

Przy tych słowach wyprowadził konia na drogę i podał uzdę Marocie.

– Pamiętaj być ostrożnym! – upomniała go jeszcze, kłaniając się bacikiem.

– Pamiętaj pośpieszać! – odrzekł młodzieniec.

Koń, uderzony silnie po boku, pomknął jak wichur. Gdy ucichł już tętent kopyt, Castillan wsparł się plecami o drzewo i w tym położeniu spędził resztę nocy na czatach, wpatrując się w oświetlone okno plebanii i zważając, czy nie wymknie się z niej Ben Joel.

XXXI

Nie ukazało się jeszcze na niebie słońce, gdy Castillan wskroś mgły porannej ujrzał jakiegoś człowieka, zmierzającego prędkim krokiem do kościoła w Saint-Sernin.

Był to zakrystian.

Spieszył on otworzyć drzwi kościelne i zrobić przygotowania do Ofiary świętej, gdyż ksiądz Jakub w dniu powszednie zwykł był odprawiać mszę bardzo wcześnie.

Los mi sprzyja – pomyślał Sulpicjusz. – Będę mógł porozumieć się z proboszczem w sposób zupełnie naturalny i nie wzbudzający w nikim podejrzenia. Pójdę do niego spowiadać się i jestem pewny, że ta moja spowiedź zajmie go więcej niż wyznanie pół tuzina grzechów śmiertelnych.

Wieśniacy nie powychodzili jeszcze z domów.

Castillan mógł wejść do kościółka nie spostrzeżony przez nikogo. Wewnątrz panowała jeszcze ciemność zupełna i bez słabego odbłasku światła, płonącego w zakrystii, młodzieniec nie mógłby nawet drogi znaleźć przed sobą.

Uklęknął przy barierce odgradzającej chór od głównej nawy. Gdy zakrystian umieścił na ołtarzu mszał i ampułki, Castillan tak niespodzianie wynurzył się przed nim z cienia, że sługa kościelny nie mógł powstrzymać się od krzyknienia.

– Nie lękaj się pan – rzekł młodzieniec łagodnie. – Nie masz żadnego powodu do trwogi. Jestem biednym podróżnym i pragnę, aby po skończonej mszy wasz świątobliwy proboszcz przypuścił mnie do trybunału pokuty.

Czy można lękać się człowieka, który objawia tego rodzaju zamiary?

Uspokojony zakrystian wskazał przybyszowi zakątek kościółka w głębokim mroku pogrążony i rzekł:

– Tam oto jest konfesjonał, mój dobry panie. Za godzinę zasiądzie w nim ksiądz Szablisty, szanowny nasz proboszcz. Dziś odprawia on tylko mszę cichą.

– Bóg zapłać. Polecam się modłom waszym, mości zakrystianie.

Przy tych słowach Castillan wcisnął w rękę sługi kościelnego srebrny pieniądz.

– Dla biednych – dodał i odszedł w stronę konfesjonału, gdzie wsunął się po chwili, zatopiony z pozoru w rozmyślaniach religijnych.

Niebawem ksiądz Jakub wyszedł ze mszą.

Pozostawił on Ben Joela w plebanii, ale pomimo ufności, jaką potrafił natchnąć go fałszywy poseł, nie zaniedbał na wychodnym zamknąć jak najstaranniej komnaty, w której od lat dwóch przechowywał tajemniczy depozyt Cyrana.

Gdy ksiądz po odprawieniu mszy powrócił do zakrystii, sługa kościelny zawiadomił go:

– Oczekują na księdza proboszcza przy konfesjonale.

– A! – wyrzekł Jakub – czyżby który z moich parafian zgrzeszył ciężko, że o tak wczesnej godzinie oskarżać się przybywa?

– To nie z naszej parafii, proszę księdza proboszcza. Jakiś obcy człowiek, podróżny.

– Idę. Któż by to był jednak? Nikt wczoraj wieczorem nie przybył do naszej wioski prócz Sulpicjusza Castillana, sekretarza naszego kochanego Sawiniusza.

– Nie wiem. Nie mogłem dojrzeć twarzy tego człowieka, a głos jego jest mi zupełnie obcy.

– Wszystko jedno. Daj mi komżę. Nie trzeba, żeby czekał ten dobry chrześcijanin.

I proboszcz, budząc echa puste świątyni łoskotem swych ciężkich kroków, poszedł do konfesjonału. Zanim zasiadł, obrzucił szybkim spojrzeniem klęczącego tam człowieka.

Castillan odetchnął z uczuciem ulgi niezmierniej.

– Nareszcie jestem u celu! – rzekł do siebie prawie na głos.

– Co mówisz, moja duszo? – zapytał proboszcz, zdziwiony tym wykrzyknikiem. – Odmów modlitwę, wznieś duszę do Boga i zbierz myśli swoje.

– Przebacz mi, wielbny ojcze. Spowiedź, którą mam odbyć, nie jest wyłącznie religijna. Idzie tu o sprawy światowe i jeżeli pozwoliłem sobie wezwać czcigodnego księdza, to dlatego jedynie, aby nikt nie mógł się domyślać rzeczywistego celu naszej rozmowy.

Ksiądz Szablisty, niezmiernie zaciekawiony tym wstępem, osądził za stosowne uczynić uwagę nieznanemu i, porzucając ojcowski ton spowiednika, rzekł po prostu:

– Ale mogłeś pan dla swobodnego pomówienia ze mną zgłosić się wprost do plebanii. Nikt by tam panu nie przeszkodził.

– Do plebanii właśnie najbardziej obawiałem się przybyć, nie uprzedziwszy wpierw księdza dobrodzieja o wszystkim. Proszę więc, aby mi wolno było w tym miejscu powód mego przybycia wyłożyć.

– Zgoda. Słucham pana.

– Pierwszym z mych wyznań będzie wyjawienie swego nazwiska. Nazwisko to sprawi niezawodnie księdzu proboszczowi wielką niespodziankę. Nazywam się Sulpicjusz Castillan.

Proboszcz aż podskoczył na siedzeniu.

– Powiesz mi z pewnością, mój ojcze – ciągnął młodzieniec, nie dając księdzu przyjść do słowa – że masz u siebie w domu jednego Sulpicjusza Castillana. Ale który z dwóch jest nim naprawdę? On czy ja? Otóż przybyłem tu po to głównie, aby dopomóc księdzu proboszczowi w rozwikłaniu tej ciemnej zagadki. Proszę wysłuchać uważnie i z dobrą wolą tego, co powiem, a wątpliwości łatwo się rozjaśnią.

Castillan opowiedział wówczas szczegółowo i z zupełną otwartością wszystkie przygody, których był bohaterem od chwili wyjazdu z Paryża – nie opuszczając nawet epizodu z Marotą.

– Panie – odrzekł ksiądz Jakub, wysłuchawszy z niezmierną uwagą opowiadania. – Bardzo być może, iż to wszystko, co mi pan mówisz, jest najszczerzą prawdą; mimo to nic nie mogę w tej sprawie postanowić pewnego, dopóki nie będę miał w ręce dowodów materialnych.

– Ach, tak! Nie taję przed sobą trudności mego położenia i nie dziwię się nawet, że ktoś wahać się może w przyznaniu mi mojego własnego imienia! Złodziej był dość zręczny, aby zdobyć sobie zaufanie szanownego księdza. Pozwól mi jednak, ojcze, prosić cię o jedną łaskę.

– O jaką?

– Według tego, co mistrz mój pisze, ksiądz dobrodziej połączyć się ma z nim w Colignac?

– Tak, rzeczywiście!

– Otóż, proszę cię, mój ojcze: zaniechaj tego i oczekuj na pana de Bergerac u siebie w domu.

– Jak to? Cóż to mi pan doradzasz?

– Doradzam rzecz bardzo roztropną. Kto wie, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażasz się, księżu dobrodzieju, wybierając się w drogę sam na sam z nieznanym ci człowiekiem. Któż może zaręczyć, czy nie targnie się on na twoje życie, aby za wszelką cenę zdobyć ów dokument, będący jedynym celem jego zabiegów?

– Za daleko posuwasz się pan w obawach. Nie jestem dzieckiem, mój panie, i umiem się bronić!

– Nie wątpię o tym, zauważę jednak, że ten Cygan ma współników i że ksiądz proboszcz, który z nim samym łatwo dałby sobie radę, może ulec, gdy go obokoczy cała banda zbirów. Wreszcie, w każdym razie wypada ci, ojcze, pozostać w Saint-Sernin, gdyż ja wezwałem już mistrza, aby z jak największym pośpiechem przybył do Saint-Sernin.

– Pan to zrobiłeś?

– Tej nocy jeszcze, i to za pośrednictwem tej samej Maroty, która była przyczyną mego pierwszego niepowodzenia.

– Ach, panie! Jeśli tak, to muszę zauważyć, żeś złożył losy tej sprawy w ręce wielce podejrzane!

– Bądź spokojny, mój ojcze. Dziś już jestem jej pewny. Jeszcze słowo. Czy potrafiłem zdobyć sobie u księdza dobrodzieja choć odrobinę zaufania?

– W głosie pańskim przebija szczerość – wyznał ksiądz Jakub. – Jednakże, jak to już mówiłem, nie mam jeszcze wystarczających dowodów, abym mógł gościa swego poczytywać za oszusta.

– Niech i tak będzie. Wypada więc księdzu dobrodziejowi czekać na nowe odkrycia i wyjaśnienia. Tymczasem spodziewam się, że treść rozmowy pozostanie tylko wyłącznie pomiędzy nami dwoma.

– Wszakże uprzedziłeś mnie pan, że to spowiedź...

– Prawda; jestem więc co do tego spokojny. Pozostaje mi jeszcze dać szanownemu księdzu ostatnie zalecenie.

– Mów pan.

– Radzę oświadczyć gościowi wręcz, zaraz po powrocie z kościoła, że postanowiłeś, ojcze, nie wyjeżdżać, gdyż dowiedziałeś się, że Cyrano jest w drodze do Saint-Sernin. Zobaczymy, ojcze, jakie wrażenie sprawi na nim ta wiadomość. Oprócz tego zalecam mieć się na baczności, gdyż jest rzeczą prawdopodobną, że Ben Joel zapragnie przywłaszczyć sobie siłą lub podstępem ów drogocenny dokument.

– Zastosuję się do tych rad. Wszystko to napędza mnie niepokojem i widzę, że jest tu niezbędna jak największa ostrożność.

– To słowa bardzo roztropne. Jeśli na plebanii znajduje się wypadkiem jaka stara szpadzina, otrzyj ją, ojcze, ze rdzy i miej pod ręką; jeśli, co lepiej jeszcze, jest tam para pistoletów, wpakuj w nie dwie porządne kule i nasyp uczciwą porcję prochu. Wszystko to, prędzej lub później, bardzo przydać się może. A teraz spełniwszy, com miał do spełnienia, oddałam się i pozostawiam księdzu proboszczowi odpowiedzialność przed mistrzem mym za wszystko, co teraz nastąpi.

Sulpicjusz powstał z zamiarem odejścia.

Równocześnie z młodzieńcem i ksiądz Szablisty opuścił konfesjonał. Ujął on za ramię młodzieńca, wyprowadził go na światło i przyjrzał się twarzy jego dokładnie, rzekł:

– Wyglądasz, mój panie, na człowieka uczciwego. Twierdzisz zatem, że Cyrano uprzedzony został o tym, co się tu dzieje?

– Przysięgam na duszę swą, że posłaniec z listem wyruszył przed świtem jeszcze – odpowiedział Castillan.

– Bardzo dobrze. Co teraz czynić zamýślasz?

– Będę czekał.

– Czy zatrzymałeś się w jakiej oberży?

– Nie! Strzegę się być na widoku. Pragnąlbym znaleźć w bliskości plebanii jakiś punkt mniej widoczny – do czynienia spostrzeżeń.

– Tam właśnie najprędzej by cię odkryto. Ale posłuchaj. Nie chciałbym zaniedbać niczego, co może być w sprawie tej użytecznym, gdyż zgaduję, że w tym, co mi mówisz, jest dużo prawdy i uczciwości. Otóż, zjazz na tyły plebanii i otwórz małą furtkę, która prowadzi na pole. Niedaleko stamtąd znajduje się szopa do mnie należąca. Po drabinie, stojącej w środku szopy, dostaniesz się na strych, dość ciasny, ale wysłany słomą. Tam się ukryj. Będę ci sam przynosił pożywienie, objaśniając zarazem o przebiegu sprawy. Zgadzasz się pan na to?

– Najzupełniej. Teraz, jak sądzę, dojdziemy do porozumienia. Czy powiesz, ojczu, Ben Joelowi, com doradzał powiedzieć?

– Powiem wszystko; przyrzekam.

– Ach, dzięki ci, księże proboszczu. Nie obawiam się już teraz niczego.

– Pozwól pan, że wyjdę pierwszy. Ale trzeba, żebyś już za dwie minuty był na swoim stanowisku.

Castillan zastosował się jak najściślej do poleceń proboszcza. Upatrzył chwilę odpowiednią do przebycia pustego placu przed kościołem i znalazł bez trudności wskazaną sobie kryjówkę.

Znajdował się tam od pięciu minut zaledwie, gdy zjawił się ksiądz Szablisty, niosąc wino, chleb i trochę zimnego mięsiwa.

– Mój gość śpi jeszcze – rzekł, częstując młodzieńca. – Skorzystałem z tego, aby przynieść ci ranny posiłek, mości... Jakże mam pana nazywać?

– Jakżeby inaczej, jeśli nie moim własnym nazwiskiem – Castillan!

– A tamtego?

– Tamtego wypada mianować samozwańcem, gdyż jest nim w samej rzeczy.

– Wstrzymajmy się w tej chwili od wszelkich sądów. Wkrótce już wszystko ostatecznie się wyjaśni.

I pozostawiając Castillanowi osobiste załatwienie się z obfitym śniadaniem, ksiądz Jakub powrócił do plebani! przez małe podwórko, pełne kur i kaczek.

XXXII

Ben Joel był już na nogach i oczekiwał księdza w jadalni.

– Jakże się waści spało? – spytał uprzejmie gospodarz.

– Wybornie. Postanowiłem wyspać się dobrze, aby nabrać sił do oczekującej nas podróży.

Proboszcz przybrał minę dobroduszną i wpatrując się pilnie w twarz gościa, wyrzekł dobitnie:

– Dobrześ uczynił, kochany panie Castillan. Ale jutro, pojutrze i dni następnych będziesz mógł równie dobrze wywczasować się, gdyż – nie pojedziemy wcale do Colignac.

– Nie pojedziemy wcale do Colignac? – zawołał Ben Joel. – I dlaczegoż to, księżu proboszczu!

– Dlatego, że mój przyjaciel Cyrano doniósł mi dziś rano, iż lada chwila przybędzie osobiście do Saint-Sernin.

Śmiertelna bladość powlokła twarz Cygana; głos uwiązał mu w gardle.

Proboszcz, nie spuszczać go z oka, zauważył tę nagłą przemianę, ale łotr, uczuwszy ciężący na sobie wzrok gospodarza, opanował szybko wzruszenie i przywołując na usta śmiech, odpowiedział głosem swobodnym:

– Na honor, księżu proboszczu, nic w świecie nie mogłoby zadziwić mnie tak przyjemnie, jak wiadomość, którą usłyszałem. Mistrz mój przybywał! Chwałaż Bogu! Widocznie zdrowie jego poprawiło się. A taki biedak był słaby, gdy się z nim żegnał w Paryżu! Zdaje mi się, że już mówiłem o tym księdzu proboszczowi?

– Tak, mówiłeś – odrzekł ksiądz Jakub, zdziwiony tym zachowaniem się gościa, a zarazem skłonny do wątpliwości względem prawdziwego Castellana. – Widzę z zachowania się pańskiego, że jesteś szczerze przywiązany do swego mistrza.

– O tak! – wykrzyknął Ben Joel z uczuciem – kocham go jak ojca!

I uczynił wysiłek, aby przywołać do oczu łzę rozrzewnienia. Proboszcz wyciągnął doń rękę, zadając sobie w myśli pytanie: Któryż z nich dwóch jest oszustem?

„Dziś jeszcze wieczorem – myślał jednocześnie Ben Joel – będę na drodze do Paryża z dokumentami w kieszeni. Kapitan Czart może sobie przyjeżdżać. Kpię sobie z tego!”

Ksiądz Jakub, wierny danemu przyrzeczeniu, udał się do szopy, aby Castillanowi zdać sprawę z wrażenia, jakie wywołała na Ben Joelu wiadomość o przyjeździe Cyrana.

– To sztuka przebiegła – rzekł Sulpicjusz – umie znaleźć się w każdej okoliczności. Byłem prawie pewny, że odegra komedię radości i rozczulenia. Ma on czujny wzrok na wszystko. Ale poczekaj, ojczu, do nocy – poczekaj do nocy!

Ben Joel, jak łatwo domyśleć się, na pierwszą wieść o przybyciu Cyrana obmyślił nowy plan działania, który tej zaraz nocy miał być wykonany.

Przez cały dzień nie wychodził krokiem z plebanii i zaznajamiał się dokładnie z urządzeniem mieszkania proboszcza.

Dostawszy się do sypialni, gdzie ksiądz Jakub przepędził większą część popołudnia, dojrzał natychmiast swym wzrokiem ostrowidza dębową szafkę, umieszczoną w głowach łóżka.

„To tam!” – pomyślał, wiedziony właściwym zawodowemu złodziejowi instynktem.

Od tej chwili wiedział już, czego się trzymać. Należało po prostu: albo skorzystać z chwilowej nieobecności proboszcza i otworzyć szafkę wytrychem, albo też, gdyby taka sposobność nie nastąpiła, wejść nocą do sypialni, zasztyletować księdza i wykraść tajemniczy dokument.

Ben Joel nie cofał się przed niczym. Gdy już powziął postanowienie, myślał tylko o tym, jakby je spełnić w sposób najdogodniejszy dla siebie.

Przy wieczery proboszcz, który również wiele rozmyślał o wypadkach tego dnia i, podobnie jak Ben Joel, nakreślił sobie plan działania, rzekł obojętnie do gościa:

– Przyjacielu Castellanie, dziś, jeśli pozwolisz, udamy się wcześniej na spoczynek. O świącie muszę być na nogach, czeka mnie bowiem wczesna msza w kościółku. Waść jednak będziesz mógł wysypiać się choćby do południa.

– Skorzystam z pozwolenia – odrzekł z uśmiechem Cygan. – A teraz, jeśli dobrodziej chce odejść, proszę nie robić żadnych ze mną ceremonii.

– O, nie spieszy mi się znów tak bardzo, abym nie mógł przed odejściem poczęstować waści kieliszkiem wódki miejscowego wyrobu. Nie jest ona dobra jak ta, którą wyrabiają w Colignac, ale waść znasz przysłowie: w braku jegomości...

– Dobry i pan podstarości – dokończył wesoło Ben Joel.

Po wypiciu małego kieliszka proboszcz pożegnał gościa, pozostawiając go na opiece gospodyni.

W jakiś czas później Cygan, w przekonaniu, że ksiądz zasnął już twardo, wziął świecę i udał się do swego pokoju.

Przechodząc mimo sypialni proboszcza, zauważył, że klucz nie tkwił, jak zwykle, w zamku. Nacisnął klamkę i spróbował otworzyć drzwi.

Stawiły opór.

Spróbował raz jeszcze i przekonał się, że były od środka zaryglowane.

– Do diabła! – mruknął zbój. – Klecha zaczyna być podejrzliwy. Nie przewidziałem tego. Ale to nic; zaczekam do jutra. Bergerac, choćby najbardziej pośpieszał, nie przybędzie tu prędzej niż za dwa dni.

I przemknął się korytarzem, po cichu i niezznacznie, jak cień. Nie rozebrał się jednak, lecz w ubraniu przyległ na łóżku i z wyteżonym słuchem czatował na sprzyjającą sposobność. Ale choć wszystkie siły skupiał, aby być czujnym i przytomnym, około północy zwarły mu się powieki, głowa na poduszkę opadła i zbój zasnął głęboko.

Na wieży kościelnej biła trzecia, gdy ocknął się i zerwał szybko na nogi.

— Bydlę jestem! – zaklął cicho. – Zaspałem. Może już właśnie najlepsza pora minęła.

W chwilę później w sypialni księdza dał się słyszeć szmer. Cygan wyjrzał w stronę kościółka. Drzwi kościelne były jeszcze zamknięte; na ulicy nie było widać nikogo.

Przez okno przedzierało się trochę przedporannej jasności. Szmer, z początku niewyraźny, stał się następnie głośniejszy i Ben Joel usłyszał niebawem skrzypienie otwieranych i zamkniętych drzwi od ulicy.

Zbliżył się ponownie do okna i ujrzał księdza, który przeszedł placyk, minął drzwi kościelne i skręcił w małą uliczkę z lewej strony kościółka, zamierzając pewnie wejść drzwiami do zakrystii.

Cygan nie tracił czasu na tworzenie nowych domysłów.

Zrozumiał, że należy działać jak najszybciej.

Z największym pośpiechem wydostał z podróżnej torby krótki kawałek zaostzonego żelaza oraz kilka wytrychów, następnie wziął w zęby sztylet i skierował się do sypialni proboszcza.

Drzwi były wciąż zamknięte.

Ale dla Ben Joela otwarcie zamku było igraszką.

Po małej chwili pokój stał już otworem.

Cygan rzucił się do środka z pośpiechem i zwinnością tygrysa, i najpierw, dla ścisłości, przeszukał szybko wszystkie szuflady komody i biurka, następnie zabrał się do dębowej szafki, w której od początku domyślał się zamkniętego skarbu.

Zbadawszy wprawna ręką zamek, podsadził pod drzwi kawał żelaza i nacisnął go całym ciężarem ciała. Drzwi trzasnęły, ale zamek nie ustąpił.

Ben Joel, zajęty całkowicie swym dziełem, zabrał się natychmiast bez jednej chwili odpoczynku do powtórzenia próby.

W tej chwili za plecami jego rozległ się donośny głos proboszcza:

– Hola, mości Castillanie! – mówił ksiądz Szablisty, stojąc na środku pokoju spokojnie, z założonymi na piersi rękoma – a cóż to tam waćpan porabiasz?

To szydercze zapytanie było dla Cygana jakby pchnięciem noża. Odskoczył od szafki i zwrócił się do proboszcza, zuchwale stawiając czoło niebezpieczeństwu.

Złapany na gorącym uczynku, nie mógł zapierać się i szukać ocalenia w wykrętach. Ścisnąc ostry nóż w ręce i przybierając groźną postawę, rzekł drwiąco:

– Zanadto pośpieszyłeś się, ojcze, ze mszą. Tym gorzej dla ciebie!

– Nędzniku! – zagrzmiał ksiądz Jakub. – Jak śmiałeś to zrobić!

W chwili gdy ręka jego opuszczała się, aby zadać cios śmiertelny, proboszcz pochwycił ją w powietrzu i ścisnął silnie.

– Rzuć nóż! – rozkazał jednocześnie.

Rozkaz był zbyt szybki. Zdrętwiałe od żelaznego uścisku palce zbója same się otworzyły, wypuszczając zabójcze żelazo, które upadło z brzękiem na podłogę.

Ben Joel nie miał widocznie szczęścia do zasadzek.

Uspokoił się, chciał mówić i węzowym pełzaniem całość skóry swej ocalić; chciał, słowem, powtórzyć komedię, odegraną niegdyś z powodzeniem na drodze do Fougerolles – ale ksiądz Jakub nie dał mu na to czasu.

– Gdyby Stwórca nie zabronił rozlewu krwi bliźniego – wyrzekł silnym, ale spokojnym głosem – byłaby to dobra sposobność do uwolnienia społeczeństwa od łotra i zbója. Podziękuj Bogu, żeś dostał się w ręce dobrego chrześcijanina.

Ben Joel za całą odpowiedź szarpnął się silnie, aby odzyskać wolność.

– A, toś ty taki! – rzekł ksiądz groźniej. – To nie lubisz słuchać nauk moralnych! Idźże, łotrze, wieszając się gdzie indziej. Szczęście twoje, że tu nie ma Cyrana.

To mówiąc proboszcz, bez dłuższych ceregieli, chwycił Cygana za kołnierz i za spodnie, i zaniósł w powietrzu, nie spiesząc się, do okna, które otworzył pchnięciem ramienia.

– Nie zabijaj, ojciec wielbny! – zajęczał przerażony Ben Joel – nie zabijaj.

– Skacz, złodzieju! – krzyknął ksiądz, wystawiając go za okno i trzymając oburącz w powietrzu.

– Łaski! – wołał łotr, dusząc się.

– Skacz! – powtórzył proboszcz. – Okno jest na siedem stóp od ziemi. Cóż to, lękasz się, zuchu?

Ben Joel spojrzał w dół i dostrzegł ziemię bardzo blisko.

– Abym mógł skoczyć, proszę mnie puścić – wybełkotał pokornie.

– A, zdecydowałeś się nareszcie? To dobrze. No, dalej w drogę! Szczęśliwej podróży, kochanku. Ale radzę nie powtarzać sztuki. Na drugi raz nie wykręcisz mi się tak łatwo!

Ręce księdza puściły zdobycz i Cygan, który widząc, że mu już nic nie zagraża, krew zimną odzyskał, z kocią sprężystością skoczył na trawnik.

Zaraz też wziął nogi za pas i jął zmykać jak zając – nie bez obawy jednak, czy nie dogoni go w biegu kula wypuszczona z muszkietu.

Po tej egzekucji ksiądz Jakub pobiegł czym prędzej do kryjówki Castellana, który nie spał już i czekał niecierpliwie na wiadomości.

Na widok proboszcza, przybywającego z otwartymi rękoma, młodzieniec domyślił się, że zaszło coś stanowczego.

– Kochany chłopcze! – przywitał go ksiądz Jakub, całując w oba policzki. – Życie mi ocaliłeś.

– A, a! – rzekł Sulpicjusz. – Nasz gość...

– Nasz gość – przerwał proboszcz – jest już daleko. Dostał krzyżyk na drogę!

I w kilku słowach wtajemniczył młodzieńca w cały przebieg sprawy.

– Jak to? – wykrzyknął Sulpicjusz, wysłuchawszy do końca – pozwoliłeś mu, ojciec, uciec?!

– Nie inaczej. Przestał już być szkodliwym od chwili, gdy go zdemaskowano.

– Ach, jakież błęd! Stało się jednak. Wszystko, co czynisz, ojciec, musi być dobre, bo wszystko wypływa z niezmiernej dobroci serca. Przyjazd pana de Bergerac położy kres niepokojom księdza proboszcza i zabezpieczy go od wszystkiego.

– Amen! – zakończył uśmiechając się ksiądz Jakub. – Ale trzeba, żebyś wyszedł z tej dziury i zasiadł do uczciwego śniadania, mój chłopcze, a raczej: mój prawdziwy Castellanie tym razem.

Dwaj nowi przyjaciele udali się do plebanii, gdzie Joanna zastawiła już smaczny i obfity posiłek. Niemal było zdziwienie poczciwej gospodyni, gdy ujrzała siadającego do stołu nowego biesiadnika i gdy przekonała się, że tamten zniknął w sposób dla niej niepojęty.

Bliski przyjazd Cyrana stał się teraz głównym przedmiotem trosk i zajęcia dla proboszcza.

Oczekiwał przyjaciela z radością prawie dziecięcą i niecierpliwością, którą na próżno starał się ukrywać. Pilno mu było najpierw ucałować kochanego Bergeraca, następnie złożyć w jego ręce depozyt, który od dwóch lat nabawiał go tylu niepokojów.

XXXIII

Przed opowiedzeniem dalszych przygód Ben Joela oraz utrzymanego w szponach tuluząńskiej sprawiedliwości Cyrana wypada powrócić do Zilli.

Odgadwszy zbrodnicze zamysły hrabiego Rolanda, Cyganka wybiegła nocą sama z Domu Cyklopa, a wzruszenie jej było tak wielkie, że dochodziło niemal do obłędu.

Dokąd zmierzała?

W pierwszej chwili trudno jej było znaleźć odpowiedź na to pytanie. Przybiegłszy aż do Nowego Mostu, przebyła go krokiem prędkim, nie zatrzymując się na chwilę, a wiatr chłodny, wiejący od rzeki, uśmierzył cokolwiek gwałtowną gorączkę, która ją pędziła na oślep przez pogrążone w mroku ulice. Zatrzymała się przed więzieniem Châtelet i jęła rozmyślać.

Myśli jej zaczęły przychodzić z wolna do porządku; podniosła głowę z miną wyrażającą stałe postanowienie i znów iść zaczęła.

Zilla miała już w tej chwili cel przed sobą.

Puściła się prawym brzegiem Sekwany, weszła w splątaną sieć wąskich zaułków sąsiadujących z ulicą Świętego Pawła i po pewnym czasie stanęła przed bramą pałacu hrabiego de Lembrat.

Ujęła drżącą ręką młotek i zapukała. Hrabia Roland był w domu od godziny; prócz niego wszyscy w pałacu spali. Zilla poczekała pół minuty. Potem ujęła powtórnie ozdobną kołatkę z kutego żelaza i uderzyła nią kilkakrotnie w bramę. Zrobił się ruch na dziedzińcu pałacowym, dały się słyszeć ciężkie kroki i jakiś szorstki głos zapytał:

– Kto tam?

– Chcę pomówić z panem de Lembrat – odrzekła Zilla niecierpliwie.

– Pan hrabia śpi. To nie pora na rozmowy.

– Raz jeszcze proszę, aby mi otworzono. Chodzi tu o sprawę wielkiej wagi!

– Ruszaj precz, włóżęgo! A nie kołataj, bo cię każę sprzątnąć pachołkom miejskim. Słyszane to rzeczy, budzić ludzi o pierwszej po północy!

Po tej przemowie odźwierny zawrócił, stukając mocno podkutym obuwiem po kamieniach.

Cyganka zrozumiała, że wszelkie dalsze prośby będą daremne.

Zresztą uspokoiła ją myśl, że przez te kilka godzin żadne niebezpieczeństwo nie będzie groziło Manuelowi.

Postanowiła nie wypuszczać hrabiego z pałacu bez rozmówienia się z nim i w tym zamiarze usiadła na ławce nie opodal bramy, owinęła się szalem i zapadła w półsen, szepcząc do siebie:

– Poczekam.

Noc wydała się jej długa jak rok cały. O świcie przejął ją na wskroś chłód wilgotny i nabawił dreszczów. Trzęsła się cała od zimna, a jednocześnie głowę miała w ogniu i ta gorączka wewnętrzna podtrzymywała sztucznie jej siły, pozwalając zapominać o bólu i o znużeniu.

Wzeszło słońce i zastało ją na tym samym miejscu z twarzą bladą, a okiem pełnym płomieni, drżącą, ale silną i gotową do walki.

Gwar odzywający się w różnych punktach pałacu wskazywał, że miasto budzi się. Na końcu ulicy zjawilo się kilku przechodniów; o kilka kroków od Cyganki rozległ się zgrzyt żelaza. Otworzono bramę wjazdową pałacu hrabiego de Lembrat i wzrok Zilli przeniknął do wnętrza pańskiej siedziby, gdzie na przestronnym dziedzińcu poczynala już uwijać się służba pałacowa.

Zmuszona zachować ostrożność, cofnęła się o kilka kroków dalej, nie spuszczać wszakże oka z bramy, którą miał hrabia wyjechać.

W pobliżu był już otwarty szynk. Cyganka wstąpiła do niego, aby ogrzać się, potem poprosiła o wodę, którą obmyła twarz, i poprawiwszy cokolwiek ubiór udała się z powrotem przed pałac.

Opryskliwy odźwierny, który niedawno obszedł się z nią tak po grubiańsku, zapomniał o tym widocznie lub też wziął za senne marzenie rzeczywiste wypadki nocy, gdyż nie okazał ani zdziwienia, ani gniewu, gdy Zilla przed nim stanęła.

Zresztą nie po raz pierwszy widział on Cygankę, a z plotek lokajskich wywnioskował, że u jego pana znajduje się ona w pewnym poszanowaniu.

Nie wiedziano, jakiego rodzaju stosunki łączyły hrabiego z tą śniadą dziewczyną, pewne jednak było, że stosunki te istniały. Wystarczyło to, aby oszczędzić Cygance szorstkiej odprawy.

Zwróciła się do służącego, który podbiegł do wchodzącej, wymieniła swe imię i żądała, w tonie prawie rozkazującym, aby ją wpuszczono do hrabiego.

– Jaśnie pan jeszcze nie wstał – zauważył lokaj.

– Proszę zawiadomić go o moim przybyciu – nalegała Zilla.

– Obudzić pana hrabiego! O, nigdy bym się na to nie odważył. Jeśli waćpanna chce, niech zaczeka.

– Zgoda!

I Cyganka, na znak dany przez służącego, poszła z nim do pałacu.

W przestronnym i pięknie przybranym przedpokoju kazano jej czekać, uprzedzając, że ma być cierpliwa.

Trzy długie jak wieczność godziny upłynęły jej na tym oczekiwaniu. Wreszcie do uszu jej dobiegł głos znajomy.

Hrabia był już na nogach, a dźwięk jego głosu wskazywał, że miota nim gniew straszny.

Po krótkiej chwili stał już przed nią. Dziewczyna nie wątpiła, że ona to była przyczyną gniewu, który widniał jeszcze we wzroku Rolanda i którego wybuchy z wnętrza pokoiów pałacowych przedostawały się aż do niej.

Wstała, postąpiła kilka kroków ku niemu i nie czekając na zapytanie, rzekła tonem szorstkim:

– Chcę z panem pomówić.

– O tak wczesnej godzinie? – zapytał hrabia, starając się opanować głos i nadać mu odcień żartobliwy.

– Godzina nic tu nie znaczy. Oddał pan służbę.

– Przemawiasz, moja piękna, tonem iście królewskim. O cóż to idzie?

Odprawił gestem postępujących za sobą lokajów i z miną zniecierpliwioną rzekł:

– Spiesz mi się. Mów, czego żądasz?

– Zaraz to zrobię. Przyszedłeś pan do mnie wczoraj wieczorem pod kłamliwym pozorem i zabrałeś mi przedmiot, po którego zwrot zgłaszam się właśnie. Oddaj mi go.

Powiedziane to było niedwuznacznie. Śmiały i stanowczy ton głosu Cyganki nie pozwał o tym wątpić.

Hrabia przybrał minę zdziwioną i rzekł:

– Wyrażasz się zbyt ogólnie. Przedmiot... Jaki przedmiot? Zabrałem jedynie ze sobą list, który pisałaś do Manuela. Czy to o tym liście mówisz?

- Pan dobrze wie, że nie!
- W takim razie zupełnie cię nie rozumiem.
- Wejdźmy do pańskiego gabinetu, panie hrabio.
- Po co?
- Aby zabrać flakonik z trucizną, który wyniosłeś wczoraj po kryjomu z mego mieszkania! Hrabia, jakkolwiek przygotowany na te słowa, usłyszawszy je, zadrżał lekko. Nie uszło to uwagi Zilli.
- Widzisz pan, że sprawa ta nie jest dla ciebie tak obcą, jak utrzymywałeś.
- Po prostu jestem tylko zdziwiony i gdybym posądzał cię o jakiś chwilowy obłęd lub też ukryte wyrachowanie, mniej cierpliwie słuchałbym twych żądań i zniewag.
- Oddaj mi to, o co cię proszę, jasnie panie!
- Nie zaprzestajesz zatem swych niedorzeczności? Ależ, moja kochana – roześmiał się hrabia, którego głos stawał się łagodniejszy, w miarę jak w głosie Cyganki objawiało się silniejsze rozdrażnienie – zróbże mi tę łaskę i powiedz, w jakim celu miałbym ci zabierać truciznę? Gdybym jej zresztą potrzebował, to czyż nie ma w Paryżu włoskich perfumiarzy, którzy by mi jej dostarczyli?
- Być może – znalazłszy jednak pod ręką broń, która była ci potrzebna, pochwyciłeś ją pan. To było bezpieczniejsze od tamtego.
- Posłuchaj, Zillo. Co tobie się roi? O co mnie posądzasz?
- Posądzam pana, żeś zamierzył pozbyć się Manuela i że mnie za pośredniczkę do tego użyłeś.
- Ani mi w głowie ten tam Manuel. Gdybym chciał pozbyć się go, jak pleciesz niedorzecznie, nie jeden, ale tysiąc miałbym sposobów do tego. Najpierwszym i najprostszym byłoby dopuścić do skażania go, a ty wiesz właśnie, że pracuję nad wydobyciem go z więzienia. Było to powiedziane tonem niezmiernie naturalnym i z pewną dobroduszością, która zachwiała na chwilę podejrzenia Zilli.
- Hrabia zauważył sprawione przez się wrażenie. Przelotny uśmiech przebiegł po jego ustach.
- Przekonałem cię nareszcie? – dorzucił, chcąc zwycięstwo swe uczynić pewniejszym.
- Mnie można przekonać jedynie dowodami.
- Jakichże żądasz dowodów?
- Ułatw mi pan wstęp do Châtelet. Chcę pomówić z Manuelem.
- To rzecz niemożliwa.
- W takim razie oddaj mi list, który pisałam do niego wczoraj z pańskiej namowy.
- Nie chcesz już zatem ocalić Manuela?
- Odpowiem na to później. Tymczasem proszę o list.
- Chętnie bym to zrobił – odrzekł hrabia z niezmaconym spokojem – gdyby nie to, że – na nieszczęście albo raczej... na szczęście – listu tego już nie mam.
- Gdzież on?
- W tej chwili już zapewne w rękach Manuela, któremu poleciłem go oddać.
- Kiedy?
- Dziś rano.
- Fałsz! – wykrzyknęła Zilla. – Przepędziłam noc przed bramą pańskiego pałacu – nie wyszła stąd ani jedna osoba.
- Hrabia uczynił szybki ruch zniecierpliwienia i gniewu. Powściągnął go jednak w tejże chwili. Musiał oszczędzać Zillę. Jedno jej słowo mogło, jeśli nie zgubić go, to przynajmniej podać w silne podejrzenie.
- Jesteś kobietą – rzekł, opanowując wzruszenie – przebaczam ci zatem zuchwalstwo, z jakim śmiesz kłamcą mnie czynić. Jednak upewniam cię, Zillo, że nic nie ma prawdziwszego

nad to, com ci powiedział. Przyszłość pokaże ci, jak bardzo błędziłaś, mając mnie w podejrzeniu. A teraz żegnam cię. Obowiązek powołuje mnie do Luwru.

Pozegnał Zillę ruchem ręki, przeszedł koło niej i zniknął, pozostawiając oburzoną i bezradną na środku wielkiej izby przedpokojowej.

Prawie w tejże chwili pięciu czy sześciu lokajów wbiegło do przedpokoju i Zilla zrozumiała, że nie ma tu już nic do czynienia.

„Ten człowiek oszukuje mnie – myślała odchodząc. – Ale moja silna wola odniesie nad nim zwycięstwo. Manuel będzie ostrzeżony o zastawionej na niego pułapce.”

Co się tyczy Rolanda, odwiedziny Zilli nie zachwiały w niczym jego postanowień. Miał on w rękach list Cyganki, przed którą skłamał, że posłany był Manuelowi. Jeśli nie oddał go Zilli, jakkolwiek z chwilą zdobycia flakoniku z trucizną był mu już niepotrzebny, uczynił tak dlatego jedynie, aby oszczędzić Cyganki i odegrać rolę swą do końca.

Zilla udała się do Châtelet. Powzięła ona zamiar zwrócenia się do prześwieznego Jana de Lamothe z prośbą o dopuszczenie jej do więzienia.

Woźny wprowadził ją, nie bez pewnych trudności, przed oblicze starosty.

Ten ostatni przyjął Cygankę z miną surową. W jego oczach Zilla była współniczką mniemanej zbrodni Manuela i wolność swą zawdzięczała jedynie wspaniałomyślności hrabiego.

Sam on, co prawda, uważał zeznania złożone przez Ben Joela i Zillę za wystarczające okupienie popełnionej winy, w głębi serca jednak nie mógł pozbyć się szlachetnego wstrętu względem tych przestępców, przekształconych w donosicieli i świadków oskarżających. Czcigodny Jan de Lamothe z wielką łatwością dał się wywieźć w pole Rolandowi i jego sojusznikom, i z zupełnie dobrą wiarą poświęcał swój czas i zdolności rozpatrywaniu sprawy Manuela.

Zilla nie stropiła się srogą miną starosty; miłość do Manuela czyniła ją zdolną do wszystkich poświęceń i do wszystkich poniżeń.

Zbliżyła się do dużego stołu założonego aktami, za którym królował Jan de Lamothe, i głosem spokojnym, powolnym, zapytała:

– Czy pan mnie poznaje?

– Bez wątpienia. Czy przybywasz, aby mi złożyć jakie nowe zeznanie dotyczące wiadomej sprawy?

– Nie. Przybywam w celu proszenia o przysługę.

– Jaką?

– O pozwolenie widzenia się z Manuelem.

– Co? – zadziwił się przedstawiciel sprawiedliwości. – Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Pan posiada możność udzielenia mi tej łaski.

– Tak, lecz ty nie posiadasz prawa żądania jej. Zilla podniosła głowę.

– I dlaczegóż to? – spytała.

– Jesteś zbyt ciekawa. Czyż trzeba ci mówić, że nie jestem jeszcze zupełnie pewny twego nawrócenia i że nie mogę nastęrczać ci sposobności porozumienia się z oskarżonym?

– I cóż ja mogę przedstawiać groźnego dla sądu?

– Czyż ja mogę wiedzieć? Odejdź w spokoju, dziewczyno, i nie grzesz więcej.

– Błagam pana, wysłuchaj mnie. Idzie tu może o życie Manuela! Pozwól mi widzieć się z nim.

– Tracisz czas nadaremnie.

– Pozwól przynajmniej napisać do niego.

– Dość już. Nie mam czasu na rozmowy z tobą. Łzy twoje wcale mnie nie wzruszą. Gdy raz powiem: nie, to – nie! Bądź o tym jak najmocniej przekonana.

Starosta zadzwonił.

Zjawił się woźny.

– Jeżeli ta kobieta – rzekł doń, wskazując Zillę – jeszcze raz zjawi się tu, nie wpuszczaj jej.

W tej chwili powstał i ponawiając scenę, która odegrała się niedawno w pałacu Lembrat, otworzył drzwi w głębi komnaty i zniknął.

Z piersi Zilli wyrwał się okrzyk gniewu i oburzenia. Chciała wszystko wyjawić, wyznać całą prawdę, tymczasem wcale słuchać jej nie chciano.

Nadzieja, którą łudziła się, idąc najpierw do hrabiego, następnie do starosty, zgasła już w jej sercu na zawsze.

Siostra Ben Joela zrozumiała, że odtąd już tylko na siebie samą liczyć może.

W tej chwili na pół nieprzytomna od znużenia, gorączki i strapiień moralnych miała straszne widzenie.

Ujrzała Manuela, wijącego się z bólu na kamiennej posadzce więzienia. Wypił truciznę, którą wlała mu do napoju ręka przekupiona przez hrabiego, i umierał przeklinając Zillę.

– Nie, tego nie będzie! – zawołała, przecierając oczy. – Ja nie chcę tego! Ja do tego nie dopuszczę!

I nie wiedząc jeszcze, w jaki sposób weźmie się do dzieła, aby odsunąć zbliżające się niebezpieczeństwo, znalazła się z powrotem na tych samych szerokich schodach wiodących do starosty, na które wstępowała przed chwilą tak pełna otuchy.

Kilka kroków tylko dzieliło ją od furty więziennej.

Łucznicy starościńscy nie zaniedbali uczęstować jej w przejściu kilkoma zalotnymi zarciakami, lecz podniosła na nich oczy pełne tak wyniosłej dumy, a zarazem niezmiernego smutku, że niebawem zamilkli.

Postała przez chwilę w zamyśleniu przy okutej żelazem furcie, którą jedno słowo czcigodnego de Lamothe'a mogło być przed nią odemknąć i pomysł prawdziwie szalony przyszedł jej nagle do głowy.

„A gdybym zgodziła się za służbę do dozorczy więziennego” – pomyślała.

Gorzki uśmiech wykrzywił jej usta. Zrozumiała od razu niewykonalność tego zamiaru.

Trzeba było wynaleźć coś lepszego. I wówczas, jakkolwiek z bólem śmiertelnym w sercu, Cyganka wyprostowała swą smukłą postać, przywołała na twarz wyraz sztucznego ożywienia i podszedłszy do grupy próżniaków, którzy od kilku chwil przyglądali się jej ciekawie, jąta nucić piosenkę wesołą.

W mgnieniu oka otoczono ją. Łucznicy starosty, opuściwszy ławę, przyłączyli się do ciekawych; w ślad za nimi zjawiło się kilku pacholków stanowiących przyboczną służbę dozorczy. Na tych ostatnich zwróciła Zilla szczególną uwagę. Jeden z nich był bardzo młody i widocznie ze służbą, którą pełnił, niedostatecznie jeszcze obeznany, twarz jego bowiem miała wyraz otwartości i wewnętrznej pogody.

Ciężka atmosfera więzienia nie zmoczyła dotąd jego czoła, a obraz nędzy ludzkiej nie zgasił jeszcze blasku jego źrenic.

Zilla zbliżyła się nieznacznie do niego. Jakieś przecucie tajemne wskazało jej, żeby szukała pomocy u tego młodzieńca, który niedawno dopiero przestać być chłopięciem.

Przestała śpiewać i ujmując rękę jednego z łuczników, spytała:

– Czy chcesz pan poznać swą przyszłość? Odczytać ją mogę z linii znajdujących się na pańskiej dłoni.

Łucznik cofnął rękę, przestraszony nieco tą niespodziewaną propozycją. Śmiech drwiący ozwał się w grupie widzów.

– Tchórz! – ozwał się jakiś głos.

Cyganka nie nalegała. Wzrok jej pytający obiegnął zgromadzenie i dziesiątek rąk zaraz do niej wyciągnięto.

Odgrywała przez jakiś czas rolę wróżki, której ją od dzieciństwa wyuczono, a gdy wyróżniony przez nią młodzieniec zdawał się wahać z żądaniem wróżby, uśmiechnęła się doń i dała mu znak, aby się przybliżył.

Usłuchał bez namysłu i otwartą dłoń podał dziewczynie. Zilla dotknęła palcem linii życia, a jednocześnie swój wzrok płomienny zatopiła w oczach młodzieńca.

– Szczęśliwy chłopiec – rzekła głosem tajemniczym. – Kocha... i jest kochany.

To odkrycie, łatwe do zrobienia, gdy pytający jest przystojnym, dwudziestoletnim chłopcem, wywołało silny rumieniec na twarzy sługi więziennego.

– I... – szepnął – wiesz pani, że...

Nie dokończył. Obawiał się może powiedzieć za wiele i chciał pozostawić Zilli odgadnięcie wszystkich tajemnic swego serca.

– To, co mam wyjawić – rzekła tajemniczo – może być wysłuchane tylko przez pana samego.

XXXIV

Tłum rozstąpił się przed Cyganką.

Nie puszczała ona ręki młodego sługi, którego odciągnęła o kilkanaście kroków stamtąd.

– Jak się pan nazywasz? – zapytała wówczas.

– Johann Müller – odpowiedział.

– Posłuchaj mnie, panie Johann. Jesteś młody, zakochany, a łagodny wyraz pańskiej twarzy wskazuje mi, że masz serce dobre i czułe na cudzą niedolę.

– Dlaczego pani mówi mi o tym? – szepnął młodzieniec, zdziwiony tonem, jakim słowa te zostały wypowiedziane.

– Dlatego że potrzebuję pańskiej pomocy i że od pierwszego spojrzenia odgadłam, że prośby mej wysłuchasz.

– Też, co odgadła tak szybko, że kocham, i która mi zwiastowała radosną wieść, że jestem kochany, nie odmówię niczego, jeśli tylko żądanie jej będzie możliwe do spełnienia.

– Dziękuję ci, dobre dziecko – rzekła Zilla.

I ręka jej ścisnęła silniej dłoń młodzieńca, a oczy błyszczące rozrzewnieniem i wdzięcznością podniosły się na twarz jego.

– Spójrz pan na ten grób olbrzymi – ciągnęła, wskazując ręką wysokie mury więzienia. – Zamyka on w sobie, co mam na świecie najdroższego, gdyż i ja również kocham, a ukochany mój może życie postradać w tym zamknięciu.

Cudownym instynktem, właściwym kobietom, Zilla odgadła, że na tę duszę czułą i szlachetną, która wyczierała z oczu chłopca, silniej oddziała głos szczerzego uczucia niż pospolita zalotność lub przekupstwo.

Mogła ofiarować mu pieniądze – wołała zawierzyć poczciwym instynktom młodzieńca, zrobić go powiernikiem swych tajemnic sercowych, zająć go swym losem i potracić w jego duszy struny delikatniejsze niż samolubstwo i chęć zysku.

Patrzył na nią zdziwiony, lecz nie przerażony zbyt mocno tym wstępem, który jednak pozwalał mu zgadywać, że Zilla zamierza prosić go o coś, co może narazić jego stanowisko, a przynajmniej pozbawić go spokoju.

Twarz Cyganki promieniała wyrazem tak gorącej nadziei, że nie miał odwagi nakazać jej milczenia lub też opuścić jej po prostu.

– O kim chcesz pani mówić? – zapytał wreszcie, rzuciwszy dokoła szybkie spojrzenia, aby upewnić się, że nikt słyszeć go nie może.

– Słyszałeś pan zapewne o młodzieńcu, którego oskarżają o przywłaszczenie sobie cudzego nazwiska i tytułu?

– Czy nie nazywa się on przypadkiem Manuel? – przerwał Johann.

– Tak właśnie. Czy pan go znasz?

– O tyle, o ile można znać więźnia, którego widziało się przy świetle kitami w ciemnościach więziennego lochu.

– Biedny Manuel, cierpi bardzo, nieprawda?

– Jeśli cierpi, cierpienie swych nie ujawnia. Nigdy nie słyszałem, aby się skarżył.

Johann, powiedziawszy to, poruszył się niespokojnie i dodał:

– Ale przepraszam panią, już pora wracać do Châtelet, i jeśli to o tego Manuela idzie pani, to powiedział już wszystko, co mi o nim było wiadome.

Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni mały, srebrny pieniążek i chciał go wcisnąć w rękę Cyganki.

Zilla odsunęła łagodnie jego rękę.

– Jeszcze chwilę – rzekła. – Ja nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. I jeżeli od pana nic już więcej dowiedzieć się nie mogę, prosić go będę w zamian za to o jedną wielką łaskę.

– Powiedziałem już, że będę szczęśliwy, mogąc przysłużyć się pani czymkolwiek. Proszę jednak mówić prędko, gdyż jeśli dozorca zobaczy, że rozmawiam z panią, nie minie mnie kara.

– Nie! Bóg uchroni pana od tego, gdyż jesteś dobry i zacny. Temu Manuelowi, którego znasz i którego ja kocham, zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Ma on potężnych wrogów. Przypomnij pan sobie: czy nie zdarzyło mu się coś niezwykłego?

– Odkąd?

– Odkąd przebywa w Châtelet. Zwłaszcza od dzisiejszego ranka.

– Nie, nic mu się nie zdarzyło. Odwiedzał go tylko starosta w celu indagacji oraz pewien szlachcic, który miał upoważnienie do widzenia się z nim. Poza tym nie przypominam sobie nic godnego uwagi.

– A ten szlachcic?... Czy przychodził wczoraj wieczorem?

– Nie!

Zilla odetchnęła.

– Poczekaj pani – dodał prawie natychmiast Johann. – Omyliłem się, mówiąc, że odwiedzali więźnia tylko starosta i szlachcic...

—Któż był więcej? – spytała z gorączkową niecierpliwością Cyganka.

– Człowiek jakiś, który przed chwilą przybył do Châtelet – służący, jak się zdaje.

– Czego chciał ten człowiek?

– Przyniósł dla więźnia posiłek.

– Posiłek! – wykrzyknęła Zilla błędąc.

– Tak. Widocznie jakaś poczciwa dusza uzaliła się nad dolą tego Manuela i wiedząc, jak nędznie karmią więźniów, zapragnęła pożywić go czymś smaczniejszym.

– A, wszystko, wszystko stracone! – wykrzyknęła Zilla z najwyższą boleścią, załamując ręce ruchem rozpaczliwym. – W ciągu tego czasu, który ja zmarnowałam bez pożytku u starosty, nędznik doprowadził swój zamiar zbrodniczy do skutku.

Dla Johanna ten nagły wybuch bóleści był zgoła niezrozumiały. Starał się on nadaremnie uspokoić Zillę. Nie słuchała go. Straszne widzenie, które przeraziło ją przed godziną tam, w izbie starosty, znów stanęło jej przed oczami i z zatrzymanym w piersiach oddechem, z nieruchomą żrenicą, całą duszą w nim zatoneła.

Wreszcie powróciła jej świadomość rzeczywistości.

– Johannie! – przemówiła z trudnością – ja muszę go ocalić, słyszysz? Muszę! Ale trzeba koniecznie, abyś ty mi do tego dopomógł.

– Czego się pani obawia?

– Aby nie uśmiercono Manuela. Przysięgam ci wdzięczność dozgonną, zacny chłopcze, jeśli usuniesz grożące mu niebezpieczeństwo. Stanę się twoją niewolnicą; należeć będę do ciebie jak pies do swego pana.

– Cóż trzeba uczynić? – zapytał Johann, porwany tonem tego przemówienia.

Zdjęła z ręki srebrną bransoletkę i ostrzem maleńkiego sztylecika nakreśliła na niej kilka znaków niezrozumiałych dla Johanna i dla innych, ale które Manuelowi, obeznanemu z hieroglifami cygańskimi, mówiły wyraźnie o zamierzonym zamachu na jego życie i o potrzebie jak największej ostrożności.

Zaledwie skończyła to niezwykle pisanie, młody sługa podjął na nowo:

– Co trzeba czynić?

– Doręczyć to więźniowi – odrzekła, podając bransoletkę – ale doręczyć nie jutro, nie dziś nawet wieczorem, ale – natychmiast.

„Boże! – pomyślała z boleścią – żyjeż on aby jeszcze?”

Johann wziął bransoletkę, jednak zdawał się namyślać.

– Nie jestem pewny – rzekł nieśmiało – czy będę mógł zrobić to tak prędko, jak pani pragnie. Schodzę do lochów dopiero około południa.

– Idź jak najspieszniej – biegnij, pędź! Bóg da ci natchnienie i Bóg cię wspomże!

Młodzieniec odszedł.

– Czekać będę na ciebie! – zawołała za nim. – Powracaj, aby powiedzieć mi wszystko, nawet najstraszniejszą wieść, której się obawiam!

I złamana zarówno ciałem, jak duszą, upadła na bruk, podczas gdy Johann podążał szybkim krokiem do gmachu więziennego.

Gdy zniknął jej z oczu, zatoneła w tej mglistej otchłani marzeń niejasnych a dręczących, które tyle ucisku wewnętrznego sprawiają, gdy czyjeś życie wisi na włosku i gdy jedna chwila stanowi o śmierci lub ocaleniu.

Przez długi czas nie wychodziła z tego odrętwienia, obojętna zarówno na współczucie, jak i na urągania przechodniów. Jedną tylko rzecz widziała przed sobą: wielką, groźną, w dziwaczne linie powyginaną bryłę gmachu więziennego, która wykreślała się twardo na ciemniejącym stopniowo niebie.

Po pewnym czasie ta bryła stała się już tylko plamą, a plama zlała się w jedno z całkowicie już ciemnym tłem nieba, po czym jasny, srebrzysty promień oświetlił szczyty murów.

Zapadła już noc, a Zilla wciąż oczekiwała.

Spędziła pół dnia na twardych kamieniach ulicy, zatopiona w myślach i nieruchoma, chwilami tylko budząc się z odrętwienia, aby podnieść głowę i zobaczyć, czy Johann nie powraca.

Ale nikt się nie zjawiał.

Noc stawała się coraz ciemniejsza i cichsza, w pobliżu ozwała się grzechotka nocnego stróża, wzywającego do gaszenia światła, i Zilla musiała wyrzec się nadziei otrzymania wiadomości, od której szczęście jej całego życia zawisło.

Wszystkie sprężyny jej duszy poczęły rozhartowywać się i rozluźniać. Podniosła ręce do piersi, którą przeszywał ból ostry, a gdy chciała podnieść się, uczuła nagły zawrót głowy i ponownie upadła na ziemię.

Ta krzepka, wytrwała Cyganka została nareszcie pokonana. Nie pokonały jej wzruszenia, nie pokonała boleść – zwycięstwo odniosła nad nią natura. Uczuła głód i despotyczna władza potrzeb fizycznych, zmuszająca do zajmowania się sobą tych nawet, co innym życie by oddać chcieli, zwróciła chwilowo myśli jej w inną stronę.

Od poprzedniego wieczora Zilla nic w ustach nie miała. Ostatnim wysiłkiem podniosła się z miejsca i wspierając się o mury kamienic, które chwilami zdawały się spod ręki usuwać, zwróciła kroki ku Domowi Cyklopa.

– Aj, skądże to, panienko, powracasz? – powitała ją stara odźwierna, ujrawszy taką bladą, wynędzniałą i chwiejącą się na nogach.

– Cóż to za nieszczęście przytrafiło się panience?

Cyganka nic na pytanie to nie odrzekła i zebrała resztę sił, aby przebyć spadziste schody wiodące do jej mieszkania. Spodziewała się, że wypocząwszy cokolwiek i posiliwszy się, odzyska siły i będzie mogła stanąć do walki z tym samym co poprzedniego dnia męstwem i z tą samą dzielnością. Była to złudna, niestety, nadzieja. Zilla odzyskała wprawdzie nieco sił, ale dreszcze poczęły wstrząsać jej ciałem. Te dreszcze były z początku powierzchowne, później jednak przeniknęły do środka i zlodowaciły ją całą.

Rzuciła się na łóżko, nakryła całym stosem kołder i odzieży, i zamknęła oczy, licząc na to, że sen sprowadzi jej zapomnienie, a więc i ulgę.

Cios jednak, który otrzymała, był zbyt głęboki, aby dać jej mógł choćby chwilę spokoju.

Przez całą noc rzucała się na pościeli, dręczona nieopisanym cierpieniem.

Równocześnie z tymi zapasami ciała z ogarniającą ją słabością, straszniejszą jeszcze walkę toczyła jej dusza. Zilla myślała, że miłość skłoniła ją do popełnienia wielkiego błędu; dla ocalenia tej miłości, dla dogodzenia własnemu tylko szczęściu, przyczyniła się ona do uwięzienia Manuela – a kto wie, czy nie stanie się nawet przyczyną jego śmierci.

Czyż namiętność, choćby najsilniejsza i najgłębsza, jest w stanie usprawiedliwiać taki postęp?

Zamiast szukać hrabiego, zamiast próbować zmiękczyć kamienne serce starosty, zamiast, jednym słowem, chwycić się środków zawodnych i upokarzających, Zilla mogła wystąpić do jawnej walki, uzbrojona przekonującym dowodem, i ogłosić przed światem śmiało i z podniesionym czołem niewinność Manuela.

Wszakże posiada księgę Ben Joela, a przynajmniej wiedziała, gdzie jej szukać i na której karcie znaleźć dowód ocalający ukochanego.

Ale chwycić się tego środka, znaczyło: wyrzec się na zawsze Manuela, zwracając mu jego właściwe imię, tytuły i stanowisko, a egoizm Zilli, egoizm każdej kobiety zakochanej, nie pozwalał jej zdobyć się na tak wielką ofiarę.

Teraz widziała już jasno, że jej namysły i wahania się pozwoliły Rolandowi zabrać się swobodnie do dzieła i rozwinąć jak najszerzej swój plan nikczemny.

– Jeśli Manuel nie żyje – powiedziała sobie – to ja go zamordowałam!

Ta straszna myśl okropnym brzemieniem uciskała jej duszę. Na próżno usiłowała bronić siebie samej przed oskarżającym głosem sumienia – nie udawało się jej to zgoła. Przygniatała ją logika faktów.

– Stało się! – wykrzyknęła wreszcie na głos, jakby całe grono sędziów miało usłyszeć jej rozpaczliwe wyznanie. – Manuel będzie żył, żyć musi! Zniweczyć zdradzieckie dzieło Rolanda, powrócę Ludwikowi de Lembrat nazwisko i majątek jego ojca oraz miłość tej, która w jego sercu zajęła miejsce przede mną.

Brzask poranny rozjaśnił wielkie szklane „oko Cyklopa”, które oświetlało komnatkę Cyganki.

Postanowiła nie zwlekać dłużej z wykonaniem swego postanowienia.

Z trudnością otworzyła powieki i usiłowała podnieść się z łóżka, na które rzuciły ją niemoc i cierpienie.

Głowa ciążyła jej jak z ołowiu. Mimo wysiłku musiała opuścić ją ponownie na poduszkę, a jednocześnie tętna w jej skroniach zaczęły uderzać gwałtownie. Doznała uczucia, jakby obęcz żelazna ścisnęła jej głowę i jakby w oczach miała gorące zarzewie.

Powieki jej zamknęły się ponownie.

Postanowiła przeczekać paroksyzm.

Jakiś lęk dziwny trzymał ją w miejscu, nie pozwalając poruszyć się. Obawiała się, że najłżejszy ruch sprowadzi nowy napad choroby, która ją torturowała.

Jednak w tym ciele złamanym czuwała jeszcze dusza i dusza ta mówiła ciału, aby podniosło się i szło spełnić swoją powinność. Cyganka porwała się z łóżka i jednym skokiem stanęła na nogach.

W tej chwili wydało się jej, że jakiś cios gwałtowny uderzył ją w samo czoło.

Przez chwilę stała w miejscu, jak ogłuszona piorunem; potem wyciągnęła przed siebie ramię i chciała dojść lub choćby dowlec się do miejsca, gdzie była zamknięta księga Ben Joela.

Był to ostatni wysiłek...

Zilla uczuła się pochwycona przez jakiś wir zawrotny, przestała słyszeć i upadła ciężko na podłogę, wydając jęk stłumiony.

Gdy stara odźwierna Domu Cyklopa usłyszała, że bije południe, zdziwiło ją, że nie widzi dotąd wychodzącej ze swego mieszkania Zilli.

Minionej nocy uderzył ją wyraz cierpienia w pobladłej twarzy Cyganki. Jakkolwiek nie odznaczała się bynajmniej sercem czułym, zaniepokoiła się i poszła na górę, aby dowiedzieć się o zdrowie swej mieszkanki.

Zilla wciąż jeszcze leżała na podłodze nieruchoma i nieprzytomna.

Starucha dotknęła jej ręk i czoła. Ręce były lodowate, czoło rozpalone.

Z energią, której niełatwo było domyśleć się w niej, podźwignęła Cygankę obiema rękami i zaniósła, a raczej zaciągnęła na łóżko.

Potem pobiegła po dzbanek z wodą i sądząc, że to proste omdlenie, skropiła obficie twarz Zilli.

Po tym zimnym, kroplistym deszczu chora wstrząsnęła się febrycznie, ale nie otworzyła ani oczu, ani ust.

Odźwierna, nie żartem już przestraszona, zbiegła na dół, wzywając pomocy.

Niebawem zjawił się lekarz, którego sprowadzili Cyganie znajdujący się w izbie noclegowej. Z trudnością przywołał on Zillę do przytomności.

Odzyskała ją wszakże na krótko – gdyż nowy napad gorączki zmógł ostatek jej energii. Wpadła w malignę i lekarz oświadczył, że obawia się o jej życie.

Trzeba było czuwać bez przerwy przy chorej. W nieobecności Ben Joela podjęła się tego odźwierna.

W tymże czasie Johann Müller, wierny danemu przyrzeczeniu, wyczekiwał powrotu Zilli, aby zdać jej sprawę z tego, co zaszło w więzieniu. Poprzedniego dnia obowiązki służby trzymały go na miejscu, nie pozwalając ruszyć się krokiem z więzienia.

Znużyło go wreszcie tak długie oczekiwanie i postanowił wrócić do domu, dziwiąc się szczególnemu postępowaniu dziewczyny, która objawiała na przemian tak wielką troskliwość i tak wielki brak pamięci.

Szczegóły dostarczone Zilli przez młodego strażnika więziennego były najzupełniej dokładne.

Aż do owego dnia w celi Manuela nie pojawił się nikt zgoła prócz hrabiego Rolanda, który przybył tam w wiadomych nam okolicznościach, oraz prześwietnego starosty Jana de Lamothé,

Czas upływał więźniowi bez trwogi, choć i bez nadziei; czuł się tak przygnieciony świadomością nieuniknionego nieszczęścia, że nie był w stanie o losie swym rozmyślać.

Jednostajny żywot więźnia urozmaicały jedynie codzienne odwiedziny dozorczy, który przynosił zwykłą porcję chleba i wody.

W godzinę po bytności Zilli u hrabiego i w tym właśnie czasie, gdy próbowała ona bezskutecznie uzyskać żadaną łaskę u starosty, jakiś człowiek, nigdy tam przedtem nie widywany, przybył do Châtelet.

Człowiek ten okazał odźwiernemu i dozorczy kartę, wydaną hrabiemu Rolandowi przez starostę, po czym puszczono go bezzwłocznie do środka.

Miał on z sobą koszyk, a w nim dwie butelki wina, świeży chleb i pasztet.

Wprowadzono go bez żadnych trudności do celi Manuela, z którym pozostał sam na sam.

Zbyteczne byłoby nadmieniać, że był to wysłannik hrabiego Rolanda.

Otrzymał on od swego pana wskazówki jak najbardziej szczegółowe i tego rodzaju, że nie dopuszczały żadnych podejrzeń.

W chwili gdy ten człowiek wszedł do Manuela, młodzieniec, według zwyczaju, siedział zatopiony w myślach. Na wchodzącego nie zwrócił on żadnej uwagi, nie odwrócił nawet głowy, usłyszawszy otwierane w niezwykłej godzinie drzwi.

Po kilku chwilach jednak, gdy przybysz stał wciąż przed nim, nie odzywając się, Manuel podniósł oczy i jął przyglądać mu się, o ile pozwalała na to ciemność panująca w podziemiu.

– Czego pan chcesz ode mnie? – zapytał wreszcie.

– Osoba, którą los pana obchodzi – odrzekł wysłaniec hrabiego – poleciła mi doręczyć to panu.

Przy tych słowach postawił na ziemi tuż przy Manuelu swój koszyk i dodał:

– Jutro rano i dni następnych będą dostarczane świeże zapasy. Starosta raczył łaskawie zezwolić na to.

– Czy ta posyłka pochodzi od hrabiego de Lembrat?

– Nie, panie – zapewnił służący, odpowiednio pouczony.

– Od Cyrana?

– Nie. Proszę nie dopytywać nadaremnie. Osoba, która to przysyła, pragnie pozostać nie znaną.

Nagła myśl przebiegła przez głowę Manuela.

– Czyżby Gilberta? – pomyślał.

I pilniej jął wpatrywać się w posłańca, którego twarz była mu zresztą najzupełniej obca.

– Na cóż ta tajemnica? – zauważył. – Wyjawiając mi imię tego lub... tej, co o mnie pamięta, cóż pan ryzykujesz? Czy to dama?

– Być może. Powtarzam jednak, niech pan nie żąda ode mnie, abym powiedział, czego mi mówić nie wolno. Żegnaj pana. Do jutra. Nie będzie panu odtąd zbywało na niczym, co może złagodzić przykry pobyt w więzieniu.

Gdy Manuel pozostał znów sam, próbował rozwiązać zagadkę.

Któż to mógł o nim pamiętać?

Bez wątpienia Cyrano. Ale czyż nie oświadczone mu wyraźnie, że szlachetny poeta nie miał żadnego w sprawie tej udziału?

Gilberta? Przez chwilę myślał o niej, a tajemniczość, którą otaczał się posłaniec, mogła być z łatwością usprawiedliwić to przypuszczenie – teraz jednak, gdy rozważał wszystko na zimno, zrozumiał, że było to najzupełniej niemożliwe.

Gilberta była zbyt pilnie strzeżona i zbyt lękająca się surowego ojca, aby mogła się odważyć na tego rodzaju dowód pamięci i życzliwości.

Pozostawała Zilla. Manuel wiedział, że jest winna, podejrzewał – że zazdrosna. Jednak nie mógł zaprzeczyć, że zdolna byłaby do czynu szlachetnego, zwłaszcza gdyby dopomagał on jej pośrednio do osiągnięcia celów egoistycznych.

Manuel, którego zresztą objaśniły o tym słowa Ben Joela, był w prawie zawierzyć życzliwości Zilli i jeśli nie było już dlań tajemnicą, dlaczego Cyganka przyczyniła się do jego zguby, łatwo też pojmował, z jakich pobudek mogłaby starać się o ulżenie w ciężkiej niedoli.

W ogóle chciał on rozwiązać w ten sposób lub inny tajemnicę zagadkowej przesyłki i w braku innego do niej klucza zatrzymał się na ostatnim przypuszczeniu, przypisując doznana uprzejmość zakochanej Cygance.

Zdjęła go wreszcie ciekawość zajrzeć do koszyka, gdzie pomiędzy przysmakami spodziewał się znaleźć starannie ukryty liścik, a w tym liściku ostateczne wyjaśnienie wszystkiego.

Rozłamał chleb, przetrząsnął cały koszyk i nic nie znalazł. Hrabia powstrzymał się prze-zornie od dołączenia listu Zilli. Wówczas zawiedziony, prawie gniewny, odsunął z niechęcią pożywienie, które zresztą, mimo zachęcającego pozoru, wcale go nie nęciło.

Około południa jednak, gdy nadeszła zwykła godzina posiłku, wyciągnął rękę po ten chleb biały i pachnący, który mógł mu zastąpić miejsce zapleśniałego razowca więziennego, ułamał kawałek i zjadł.

Następnie zabrał się do pasztetu, którego połknął już kilka kęsów, gdy wtem drzwi w celi ponownie się otworzyły.

Wszedł Johann Miiller.

Przynosił on więźniowi chleb i wodę.

Młody strażnik postawił latarnię swą na wystającym kamieniu, pożywienie umieścił na ławie w pobliżu więźnia i rzekł:

– Dzień dobry panu. Widzę z przyjemnością, że pan nie potrzebował czekać na mnie z obiadem.

– Dziękuję ci, przyjacielu – odrzekł Manuel ze smutnym uśmiechem. – Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, komu zawdzięczam...

– Nie wiem. Ale czy pan to zna?

Ujął latarnię i przy jej świetle zabłysnął przed oczami Manuela srebrną bransoletą Zilli.

Z łatwym do pojęcia radosnym zdziwieniem młodzieniec pochwycił klejnot, który zresztą znany był mu doskonale.

Ta bransoleta zdawała się potwierdzać wszystkie jego przypuszczenia.

– A więc tak, to Zilla! – rzekł do siebie na głos.

– Jest tam coś napisane – objaśnił strażnik. – Niech pan czyta prędko i jeżeli mogę być panu w czym użyteczny...

Wówczas dopiero Manuel dojrzał znaki, nakreślone na srebrnej obrączce.

Odczytał je bez trudności, zbladł cokolwiek i szepnął:

– Jeśli to prawda, jestem zgubiony.

– Co panu? – zapytał Johann.

– Nic... nic mi nie jest – rzekł więzień, odczytując raz jeszcze pismo Cyganki.

W piśmie tym znajdowały się rzeczy przerażające.

Zilla uprzedzała Manuela, aby się miał na ostrożności. Donosiła mu o skradzionej przez hrabiego truciznie i błagała, aby nie dotykał jedzenia, które tego rana przyniesie mu służący Rolanda.

Otóż właśnie jedzenia tego Manuel już skosztował.

– Jestem zgubiony! – powtórzył.

Jednak nie uczuwał jeszcze żadnych cierpień, trucizna zaś, o której mu donoszono, działała piorunująco.

Wzrok jego padł wówczas na koszyk, w którym spoczywały jeszcze nie tknięte dwie butelki wina.

Wziął jedną, utracił szyjkę o kamień, umaczał w płynie palec i dotknął nim warg.

Uczuł natychmiast jakby sparzenie i cisnął daleko od siebie butelkę, która rozbiła się na kamiennej posadzce.

Zaraz potem chwycił dzbanek i napił się wody.

Johann przyglądał się temu wszystkiemu z niezmiernym zdziwieniem i ciekawością.

– Cóż się tu dzieje? – ośmielił się wreszcie zapytać.

– Nic wielkiego! – zaśmiał się gorzko więzień. – Stwierdzono raz jeszcze, mój przyjacielu, że jestem w samej rzeczy wicehrabią Ludwikiem de Lembrat. Proszę cię, powtórz to człowiekowi, który przychodził tu dziś rano, i niech słowa te zanieś swemu panu. Wystarczy to, aby tu już więcej noga jego nie postąpiła. A co do ciebie, bądź pewny, że nie zapomnę do końca życia przysługi, jaką mi wyświadczyłeś, przynosząc tę bransoletkę.

– To była przysługa?
– Ocaliłeś mi po prostu życie.
– Więc to wino...
– Zachowaj to wszystko w najgłębszej tajemnicy. Poprzestań jedynie na wypełnieniu zlecenia, które ci daję. Później, być może, zażądam twego świadectwa. A gdy wydostanę się na wolność, bo mam nadzieję, że to prędzej lub później nastąpi, potrafię wynagrodzić ci okazaną mi życzliwość.
Po odejściu strażnika Manuel wyjął z kosza pozostałą butelkę i ukrył w kącie swej celi.
Następnego dnia poseł hrabiego de Lembrat przybył do Châtelet — z próżnymi rękami.
– Przybywam po to tylko – oświadczył nie pytany – aby dowiedzieć się, co słyhać nowego.
Odpowiedzi na to pytanie udzielił mu Johann wedle wskazówek otrzymanych od Manuela. Człowiek ten, który naturalnie o niczym nie wiedział, zaniósł ją z kolei swemu panu.
Hrabia wydał pomruk wściekłego gniewu.
– Wymieniłeś zatem przed więźniem moje nazwisko? – zapytał.
– Bynajmniej. Jaśnie pan zabronił mi tego surowo.
– Jakże więc... Ale dość. Idź precz!
Służący, przerażony straszną miną Rolanda, spełnił czym prędzej ten rozkaz.
– Któż to mnie zdradził? – zadał sobie pytanie hrabia, pozostawszy sam. – Manuel żyje i z głębi swego podziemia wygraża mi. Jutro, być może, oskarży mnie. Wielki już czas położyć koniec przewlekłej procedurze sądów starościńskich.
Zadzwoił gwałtownie, kazał zaprzęgać do karety i udał się do prześwietnego Jana de Lamothe.

XXXV

Wszystkie te wypadki odbywały się w tym czasie, gdy Cyrano więziony był w Tuluzie, gdy Castillan upędzał się po gościńcach i gdy Ben Joel dokonywał zamachu na dokument powierzony czujności proboszcza – zamachu, który – jak wiemy – całkowicie mu się nie udał.

Gdy Cygan, szczęśliwy, że wywinął się bez szwanku z groźnego uścisku księdza Jakuba, znalazł się już dość daleko, aby czuć się bezpiecznym, usiadł nad drogą i jął rozmyślać nad swym położeniem.

Nie przedstawiało się ono w tej chwili wesoło.

Przede wszystkim nie miał prawie wcale pieniędzy. Rinaldo nie dawał żadnej wieści o sobie, a zresztą, choćby się z nim połączył, to po to jedynie, aby wysłuchać wymówek za niezręczność.

Nic zresztą nie wiedział o obecności prawdziwego Castillana w Saint-Sernin.

Gdy już narozmyślał się do syta, przyszedł w ostatecznym wniosku do przekonania, że najlepiej uczyni, jeśli uda się do Paryża i postara się – jeśli to będzie jeszcze możliwe – o nowe porozumienie z Rolandem.

Roztropny służący hrabiego Rolanda przed rozstaniem się z Ben Joelem pozostawił mu dokładną wskazówkę dotyczącą drogi, którą miał się udać. Tą drogą sam też miał pospieszyć, gdyby okoliczności zmusiły go zawrócić do Perigord.

Ben Joel ruszył więc szparko we wskazanym sobie kierunku, nie przewidując, że o kęs drogi czeka go przyjemna niespodzianka.

Szedł od dwóch godzin zaledwie, gdy na skraju horyzontu ukazał mu się jeździec pędzący co koń wyskoczy. Tknięty przeczuciem Cygan zatrzymał się. Gdy jeździec, powściągając

niecio rozpęd wierzchowca, przybliżył się na pół strzału pistoletowego, Ben Joel wydał okrzyk radości.

Poznał Rinalda.

Pełnomocnik hrabiego de Lembrat, po odegraniu w Colignac sławnej roli delegata starościńskiego, odbywał dalej z pośpiechem swą drogę.

Zamiarem jego było najpierw udać się do Saint-Sernin, aby dowiedzieć się o powodzeniu Ben Joela, następnie dotrzeć aż do Gardony, gdzie ciągnęła go chęć przyjrzenia się oczyma właściciela tej pięknej posiadłości, którą hrabia Roland przyrzekł mu w nagrodę usług.

Radosnemu okrzykowi Ben Joela odpowiedział takież okrzyk Rinalda.

Jeździec zsiadł z konia i wyciągnął rękę do sprzymierzeńca.

– Spodziewam się, że już wszystko skończone? – rzekł. Ben Joel skrzywił się.

– Skończone? – powtórzył. – Zdaje się, że jeszcze nie.

I wysuwając na pierwszy plan wszystko, co mogło stanowić dlań okoliczności łagodzące, opowiedział Rinaldowi wypadki dzisiejszego rana.

– Ach, niedołego! – zawołał Rinaldo z gniewem. – Popsuleś wszystko przez zbyteczny pośpiech!

– Wypadało koniecznie śpieszyć się. Proboszcz oczekiwał z dnia na dzień Cyrana.

– Poczekaj na niego długo!

Z kolei zdał sprawę ze swych czynności Rinaldo. Opowiedział o wielkich dokonanych przez siebie dziełach, a Ben Joel wysłuchawszy opowiadania musiał przyznać, że w istocie zanadto się pośpieszył.

– Jednakże – oświadczył na zakończenie – nie mam sobie nic do wyrzucenia, nie wiedziałem bowiem, że Bergerac jest przez ciebie unieruchomiony. Z drugiej strony obawiałem się przybycia Castellana.

– Mistrz, jak sądzę, jest dla nas w tej chwili tak samo niegroźny, jak jego sługa. A zatem wykonać nam trzeba jeszcze jedno natarcie i raz wreszcie położyć sprawie tej koniec. Dziś wieczorem wyruszamy do Saint-Sernin.

Wspólnicy weszli do pobliskiej oberży i kazali podać sobie obfity posiłek.

Siedzieli za stołem długo, tak długo, aż światło dnia przygasło i wieczór zapadł.

Gdy już ściemniło się zupełnie, postanowili udać się w drogę.

W tej chwili dwa konie przebiegły gościńcem w pełnym galopie i zwróciły ich uwagę.

W mroku dojrzeli niewyraźne kształty jeźdźców, pochylonych i prawie leżących koniom na karkach.

– A to im pilno! – zauważył obojętnie Rinaldo, dopijając swego kieliszka. – Idźmy za ich przykładem, kolego Ben Joelu, i nie traćmy drogiego czasu. Wyłożę ci w drodze, w jaki sposób zamierzam zakończyć tę całą awanturę.

Sługa hrabiowski posadził Cygana za sobą i ruszyli obaj drogą do Saint-Sernin.

Trzeba im było godziny, aby nie spiesząc się zbytecznie, mogli drogę tę przebyć.

Jadąc rozmawiali.

– Jakież jest twój plan? – zapytał Ben Joel.

– Bardzo prosty. Czy znasz dom proboszcza?

– Od piwnicy do stychu i w najdrobniejszych szczegółach.

– Czy wiesz, gdzie przechowuje on pismo hrabiego de Lembrat?

– W dębowej szafie za łóżkiem.

– Doskonale! Otóż należy jedynie wywabić klechę tej nocy pod jakimkolwiek pozorem z domu i podczas jego nieobecności przetrząsnąć dobrze ową kryjówkę.

– Wywabić go z domu? To nie będzie łatwe do zrobienia.

– Dlaczego? Alboż nie jest ojcem duchownym swych parafian i gdy go wezwą do łoża jednego z nich, czyż będzie mógł odmówić?

– Aby go wziąć na tę wędę, trzeba znać kogoś w Saint-Sernin, a my nie mamy tam żadnych znajomości.

– Jest tam jakaś oberża.

– Tak; nie widzę jednak...

– Przed przybyciem do oberży – ciągnął nie słuchając go Rinaldo – owinę cię szczelnie swym płaszczem. Od tego czasu nie będzie ci wolno otwierać ust, chyba tylko dla wydania żalosego jęku. Po przybyciu położę cię natychmiast do łóżka. Powiem gospodarzowi, że cię znalazł na drodze, niedaleko stamtąd, umierającego i zażądam, aby sprowadzono księdza do wyprawienia cię na drogę wieczności.

– Rozumiem – rzekł Ben Joel. – Proboszcz przybywa z pośpiechem, aby wypełnić swój święty obowiązek; my czekamy na niego zaczajeni za drzwiami ze sztyletami w rękach i gdy się zjawi, kładziemy go trupem.

– Poczekaj no jeszcze. Ten klecha jest podobno krzepki w sobie?

– Istny Herkules!

– W takim razie nie trzeba nożów. Moglibyśmy chybić i wszystko byłoby stracone. Trzeba zaraz w pierwszej chwili uniemożliwić mu wołanie o pomoc i czynienie jakiegokolwiek hałasu. Tę czynność mnie pozostaw. Nie chciałbym zresztą psuć dzieła rozlewając krew, z czego prędzej lub później musiałbym się tłumaczyć. Nabawiłoby mnie to niepotrzebnych kłopotów i byłoby dla mnie wcale niepożądane, tu zwłaszcza, gdzie zamyślam z czasem osiąść na stałe.

– Niech i tak będzie! – zgodził się Ben Joel, ustępując towarzyszowi cały zaszczyt prowadzenia dzieła.

Była dziewiąta wieczorem, gdy sprzymierzeńcy dotarli do Saint-Sernin.

– Gdzie oberża? – było pierwsze pytanie Rinalda.

– Na placu przy kościele.

– To znaczy zarazem bardzo daleko i bardzo blisko. Daleko dla potrzebujących prędkiego wypoczynku; blisko dla tych, którym pilno do proboszcza. Wolałbym coś pośredniego.

Ben Joel nie odpowiedział. Oczy jego zagłębiły się w ciemności, usiłując ją przeniknąć.

– Patrz! – rzekł po chwili, wskazując małe światełko, które drżało w oddaleniu.

– Widzę. Cóż z tego?

– To światło pali się w małym, samotnym domku na końcu tej drogi. Nie jedźmy dalej.

Rinaldo usłuchał rady i wstrzymał konia. Zsiadł następnie, aby zrobić przygotowania do komedii, która miała być za chwilę odegrana.

Ben Joel został zawinięty w płaszcz towarzysza i położony na koniu, którego Rinaldo ujął za uzdę i pociągnął w stronę owego domu.

Była to lepianka nader skromnej powierzchowności, niziuchna, porośnięta mchem i w ziemię zapadła.

Rinaldo zapukał silnie do drzwi, wołając:

– Jeśliście dobrzy chrześcijanie, otwórzcie, otwórzcie jak najprędzej!

Mieszkaniec lepianki był zbyt wielkim biedakiem, aby obawiać się złodziejów. Wezwanie, choć bardzo gwałtowne, wcale go nie zaniepokoiło.

Otworzył bez namysłu i podnosząc do góry swą kopczą lampkę zapytał:

– Czego chcecie?

– Schronienia na tę noc. Jadę do Fougerolles; na gościńcu, o pół mili stąd, znalazłem tego biedaka dogorywającego. Jeżeli jeszcze nie umarł, należy mu się z pewnością niewiele.

– Wejdźcie – rzekł po prostu wieśniak.

I zbliżył się do konia, aby dopomóc Rinaldowi w przeniesieniu chorego, który niebawem złożony został w izbie na niskim, liśćmi wysłanym łóżku.

Ben Joel, przejmujący się dokładnie każdą rolą, wydał w tej chwili słabe westchnienie.

– Jeszcze żyje – zauważył wieśniak. – Trzeba go ratować. Czy wiecie, co mu jest? Może raniony?

– Nie – odrzekł Rinaldo. – Myślę, że to uderzenie krwi do głowy. Już podobno niewiele mu się należy i najlepiej byłoby sprowadzić do niego księdza.

I rozglądając się po izbie, dodał:

– Czy nie masz, przyjacielu, nieco lepszego łóżka dla tego biedaka? Wynagrodziłbym cię za nie.

– Nie, mam tylko jedno. Ale je chętnie odstąpię W takiej potrzebie.

– Zgoda. Będiesz zapłacony za swą poczciwość. Teraz pomyślmy o zbawieniu tej duszy chrześcijańskiej.

– Słusznie. Skoczę duchem po księdza proboszcza.

– Zrób to jak najprędzej – rzekł Rinaldo.

Pochylił się nad leżącym Ben Joelem i dodał:

– Bardzo z nim źle. Spieszyć się trzeba.

Wieśniak wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Ben Joel usiadł na pościeli i rzekł:

– Obawiam się, przyjacielu Rinaldo, że przedsięwzięliśmy rzecz wielce ryzykowną.

– Tak sądzisz?

– Bez wątpienia. Ten wieśniak zwróci się przeciw nam i będzie bronił księdza.

– Postaramy się oddalić go w chwili stanowczej. Połóż się i bądź cicho.

W kilku słowach Rinaldo przedstawił towarzyszewi swój plan, następnie jął przygotowywać jego wykonanie.

Dwaj zbóje znaleźli wkrótce wszystko, co im było potrzebne. W ciągu pół godziny po odejściu wieśniaka zdążyli skończyć całkowicie przygotowania.

Oczekiwali teraz na przyjście proboszcza.

Aby przedsięwziąć rzecz tak zuchwałą i niebezpieczną, trzeba było być przygotowanym na wszystko i posiadać dokładną znajomość sztuki zbójckiej.

Zbóje mieli przeciw sobie niepospolitą siłę księdza Jakuba; jedyną zaś okolicznością sprzyjającą im było zaufanie, jakie prawdopodobnie bajka ich potrafi wzbudzić w proboszczu.

Przed wszystkim jednak mieli wiarę w powodzenie zamachu.

Rinaldo odemknął nieco drzwi i jął nadłuchiwać.

Niebawem dały się słyszeć głosy nadchodzących ludzi.

– Udało nam się! – szepnął z radością. – Kolego Ben Joelu, nie zapomnij swej roli.

I nie mogąc już opanować niecierpliwości, otworzył drzwi na całą szerokość i wyszedł na spotkanie wieśniaka i księdza.

– I cóż? – spytał zwracając się doń proboszcz, uprzedzony już o wszystkim – jakże się miewa chory?

– Nie mówi i nie porusza się, sądzę jednak, że jeszcze słyszy. Niech mi ksiądz proboszcz wybaczy łaskawie, żem go trudził o tak późnej godzinie.

– Mniejsza o to, byleby nie spóźnił się.

– Proszę wejść – rzekł Rinaldo. – Ty zaś, przyjacielu – zwrócił się do wieśniaka, wciskając mu w rękę złoty pieniądz – bądź łaskaw zająć się moim koniem. Widziałem niedaleko stąd jakąś opuszczoną szopę, będzie mu tam dobrze. Trzeba go tylko rozkiełznać i napić.

– Zrobi się wszystko jak najlepiej – oświadczył wieśniak, olśniony hojnością nieznajomego.

I odszedł, pozostawiając księdza sam na sam ze zbójem.

Proboszcz bez żadnej obawy wstąpił do chaty.

Przy niepewnym świetelku lampy widać było nieruchome ciało Cygana, spoczywające na pościeli z liści.

Czarne gęste włosy zasłaniały mu górną połowę twarzy, reszta nikięła pod naciągniętym wysoko płaszczem. Widoczne były tylko ręce, leżące na wierzchu i gotowe do pochwylenia ofiary.

W ciemnicy tej ksiądz Jakub zaledwie rozróżniał przedmioty.

Rinaldo wskazał mu łoże.

– Oto ten nieszczęśliwy, księżę dobrodzieju.

Jakub Szablisty ukląkł i pochylił się nad leżącym, zapytując silnym głosem:

– Czy słyszysz mnie, mój bracie?

W tejże chwili, z błyskawiczną szybkością, Cygan pochwycił księdza za gardło, a Rinaldo rzucił się nań z tyłu.

Zbój, korzystając z zupełnej bezwładności napadniętego, zarzucił nań sznur mocny w rodzaju lassa i podczas gdy Ben Joel ścisnął mu gardło jakby żelaznymi kleszczami, skrępował silnie ręce i nogi proboszcza.

Gwałtowne miotania się, wywołane chęcią obrony, wstrząsały co kilka chwil tymi trzema ludźmi, jakby w jeden silny węzeł splątanymi, Cygan jednak nie puszczał ofiary, a Rinaldo w związywaniu jej nie ustawał.

Ruchy skrępowanego stawały się coraz słabsze i wolniejsze; gałki oczów, krwią nabiegłe, zdawały się wychodzić mu z głowy, a krtań, zbyt długo ściskana, przestała już chwytać i przepuszczać powietrze.

Wówczas też dopiero Rinaldo zakneblował mu silnie usta.

Walka nie trwała dłużej nad minutę.

Ksiądz uległ.

Ben Joel i Rinaldo rzucili go na łoże. Już go się wcale obawiać nie potrzebowali. – Teraz zajmijmy się tamtym – rozkazał Rinaldo.

Wyszli obaj. Wieśniak powracał właśnie do chaty.

Z tym mieli znacznie mniej kłopotu. Był to zresztą starzec, bronić się niezdolny. Rinaldo, nic nie mówiąc, zarzucił mu swój płaszcz na głowę, przewrócił go na ziemię i wcisnął mu w usta knebel; jednocześnie Ben Joel związał mu ręce i nogi.

Zaniesiono następnie starca do szopy i położono na słomie tuż przy koniu Rinalda.

– Nie potrzebujesz niczego obawiać się – szepnął mu ten ostatni do ucha odchodząc. – Śpij sobie spokojnie do jutra.

Pozostawił w szopie wierzchowca, który w tej chwili byłby mu tylko zawadą, i rzekł do Ben Joela:

– Pole oczyszczone. A teraz – żywo do plebanii!

XXXVI

Najgłębszy spokój panował dokoła Saint-Sernin. W samej wiosce wszystko spoczywało w śnie i milczeniu. W żadnym oknie światło nie płonęło, a że i na chmurnym niebie nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc, trzeba więc było dobrze znać miejscowość, aby nie zbłądzić wśród ciemności.

Ben Joel służył towarzyszewi swemu za przewodnika. Dostali się obaj nie bez trudności na plac przed kościołem, nie spotkawszy żywej duszy na drodze. Kilkadziesiąt kroków zaledwie dzieliło ich od plebanii.

Przed wykonaniem zamachu, który w ich przekonaniu miał już być ostatnim i wieńczącym całe dzieło, zbójce odbyli małą naradę.

Dwiema drogami mogli byli dostać się do mieszkania księdza: przez drzwi i przez okno.

Drzwi były krzepkie, z podwójnych desek dębowych i prawdopodobnie stawiałyby silny opór. Mogli byli w ostateczności zapukać do tych drzwi, po czym otworzyłaby je gospodyni, z którą łatwo by im przyszło załatwić się.

Ale krzyki służącej zbudziłyby sąsiadów i sprowadziłyby im na kark całą ludność wioski. Pozostawało okno.

To okno Ben Joel znał dobrze. Tędy właśnie owego ranka wyszedł, a właściwie został wyrzucony z gościny u proboszcza.

Przystęp do okna nie był trudny. Co więcej, wejście nim przedstawiało tę ważną korzyść, że wprowadzało ono od razu do sypialni księdza.

– A więc oknem! – postanowił Rinaldo, gdy mu towarzysz okoliczności te przełożył.

– Potrzebne światło! – zauważył Cygan.

– Już o tym pomyślałem.

– Masz latarkę?

– Nie, lecz mam krzesiwo; z chaty zaś wieśniaka wziąłem trochę pakuł. Wystarczy nam to, zanim odszukamy lampę.

Podsunęli się pod sam mur plebanii.

Rinaldo oddał wówczas Ben Joelowi też samą przysługę, jakiej niedawno w tym miejscu zażądała Marota od Castellana. Nadstawił plecy, po których tamten wspiał się do okna.

Cygan, trzymając się muru, stanął w zagłębieniu framugi i całą siłą nacisnął ramę okna, która nacisku nie wytrzymała, gdyż osłabiło ją już niedawne pchnięcie potężnego księżowskiego ramienia.

Okno otworzyło się na całą szerokość.

W tejże chwili dał się słyszeć w pokoju ruch jakiś, którego Cygan, zajęty swą robotą, nie zauważył.

– Dalej – hop! – zawołał przyciszonym głosem, wyciągając rękę do Rinalda.

Ben Joel był bardzo silny i sługa Lembrata bez obawy sile jego zufała. Pochwycił jego rękę i szarpnięty silnie w górę wsparł się stopami o mur. Następnie Cygan wciągnął go obiema rękami do pokoju.

– Do roboty! – rzekł Rinaldo, gdy tylko poczuł grunt pod stopami.

Podczas gdy Ben Joel błądził po sypialni, szukając po omacku lampy, Rinaldo zatlił za pomocą krzesiwa pakuły.

Po chwili znaleźli i zapalili lampę, a gdy tylko płomień jej zabłysnął, rozejrzeli się instynktownie dokoła siebie.

Firanki nad łóżkiem były zasunięte i lekki podmuch – zapewne wiatru wpadającego przez otwarte okno – zdawał się nieznacznie je poruszać.

Ben Joel wskazał towarzyszowi palcem szafę dębową.

– Tam? – zapytał Rinaldo.

– Tak.

Ben Joel wziął lampę i skierował się w stronę łóżka. Rinaldo postępował zaraz za nim. Nagle obaj stanęli w miejscu, skamieniali z przerażenia.

Firanki poruszyły się żywiej i widoczne było, że już tym razem nie od wiatru.

Jednocześnie w głębi pokoju dał się słyszeć suchy trzask – trzask odwodzonego kurka od pistoletu.

Rinaldo stanął, zatrzymując Ben Joela i wyciągnął do połowy z pochwy sztylet.

Z ręką na główicy sztyletu zatopił w łóżku wzrok przenikliwy – wzrok strzelca badającego oczyma krzak, w którym domyśla się ukrytej zwierzyny.

Ale w pokoju zapanowała na powrót cisza głęboka.

I jak myśliwy, omylony w przewidywaniach, Rinaldo szepnął pogardliwie:

– Nic tam nie ma.

W chwili gdy zabierał się iść dalej, firanki przy łóżku rozsunęły się gwałtownie i wychyliła się spomiędzy nich postać groźna.

– I cóż, panowie? – przemówiła ta postać – decydujcie się! Już od kwadransa obserwuję was, chcąc dowiedzieć się o celu waszych miłych odwiedzin!

Przy tych słowach zeskoczył z łóżka Cyrano, zupełnie ubrany, ze szpadą w jednej ręce, z pistoletem w drugiej i postąpił śmiało ku zbójcom.

Nie mogąc wymówić ani jednego słowa groźby lub tłumaczenia, takim strachem śmiertelnym przejęło ich to zjawisko, cofnęli się w przeciwny koniec pokoju.

– Jakubie! Jakubie! – zakrzyknął na cały głos Cyrano.

Rinaldo i Ben Joel odzyskali w jednej chwili zimną krew.

– Nie wzywaj pan daremnie księdza proboszcza – odezwał się szydersko Cygan – zajęty jest w tej chwili gdzie indziej.

– A!—zawołał jednocześnie sługa hrabiego Rolanda—bardzo nam przyjemnie spotkać tu pana, panie Cyrano.

I wydobywszy nieznacznie pistolet, zmierzył prosto w poetę i wystrzelił.

Długa krwawa kresa wystąpiła na policzku Cyrana.

Śmierć zajrzała mu w same oczy.

Rzucił się w stronę okna, aby przeciąć łotrom odwrót, a jednocześnie, nie celując prawie, nacisnął cyngiel pistoletu.

Straszny krzyk wściekłości, przytłumiony w tejże chwili głuchym jękiem, odpowiedział na huk jego wystrzału.

Jednocześnie rozległ się łoskot padającego na podłogę ciała.

Zanim Cyrano mógł rozpoznać, który to z wrogów poległ od jego kuli, lampa została zrzucona na ziemię i zgasła.

Poeta przybrał postawę obronną i czekał.

W mroku nic się nie poruszało i najłżejszy głos nie wychodził znikąd – prócz słabych westchnień, wydawanych przez ranionego.

– Poddaj się! – zawołał rozkazująco poeta.

Szmer oddalających się szybko kroków był odpowiedzią na to wezwanie.

Kroki te zmierzały w stronę drzwi. Cyrano uderzył kilkakrotnie z całej siły nogą w podłogę.

Głos jakiś odpowiedział mu z dołu, a w chwilę później drzwi otworzyły się i stanął w progu Castillan z lampą w ręce.

– Długo budzić cię trzeba! – rzekł z gniewem poeta.

Sulpicjusz nie miał czasu odpowiedzieć.

Ben Joel rzucił się na niego z podniesionym nożem, torując sobie przejście.

Castillan w braku broni przytknął mu do samej twarzy płonąca lampę.

Olśniony i oparzony Cygan rzucił się w tył i wprost upadł w ramiona Cyrana, który ścisnął go krzepko, przywołując Castillana do pomocy.

Sulpicjusz postawił lampę na stole i zabrał się również do Ben Joela, który w mgnieniu oka został rozbrojony i związany, i nie mógł już niczym przeciwnikom swym zagrażać.

Wówczas dopiero Cyrano zajął się Rinaldem. Leżał on z twarzą zwróconą do ziemi; na podłodze przy nim połyskiwała kałuża krwi.

– Nie żyje, zdaje się! – rzekł poeta. – A to byłaby szkoda. Zmusilibyśmy go do mówienia.

Raniony głucho zajęczał.

Cyrano uniósł go i rozpiął mu kaftan na piersiach.

Rinaldo ugodzony został w lewą stronę piersi.

– Zgubiony! – szepnął do siebie poeta, który znał się na ranach. – Próbujmy jednak przywrócić go do przytomności.

Złożono umierającego na łóżku, po czym Cyrano przypomniał sobie księdza i zaniepokoił się o niego.

– Gdzie Jakub? – zapytał. – Czyżby piekielny hałas, który tu czyniliśmy, nie był w stanie go przebudzić?

Castillan pobiegł do małej izdebki, gdzie proboszcz udał się na spoczynek, odstępując swoje łóżko przyjacielowi.

Wiemy już, że nie mógł znaleźć w niej nikogo...

Cyrano w jednej chwili zrozumiał czy też domyślił się, co się stało.

Pochwycił drugi pistolet, nabił go i przystąpiwszy do Ben Joela, który leżał związany na podłodze, rzekł zimno:

– Gdzie ksiądz? Jeżeli nie odpowiesz, zanim zmówię „Ojczy nasz”, damę słowo szlachcica, że łeb ci roztrzaskam!

Ben Joel znajdował się w położeniu, w którym trudno odmawiać. Wzrok Cyrana wyraźniej jeszcze niż jego słowa upewniał go, że ta pogróżka nie jest czczą. Wyznał zatem wszystko.

Gospodyni i Marota, które prawie od samego początku tej sceny znajdowały się w sąsiednim pokoju, otrzymały natychmiast polecenie, aby razem z Castillanem pośpieszyły na pomoc księdzu Jakubowi.

Cyrano pozostał sam na straży więźnia i ranionego, uważając za obowiązek zaopiekowanie się tym ostatnim.

W tym miejscu wyjaśnić należy zagadkę niespodziewanego powrotu Sawiniusza.

Wtrącony w Tuluzie do więzienia, mógł był tam siedzieć bardzo długo z przyczyny nadzwyczajnej opieszłości ówczesnej procedury sądowej, gdyby nie to, że pierwszy akt tej tragikomedii rozegrał się przed oczyma hrabiego de Colignac.

Ten ostatni zaraz po powrocie do zamku nie omieszkał zasięgnąć u wójta wiadomości o przebiegu całej sprawy.

Sławetny Cadignan, dumny ze swej zdobyczy, opowiedział z przechwałkami o wszystkim, nie wyłączając ucieczki spod klucza.

Ostatni szczegół uspokoił hrabiego, który w ciągu trzech dni nie kłopotał się o przyjaciela, wiedząc, że po odzyskaniu wolności łatwo da sobie radę...

Ale czwartego dnia rano przybył do zamku wójt i z nadzwyczajną radością, której nie starał się nawet ukrywać, oświadczył:

– A widzi wielmożny pan, że miałem słuszność, przestrzegając wielmożnego pana przed tamtym gościem. To jest wielki przestępca, wielmożny panie! Dowiodą tego wielmożnemu panu sędziowie z Tuluzy!

– Co pleciesz, mości wójcie! Cyrano potrafił zadrwić z was i dziś już nie dosięgnie go wasza głupota.

– Nieprawda! Drapnął z Colignac, ale go przyłapali w Tuluzie, gdzie siedzi za kratą i czeka na spalenie.

– Niech diabli spalą ciebie razem z twymi przyjaciółmi! – zaklął nie żartem już rozgniewany hrabia.

I nie zwlekając, zaraz po wyproszeniu za drzwi wójta, kazał zaprzęgać i pośpieszył do Tuluzy.

Stosunki miał tam wielkie, dzięki czemu w ciągu dwóch dni potrafił naprawić wszystko, co głupi wójt nabroił, i uzyskał uwolnienie Sawiniusza.

Doznane przeciwności w najwyższym stopniu rozdrażniły tego ostatniego, który cierpiał najbardziej z tej przyczyny, że tyle czasu stracił nadaremnie.

Hrabia dobrze nabił kiesę, którą tuluzkańscy przedstawiciele sprawiedliwości do dna wypróżnili, podarował przyjacielowi jednego ze swych najlepszych koni i wyprawił go do Saint-Sernin.

Marota spotkała Cyrana na drodze, nietrudno zaś jej przyszło poznać go z portretu, jaki nakreślił jej Castillan.

Zresztą z wrodzoną sobie śmiałością zapytała go o nazwisko, a okazawszy kartę Sulpicjusza, łatwo skłoniła do pośpiesznej jazdy.

Poeta i Cyganka przybyli jeszcze tego samego dnia wieczorem do Saint-Sernin. Ich to właśnie spostrzegli, ale nie poznali, Ben Joel i Rinaldo, gdy kończyli ucztować w przydrożnej oberży.

W tej chwili Ben Joel leżał skrępowany i bezwładny, Rinaldo zaś dogorywał; Cyrano przeto miał prawo nazywać się panem położenia.

Nie zapomniał on jednak, że walka nie zakończona jeszcze i że Manuel przebywa w więzieniu, a Roland triumfuje.

Teraz już nie lękał się zapasów. Alboż nie miał w rękach pisma hrabiego de Lembrat, tej najstraszniejszej broni przeciwko hrabiemu Rolandowi?

Była pierwsza po północy, gdy Castillan powrócił, prowadząc z sobą księdza Jakuba.

Proboszcz był niezmiernie zawstydzony swą porażką; pozwolił, aby dwaj nędznicy wywiedli go w pole jak dziecko.

Cyrano pocieszał go, jak mógł i oznajmił mu wreszcie, że licha komedia, której padł ofiarą, zmieniła się w rzeczywistość.

Przed kilku godzinami wzywano księdza do umierającego, który okazał się naprawdę zdrowy i silny; teraz będzie świadkiem chwil rzeczywistości ostatnich jednego z autorów owej zasadzki.

Ben Joela zamknięto w małej, pozbawionej okien piwniczce, gdzie miał czekać cierpliwie na zmiłowanie Bergeraka; trzej zaś przyjaciele, to jest: Sawiniusz, Jakub i Castillan, skupili się przy łożu, na którym spoczywał Rinaldo.

Już od kilku chwil służący odzyskał przytomność i przerażone jego oczy błądziły dokoła, przenosząc się z jednego na drugiego z obecnych. Niewątpliwie umysł jego, zmieszany zbliżającą się śmiercią, nie pozwalał mu zdawać sobie dokładnej sprawy z tego, co miał przed sobą.

Zdawało mu się może, iż marzy, i brał za wytwór sennej wyobraźni rzeczywiste istoty, które stały przed nim i przemawiały do niego.

Cyrano hipnotyzował go bystrym, utkwionym weń wzrokiem, ale pod siłą tego wzroku umierający odzyskał chwilowo świadomość obecności.

Żrenice jego zabłyśły, brwi ściągnęły się, zdradzając wysiłek myśli, z piersi wydarło się głębokie, przeciągłe westchnienie.

Cierpiał, a razem z cierpieniem powróciła mu przytomność.

– Panie Cyrano! – odezwał się głosem tak słabym, że w uszach słuchaczy brzmiał jak szmer niewyraźny.

Sawiniusz przystąpił i kładąc dłoń na jego ręce, jakby dla przekonania go, że ma do czynienia z człowiekiem żyjącym, nie z cieniem, przemówił uroczyście:

– Stoisz w obliczu śmierci, Rinaldo. Pojednaj się z Bogiem. Pozostawi ci on, spodziewam się, dość czasu, abyś mógł naprawić wyrządzone innym krzywdy.

Teraz przyszła kolej na księdza Jakuba, który przystąpił do umierającego, spełniając obowiązki kapłański.

Castillan i Sawiniusz usunęli się chwilowo na stronę i kapłan mógł wysłuchać spowiedzi Rinalda.

W tej strasznej i wzniosłej chwili, gdy nędznik czuł, że ma ziemię opuścić i że czeka nań groźna otchłań wieczności, duch jego ugiął się pod ciężarem spóźnionych wyrzutów sumienia.

Usta jego, przywykłe do bluźnierstwa, szeptały instynktownie słowa modlitwy, a on sam wpatrywał się wzrokiem winowajcy, który oczekuje od sędziów wolności lub potępienia.

Gdy Rinaldo dał już odpowiedź na wszystkie pytania spowiednika, gdy usta księdza odmówiły nad nim ostatnią modlitwę i udzieliły ostatniego błogosławieństwa, Castillan i Sawiniusz przywołani zostali z powrotem do pokoju.

– Człowiek ten – oświadczył im kapłan – umiera skruszony, żałujący za grzechy i rozgrzeszony. Co chcecie, aby dla was jeszcze uczynił?

– Czy jesteś w stanie pisać? – zapytał Sawiniusz umierającego. Rinaldo uczynił głową znak przeczący.

– A podpisać się potrafisz? – zadał poeta nowe pytanie.

Rinaldo gestem potwierdził.

– W takim razie spiszę przy tobie twój testament, twą wolę ostatnią.

Rinaldo roześmiał się gorzko.

– Chyba moje wyznanie – szepnął.

– Tak, wyznanie. Zanim staniesz przed potężnym sądem Boga, pozostawisz w naszych rękach świadectwo, stwierdzające występne knowania, których hrabia de Lembrat był twórcą, a ty wykonawcą; poświadczysz istnienie dowodów okazujących niewinność Manuela, tych dowodów, które hrabia zniszczył czy też ukrył i odejdziesz z tego świata z sumieniem czystym, z duszą z brudów ziemskich omytą, z przeświadczeniem, że pozostawiasz nam środek naprawienia krzywd i niesprawiedliwości, do których spełnienia pośrednio się przyczyniłeś.

Rinaldo zebrał siły, aby dopełnić żądanego aktu.

Opowiedział jak najwierniej wszystko, co zaszło od chwili, gdy w pałacu hrabiego de Lembrat zamieszkał Manuel; odsłonił wszystkie podstępny i wyjawiał wszystkie tajemnice swego pana.

W miarę jak mówił, Cyrano wyznania jego spisywał.

Gdy skończył, poeta odczytał raz jeszcze głośno ten akt i podsunął papier Rinaldowi, który u spodu położył drżącą ręką swój podpis.

– Przeprowadź Ben Joela – rzekł Cyrano do swego sekretarza.

Castillan wyszedł i po chwili powrócił, popychając przed sobą związanego Cygana.

– Czytaj to – rozkazał Sawiniusz, podsuwając mu pod oczy wyznanie Rinalda.

– Przeczytam wszystko, czego jasny pan ode mnie zażąda – wyjąkał pokornie zbój, z tą uległością dobroduszną, którą objawiał zawsze, ile razy znalazł się w rękach silniejszego.

I przeczytał.

– Teraz podpisz.

– Podpiszę wszystko, co jasny pan rozkaże – powtórzył tym samym, co poprzednio, tonem.

– Masz – rzekł wówczas Cyrano do księdza Jakuba – zachowaj to pismo. Przyda się nam ono w odpowiedniej chwili.

Proboszcz, który wykonywał ze ślepą ufnością wszystkie zlecenia przyjaciela, wziął podany sobie akt, złożył go i nic nie mówiąc, wsunął do kieszeni w sutannie.

– Jasny panie! – zwrócił się Ben Joel do Cyrana – co jasny pan zamierza zrobić ze mną?

– Posłać cię na szubienicę!

Nędznik począł drżeć i nogi ugięły się pod nim, jakby zamierzał rzucić się do stóp poety.

– Podły tchórze! —wykrzyknął Cyrano z najwyższą pogardą. – Tak bardzo zatem lękasz się o swą skórę? Uspokój się, możesz ją jeszcze ocalić.

– W jaki sposób? – zapytał prędko Cygan, czepiając się rozpaczliwie słabego promyka nadziei.

– Oddając mi swą księgę rodzinną.

– Dam ją jasnemu panu – zapewnił Cygan.

– Dobrze. Ona w Paryżu jest, nieprawda?

– Tak, jasny panie.

– Udamy się tam zatem jutro w twoim zaszczytnym towarzystwie. Castillanie, odprowadź tego człowieka.

Potem zbliżając się do księdza, który czuwał przy Rinaldzie, zapytał:

– Czy masz jaką nadzieję?

– Mam nadzieję, że Bóg mu przebaczył – odrzekł kapłan głosem poważnym.

Sawiniusz spojrział na Rinalda. Leżał on nieruchomo, z głową na piersi opadłą. Nie żył już.

Pochowano go nazajutrz na małym wiejskim cmentarzyku, nie opodał pięknego folwarku, którego właścicielem zostać się spodziewał.

Ben Joel, któremu bardzo było niewygodnie w ciemnej i ciasnej piwniczce, rozmyślał w czasie swej samotności o ostatnich przeciwnościach losu i próbował tworzyć nowe plany.

Nigdy jeszcze nie dokuczało mu w tym stopniu, co teraz, pragnienie zemsty. Nawet chciwość ustępowała w jego duszy przed nienawiścią – jaką żywił do Cyrana.

– Kochany Jakubie – rzekł Cyrano do proboszcza, uprzedzając go o swym bliskim odjeździe – zapraszam cię na ślub Ludwika de Lembrat z panną Gilbertą de Faventimes, a co więcej, proszę cię, aby z twoich rąk otrzymali oni błogosławieństwo na drogę życia. Urządź zatem w ten sposób swoje interesa, abys mógł za dwa tygodnie udać się do Paryża. Z kolei ja tobie ofiaruję gościnność u siebie.

Ksiądz Szablisty trochę się wymawiał, ale w końcu przyjął zaproszenie, i Cyrano odjechał, zadowolony z tego obrotu sprawy.

Ben Joel został przywiązany do wierzchowca Rinalda. Straż nad nim powierzono Castillanowi i mała karawana skierowała się ku Paryżowi.

Nie zapominajmy dodać, że w orszaku znajdowała się również Marota.

Zwróciła się ona do Cyrana z prośbą, aby pozwolił jej towarzyszyć sobie, i poeta, któremu podobała się jej pustacka wesołość i który cenił ją za oddaną wspólnej sprawie przysługę, z chęcią na to przystał.

Ben Joel, dostrzegłszy w chwili odjazdu Marotę, cisnął jej jedno z tych wściekłych spojrzeń, które wyrażają więcej niż długie przemowy.

Tancerka poprzestała na wzruszeniu ramionami oraz na przesłaniu Castillanowi spojrzenia i uśmiechu, które sekretarzowi poety kazały ostatecznie zapomnieć o wstydzącej roli, jaką odegrał w Romorantin. Cyrano odzyskał w zupełności swój świetny humor. Postanowił obrócić drogę na Colignac. Nie przedłużało to jej zbytecznie, jadąc zaś tamtędy, mógł był poeta podziękować czulej i swobodniej przyjacielowi za wyświadczoną sobie przysługę oraz pokłonić się raz jeszcze sławetnemu Cadignanowi, swemu najserdeczniejszemu – wrogowi.

XXXVII

Pomiędzy podróżnymi jeden tylko był ponury i zamyślony: Ben Joel.

Jegomość ten myślał o jednym tylko, a mianowicie, w jaki sposób wywinąć koziołka i porzucić bez pożegnania tę wesołą kompanię.

Dla dokuczenia Cyranowi najlepiej było w jego przekonaniu poszukać raz jeszcze sojuszu z Rolandem.

Liczył na to, że mimo wszystko, to jest mimo zupełnej porażki, jakiej doznali wysłańcy hrabiego w Saint-Sernin, znajdzie tego ostatniego w usposobieniu życzliwym dla siebie.

Hrabiemu niezbędna była taka zatracona dusza, a po śmierci Rinalda Cygan mógł śmiało ubiegać się o to stanowisko.

Duża jeszcze przestrzeń dzieliła Cyrana od więzienia, w którym zamknięty był Manuel.

Można było przy odpowiedniej zrzeczności i umiejętnym korzystaniu z czasu popsuć szyki poecie i za porażkę zapłacić mu porażką.

Ben Joel powtarzał sobie to wszystko, unoszony w niewygodnym położeniu przez konia przyczepionego do wierzchowca Castillana; do spełnienia zaś tych zamysłów trzeba mu było przede wszystkim odzyskać wolność. To ostatnie zajmowało go najbardziej.

Widząc, że Cyrano zamierza przejeżdżać przez Colignac, odkładał na tę chwilę swą ryzykowną próbę; tymczasem zaś starał się pozyskać zaufanie jak największą pokorą i uległością.

Castillan, zupełnie co do niego spokojny, a przy tym zajęty Marotą, zaczął spuszczać go trochę z oka i niewolę jego czynić mniej surową, z czego wynikało, że gdy orszak wjeżdżał do Colignac, sekretarz poety i zbójca, czyli więzień i jego strażnik, wyglądali z pozoru na dwóch dobrych towarzyszyów podróżujących razem w jak najlepszej zgodzie.

W zamku bawiło wesołe towarzystwo, zaproszone przez hrabiego na wielkie łowy. Cyrano trafił dobrze; został też przyjęty po królewsku.

W osadzie o niczym nie mówiono, jak tylko o przybyciu „czarownika”. Wszyscy miejscowi głowacze zgromadzili się w oberży Landriota, a sławetny Cadignan, obawiając się zemsty Cyrana, zaryglował i zabarykadował drzwi swego domu oraz przygotował zapas pożywienia w piwnicy na wypadek, gdyby mu przyszło wytrzymać obleżenie. Wszystkie te obawy były bezzasadne; Cyrano miał w głowie zupełnie co innego niż wywieranie na kimkolwiek zemsty. Sawiniusz przejechał przez osadę i wyminął jej więzienie z taką miną, jakby nie pamiętał zgoła o wypadkach, które go tu przed kilku dniami spotkały.

Gdy panowie rozgościli się w komnatach hrabiowskich, Ben Joel oddany został pod nadzór służby zamkowej, której Cyrano zagroził strykiem, jeśli więźniowi ujść pozwoli.

Castillan, uwolniony od ciężkich obowiązków dozorczy, korzystał obficie z gościnności hrabiego. Zasiadł razem z innymi przy stole biesiadnym, mając przy sobie Marotę, która zdobyła sobie łaski dostojnych panów niezwykłą urodą i której świetny humor ożywiał całe towarzystwo.

Cyrano, podobnie jak hrabia de Colignac, nie żywił żadnych przesądów względem tej rasy koczującej, do której należała tancerka. Była kobieta była piękna, obaj oni nie żądali od niej legitymacji szlacheckiej.

Ben Joela zamknięto w małej komórcy, skąd chcąc wydostać się, musiałby przechodzić przez kuchnię pełną służby. Bez krat zatem i drzwi okutych dobrze był jednak strzeżony.

Ponieważ nie było zamiarem Cyrana zamorzyć więźnia swego głodem, posłano Ben Joelowi obfitą wieczerzę. Razem z Cyganem zasiedli do niej i służący, którym zlecono straż nad nim.

Gdy pojawiły się wety i gdy wino rozgrzało głowy, podniecając wesołość całej kompanii, Ben Joel postanowił zaskarbić sobie łaski u nowych towarzyszyów.

Na różny sposób brał się do tego. Pokazywał służącym sztuki z kubkami, opowiadał im wesołe dykteryjki, wymyślał gry przeróżne, słowem – zabawiał ich wyśmienicie.

Ludzie ci dawno już w ten sposób nie ucztowali.

Życie w tym starym, gęstymi borami otoczonym zamku było nadzwyczaj jednostajne, każda przeto rozrywka nabierała tam podwójnej wartości.

Toteż służba hrabiego oddała się zabawie całą duszą, a burgrabia, który był jej wyrocznią, oświadczył poważnie, że „pan Ben Joel” nie może być złym człowiekiem, za jakiego go uważają, skoro potrafi porządną kompanię uczciwie zabawić i rozweselić.

– To prawda – odrzekł na tę uwagę Cygan, przybierając minę uciemnionej niewinności – nie wiem, dalibóg, dlaczego pan de Bergerac tak mi nie dowierza? Towarzyszę mu w drodze do Paryża, gdzie mam mu oddać pewną małą przysługę, i z powodu, żeśmy się tam kiedyś z sobą trochę posprzeczali, obawia się, że mogę porzucić!

– Jestem pewny, że to panu nawet przez głowę nie przejdzie – oświadczył burgrabia.

– Rozumie się. Byłbym zresztą skończonym głupcem, gdybym chciał uciekać. Dano mi dobrego konia, nakarmiono pyszną wieczerzą, i to wszystko za darmo. Gdyby mi nawet podobna niedorzeczność, jak porzucenie pana de Bergerac, do głowy przyszła, poczekałbym ze spełnieniem jej do Paryża. Nie głupim zrobić to wcześniej. Za dużo kosztowałaby mnie ta zabawka.

– Ma zupełną słuszność – zdecydował burgrabia, zwracając się do obecnych.

– Możecie zatem, panowie, być jak najspokojniejsi – dodał Cygan z dobrodusznym uśmiechem, wodząc po zgromadzeniu wzrokiem życzliwym – z mojej przyczyny z pewnością wieść nie będziecie.

Zabawa przeciągnęła się do późnej godziny.

– Basta! – odezwał się wreszcie burgrabia. – Pan de Bergerac ma bardzo rano wyruszyć w dalszą drogę. Każda przyjemność musi mieć swój koniec. Trzeba iść spać.

– Czy ja tu pozostanę? – spytał skromnie Cygan.

– Nie; nie jesteśmy przecie, do licha, barbarzyńcami. Będziesz pan nocował przy mnie, w małym pokoiku obok mojej sypialni; jestem zaś przekonany, że zachowasz się rozsądnie i nie zechcesz wypłatać mi figła, wynosząc się kryjomo.

– Przysięgam na honor! – oświadczył z godnością niezmierną Ben Joel, którego nic nie kosztowały tego rodzaju zakłęcia.

– Chodź pan zatem.

Cygan udał się ze swym przewodnikiem do jednej z oficyn zamkowych, gdzie burgrabia zajmował mieszkanie z trzech izb złożone.

Pierwsza izba była rodzajem przedsionka, z którego prowadziły drzwi do przestronnego pokoju, ten ostatni zaś łączył się bezpośrednio z gabinetem, o którym właśnie mówił uprzejmy gospodarz.

W gabinecie tym burgrabia rozesłał materac i rzekł uprzejmie do gościa:

– Zdaje mi się, że nie będzie tu panu najgorzej. Życzę dobrej nocy i przyjemnych marzeń.

Po tych słowach wyszedł i Ben Joel usłyszał lekkie zakręcenie klucza w zamku.

Był więc zamknięty. Zaufanie, jakie potrafił wzbudzić w umyśle burgrabiego, nie przekraczało jednak pewnej granicy.

Zamiast wyciągnąć strudzone członki na wygodnym materacu, Ben Joel usiadł na zydlu i czekał.

Niezadługo donośne chrapanie rozlegające się w bocznej izbie upewniło go, że burgrabia twardo zasnął.

Wówczas wstał i zbliżył się do drzwi z lampą, przy której świetle obejrzał dokładnie zamek.

Wielką radością nappełniło go odkrycie, że zamek przybity był z tej właśnie strony.

Na śruby przytrzymujące go napuścił trochę oliwy z lampy, aby ułatwić sobie delikatną operację, do której się zabierał, następnie, z niesłychaną ostrożnością i zadziwiającą lekkością ręki, przystąpił do dzieła. Sztylet z krótkim i mocnym ostrzem posłużył mu za dłuto.

Chrapanie rozlegało się coraz głośniejsze, co było bardzo na rękę Cyganowi.

Cztery śruby zostały niebawem wykręcone.

Ben Joel zbliżył lampę do klucza. Klucz był wyjęty.

Odetchnął. Ten drobny szczegół, o którym w pierwszej chwili nie pomyślał, zakłopotał go nie żartem, mógł być bowiem całe dzieło, tak pięknie zapowiadające się, popsuc, przeszkadzając w odjęciu zamka.

Po chwili żelazny mechanizm, uwolniony od podtrzymujących go śrub, znajdował się już w rękach Cygana, który złożył go ostrożnie na podłodze.

Cygan był wolny – mógł być przynajmniej opuścić swobodnie swą celę. Zanim pchnął drzwi, raz jeszcze przyłożył do nich ucho nasłuchując. Żaden jednak głos podejrzany nie dochodził z zewnątrz prócz potężnych chrapań, do których już przywyknął.

Ben Joel nacisnął ostrożnie drzwi, które wykręciły się lekko na zawiasach, przebiegł na palcach przez pokój następny i znalazł się przy drugich drzwiach, wiodących do przedsionka. Te ostatnie zamknięte były po prostu na klamkę. Klucz tkwił z przeciwnej strony.

Baczny na wszystko Cygan zaraz po wyjściu zakręcił klucz i na dwa spusty zamknął burgrabiego w jego własnym mieszkaniu.

Ale wykraść się z celi, to jeszcze nie wszystko. Trzeba było nadto wykraść się z zamku.

Mury zamkowe były wysokie; otaczał je zaś głęboki rów napełniony wodą. Na tyłach zamku rozciągał się ogród, w takiż sam sposób broniony. W tę stronę skierował się Ben Joel, licząc, że tędy łatwiej wymknąć się potrafi.

Noc była bardzo widna i światło księżyca pozwalało rozpoznać przedmioty, tak prawie, jak przy pełnym blasku dnia.

Skradając się ostrożnie w cieniu rzucanym przez rozłożyste drzewa, Cygan dostał się na sam koniec ogrodu.

Widać stąd było w oddaleniu białe ściany domów wiejskich oraz połyskującą, na kształt srebrnej wstęgi, rzeczułkę.

Ben Joel, rozglądając się pilnie dookoła, zauważył w jednym miejscu śluzę biegnącą w kierunku prostopadłym do muru, a zatem przecinającą fosę przez całą szerokość.

Gdyby udało mu się postawić stopę na pierwszym kamieniu tej śluzy, potrafiłby z wrodzoną sobie kocią zwinnością przedostać się suchą nogą na brzeg przeciwny.

Rzeczą najważniejszą było: dostać się na ów pierwszy kamień. Mur był zupełnie gładki, pozbawiony wszelkich szczyrb i wszelkich wyskoków. Nie rosło też przy tym murze żadne drzewo, którego gałęzie mogłyby posłużyć wdrapującemu się za oparcie.

Ben Joel zmierzył oczyma przestrzeń dzielącą go od śluzy. Wynosiła ona co najmniej dwadzieścia pięć stóp. Cygan zaś zanadto dbał o całość swych kości, aby chciał się narazić na skok tak niebezpieczny.

Cofnął się w głąbię ogrodu. Niecierpliwość i niepokój dokuczać mu zaczęły.

Jął znów rozmyślać, szukać i – znalazł, co mu było potrzebne.

W kącie ogrodu pod samym murem potknął się o leżące na ziemi drzewo jodłowe, które musiało być świeżo ścięte, gdyż kora była jeszcze zupełnie świeża. Drzewo to było przepiłowane w całej długości na grube żerdzie.

Cygan zmierzył długość jednej takiej żerdzi. Liczyła ona około piętnastu stóp, a więc o jakieś dziesięć stóp mniej, niż Cyganowi było potrzeba.

– Do diabła! – zaklął – widzę, że mi będzie trudniej wydostać się stąd, niż sądziłem.

Wziął jednak ze sobą znaną żerdź i próbował przymocować ją do drugiej. Ale nie miał rzeczy najkonieczniejszych do tego: sznura i gwoździ.

Na szczęście znalazł trochę dość mocnego łyka. Przyłożywszy żerdzie do siebie i wzmocniwszy je dębowymi gałęziami, zabrał się do związywania ich owym łykiem, próbując co chwila wytrzymałości spoidła.

Praca nad tym zabrała mu około dwóch godzin.

Gdy ją skończył nareszcie, odpoczął przez chwilę, następnie podniósł obie żerdzie, wsparł je o mur i raz jeszcze mocy ich spróbował.

Zadowolony z próby, zaciągnął ten rodzaj drabiny aż do miejsca, w którym znajdowała się śluza. Tam przesunął ją na drugą stronę muru, tak że dolny jej koniec dosięgnął błotnistej fosy, zanurzając się na jakieś dwie czy trzy stopy. Koniec górny zaledwie cokolwiek ponad mur wystawał.

Ben Joel wyrwał kamień z muru i w powstałej stąd szczyrbie osadził końce żerdzi, aby zapobiec chwianiu się swego przyrządu, w chwili gdy będzie w dół po nim schodził.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, dostał się jednym skokiem na szczyt muru, chwycił się obiema rękami swej drabiny i ześlizgnął się po niej do fosy, gdzie stanął zaraz na śluzie.

Śluza była zbudowana z belek dębowych sześciocalowej grubości.

Cygan, który dla ocalenia życia podjąłby się przejść nawet po ostrzu szpady, puścił się odważnie tą drogą wąziutką, z rozstawionymi jak akrobata ramionami, i dostał się bez szwanku na brzeg przeciwny.

Tym razem czuł się już zupełnie bezpieczny.

Nie miał wprawdzie ani szeląga w kieszeni, to wszakże najmniejszego nie sprawiało mu kłopotu. Ben Joel pewny był, że przy swej odwadze i zapobiegliwości łatwo zdobędzie wszystko, co mu było potrzebne, aby dostać się prędko do Paryża.

Tymczasem zaczęło świtać i goście hrabiego Colignac przebudzili się.

Sawiniusz wyskoczył pierwszy z łóżka, zastukał do drzwi Castellana i zawołał:

– Wstawaj, śpiochu! Ubierz się i idź po Cygana. Jedziemy!

Sekretarz poety miał bardzo niewyraźne pojęcie o tym, gdzie znajduje się więzien i jak się dostać do niego.

Jał wypytywać służbę, która wskazała mu mieszkanie burgrabiego.

Udawszy się tam, usłyszał dobywające się z głębi przekleństwa.

– A zdrajca, łotr, szubienicznik! – wykrzykiwał służący hrabiego. – Oczarował mnie z pewnością, psiawiara!

– Proszę otworzyć! – zawołał Castellan.

– A jakże mam otworzyć, skoro sam jestem zamknięty. To pan raczej wypuść mnie na wolność!

Sulpicjusz otworzył drzwi z klucza. Ukazał się w nich wściekły od gniewu burgrabia.

– Więzien? – spytał młodzieniec.

– Uciekł, panie, zniknął! Ziemia się pod nim rozstała! Ach, doła moja nieszczęsna! Zgubiony już jestem bez ratunku!

Straszny był gniew Sawiniusza, gdy mu o ucieczce Cygana doniesiono.

Cała służba zamkowa dosiadła koni i popędziła na wszystkie strony, upatrując zbiega.

Cygan, zamiast pędzić na oślep przed siebie, jakby to zrobił na jego miejscu każdy nowicjusz, oddalił się zaledwie o jakieś dwie lub trzy wiorsty od zamku i ukrył się w trzcinie nie opodal drogi.

W godzinę później widział z kryjówki swej przebiegającą mimo niego kawalkadę, na czele której galopowali Sawiniusz i hrabia Colignac. Towarzyszyła im też Marota.

– Wybornie – rzekł do siebie Ben Joel. – Od razu trop zgubili. Mogą sobie teraz pędzić na koniec świata, jeśli im się podoba.

Jakkolwiek dręczony głodem i przejęty na wskroś wilgocią, nieprędko odważył się wyjść z kryjówki.

Nareszcie, około południa, pogoń zjawiała się z powrotem i pocwałowała do zamku. Nie powrócili jednak wszyscy; Ben Joel dojrzał tylko hrabiego i jego służbę.

– Otóż i pościg skończony – rzekł Cygan. – Jedni zmęczeni się i wracają odpoczywać, drudzy pojechali prosto do Paryża. Mogę już wyjść bez obawy.

Otrząsnął zmoczoną odzież i szybkim krokiem puścił się w ślad za Sawiniuszem i jego towarzyszami.

Nie było wszakże jego zamiarem odbywać tę drogę pieszo.

Obiecował sobie, że niebawem nastreczy mu się sposobność zdobycia dobrego konia oraz tak potrzebnych w drodze pieniędzy.

Nad wieczorem, wyszedłszy z jakiejś chaty podróżnej, gdzie wybrał kieliszek wina i kawałek chleba, bez których nie byłby już w stanie iść dalej, spotkał na drodze handlarza koni, który prowadził sześć przepysznych rumaków.

– Otóż mam, czego mi trzeba – rzekł do siebie.

– Hej, przyjacielu! – krzyknął na handlarza.

– Czego chcesz? – zapytał tamten zatrzymując się.

– Czy można, bez urazy waszej, dowiedzieć się, dokąd jedziecie?

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Jadę, kochanku, prosto do Paryża.

– Do Paryża? A to wybornie się składa.

– Dlaczego?

– Chcecie wziąć mnie za towarzysza?

- Ech – rzekł filuternie handlarz – czemuż by nie! Droga jest przecie dla wszystkich.
- Droga jest dla wszystkich, to prawda, ale konie są tymczasem tylko dla was. Ładne sztuki, na honor!
- To się wie! Przeznaczone do królewskiej stajni, paniczu.
- Zanim jego królewska mość lub który z dworskich dostojników zaszczytą ich grzbiet swą osobą, czy ubliżyłoby im, gdyby poniosły takiego jak ja biedaka?
- Idziesz do Paryża?
- Miałem już honor oznajmić wam to. Co ważniejsze, upadam ze znużenia i nie mam w kieszeni ani jednej pobielanej blaszki. Mógłbym być użyteczny wam w drodze, gdybyście chcieli...
- I owszem. Mój stajenny zachorował i jeżeli zgodzisz się zastąpić jego miejsce, dostaniesz po przybyciu do Paryża kilka pistołów.
- Ben Joelowi nie trzeba było tego powtarzać.
- Dosiadł natychmiast jednego z koni idących luzem, a handlarz poznał od razu ze sposobu, w jaki Cygan obchodził się z koniem, że powierzył swą własność w dobre ręce.
- W taki sposób brat Zilli dostał się do Paryża, pozwalając o pół dnia tylko wyprzedzić się Cyranowi.

XXXVIII

- Gdy próba z otruciem nie powiodła się hrabiemu Rolandowi, udał się on do starosty. Czcigodny Jan de Lamothe był nadzwyczaj zajęty.
- Śledztwo w sprawie Manuela znacznie posunęło się naprzód i skrupulatny urzędnik, chcąc zdać sobie dokładną sprawę z najdrobniejszych szczegółów, postanowił sprawdzić osobiście, jeden po drugim, wszystkie akta procesu. Na widok wchodzącego Rolanda podniósł się i postąpił kilka kroków, aby się z nim przywitać.
- Panie de Lamothe – rzekł hrabia – wybac mi łaskawie, że cię odrywam od ważnych zajęć, lecz...
 - Lecz – przerwał starosta, uprzedzając myśli gościa – jesteś pan niecierpliwy i pragniesz dowiedzieć się o obecnym stanie naszej sprawy.
 - Nie inaczej. Zaciekawia mnie niezmiernie ten proces, nie dlatego, bym pożądał zemsty lub jakiegokolwiek osobistego zadowolenia, lecz że pragnę dojść, jakie pobudki kierowały w rzeczywistości tymi, co ten niecny podstęp wymyślili.
 - Gdybyśmy chcieli wierzyć temu, co mówi oskarżony, nie byłoby tu żadnego podejścia.
 - Wciąż zatem zaprzecza? – wykrzyknął Roland z doskonale udanym zdziwieniem.
 - Jest niesłychanie zacięty w swym uporze. Badałem go przed chwilą właśnie.
 - I cóż?
 - Utrzymywał najpoważniej w świecie, że nazwisko i tytuł, które przybrał, należą mu się z prawa, i że pan hrabia wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny!
 - Ja?
 - Tak, panie hrabio. Twierdzi on nawet – rzecz niesłychana, doprawdy, a jednak prawdziwa – że sędziom przedstawi dowód... materialny dowód słuszności swych zeznań.
 - Dowód... materialny? – powtórzył Roland niespokojnie. – Cóż takiego ma on na myśli?
 - Nie wiem. Odmówił bliższych wyjaśnień.
 - A pan starosta nie domyśla się, o co idzie?
 - Nie, nie domyślam się. Jedna tylko rzecz mnie uderzyła. Podczas poprzednich przesłuchiwań Manuel był smutny, przygnębiony nawet. Na zadawane sobie pytania odpowiadał z

widocznym wysiłkiem, świadczącym o upadku ducha. Dziś stanął przede mną jakby całkowicie przetworzony. Przyczynia mi to wiele kłopotu.

– Czy nie rozporządzasz pan środkami, które pozwalają sięgnąć aż do samego dna jego sumienia? Zręczny to człowiek; odgrywa zapewne komedię czelności.

– Nie ma takiej komedii, którą by można odegrać wobec groźnych narzędzi, jakimi posługuje się prawo.

– Sądziś pan zatem, że przemówi?

– Tak, za kilka dni. Wspomniałeś pan o środkach, które przyśpieszają wahające się postanowienie. Najlepszym z tych środków i ostatecznym, gdyż używam go jedynie w wypadkach tak wyjątkowego uporu, jak ten właśnie, o którym mówimy – jest...

– Jest?...

– Tortura.

– Prawda – rzekł zimno hrabia – zapomniałem o tym.

Niezmierna radość napełniła serce Rolanda. Otrzymał rzecz, której żądał, nie będąc zmuszonym prosić o nią wyraźnie. Wiedział on, że najodważniejsi nawet, gdy się ich weźmie na męki, mają chwilę słabości, liczył więc, że ból fizyczny wycisnie z ust Manuela wyznanie, które zgubi go ostatecznie.

– Panie hrabio – odezwał się nagle starosta – czy nie posyłałeś kogo do Manuela?

– Posyłałem służącego, aby mu zaniósł trochę pożywienia. Mimo wszystko ten Manuel obchodzi mnie i chciałem mu choć w ten sposób osłodzić pobyt w więzieniu – odparł bezczelnie Roland.

– Doprawdy, panie hrabio, jesteś zanadto dobry. Tego rodzaju nędznik nie zasługuje na żadne współczucie.

– Czy to on wspominał panu o tym? – spytał Roland zaniepokojony.

– Nie! Dowiedziałem się o tym od dozorca.

Hrabia uspokoił się.

– Poleciałem służącemu – dodał – aby nie wymieniał osoby, która prowianty posyła. Manuel, jak się zdaje, domyślił się czegoś, bo już nazajutrz nie chciał przyjąć posłańca.

– Tak – szepnął starosta w zamyśleniu – i z pewnych słów oskarżonego wnioskuje, że owa szczególna nadzieja, która go ożywia w tej chwili, pozostaje w związku z tymi właśnie odwiedzinami.

I znów niepokój opanował hrabiego. Pocieszył się jednak myślą, że jego stosunek do więźnia i ta wyższość, jaką posiadał, występując pierwszy z oskarżeniem popieranym, jak dotąd, przez fakty, czyniły go z tej strony nietykalnym.

Pożegnał starostę, o nic już więcej nie dopytując i udał się do margrabiego de Faventines.

Od czasu uwięzienia Manuela Gilberta znosić musiała bez oporu narzuconą sobie wolę swego ojca.

Znikąd nie przybywały dowody uniewinniające Manuela, poczyniała już zatem wątpić, czy sprawa ta zakończy się pomyślnie dla niego i dla niej.

Po raz drugi strącono ją ze szczytu marzeń...

Manuel okazał się rzeczywistym Cyganem; pannie szlacheckiego rodu nie wolno było o nim myśleć.

Ale czyż mogła rozkazywać swemu sercu, które niezwalczoną mocą ciągnęło ją do młodzieńca? Czy mogła rozkazywać myślom swym, bezustannie osobą jego zajęтым, aby w innym pobiegły kierunku?

Nie! Gilberta kochała, nie była w stanie oprzeć się temu uczuciu i – nie mogła uwierzyć w zarzucaną Manuelowi niegodziwość.

W ciągu tych kilku niezapomnianych dni, w których los pozwolił młodzieńcowi zbliżyć się do niej i rozmawiać z nią jak z równą sobie, potrafiła ocenić właściwie delikatność jego uczuć i wartość jego rozumu.

Tracąc swe stanowisko w świecie, nie stracił on jednak uroku w oczach panny de Faventines.

Wolny – czarował ją; uwięziony – olśniewał, otaczała go bowiem aureola niezasłużonego męczeństwa.

W braku dowodów materialnych, stwierdzających niewinność ukochanego, wystarczało Gilbertcie przecucie. Gotowa byłaby nawet pogodzić się z jego pochodzeniem, ale na charakter nieszlachetny nigdy by nie przystała. Uparcie też powtarzała sobie, że jest on raczej ofiarą niżli winowajcą.

Czuła tę prawdę i w głębi duszy była o niej przeświadczona; na nieszczęście, nie mogła jej udowodnić faktami!

Nikogo też nie dziwi, że mimo zupełnego przeświadczenia o swej bezsilności i o nieuchronnej prawie zgubie Manuela powzięła ostateczne i niezłomne postanowienie względem swego małżeństwa z Rolandem.

Postanowiła nie zaślubiać hrabiego.

Niezależnie od tego, z najwyższą obojętnością zezwalała na całą krzątaninę przygotowawczą, na cały ten gwar powszedni, a często i trywialny, który poprzedza tego rodzaju uroczystości rodzinne, wiedziała bowiem z góry, że to wszystko na niczym się skończy.

Powziąwszy niezłomny zamiar zerwania za wszelką cenę nienawistnego sobie związku, pozwalała Rolandowi odwiedzać się, słuchała cierpliwie i z zimną uprzejmością jego czułych wyznań, a następnie, niczym wymaganiom światowej uprzejmości nie ubliżywszy, zamykała się w swym pokoju, oddając się smutnym, choć i słodkim zarazem rozmyśleniom.

Ale jednocześnie prawy jej charakter nie pozwalał jej ukrywać rzeczywistych myśli i uczuć.

Ile razy margrabia mówił jej o przyszłym małżeństwie, odpowiadała po prostu:

– Nie zostanę nigdy żoną pana Rolanda de Lembrat.

Ojca przyprowadziła z początku ta odpowiedź o gniew wielki. Następnie zaczął z wolna oswajać się z nią i poczytywać niechęć córki za pewien rodzaj panińskiego kaprysu, który w ostatniej chwili sam przez się ustąpi.

Roland przybył do pałacu Faventines w takim usposobieniu, że Gilberta odgadła natychmiast, iż walka będzie nieunikniona.

Hrabia, zamiast narzeczonej, zastał w bawialni tylko jej rodziców.

Uwikłany w przeróżne sprawy, które sam wywołał, ale których ostatecznego wyniku nie mógł być jeszcze pewnym, chciał przynajmniej zapewnić sobie posiadanie Gilberty.

Kochał on pannę de Faventines z namiętnością, której przeszkody dodawały coraz większej mocy.

Pragnął ją posiadać, nawet wbrew jej woli i wbrew wszystkiemu na świecie, a żar krwi młodej nie pozwalał mu zastanowić się nad stanem duszy Gilberty.

Gdy tylko znalazł się w obecności margrabiego i jego małżonki, zaraz po wyrażeniu ubolewania z powodu nieobecności panny przystąpił śmiało do rzeczy.

– Mości margrabio – rzekł – jakkolwiek szczerze żałuję, że nie dano mi pozdrowić panny Gilberty, szczęśliwy jestem, znajdując sposobność do wyjawienia państwu swych nadziei i swych pragnień. Od dawna już posiadam dane mi przez was słowo. Kiedy pozwolicie mi zażądać jego spełnienia?

– Kochany hrabio – odrzekł stary margrabia – wiesz, że jestem zupełnie ci oddany. Jeśli nie oznaczyłem dotąd jeszcze dnia ślubu, to przyczyną tego były jedynie wypadki, które wstrząsnęły silnie umysłem naszej córki i nas w równym stopniu przeraziły, wpływając na opóźnienie tego, co – możesz mi zawierzyć – jest celem najgorętszych naszych pragnień.

– Sądzę, że wspomnienie przykrego wypadku, o którym mówisz, panie margrabio, powinno już było zatrzeć się w pańskiej pamięci i nie stać na przeszkodzie memu szczęściu.

– Nigdy wypadku tego nie uważał za przeszkodę. Przestrach i żal, jakimi napełniło nas w pierwszej chwili uwięzienie pańskiego brata... wybaczone pan! Tego Manuela, chciałem powiedzieć, już z umysłów naszych ustąpiły. Rozmówmy się zatem, jeśli życzysz sobie tego, o tym związku, którym dom nasz zaszczyca.

— Ale powiedz nam, panie hrabio – przerwał sobie nagle margrabia – czy nie wiesz, co się dzieje z Cyranem.

– Nic nie wiem o Cyranie.

– Jesteś wszakże z nim w stosunkach przyjacielskich.

– Niezupełnie. Cokolwiek bądź niepokoi mnie jego postępowanie – dodał z dziwnym uśmiechem. – Nie wiem, gdzie się znajduje, wiem jednak, że wyjechał z Paryża.

– Na długo?

– Bergerac lubi przygody i ubiega się za nimi, sam też pewnie nie umiałby przepowiedzieć z góry ani wyniku, ani końca swej podróży.

– Zajmował się on bardzo pańskim... tym Manuelem... – potknął się po raz drugi margrabia, z trudnością widocznie zapominający o milej znajomości, zawartej z wicehrabią Ludwikiem de Lembrat.

– Tak jest; bardzo.

– Czemuż go tak nagle porzucił?

– Cyrano ma dużo miłości własnej. Nie chce przyznać się do tego, że był chrzestnym ojcem oszusta, i być może osądził za rzecz najlepszą czekać w ukryciu, aż go sądy uwolnią na zawsze od nie przynoszącego mu zaszczytu pupila.

– Jest najpewniej tak, jak pan hrabia utrzymujesz.

– Zapomnijmy o Bergeraku, panie de Faventines, i jak sam tego pragnęłaś, pomówmy o moim małżeństwie. W tej chwili pozostaje nam już tylko oznaczyć dokładny termin.

– Zapytam Gilberty.

– O, pannom nigdy się nie spieszy. Trzeba w ich imieniu powziąć postanowienie, przeciw któremu nigdy one prawie nie zakładają opozycji. Za dwa tygodnie, jeśli pozwolisz, panie margrabio, mogę zostać pańskim zięciem.

Margrabia zwrócił pytający wzrok na żonę, która, zagłębiona w pracowitym wyszywaniu kwiatów kolorowymi jedwabiami, zdawała się obca tej całej rozmowie. Nie dojrawszy w wyrazie jej twarzy zaprzeczenia, odrzekł:

– Zgoda, kochany hrabio; za dwa tygodnie.

Przy tych słowach podał rękę Rolandowi, który ją energicznie uściśnął.

Do uścisku dołączyłyby też zapewne kilka oświadczeń wdzięczności, lecz w tej chwili weszła Gilberta.

Ostatnie wzruszenia i troski odbiły się wyraźnie na twarzy panny de Faventines. Poblądła i zeszczipła, a oczy jej nabrały niezwykłego i niepokojącego blasku.

W spojrzeniu jej, które nadaremnie usiłowała ukryć pod długimi rzęsami, widniało silne wewnętrzne podniecenie i coś w rodzaju groźby – czego jednak ani ojciec, ani matka, codziennie z nią obcujący, dotąd nie zauważyli.

Roland dostrzegł tę szczególną przemianę w twarzy narzeczonej, ale wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą i goręcej niż kiedykolwiek pożądał przyśpieszenia terminu, w którym skarb ten na własność posiadzie.

Gilberta podeszła automatycznym krokiem do środka salonu i na pozdrowienie hrabiego odpowiedziała sztywnym ukłonem, przy czym czoło jej nie straciło na jedną chwilę swego marmurowego chłodu.

– Pani byłaś cierpiąca? – ośmielił się zapytać Roland.

Narzeczonej spojrzała nań zimnym wzrokiem.

– Nie, panie hrabio – odrzekła. – Skąd to zapytanie?

– Zdało mi się... mówiono mi... —jąkał się Roland, zmieszany tym wzrokiem szczególnym, w którym nie było nic więcej prócz obojętności – może nawet nienawiści.

– Otoczenie moje zanadto się mną niepokoi – mówiła Gilberta tym samym zimnym i śmiałym głosem. – Ale cokolwiek panu mówiono, możesz być spokojny. Nie byłam cierpiąca i nie jestem nią.

Przeszła mimo narzeczonego i usiadła przy matce.

Roland przeciągnął odwiedzinę aż do nocy, nie usłyszał jednak od Gilberty ani jednego słowa więcej prócz tych, które wyrzekła przy wejściu do salonu. Margrabina, równie jak córka milcząca, przyglądała mu się spod oka.

Z pozoru Gilberta wydawała się zupełnie spokojna; pomagała pilnie matce w wyszywaniu kwiatów i słuchała rozmowy Rolanda z margrabią, nie objawiając wszakże niczym, aby ją ona cokolwiek obchodziła.

Ta rozmowa, obracająca się przez czas długi dokoła zwykłych światowych ogólników, zeszała nareszcie na przedmiot, o którym obaj chętnie by zapomnieli, a który mimo woli pociągał ich ku sobie.

Rozmawiali o Manuelu.

Gilberta dowiedziała się w ten sposób, że starosta tego samego dnia właśnie badał ponownie jej ukochanego i że nie przestawał on stać silnie przy swoim.

Takie zachowanie się więźnia, które oburzało margrabiego, odpowiadało najzupełniej pojęciu, jakie wytworzyła sobie Gilberta o charakterze Manuela.

Była dumna ze swej miłości i wybiegała myślą ku owym strasznym podziemiom, w których zamknięto wszystkie jej nadzieje i marzenia dziewczęce.

Po odejściu hrabiego pan de Faventines zbliżył się do córki i rzekł:

– Moje dziecię, dużo mówiliśmy dziś o tobie z hrabią de Lembrat. Prosił on mnie o udzielenie stanowczej odpowiedzi w sprawie ślubu i musiałem prośbę jego spełnić.

– Dokończ, ojcze – odezwała się Gilberta widząc, że margrabia zatrzymał się, jakby czekając jakiejś uwagi, a przynajmniej zapytania.

– Zostało postanowione – ciągnął margrabia – że twój ślub odbędzie się za dwa tygodnie.

– Czy to termin stanowczy i czy to twoja, ojcze, niezłomna wola?

– Alboż nie mówiłem ci już o tym?

– A ja, mój ojcze, alboż nie mówiłam ci, że nie zostanę nigdy żoną pana de Lembrat?

– To kaprys, do którego nigdy wiary nie przywiązywałem. Małżeństwo to jest konieczne, Gilberto. Ze związku tego spływa honor na naszą rodzinę. Pozwól mi dodać, że podług mego mniemania przyniesie on i tobie szczęście, i nie sprawiaj mi boleści odmową, która postawiłaby mnie w położeniu bez wyjścia.

– Czy to twe ostatnie słowo, ojcze?

– Ostatnie – odrzekł margrabia, brwi ściągając.

– Niech cię Bóg ma w swej opiece, mój ojcze! – zakończyła Gilberta, skłaniając się przed starcem.

Następnie, ucałowawszy matkę, odeszła do swego pokoju, odprawiła Paketę, która czekała, aby ją rozebrać, i otworzyła okno chcąc odetchnąć chłodnym powietrzem nocy.

Na wprost niej wykreślały się na niebie czarne sylwety domów stojących na wybrzeżu. O kilka kroków od niej, prawie pod samym oknem, o które się wsparła, toczyły się w mroku, z szeptem melancholijnym, głębokie fale Sekwany.

– Nie, nie w ten sposób! To zbyt straszne! – szepnęło dziewczę, odchodząc od okna.

Stała na środku pokoju głęboko zamyślona i nagle, prawie mimo woli, imię Zilli znalazło się na jej ustach.

Oczy jej silniejszym jeszcze zapłonęły blaskiem. Znalazła widocznie, czego szukała.

XXXIX

Gdy minął pierwszy, najsilniejszy napad choroby, który Zillę zmógł i na ziemię powalił, znalazła ona w młodości swej i w energicznej, zahartowanej naturze siłę odporną oraz skutecznego lekarza, którego sztuka lekarska – w tej epoce bardzo zresztą niedojrzała – nie była w stanie wymyśleć.

Nie mogła jeszcze wychodzić z mieszkania, zaledwie miała siłę przejść się niekiedy po swej komnatce, wróciły jej już wszakże władze umysłowe.

Odzyskała straconą czasowo pamięć przebytych zdarzeń i myślała z boleścią głęboką, że tyle już czasu upłynęło od chwili, gdy wykonała niepomyślną próbę dostania się do więzienia i ocalenia Manuela od śmierci.

Spytła o brata. Ben Joel dotąd jeszcze nie powrócił. Wobec tego, nie mając sposobów bezpośredniego zbadania przyczyn jego nieobecności, zamilkła, unikając rozmyślnie zbyt natrączywych wypytywań. Wolała też nic zgoła nie wiedzieć o losie ukochanego człowieka.

– Manuel nie żyje...

To zdanie dźwięczało jej nieustannie w uszach i drżała na myśl, że któregośkolwiek dnia wymówi je głośno odźwierna, jedyna istota, która odwiedzała ją w tej samotni.

Z nadzwyczajną też niecierpliwością wyglądała chwili, gdy będzie mogła wyjść na świat.

Przyszła jej kiedyś myśl, aby wysłać odźwierną do Châtelet i dać jej zlecenie do Johanna; wiedząc jednak, jak jest niezręczna i przez ciągle odosobnienie zdziczała – odstąpiła od tego zamiaru.

Niebawem jednak zdarzenie, którego przewidzieć nie mogła, pozwoliło jej dowiedzieć się o losie Manuela.

Na drugi dzień po tym, gdy Gilberta uległa pozornie woli swego ojca, Zilla, smutna i samotna, rozmyślała o bracie i Manuelu; o bracie, który nie zasługiwał wprawdzie ani na przywiązanie jej, ani na troskliwość, lecz mógł być stanowić wielką pomoc w tej sprawie; o Manuelu, którego skryta nadzieja pozwalała jej widzieć jeszcze żyjącego i bliskiego uwolnienia.

Zilla, jak wszystkie kobiety zakochane, była przesądna. Wychowała się zresztą w otoczeniu, które dokonywało wielu praktyk zabobonnych. Przeczytała dużo ksiąg magicznych, a horoskopy stawiane w nich niejednokrotnie – za sprawą zwykłego przypadku – sprawdzały się.

Tego wieczora umysł jej bardziej niż kiedykolwiek skłaniał się do rzeczy nadprzyrodzonych. Rozmyślając też o przeznaczeniu Manuela i swym własnym, rzekła do siebie:

– Ach! Któż uchyli zasłonę skrywającą przyszłość. Jeśli ta sztuka wróżbiarska, której mnie uczono, nie jest zbiorem kłamstw i fałszów, mogłabym przy jej pomocy zbadać dręczącą mnie tajemnicę.

Podniosła się z trudnością, wydostała z ukrycia i postawiła na stole dużą czarę kryształową, czarę, którą napełniła wodą.

Następnie odsunęła lampę, ustawiła przed czarą srebrne zwierciadło, a przed zwierciadłem zapaliła knot napuszczony siarką.

Niebieskawy płomyk siarki, odbity w zwierciadle, zabarwił natychmiast wodę w kryształowym naczyniu.

Zilla z natężoną uwagą jęła badać tę grę światła.

Nagle knot zaskwierczał i zgasł.

Wróżka zadrżała.

– Ach! – szepnęła w przerażeniu. – Krew, krew i ciemności. Życie jakiejś istoty ludzkiej ma zagasnąć, jak płomień odbity przez to zwierciadło, zaświeciwszy żywym jak on blaskiem. Któż to ma umrzeć: Manuel czy – ja?

W tej chwili lekko zapukano i drzwi zaraz się otworzyły. W półmroku wypełniającym komnatę Zilla dojrzała zamaskowaną kobietę. Za tą kobietą, w postawie pełnej uszanowania, stał człowiek jakiś, widocznie zaufany służący.

Przed przywitaniem Zilli nieznajoma zwróciła się do towarzysza i rzekła:

– Pilnuj drzwi, kochany Wilhelmie. Dopóki będę tu bawiła, nikt wejść nie może.

Wilhelm wyszedł i obie kobiety zostały same.

– Pani jesteś Zilla? – spytała nieznajoma.

– Tak. Czego pani żąda ode mnie?

– Powiem to zaraz. Przysięgnij mi jednak wpierw, że w najgłębszej tajemnicy zachowasz moje odwiedziny.

– Jakąż mam potrzebę przysięgania? Nie znam pani.

– To nic. Cokolwiek tu zajdzie, musi pozostać między nami.

– A więc dobrze. Przysięgam, że pani nie zdradzę.

Zamaskowana kobieta zauważyła wówczas dopiero, że Zilla jest bardzo błada i że z trudnością trzyma się na nogach.

– Pani jesteś słaba! – rzekła ze współczuciem. – Proszę cię, spocznij.

Zilla osunęła się na łóżko i wsparła się o poduszki w pozycji siedzącej; nieznajoma stała na miejscu.

– Zillo – przemówiła po krótkiej chwili milczenia – zajmujesz się przepowiadaniem przyszłości z linii rąk; niekiedy także śpiewasz z towarzyszami na placach publicznych?

– Ci, co mówili pani o mnie, znają mnie.

Nieznajoma zdawała się przez chwilę namyślać, potem podjęła:

– Ale to nie wszystko jeszcze, nieprawda? Posiadasz także inne umiejętności.

– Nie. Nic więcej nie umiem. Co znaczy to pytanie?

– Nie chcesz mnie zrozumieć. Czy mam tłumaczyć się wyraźniej? Rasa, do której należysz, posiada tajemnicę praktyk wszechstronnych, strasznych zaklęć, innym ludziom nie znanych. Czyż i ty sama nie odziedziczyłaś po ojcach jednej z tych tajemnic, stanowiących o czymś życiu lub śmierci?

Zilla starała się wyczytać myśl nieznajomej w oczach, resztę bowiem twarzy skrywała przed nią maska.

– A! – rzekła – chodzi pani zapewne o napój miłosny?

– Nie! – zaprzeczyła tamta, potrząsając niecierpliwie głową.

– W takim razie...

Teraz z kolei zawahała się Zilla.

– Obawiasz się zgadnąć, czy też być zrozumianą? – spytała maska.

Pochyliła się i szepnęła coś wróżce do ucha.

– Truczny! – wykrzyknęła Cyganka. – Przyszłaś pani do mnie po truciznę?

– Ciszej... Nie wymawiaj tego słowa, jeśli cię ono przeraża.

– Nie słowo przeraża mnie, ale rzecz sama! Nie chcę przyjmować udziału w zbrodni.

– Alboż wspomniałam ci, Zillo, o zbrodni? – rzekła wyniosłym tonem nieznajoma.

– I bez tego mogłam się była domyśleć.

– Uspokój się – rzekła tamta z goryczą w głosie. – Jeżeli kto ma umrzeć od tej trucizny, to tylko ja sama.

– Pani chcesz umrzeć, pani, tak młoda, tak bogata, tak kochana niezawodnie!

– Co cię to obchodzi. Nie po współczuciu tu przyszłam. Musi nadejść – wkrótce już może – dzień taki, że śmierć będzie jedyną dla mnie ucieczką. Nad tą śmiercią muszę mieć władzę. Czarna toń Sekwany pod mymi oknami zanadto mnie przeraża; drzę również przed ostrzem stali przenikającej do samego serca. Potrzebna mi trucizna, która daje sen spokojny i uśmierca od razu, jak piorun.

Zilla zerwała się na nogi.

– W słowach i w myślach pani panuje zamęt. Proszę pokazać mi rękę.

Nieznajoma spełniła polecenie.

– A! – rzekła Cyganka, przyjrawszy się tej białej, delikatnej, wypieszczonej rączce, która bez obawy do niej się wyciągnęła – te linie... tak, znam te linie! Miłość... zawód... walka... Zwycięstwo lub śmierć!

– Przypominam sobie – zakończyła, cofając się z krzykiem – pani jesteś Gilberta de Faventines!

– Kto ci o tym powiedział? – szepnęła nieznajoma wzruszonym głosem.

– Zdejmij pani swą maskę. Zbyteczna jest teraz. Znaki twych przeznaczeń czytałam raz już na tej dłoni... tam u ojca pani. Po nich panią poznaję.

Instykt nie zawiódł Cyganki. Była to w istocie Gilberta.

Córka margrabiego zdjęła maskę. Twarz jej miała wyraz energii i silnego postanowienia.

– A więc – rzekła – skoro poznałaś mnie, Zillo, udziel mi tego, o co proszę, gdyż i tobie zapewne wiadomy powód, dlaczego chcę umrzeć.

Ciemny płomień zatlił się w oczach Cyganki i wolnym głosem spytała:

– I pani zatem kochasz go tak bardzo?

– O kim mówisz?

– O Manuelu! O tym Manuelu, którego kochałam i którego pani odebrałaś mi po to, aby go zgubić.

– Nieszczęście!

Obie kobiety badały się przez chwilę wzrokiem.

W zachowaniu każdej z nich widniała podejrzliwość. Na usta Gilberty, oświeconej nagle wyznaniem Cyganki, cisnęły się słowa nienawiści i pogardy; Zilla czuła otwierające się w sercu wszystkie rany, które zadała jej miłość i zazdrość.

Cyganka, silniejsza duchem od Gilberty, przytłumiła prędko ogień swych źrenic i z innego punktu na wszystko spojrzawszy, pospieszyła z zapytaniem:

– Więc Manuel żyje?

– Żyje – potwierdziła Gilberta. – Czyż nie wiedziałaś o tym?

Niewymownym szczęściem rozpromieniła się twarz Cyganki. W pierwszej chwili, znalazłszy się w obliczu swej pięknej rywalki, myślała jedynie o swej nieszczęsnej miłości, nie badając nawet, czy nie jest już ona w tej chwili przedmiotem czci swej pozbawioną.

Ale teraz to ostatnie pytanie usunęło wszystko na stronę.

Uspokojona przez wyraźną odpowiedź panny de Faventines, wróżka uległa ponownie podszepptom swej niespokojnej natury.

– Pani kochasz go? – powtórzyła.

– Gdybym nie kochała, czyż byłabym tu w tej chwili? – oświadczyła otwarcie Gilberta. – Na cóż mam osłaniać serce swe tajemnicą, gdym się już całkowicie w ręce twe oddała! Ojciec mój żąda, abym poślubiła hrabiego de Lembrat. Nienawidzę tego człowieka i pogardzam nim. Jeśli zechcą upierać się przy tym małżeństwie, spokojnie poczekam na godzinę stanowczą, gdyż zanim ręka moja dotknie ręki hrabiego, zanim kapłan wygłosi błogosławieństwo – będę już trupem.

– Trwasz więc pani silnie w swym postanowieniu?

– Silniej niż kiedykolwiek!

– I wciąż liczysz na mnie, że ci w nim dopomogę?

– Czemuż by nie! – odrzekła Gilberta szczególnym głosem. Skryta myśl, przebijająca się w tych dwóch prostych słowach, nie uszła uwagi Zilli.

Panna de Faventines, nie mogąc myśleć o przekupieniu Cyganki pieniędzmi, zdawała się mówić do niej spojrzeniem, ruchem, dźwiękiem głosu:

– Nienawidzisz mnie, gdyż ci zabrałam miłość Manuela. Jeśli Manuel odzyska kiedyś wolność, nie do ciebie zwróci się, lecz do mnie. Daj mi więc broń, której od ciebie żądam. Z chwilą mojej śmierci nikt nie zdoła wyrzeć ci tego, dla którego ja się poświęcam.

Słowa te, z których ani jedno nie zjawiało się na ustach Gilberty, dźwięczały wyraźnie w uszach i w sercu Zilli.

Zły duch powtarzał jej te słowa nieustannie i czuła, że sumienie zaczęło słabnąć nieznacznie pod ich naciskiem.

Widziała miłość swą odnoszącą zwycięstwo nad miłością Gilberty, widziała zapadające w przepaść wszystkie przeszkody, które dzieliły ją od Manuela.

Jedna kropla trucizny wystarczała, aby widzenie to stało się rzeczywistością, a ta trucizna była w jej rękach, w jej mocy.

Podczas gdy stała w milczeniu, pogrążona w myślach, walcząc z szatańskimi pokusami, Gilberta położyła dłoń swą na jej ręce.

To nieme zapytanie wyrwało Cygankę z zadumy.

Ostatni skrupuł ustąpił z jej duszy; demon zazdrości o władnął nią niepodzielnie.

Zwróciła się do Gilberty i głosem lodowatym rzekła:

– Masz pani słusność.

Następnie, otworzywszy stojącą w pobliżu szkatułkę, wydobyła stamtąd naszyjnik bursztynowy i podała go jej, mówiąc:

– Proszę. Ten naszyjnik należy do pani.

– Nie rozumiem... – szepnęła Gilberta wahając się, czy go przyjąć.

– To są kulki bursztynowe – objaśniła Cyganka. – Ta oto, która wisi tuż przy srebrnym amulecie, niczym z pozoru nie różni się od innych, tymczasem...

– Daj, rozumiem już! – wykrzyknęła Gilberta w gwałtownym podnieceniu. – Ta ostatnia kulka jest zatruta.

– Da się ona rozpuścić w wodzie nie pozostawiając żadnego śladu i sprowadzi śmierć szybką, bez cierpień i bez konania.

– Dziękuję ci, Zillo. Zrozumiałaś mnie. Jeśli umrę, nic sobie nie wyrzucaj. Oskarżaj jedynie przeznaczenie. I jeśli Manuel wróci do ciebie, bądź szczęśliwa. Wspomnij mu niekiedy o mnie. O zmarłą nie będziesz przecie zazdrosna.

Te słowa, wymówione głosem łagodnym i lekko drżącym, w szczególny sposób oddziaływały na Zillę. Z oczu jej spadła nagle zasłona.

Pojęła w jednej chwili całą ohydę zamierzonego czynu; zawstydzila się i przeleżała samej siebie, i rzucając się do Gilberty, zawołała:

– Byłam szalona i niegodziwa! Oddaj mi pani ten naszyjnik, oddaj!

– Nie, Zillo! Oddać ci go, znaczyłoby nie tylko wyrzec się lekliwie raz powziętego postanowienia, ale nadto skazać siebie na śmierć powolną, a więc boleśniejszą. Do widzenia, Zillo. Odchodzę z ufnością w Boga.

– Nie, pani nie odejdiesz!

Cyganka, jakkolwiek słaba i wycieńczona sceną, która wzmogła jej gorączkę, znalazła w sobie dość siły, aby stawić opór wychodzącej.

Osunęła się do nóg Gilberty i obejmując je rękoma, zawołała:

– Jesteś pani lepsza i godniejsza miłości ode mnie! Tracąc Manuela, postanowiłaś umrzeć. Ja, w tym samym położeniu, myślałam tylko o zemście. Przebacz mi i – żyj!

– Podnieś się, Zillo, i daj mi rękę. Wspólna boleść uczyniła nas siostrami, lecz nie spodziewaj się, że mnie przemożesz. Z rąk twych otrzymałam wielki skarb, bo – spokój; za żadną cenę skarbu tego ci nie oddam.

– Na kiedy naznaczony ślub pani? – spytała nagle Zilla.

– Za dwa tygodnie.

– Czy pan de Cyrano w Paryżu?

– Zdaje się, że wyjechał. Ale na co te pytania?

– Pytam, bo mam wiele błędów do odpokutowania, bo sprzykrzyła mi się niegodna rola, którą dotąd odgrywałam, bo wreszcie pragnę ocalić panią i zwrócić jej Manuela!

– Ty, Zillo!

– A któż, jeśli nie ja, jest przyczyną jego zguby? Słyszałaś pani o księdze, w której znajduje się świadectwo, stwierdzające pochodzenie Manuela?

– Więc?

– Tę księgę, której nie wydano ani hrabiemu Rolandowi, ani też panu de Cyrano, ja posiadam i – pilnie jej strzegę.

– A brat twój?

– Brata nie potrzebuję się obawiać. Jest on daleko stąd. Zresztą, cóż brat mógłby postawić przeciw temu świadectwu oraz przeciw memu osobistemu zeznaniu? Dotąd niegodna uczciwego serca nadzieja powstrzymywała mnie od tego zeznania. Teraz postanowiłam wszystko powiedzieć.

– Nie uwierzą ci. Pan de Lamothe zbyt jest uprzedzony do Manuela.

– Pokażę księgę.

– Powiedzą, że podrobiona. My, Zillo, słabe kobiety, nie posiadamy dość siły, aby walczyć z władzą, która uparła się, cokolwiek będzie, postawić na swoim. Tu potrzebna ręka mężczyzny.

– Mężczyzny? Znam jednego, który z całym poświęceniem ofiarowałby nam swą pomoc, ale ten właśnie, jak mówiłaś, pani, jest nieobecny.

– Pan de Bergerac?

– Tak.

– Być może, iż powrócił?

I podszedłszy do drzwi, Gilberta przywołała służącego.

– Wilhelmie – rozkazała – idź do mieszkania pana de Bergerac i dowiedz się, czy powrócił. Bądź ostrożny, spraw się dobrze i prędko.

Nieznaczna przestrzeń dzieliła Dom Cyklopa od zajazdu, w którym przemieszkiwał poeta.

Podczas gdy Wilhelm przebywał ją krokiem pośpiesznym, obie młode kobiety rozmawiały o swych projektach.

Rozmowa trwała niedługo, służący zjawił się wkrótce z powrotem.

– Pana de Bergerac nie ma jeszcze w Paryżu – oznajmił wchodząc. – Nikt też nie wie dokładnie, kiedy powróci.

– Ha! – rzekła smutno Gilberta – Bóg nam nie sprzyja.

– Pójdę jutro sama do pana de Cyrano – oświadczyła Zilla. – Może lepiej mnie się powiedzie.

– Czy będziesz miała siłę? Jesteś jeszcze bardzo osłabiona.

– Przemogę swą słabość. I tak już za długo trzyma mnie w domu.

– Podzielisz się ze mną wiadomościami?

– Otrzymasz je pani przez pana de Cyrano, jeśli z nim się zobaczę. Tymczasem – dodała ciszej – spełnij pani moją prośbę i oddaj naszyjnik.

– Nie, Zillo. Nadzieje nasze mogą okazać się zawodnymi i na wszelki wypadek trzeba mieć broń pod ręką.

– Postawię na swoim, zobaczysz, pani. Mam dobre przecucie.

– W takim razie nie powinnaś mieć żadnej obawy o mnie.

– W żadnym wypadku nie będziesz potrzebowała posługiwać się strasznym podarkiem, który ode mnie otrzymałaś.

– Kto wie! – szepnęła Gilberta w zamyśleniu.

I okazawszy ruchem stanowczym, że za żadną cenę naszyjnika nie odda, pożegnała szybko Cyganek i wyszła w towarzystwie Wilhelma.

Ten ostatni, stary sługa rodziny de Faventines, przywykły do ślepego wykonywania woli swej pani, odprowadził Gilbertę do pałacu, ani jednego pytania nie śmiejąc zadawać jej w drodze.

Zaleciwszy Wilhelmowi zupełne o wszystkim milczenie, panna de Faventines udała się do swego pokoju, niczyjej uwagi na siebie nie zwróciwszy, i po raz pierwszy od wielu dni spokojnie zasnęła.

XL

Ale Zilla spać nie mogła.

Gdy niepewne światło poranku wniknęło do komnatki Cyganki, wstała i spróbowała się, przechadzając się na małej przestrzeni od łóżka do okna.

Była jeszcze bardzo osłabiona i tylko podniecenie nerwowe dodawało jej mocy.

Mimo wszystko ubrała się, wydobyła z ukrycia księgę przez ojca zapisaną i wolnym krokiem zeszła na niższe piętro.

W izbie noclegowej spotkała odźwierną, która na jej widok nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

– Panna Zilla wychodzi? – spytała.

– Wychodzę – odrzekła krótko Cyganka.

– Ależ, kochanko, błada jesteś jak śmierć. Na każdym skrawku ulicy upaść możesz bez sił.

– Nie upadnę!

Wyszła na ulicę, nic więcej nie mówiąc. Stara patrzyła na nią wzrokiem litościwym, potem rzekła, wzruszając ramionami:

– Wreszcie, cóż mnie to wszystko obchodzi?

Świeże powietrze dobrze oddziało na Zillę. Posuwając się z wolna i przystając chwilami dla nabrania sił, doszła do zajazdu, w którym mieszkał poeta i gdzie zastała gospodarza, prowadzącego nader ożywioną rozmowę ze służącym Cyrana.

Zajazd i oberża miały wygląd zwyczajny. O tak wczesnej godzinie żaden jeszcze biesiadnik nie przestąpił progu izby gościnnej, gdyż stoły były zupełnie czyste, a cynowe kubki wisiały w prawidłowych szeregach na ścianie. Prawie zawsze, w każdym domu, do którego przybywa gość nowy lub powraca który ze stałych mieszkańców, zauważyć można trochę nieładu, ujawniającego się częstokroć w bardzo nieznaczących szczegółach.

Mieszkanie Cyrana nie przedstawiało, na pierwsze wejrzenie, żadnego z tych znaków ostrzegawczych.

A jednak Sawiniusz, Castillan i Marota powrócili już z drogi.

Wszyscy troje, nadzwyczaj znużeni, spali teraz głęboko.

Przybycie Maroty było właśnie przedmiotem żywych rozpraw pomiędzy właścicielem zajazdu i gospodynią poety. Ta ostatnia musiała ustąpić swej izdebki tancerce i niemało była oburzona wtargnięciem do domu tego ładnego szatanka.

Zilla zwróciła się z zapytaniem do gospodarza i nie mogła ukryć radości, dowiedziawszy się o powrocie Cyrana.

– Czy mogłabym zobaczyć się zaraz z panem de Bergerac? – spytała.

– Zaraz się dowiem – odrzekł zapytany. – Dochodzi dziewiąta, a pan de Bergerac, chociaż większą część nocy spędził bezsennie, nigdy później nie wstaje.

Poprosił Zillę do środka i wbiegł na schody wiodące na pierwsze piętro. Gospodyni po przybyciu Cyganki oddaliła się w stronę bramy Nesle. Zilla była od kilku chwil sama w izbie gościnnej, gdy z wysokości schodów rozległ się głos gospodarza:

– Proszę na górę!

Usłuchała z pośpiechem wezwania i uprzejmy Gonin, wskazując jej drzwi wiodące do pokoju poety, rzekł:

– Niech pani wejdzie. Pan de Bergerac czeka na panią.

Zilla zbliżyła się do stołu, przy którym siedział Cyrano, mimo wczesnej godziny zajęty już pisaniem.

– A, a, co widzę! – rzekł wesoło. – To ty, moja piękna! Nader miłą niespodzianką są dla mnie twoje odwiedziny, bom myślał, żeśmy już na wieki poróżnieni.

Zilla, zdając się nie zwracać uwagi na ton ironiczny, jaki się w słowach tych przebijał, odpowiedziała:

– Sprawa wielkiej wagi sprowadza mnie do pana, panie Cyrano. Czy zechcesz mnie pan wysłuchać?

– Z jak największą uwagą. Pragniesz pani może dowiedzieć się czego o swym niezrównanym braciszku?

– I cóż mój brat?

– Jeżeli nie przybył razem ze mną do Paryża, to już z pewnością nie moja w tym wina. Drapnął spod mojej najczulszej opieki. Ale bądź pewna, że prędzej czy później nawrócę go na dobrą drogę i wynagrodzę wedle zasług.

– Nie o brata tu chodzi – przerwała Zilla, którą dobry humor poety drażnić poczynał. – Chodzi o Manuela.

– Ach, o Manuela? Biedny chłopiec! Z jakąż rozkoszą uściskałbym go w tej chwili.

Cyganka przystąpiła do rzeczy. Opowiedziała o wszystkim: o miłości swej, zazdrości, walkach wewnętrznych i zakończyła spowiedź prośbą o przebaczenie.

Poeta z zasady łatwo wszystkim przebaczał.

– Ależ doprawdy – rzekł do Zilli – niczego więcej nie pragnę! Wyznanie, które uczyniłaś, okupuje bardzo wiele błędów i jeśli tylko jesteś szczerą...

– Chcesz pan dowodu? – przerwała Cyganka.

– Alboż go posiadasz? – spytał Cyrano zaciekawiony.

Zilla wydobyła spod okrywki księgę zabraną z domu i nic nie mówiąc, położyła ją przed poetą.

Był to gruby zeszyt pergaminowy w prostej, lecz mocnej oprawie, którego pierwsze karty nosiły datę bardzo już odległą.

Zeszyt ten całkowicie zapisany był po cygańsku.

Cyrano otworzył go i przewracając końcem palca karty, przyglądał się ciekawie dziwnym hieroglifom, którymi były pokryte.

– Cóż to za gryzmoły? – spytał wreszcie.

– Pan wie dobrze. Przynajmniej domyślać się pan powinien.

– Księga Ben Joela?

– Tak.

– Nareszcie! – wykrzyknął poeta. – Nareszcie mam cię w ręku, drogocenny dowodzie! Doprawdy, Zillo, twój postępek godzi mnie z tobą ostatecznie. Gdzież jest to miejsce, w którym ojciec twój zapisał szczegóły odnoszące się do porwania Manuela i do śmierci małego Szymonka?

Zilla przewróciła kilka kart i znalazłszy właściwą, przetłumaczyła Cyranowi dwie notatki, o które mu chodziło.

– Doskonale – rzekł. – Gdybym nie miał w rękach dowodów jeszcze mocniejszych, księga ta byłaby dla mnie skarbem nieoszacowanym. Czy pewna jesteś, że te gryzmoły mają takie znaczenie, jakie im nadałaś?

– Przywołaj pan kogokolwiek należącego do mojej rasy i pokaż mu te karty. Jeżeli ten lub ta, którym polecisz odczytać to pismo, znają dobrze swój język, tłumaczenie, nawet co do jednego słowa, różnić się nie będzie.

– Wierzę ci, Zillo. Możesz odejść w zupełnym spokoju. Manuel będzie jutro wolny.

– Czemu nie dziś jeszcze?

– Dlatego, że dziś udaję się do hrabiego de Lembrat, aby oszczędzić mu – nie dla niego samego, lecz dla honoru nazwiska, które nosi – hańbiących rozpraw publicznych. Jeżeli ze chce upierać się przy swoim, tym gorzej dla niego. Spełnię wszystko, com winien pamięci jego ojca.

– Żegnaj cię, panie Cyrano. Pokładam w panu zupełne zaufanie.

Poeta podniósł się i do samych drzwi odprowadził Cyganekę.

Następnie kazał przywołać Marotę.

Tancerka, z zaspanymi jeszcze oczyma, przybyła w dziesięć minut później.

Cyrano otworzył księgę Ben Joela i wskazując palcem miejsce naznaczone przez Zillę, zapytał:

– Powiedz mi, co to znaczy?

Marota przeczytała i bez namysłu przetłumaczyła wskazane sobie zdania.

Tłumaczenie jej zgadzało się prawie co do słowa z tamtym.

Cyrano zamknął księgę i rzekł z uśmiechem:

– Tak, to znaczy rzeczywiście to samo. Dziękuję ci.

Wkrótce potem sławetny Gonin ujrzał poetę wychodzącego z mieszkania. Castillan siedział w izbie gościnnej i zjadał z apetytem śniadanie.

– Idę do hrabiego – oznajmił swemu sekretarzowi poeta. – Nie wychodź przed mym powrotem i czuwaj nad tym, aby twej protegowanej na niczym nie zbywało.

– Bądź spokojny, mistrzu – pośpieszył zapewnić Castillan z zapalem, który na usta Cyrana sprowadził uśmiech znaczący.

Gdy poeta przybył do pałacu hrabiego de Lembrat, gdzie ze względu na wczesną porę spodziawał się na pewno zastać Rolanda, dowiedział się ze zdziwieniem, że wyszedł on już z domu.

– Gdzież mógłbym znaleźć hrabiego? – zapytał.

– Najpewniej u margrabiego de Faventines – odpowiedziano.

Sawiniusz zwrócił kroki w stronę wyspy Świętego Ludwika. Ani chwili nie chciał tracić na próżno.

Roland znajdował się tam rzeczywiście. Poeta znalazł też w wielkim salonie Gilbertę i jej matkę.

Gdy służący oznajmił Cyrana, hrabia pobladł okropnie, Gilberta zaś nie mogła powstrzymać okrzyku radosnego zdziwienia.

Poeta wszedł do salonu z uśmiechem na ustach i przywitawszy damy oraz uściskawszy rękę margrabiego zwrócił się, wciąż uśmiechnięty, do Rolanda:

– I cóż? – rzekł – nie oczekiwałeś mnie zapewne, mój druhu serdeczny?

– Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu – wyjąkał hrabia nie wiedząc prawie, co mówi.

– Więc zdrowie moje aż tak bardzo cię obchodzi? Jesteś doprawdy zbyt dobry. Ale nie w mniejszym zapewne stopniu jesteś ciekawy szczegółów mojej podróży. Jeśli chcesz, opowiem ci je.

– Tu? – zapytał Roland niespokojnie.

– Nie; panie znudziłyby się słuchając.

– Kiedy bo... – wykręcał się hrabia – trudno mi w tej chwili poświęcić ci tyle czasu, ile ta rzecz wymaga.

– W istocie – przybył mu z pomocą margrabia, który przewidywał jakieś starcie i zapobiec mu pragnął – pan de Lembrat był łaskaw poświęcić nam cały dzień dzisiejszy. Liczymy, że i ty, kochany Sawiniuszu, dotrzymasz nam towarzystwa.

– Jeśli hrabia przyjął to zobowiązanie, niegrzecznie byłoby zmuszać go do niesłowności. Pozostają więc i ja, kochany margrabis, skoro życzysz sobie tego.

Przy tych słowach posłał znaczące spojrzenie Rolandowi.

Od tej chwili pomiędzy gośćmi nie zostało zamienione ani jedno słowo o tym znaczeniu, jakiego obawiał się margrabia.

Sawiniusz był przez cały czas taki, jaki bywał zawsze w towarzystwie: wesoły, uprzejmy, dowcipny. Przy obiedzie, do którego, prócz dwóch młodzieńców, zasiadło kilka osób z rodziny margrabiego, Cyranowi dostało się miejsce obok Gilberty.

– Kiedyż ślub? – zapytał przyciszonym głosem, korzystając z gwarnej rozmowy współbiesiadników.

– Za dwa tygodnie! – odrzekła również szeptem Gilberta.

– Pani przystałaś?

– Nie, czyni się to wbrew mej woli.

– Bądź pani spokojna. Zaślubisz Manuela. Ja pani za to zaręczam.

Głębokie spojrzenie było całą odpowiedzią Gilberty. Hrabia, zatopiony w myślach, nie uważał tej rozmowy.

Co porabia to bydlę Rinaldo? – zapytywał on siebie. – Jakie ma zamiary Cyrano? Oszczędza mnie, to widoczne, ale czy ta jego powściągliwość będzie trwała dość długo, abym mógł albo ująć przed nim, albo też raz jeszcze go pokonać?

Przy końcu biesiady Cyrano i Roland znów znaleźli się przy sobie.

– Jak widzisz, hrabio – szydził poeta – nie chcę zamącać ci przyjemności zabawy. Musimy jednak pomówić ze sobą. Jaką godzinę będziesz łaskaw wskazać mi w tym celu?

Roland pragnął zyskać na czasie.

– Dziś wieczorem u mnie w domu – rzekł.

– Zgoda, choć wolałbym prędzej.

– Czekać cię będę o ósmej – dodał Roland ze szczególną miną. Jakiś nowy, nikczemny zamysł wykluwał się w umyśle hrabiego. Cyrano odgadł go może, gdyż oświadczył.

– Chciałbym z serca oszczędzić ci kłopotu jakich nowych powikłań. I dlatego, zamiast udać się do ciebie, będę cię oczekiwał w swoim skromnym mieszkaniu.

– Jak chcesz – odparł sucho hrabia.

Te kilka słów, w których czuć już było zapowiedź walki, wymówione zostały w przytomności margrabiego.

– Bądź punktualny, radzę ci – zakończył Cyrano. – Jutro rano nic bym już ci nie miał do powiedzenia.

XLI

Była właśnie ósma, gdy Roland z punktualnością świadczącą w równym stopniu o jego niecierpliwości i obawie zapukał do drzwi Cyrana.

Poeta, zajęty rozmową z Sulpicjuszem, oddalił natychmiast tego ostatniego i poprosił gościa, aby usiadł.

– Unikajmy słów zbytanych – oświadczył zaraz na wstępie. – Nie mam zamiaru odwoływać się do twojej szlachetności, pragnę tylko po prostu oznajmić ci, jaki jest obecny stan twojej sprawy, a zarazem ocalić od hańby nazwisko, które nosisz. Da się to jeszcze zrobić – jeśli, naturalnie, będziesz życzył sobie tego.

– Wstęp bardzo uroczysty – spróbował zażartować Roland – na nieszczęście nie dość jasny, aby obyć się mógł bez bliższego wyjaśnienia.

– Bardzo słuszna uwaga. Wyjaśnienie żądane zaraz otrzymasz. Brat twój musi być natychmiast wypuszczony na wolność...

– Chciałeś zapewne powiedzieć: Manuel? – poprawił Roland.

– Nie przerywaj. Powiedziałem: brat i słowa tego nie cofam. Otóż brat twój musi być wolny. Jeżeli znajduje się on dotąd jeszcze w Châtelet, to dlatego jedynie, że chciałem tobie dać czas do opamiętania się, do wyznania swej winy i... wynagrodzenia jej w potrzebie.

– Czego pan życzysz sobie ode mnie albo raczej: czym mi pan chcesz grozić?

– Żądam kilku słów pod adresem starosty, słów, które byłyby przyznaniem się do omyłki – zwracam twą uwagę, że nie mówię: do zbrodni, do ostatniej bowiem chwili chciałbym cię oszczędzać – następnie: wyraźnego i stanowczego potwierdzenia wszystkich praw Manuela – co jemu przywróciłoby wolność i dobre imię, tobie zaś zapewniło bezpieczeństwo i spokój sumienia. Co się tyczy środków, jakie mam przeciw tobie, dowiesz się o nich niebawem. Tymczasem odpowiedz.

– Odpowiedź moją słyszałeś już pan przy innej sposobności. Nie uznaję Manuela za swego brata i nie napiszę przyznania się, którego ode mnie żądasz.

– Przewidziałem to. A więc wysłuchaj mnie, Rolandzie. Manuel jest twoim bratem; wiesz o tym dobrze, gdyż dowód, stwierdzający jego pochodzenie, czytałeś w księdze Ben Joela.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Ta księga nie istnieje.

– Wybacz, mylisz się. Oto ona.

I Sawiniusz podsunął przed oczy hrabiego dokument dostarczony przez Zillę.

Zaraz też cofnął rękę i umieścił księgę w przyzwoitym oddaleniu od Rolanda.

Hrabia pobladł z gniewu i na próżno usiłował wyjąkać zaprzeczenie.

Oczy jego z wyrazem nagłego osłupienia zwróciły się na Cyrana.

Poeta mówił dalej, zdając się nie spostrzegać zmieszania Rolanda.

– Posiadam prócz tego zeznanie piśmienne twego ojca. Jeśli znajduje się ono w moich rękach, nie są temu winni twoi wysłańcy, którzy czynili wszystko, co było w ich mocy, aby temu zapobiec. Niestety, nie powiodło im się to zupełnie i twój wiemy Rinaldo ciężko przypłacił swe przemądre sztuczki.

– Czy sądzisz pan, że Rinaldo jest twym wrogiem?

– Mówmy w czasie przeszłym. Ja sądzę, że nim był...

– A teraz?

– Teraz wszystko mi to już jedno – rzekł poeta obojętnie. – Rinaldo nie żyje.

– Nie żyje! – wykrzyknął Roland.

– Przeniósł się do lepszego świata, pozostawiwszy mi tę oto pamiątkę jako dowód wiernego aż do końca spełniania obowiązków.

I Cyrano, dotykając palcem policzka, pokazał hrabiemu czerwoną dotąd jeszcze kreskę, którą wypisała mu na twarzy kula Rinalda.

– Nie żyje! – powtórzył hrabia przygnębiony.

– Opowiedziałem ci już kiedyś szczegóły odnoszące się do twego urodzenia; czy chcesz, abym ci je teraz odczytał wprost z piśmiennego dowodu? Jest on u mnie, zapisany od początku do końca ręką starego hrabiego. Trzeba zgodzić się z rzeczywistością. Jutro cały Paryż i dwór dowie się o tym, jeśli będziesz się upierał i odmówisz zadośćuczynienia, którego żądam od ciebie.

– Mów ciszej – rzekł hrabia tonem prawie błagalnym. – Zdaję się na twą łaskę.

– A, ustępujesz zatem nareszcie! Czynisz bardzo roztropnie.

– Skończmy! Czego żądasz w zamian za milczenie?

– Przygotowane są już na stole papier i pióro. Siadaj i pisz. Ja będę dyktował.

Hrabia, na pół bezwładny, upadł na krzesło stojące przy stole, wziął pióro i czekał.

„Przyznaję – dyktował Cyrano — że miałem w ręku wszystkie dowody tożsamości mego brata, zamkniętego w tej chwili w więzieniu Châtelet pod imieniem Manuela, i oświadczam, że wszystkie świadectwa przeciw niemu skierowane są kłamliwe, wymuszone gwałtem lub podstępem”.

– Ależ pisząc to okrywam się hańbą! – zawołał Roland.

– Kończ i podpisz się. Oświadczenie twoje nie wyjdzie poza ścisłe koło osób należących do rodziny. Prócz nich przeczyta je tylko starosta, któremu muszę je pokazać. Ale z tej strony niczego obawiać się nie potrzebujesz. Jan de Lamothe jest najpierw twoim przyjacielem, następnie, wstydzając się tak grubej pomyłki, sam dla własnego dobra będzie się starał utrzymać wszystko w jak największej tajemnicy.

– Masz zatem, czego żądasz. Ale w zamian oddaj mi pismo mego ojca oraz księgę Ben Joela.

– O, nie, panie de Lembrat. Byłaby to zbyt wielka niedorzeczność! W dniu, w którym Manuel odzyska swe prawa i majątek, mógłbyś kazać go zamordować. Muszę mieć w ręku uzdę, która cię poskromi.

– Poprzestań pan na poniżeniu mnie, ale mnie nie lżyj. Jeśli zatrzymujesz przy sobie wszystkie dowody, jeśli będziesz mógł rozgłosić przed światem moje pochodzenie, gdy ci przyjdzie do tego ochota – świadectwo, które wydałem ci przed chwilą, jest najzupełniej niepotrzebne. Zwróć mi je.

– Zapomniałeś o jednym. Ja mogę umrzeć. Świadectwo to zabezpiecza spokój twego brata. Jemu je doręczę. W obecnych okolicznościach nie można być zanadto ostrożnym i przewidującym.

– Jednakże...

– Posłuchaj. Czyż wolałbyś, abym doręczył Manuelowi testament twego ojca? Duma twoja pozwoliłaby na to?

– Dość. Na wszystko masz odpowiedź. Poddaję się. Spełnij pan do końca swe dzieło. Uwolnij Manuela.

– Noc zapadła. Za późno już na kołatanie do wrót więziennych. Ale jutro, zanim jeszcze pierwsze kury zapieją, bądź pewny, że brat twój wyjdzie na wolność. A, wyobrażam sobie, jak okrutnie skrzywi się imćpan de Lamothe, gdy go tak rano wyciągnę z łóżka, zwiastując mu tę wiadomość. Dobranoc, hrabio. Nie chcę przetrzymywać cię nad miarę i potrzebę.

Roland opuścił mieszkanie poety i wybiegł na ulicę, szalony od gniewu.

Nie opodał czekała nań służba. W otoczeniu jej udał się prosto do domu, wysilając umysł nad wynalezieniem środka, który by pozwolił mu wybrnąć z tej matni piekielnej.

Oczywiście, sprawa była przegrana. Dwanaście godzin jednak dzieliło go jeszcze od chwili, w której Cyrano udać się miał do starosty. W takim przeciągu czasu można zdziałać bardzo wiele, gdy się ma umysł wynalazczy i zdolny do szybkiego działania.

– A, i któż nareszcie uwolni mnie od tego człowieka? – zawołał Roland, wchodząc do pałacu.

Cień jakiś zjawił się przed nim na progu nie zamkniętych drzwi.

Hrabia poznał Ben Joela.

– To ty! – wykrzyknął z radością, jakby znalazł odpowiedź na swe pytanie.

– Od trzech godzin oczekuję jaśnie pana.

– Chodź za mną.

Służba oddaliła się, odprowadziwszy pana do drzwi jego gabinetu. Roland i Cygan pozostali sami.

– Rinaldo zabity, Cyrano żyje.

Takie były pierwsze słowa hrabiego. Mieściła się w nich wymówka, którą Ben Joel zrozumiał bez trudności.

– Ach, jasny panie – rzekł płacząco – walczyliśmy do ostatniej chwili mężnie i wytrwale. I skoro jasny pan wie już, co spotkało biednego Rinalda, musi wiedzieć również, na jakie cuda odwagi zdobywaliśmy się, aby spełnić, co nam przykazano.

– Co mi po tych wiadomościach! Wszystko przepadło... Chyba że...

– Że co? – zapytał skwapliwie Cygan.

– Że uwolni mnie kto od tego przekłętą Bergeraka – dokończył Roland.

– Jasny pan będzie od niego uwolniony.

– Ach, tak – zauważył pogardliwie hrabia – zrobisz mądre przygotowania i, jak zawsze, do niczego cię one nie doprowadzą.

– Sądzę, że zabrawszy się do dzieła zaraz jutro...

– Tu nie można czekać do jutra. Trzeba działać zaraz, natychmiast, tej nocy jeszcze. Aby śmierć Cyrana korzyść mi jaką przyniosła, musi on zginąć wpierw, zanim się uda do Châtelet – wybiera się zaś tam o świcie.

– A więc napad może być urządzony na drodze. I byle tylko napadający znaleźli się w dostatecznej liczbie...

– Tak. To rzecz najważniejsza. Idź, zbierz swych kamratów. Wynagrodzę ich hojnie. Uzbiorcie się w noże; szpadami nic nie zdziałacie. To gracz nie lada.

– Kiedy i gdzie mamy się stawić na rozkazy jasnego pana?

– Twoi towarzysze zatrzymają się na ulicy. Ty przyjedziesz tu sam o trzeciej po północy. Wydam rozkaz służbie, aby cię wpuściła.

– Czy i jasny pan uda się z nami?

– Tak; chcę widzieć was przy robocie.

– A, klnę się na piekło, jasny panie! – zawołał na odchodnym Cygan – że tym razem odpłacę z lichwą za wszystkie krzywdy swoje i że Kapitan Czart żywcem z rąk naszych nie wyjdzie!

XLII

Objaśnienia, których udzielił Roland Ben Joelowi, były bardzo krótkie. Na ich podstawie Cygan w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego hrabia uważa wszystko za przepadłe. Rozumie się, że w objaśnieniach nie było żadnej wzmianki o testamencie hrabiego de Lembrat. Nic też nie wspomniał Roland – rozmyślnie czy też przez zapomnienie – o księdze cygańskiej, znajdującej się w rękach Cyrana.

Nie osłabiło to jednak w niczym zaciętości, z jaką Ben Joel przystąpił do zbójckiej wyprawy na poetę.

Prosto z pałacu hrabiego Rolanda udał się on do Domu Cyklopa.

Przed wejściem na górę odbył długą naradę z kilkoma łotrami zgromadzonymi w izbie noclegowej.

Wszystko to byli zbójce i rzezimieszki, od dawna poróżnieni ze sprawiedliwością i nic już nie mający do stracenia. Wezwanie Ben Joela przyjęte zostało przez nich z zapalem. Sprawa przedstawiała się pod każdym względem świetnie. Przeciwnik był tylko jeden; sprzymierzeńców dziesięciu. Ryzyka nie brano w rachubę, a wynagrodzenie ofiarowywane przez Ben Joela mogło być skusić najoporniejszych.

Gdy już zawarto umowę i ułożono warunki wyprawy, Cygan polecił kamratom, aby nieco wyczęli dla nabrania potrzebnych sił, przyrzekając zbudzić ich we właściwej porze.

Zilla, usłyszawszy pukanie do drzwi, sądziła w pierwszej chwili, że to przybywa poseł od Sawiniusza.

Na widok wchodzącego Ben Joela doznała bardzo umiarkowanej radości.

Zbój, nie zwracając najmniejszej uwagi na ślady fizycznych i moralnych cierpień widniejących na twarzy siostry, rzucił się na stół i rzekł:

- Otóż i ja! Musiałaś być już bardzo zaniepokojona moją nieobecnością.
- Wiele ważnych zdarzeń zaszło w tym czasie, więc co prawda – zapomniałam o tym.
- Jakich zdarzeń?
- Czyż zapomniałeś o Manuelu?
- Jakże mogłem zapomnieć! Wszakże to w jego sprawie drogę tę odbyłem.
- Widziałeś się z hrabią?
- Naturalnie.
- Cóż ci powiedział? Chciał otruć Manuela; czy wiesz o tym?
- Nie chwalił się tym. Ale nie o Manuela chodzi w tej chwili. Teraz na placu Cyrano.
- Cóż chcesz z nim zrobić?
- Dowiesz się jutro.
- Znów jakieś piekielne spiski, znów jakaś zmowa pomiędzy hrabią i tobą! Ben Joelu, kiedy ty się opamiętasz?

Cygan zaczął śmiać się cynicznie.

– Czy doświadczasz wyrzutów sumienia? – rzekł. – A może przestałaś już kochać Manuela?

– Wiesz dobrze, że kocham go nad życie!

– Daj więc pokój kazaniom i nie przeszkadzaj mi w robocie. Ty nie wiesz jeszcze, do czego jest zdolny brat, gdy kocha swą siostrzyczkę, a przy tym dba o swoje interesy.

– Nie rozumiem cię, Ben Joelu!

– Posłuchaj zatem. Zwiodłem Cyrana i Manuela, to prawda, ale zwiodłem także hrabiego, pozwalając mu myśleć, że wszystko skończy się z chwilą, gdy jego brat powróci, skąd wyszedł. Gdy już panna de Faventines zostanie hrabiną de Lembrat i gdy Manuel, powróciwszy do nas, wyleczy się ze swej głupiej miłości do córki jaśnie wielmożnego margrabiego, zajmę się wówczas jego przyszłością i naszym losem.

– Co mówisz, nieszczęsny! Czy sądzisz, że w ten sposób Manuel odzyska wolność?

– Odzyska, gdy tylko hrabia nie będzie potrzebował obawiać się go jako rywala. Wiem ja o tym więcej, niż ty domyślać się możesz. Pozwól mi więc działać.

– Dzisiaj! – szepnęła Zilla, która czuła się mimowiednie pociągana dowodzeniami brata.

– Manuel przypomni sobie niezawodnie, że kochał ciebie i że ty nigdy go kochać nie przestałaś. Wówczas... pożenisz was.

– Pożenisz nas?

– Z największą pewnością. Dopelnivszy zaś tego, udam się do władzy, jak przystało nawróconemu grzesznikowi. Oświadczę, gdzie należy, że pan de Lembrat wymusił na mnie przekupstwem fałszywe zeznanie i że Manuel jest rzeczywiście jego bratem. Zażądam dowodu, który im natychmiast przedstawię. Zechcą też zapewne ukarać mnie za poprzedni fałsz – ale cóż mnie to obchodzi? Posiedzę sobie trochę w więzieniu i na tym koniec. Gdy kto dba o los rodziny, nie zważa na takie drobiazgi! Zapłacisz mi zresztą za nie zostawszy wicehrabiną de Lembrat. Taki jest mój plan, siostruniu; zdaje mi się, że ci przypada do smaku?

Zilla słuchała z głową schyloną. Gdy skończył, podniosła głowę i w oczy mu spojrzała, ramionami wzruszając.

– Twój plan jest niedorzeczny! – rzekła poważnie. – I wówczas tylko nie byłby takim, gdybyś miał możliwość wprowadzić go w wykonanie.

– Alboż nie mam tej możliwości? Księga, którą zachowałem w ukryciu przed wszystkimi i której wydania odmówiłem tak samo hrabiemu, jak i Cyranowi, dostarczy mi dowodu, którego nikt nie będzie mógł podać w podejrzenie.

Zilla wiedziała, że jedno jej słowo wystarczy do obrócenia wniwecz wszystkich rojeń brata, ale że zbudzi ono zarazem w jego umyśle burzę straszliwą.

Nie zawahała się jednak stawić mu odważnie czoła.

Wargi jej zacięły się mocno silnym, nerwowym kurczem. Chciała być za wszelką cenę spokojna i – udało jej się to.

– Ben Joelu – rzekła – księgi, o której mówisz, już tu nie ma.

– Zabrano ci ją?! – ryknął Cygan.

– Nie. Sama ją dałam!

– Ty?

– Dałam ją panu de Cyrano.

– Nędznico!

Zbój, wściekłym gniewem uniesiony, rzucił się na siostrę z podniesioną pięścią.

– Nędznico!

Nie drgnęła nawet i tylko oczy, pełne błyskawic, utkwiała w oczach Cygana, powstrzymując go w miejscu magnetyczną siłą... Ręka mu opadła; uczuł się pokonanym.

– Dlaczegoś to zrobiła? – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Bo obrzydły mi już te wszystkie zbrodnie! Bom uczyniła ofiarę ze swej miłości; bo postanowiłam ocalić Manuela.

– I w tym celu dałaś do ręki broń memu śmiertelnemu wrogowi?

– Pan de Cyrano nie jest twym wrogiem. Jeśli go nienawidzisz, to dlatego jedynie, że czujesz się gorszy i słabszy od niego.

– A, to tak! – wykrzyknął Cygan. – Dowiedźże się zatem, moja panno, że twój piękny kapitan będzie trupem jutro rano i że Manuel zgnije wpierw w więzieniu, zanim ja zakłopotczę się o jego los. A księgę, którą mi skradłaś, jeszcze dzisiejszej nocy odbiorę.

– Dzisiejszej nocy! – wyjąkała Zilla. – Otóż to ta świeża zbrodnia, o której przed chwilą rozmyślałeś!

– Nazywaj to sobie zbrodnią; dla mnie jest to tylko – zemsta. Zanim ukaże się jutrzejsze słońce, wszystko się skończy.

– Nie! – odparła Zilla, rzucając się do drzwi – gdyż zanim ukaże się słońce, ja również wystąpię do walki i wszystko wyjawię.

Ale szybszy od słabej dziewczyny Ben Joel zdążył uprzedzić ją i zagroził jej sobą wyjście.

– Puść mnie! – ostrzegła Cyganka, dobywając zatrutego sztyletu, z którym nigdy się nie rozstawiała.

Ben Joel, zawsze ostrożny, nie stanął do walki, bezużytecznej zresztą, gdyż był panem położenia.

Jako ostatnią pogroźkę i jako ostatnią obelgę cisnął on w twarz Zilli śmiech szatański, szyderski, pchnął drzwi, wybiegł i na dwa spusty zamknął Cygankę w mieszkaniu.

Nie poprzestając na tym, wyciągnął z zamka klucz i schował go do kieszeni, a następnie przyciągnął kilka mebli z bocznej izby i drzwi nimi zabarykadował.

Podczas tej czynności, która trwała około dziesięciu minut, Zilla nie przestawała kaleczyć sobie ręk o dębowe, gwoździemi najeżone deski, usiłując tę zaporę otworzyć lub wyłamać.

Głos jej, na przemian gniewny i błagający, dobiegał nieustannie do uszu Ben Joela, który jednak zdawał się go nie słyszeć.

Gdy ukończył barykadę, zszedł na palcach na dół, zbudził swych ludzi i zanurzył się wraz z nimi w ciemnościach nocy.

Tegoż samego wieczora, tak obfitego w wypadki, Manuel doczekał się niespodzianych odwiedzin starosty.

– Czy zdecydowałeś się nareszcie przyznać do winy? – zapytał surowo Jan de Lamothe.

– Dziś mniej niż kiedykolwiek myślę o tym. Będę mówił przed sędziami – nie dla przyznania się do zbrodni, której nie popełniłem, lecz dla odparcia oszczerstw hrabiego Rolanda de Lembrat.

– Strzeż się, Manuelu; wstępujesz na drogę bardzo niebezpieczną. Jutro staniesz przed trybunałem oskarżającym. Szczere przyznanie się do wszystkiego, połączone ze skruchą i żalem, złagodzić może cokolwiek karę, która cię czeka. Opór, przeciwnie, stanie się dla ciebie fatalny.

– Czegóż mogę się jeszcze obawiać?

– Tortur! – przemówił starosta tonem poważnym i groźnym.

– Możecie torturować mnie aż do pozbawienia życia – odpowiedział Manuel spokojnie – nie wymusicie ani jednego słowa niezgodnego z prawdą.

De Lamothe pokręcił głową i wyszedł z podziemia, mrużąc do siebie:

– Wszyscy oni tak mówią. Gdyby im uwierzyć, okazałoby się pewnie, że więzienia zapelnione są samymi niewiniątkami.

XLIII

W zajeździe sławetnego Gonina rozmawiali ze sobą Marota i Sulpicjusz. Było to w tym samym czasie, gdy Cyrano zmuszał Rolanda do podpisania wiadomego aktu.

Po raz pierwszy dopiero po przyjeździe sekretarz i tancerka znaleźli się sam na sam i mogli porozumieć się bez obawy żarcików Sawiniusza i natrętnej ciekawości gospodyni.

Sulpicjusz usiadł naprzeciw Maroty przy jednym ze stołów izby gościnnej i podczas gdy jęspan Gonin drzemał w kącie, młodzi wyjawiali sobie wzajem swe myśli i projekty.

– Mości Castillanie – odezwała się wreszcie tancerka – jutro rano muszę już podziękować panu de Cyrano za gościnność i pożegnać was wszystkich.

– Już jutro? To być nie może!

– Może być i być musi. Nie mogę tu przecie mieszkać. To było dobre w pierwszej chwili po przyjeździe; teraz już jednak wypada mi wracać do swoich.

– Gdzież oni są? – zapytał Sulpicjusz z pewnym niepokojem.

– Zapewne w Paryżu. Gdym opuszczała towarzystwo nasze w Orleanie, dyrektor mówił mi, że zamierza na najbliższy jarmark przybyć do stolicy.

– Czy ten rodzaj życia nęci cię jeszcze, Maroto?

– A jakież inny może z nim się równać pod względem wesołości i swobody?

– Ależ, mała niewdzięcznico! – szepnął Castillan, ujmując rękę dziewczyny i silnie ją ścisnął – czyś zapomniała, że cię kocham!

– I ja kocham cię – odrzekła tancerka z uśmiechem na ustach – i spodziewam się, że o tym nie wątpisz!

– Jakże nie mam wątpić, skoro mówisz, że mnie porzucisz! Ach! Maroto, będziesz przyczyną mojej śmierci!

– Cóż chcesz zatem, abym zrobiła?

– Abyś pozostała.

– Cóż znów! – zawołała Cyganka, uderzając nogą z niecierpliwości. – To niepodobna! Bo pytam: czyż mógłbyś mnie poślubić?

Castillan przez długą chwilę nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

Nigdy nie zadawał sobie jeszcze tego pytania.

Marota przerwała pierwsza milczenie.

– Jestem szczerą – rzekła – i wiem, czego mam prawo spodziewać się. Nie poślubia się takich dziewczyn, jak ja. Choćbyś nawet chciał tego, ja musiałabym odmówić. Wiem też, że gdy zajdzie konieczność zerwania tego związku, ty uczynić tego nie potrafisz. Znam się na tych rzeczach lepiej od ciebie!

– Nie, ty mnie nie kochasz! – poskarżył się Castillan pragnąc, by rozmowa przybrała inny kierunek.

– Jeszcze! Posłuchajże, co ci powiem. Nie jesteś dzieckiem i potrafisz mnie zrozumieć.

Był raz mały pazik, który nosił, nie pomnę już, jakie imię, ale którego główka była równie żywa, jak serce poczciwe.

Pewnego dnia, przechodząc ścieżką między zbożem, pazik ten usłyszał śpiewającego prześlicznie skowronka.

Ptaszek zerwał się z nadejściem chłopca i wysoko, aż pod samo niebo, uniósł swe najpiękniejsze tony; pazik zaś zapragnął koniecznie go posiąść.

Przyzywał ptaszynę głosem tak miłym, tak miłym, aż sfrunęła z wysokości i usiadła tuż przy nim.

Chłopiec zbliżył się ostrożnie i ukląkł na murawie, która rosła na brzegu ścieżki.

O kilka kroków od niego skowronek skakał wśród zboża, lekki i wesoły, nie czując żadnej trwogi wobec chłopca, ptaszki bowiem posiadają instynkt, który ich nigdy nie zawodzi, ten zaś ptaszek odgadł od razu, że mu nie chcą żadnej krzywdy wyrządzić.

Pazik wyciągnął z wolną ręką i skowronek pozwolił się pochwycić.

Serduszko ptaszyny biło szybko pod ręką chłopca – nie ze strachu jednak bynajmniej.

Wszakże wiedział skowronek, że jedno poruszenie skrzydełek może przywrócić mu wolność i unieść go daleko od pazia.

Chłopiec wziął ptaszka ze sobą, dumny ze swej zdobyczy, nakarmił go świeżym ziarnem i czystą wodą, i dużo czasu spędził na głaskaniu jego piórek, miękkich jak jedwab, oraz na pokrywaniu pocałunkami jego główki maleńkiej.

Skowronek oswoiwszy się podlatywał wesoło i śpiewał pazikowi swe najpiękniejsze piosenki.

Trwało to długo.

Chłopiec i ptaszyna zdawali się nierozłączni.

A że zawsze dwie istoty, tak zespolone ze sobą, rozumieją się nawzajem, choćby nawet nie rozmawiały, więc i ta para wyjawiała sobie uczucia, serca jej przepelniające.

Przyszła jednak taki dzień, że chłopiec zapłakał. Dorozumiał on się tego dnia, że ptaszek chce go opuścić.

Ponieważ dłuższe przetrzymywanie go w zamknięciu groziłoby mu może śmiercią, paż otworzył okno i pozwolił ptaszce ulecieć na pola słońcem ozłocone.

Sądził, że już się z nim nigdy nie zobaczy.

Ale ptaszek nie był ani niegrzeczny, ani łatwo przyjaciół swych zapominający.

W chłodny poranek październikowy, gdy paż przechadzał się po wsi, usłyszał niespodzianie tuż przy sobie szelest skrzydełek i krzyki wesołe.

Skowronek spostrzegł go z wysokości i sfrunął, aby usiąść mu na ramieniu.

Przez cały dzień ptaszyna nie opuszczała chłopca, obdarzając go, jak dawniej, piosenkami i pieścizotami.

Następnie, z nadejściem wieczora, znów uleciała daleko.

Nadeszła zima. Paż siedział sam w pokoju, przyglądając się przez szyby śniegowi, który spadał gęstymi, białymi płatkami, na kształt kwiecica migdałowego. Nagle z pobliskiego pola przyleciał ptaszek jakiś, usiadł za oknem i dziobkiem w szybę zapukał.

Był to ten sam skowronek.

Paż otworzył z pośpiechem okno i gorącymi pocałunkami ogrzał zziębłą ptaszynę. Od tego dnia przestał być smutny. Skowronek opuszczał go, ale on wiedział, że powróci.

I w tej ciągłej nadziei, w tym szczęściu, z nieustannych niespodzianek złożonym, było wiele uroku – więcej może, niżby go mieściło w sobie całkowite i ciągłe posiadanie.

Gdy Marota skończyła tę bajeczkę, którą wypowiedziała najczulszym i najmelodyjniejszym głosem, spojrzała na Castillana.

Młodzieniec miał łzy w oczach.

Marota wyciągnęła doń rękę, na którą upadły gorące łzy Sulpicjusza.

– Czego płaczesz, paziu najmilszy? – spytała ze smutnym uśmiechem. – Skowronek powróci.

– Naprawdę powróci?

– Przysięgam w jego imieniu.

Z tonu, jakim słowa te zostały powiedziane, Castillan zrozumiał, że Marota go nie zwodzi.

Uśmiech zabłysnął na jego ustach, wilgotnych jeszcze od łez.

—Kiedy odjedziesz?—zapytał.

– O wschodzie słońca.

– Odprowadzę cię.

– I owszem. Dobranoc, Sulpicjuszu.

– Dobranoc, Maroto – westchnął młodzieniec.

I rozstali się w chwili, gdy jespán Gonin, skończywszy swą drzemkę, zabierał się do zaryglowania drzwi czołowych.

XLIV

Hałastra, prowadzona przez Ben Joela, przybyła przed pałac hrabiego Rolanda.

Było już po drugiej w nocy.

Cygan pozostawił zbirów na ulicy, a sam zapukał do furty pałacowej, którą mu zaraz otworzono.

Towarzysze Ben Joela byli zbieraniną najróżnorodniejszych wykołajeńców. Gotowi na wszystko, jednego tylko kłopotu doświadczali w tej chwili: czy ich nie minie umówiona zapłata? Cygan podrażnił chciwość ich świetnymi przyrzeczeniami – nie widzieli jednak dotąd ani jednego srebrnika, który byłby zaliczką na spodziewane dukaty.

Postanowili oni natrzeć mocno na Ben Joela, gdy się tylko pojawi.

Była godzina trzecia po północy, gdy Cygan ukazał się z powrotem w towarzystwie człowieka szczelnie w czarny płaszcz zawiniętego.

Wiemy już, że tym człowiekiem był Roland. Zbójów nic on nie obchodził, mieli bowiem rachunki wyłącznie z Ben Joelem.

Ten ostatni, odgadując myśli kamratów, nie czekał, aż wystąpią głośno ze swymi żądania. Zadzwonił kiesą pełną złota i stając pośrodku bandy, rzekł:

– Słuchajcie, chłopcy! Zanim przyjdzie chwila stanowcza, musicie być uprzedzeni, z kim będziecie mieli do czynienia. Człowiek, z którym mamy walczyć, jest przeciwnikiem nie lada jakim. Dość będzie, gdy wam powiem, że to Kapitan Czart we własnej osobie. Nie ma pewnie między wami ani jednego, który by o nim nie słyszał. Jeśli który czuje, że słabnie jego odwaga, może cofnąć się. Jeszcze czas na to.

Gwar rozmów dał się słyszeć w gromadzie.

Nikt jednak nie objawił chęci do odwrotu.

Zbójce policzyli się i uznali widocznie, że liczba ich jest dostateczna do wytrzymania zamierzonej walki.

– To dobrze – podjął Ben Joel. – Nie ma pomiędzy wami tchórza. Występujcie więc, jeden po drugim; będę wypłacał umówione wynagrodzenie.

I zagłębiając rękę w worku, wy dostał dziewięć zawczasu odliczonych działów, które rozdał zbójom.

Swoją część schował wcześniej jeszcze do kieszeni. Rozumie się, że była to część lwia.

Roland de Lembrat, ukryty w cieniu, towarzyszył tej scenie, ust nie otwierając.

Na znak dany przez Cygana banda ruszyła w pochód. Posuwano się krokiem wolnym, gdyż panowała jeszcze zupełna ciemność, ten zaś, na którego czekano, pojawić się miał dopiero o pierwszym brzasku dnia.

Nie opodal bramy Nesle Ben Joel kazał zbirom stanąć. Przez tę bramę właśnie Cyrano, mieszkający w dzielnicy Saint-Germain, musiał koniecznie przechodzić.

– Tu zaczekajmy – doradził Ben Joel Rolandowi. – Przejście jest wąskie; prócz tego znajdujemy się na brzegu Sekwany. Będziemy mogli pozbyć się łatwo trupa, wrzuciwszy go do rzeki.

– Masz słuszość. Ustaw ludzi swych w ten sposób, aby Bergerac został w jednej chwili otoczony.

Miejscem przeznaczonym na natarcie był róg ulicy.

Na murze jednego z domów róg ten tworzących płonęła we wnęce lampka, oświetlając słabo figurę Matki Boskiej.

Wprost tego domu na brzegu Sekwany leżała duża kupa gruzów, jakby umyślnie przygotowanych, aby zapewnić bezpieczne schronienie zbrodniarzom.

Ben Joel ustawił po trzech ludzi z każdej strony ulicy.

Trzej pozostali wysłani zostali na zwiady w kierunku bramy Nesle.

Wszystkich tych przygotowań dokonano w największej cichości.

Następnie Ben Joel powrócił do hrabiego.

– Czy pan hrabia jest pewny, że Cyrano przybędzie przez tę bramę? – zapytał.

– Jak najpewniejszy. Mieszka on niedaleko stąd i nie ma innej drogi przed sobą, chyba gdyby chciał przebyć Sekwanę powyżej Luwru, co jednak trudno przypuszczać. Czy można ufać twoim ludziom, że ściśle wypełnią rozkazy?

– Niech jasny pan będzie spokojny. Kapitan Czart, choćby był czartem we własnej osobie, nie wyslizgnie się nam. Pierwszy cios z mojej ręki otrzyma.

– Musi to być zrobione szybko. Jeśli nie znajdę przy Cyranie tego, co mi potrzebne, będziemy musieli wziąć szturmem jego mieszkanie.

– O! – zauważył Ben Joel – to nie byłoby bardzo roztropne.

– Tak chcę i tak być musi – rzekł wyniośle Roland. – Jeżeli brama stawia nam opór, podpalamy dom!

Cygan nic nie odpowiedział.

Pochylił się ku ziemi i nadśluchiwał.

Do uszu Rolanda najlżejszy szmer nie dochodził, ale Ben Joel, który miał słuch o wiele delikatniejszy, pochwycił stuk kopyt na bruku, rozlegający się w bardzo znacznym jeszcze oddaleniu.

Gwiazdy zaczynały gasnąć i na wschodzie, ponad dachami milczącego miasta, niebo z lekka się rozjaśniało.

Jeden z ludzi wysłanych na zwiady nadbiegł szybko.

– Cóż tam? – spytał Roland.

– Jeździec jakiś zmierza w tę stronę.

– Sam?

– Zapewne sam.

– Nie poznałeś, kto to taki?

– Zbyt ciemno jeszcze.

– To on, bez wątpienia – odrzekł Ben Joel. – Ja udam się naprzód; wy bądźcie gotowi.

Cygan podbiegł ku bramie Nesle i przyczaił się, aby zobaczyć przybywającego jeźdźca.

– To on, w samej rzeczy – szepnął do siebie.

– Naprzód! – rzucił przyciszonym głosem rozkaz zbójcom, którzy się z nim połączyli.

Następnie jednym skokiem znalazł się przy wierzchowcu poety i chwycił go silnie za chrapy.

Koń szarpnął się gwałtownie w tył, a Cyrano, wyciągając z olstra pistolet, krzyknął:

– Na bok, łajdaku, bo strzele!

– Hura na Kapitana Czarta! Do mnie, do mnie! – wrzasnął napastnik. Wszyscy zbóje wystąpili, zagradzając drogę poecie. Roland tylko pozostał w cieniu, oczekując końca walki.

– Zasadzka?! – zawołał Cyrano, śmiejąc się szyderczo. – Hrabia, jak widzę, nie traci czasu. Z drogi, hołota!

I nie ostrzegając już tym razem, wystrzelił.

Jeden ze zbójów powalił się na ziemię z roztrzaskaną głową.

– Giń! – krzyknął Cygan i z nadstawionym nożem rzucił się jak tygrys na Cyrana.

Sawiniusz odbił cios i ze wszystkich stron naciskany zeskoczył z konia, aby walczyć swobodnie.

W ręce jego błysnęła szpada i tą szpadą, którą władał po mistrzowsku, szybko oczyścił plac przed sobą.

W tej chwili kilka kul świsnęło mu koło uszu.

– To czart prawdziwy! – mruknął Ben Joel, wściekły z gniewu, widząc, że żaden ze strażników nie dosięgnął Cyrana.

I dobywszy rapiera, natarł raz jeszcze na poetę. Cyrano, broniąc się tyłu naraz przeciwnikom, nie był w stanie przewidzieć wszystkich ciosów. Szpada Cygana przeszła mu prawe ramię.

– Dostał! – wrzasnął triumfująco uradowany zbój.

– Druga ręka cała! – odparł drwiąco poeta.

Z błyskawiczną szybkością przerzucił szpadę z prawej ręki do lewej, smagnął nią Cygana przez twarz, a drugim sztychem przebił mu pierś na wylot.

Zbój wyciągnął ręce i padł, jak gromem rażony.

– Zabity, dowódca zabity! – odezwał się głos w tłumie.

– Zmykaj, kto w Boga wierzy!

Widząc uciekających w popłochu zbójów, Roland wystąpił naprzód, trzymając w każdej ręce pistolet, i mierzył do Cyrana.

Dwa wystrzały huknęły w jednym prawie czasie.

Sawiniusz, w przekonaniu, że to wystrzelił któryś z uciekających, popędził za nimi ze szpadą w ręce aż do mostu Nesle.

Ale łotry zmykali, jakby im kto skrzydła przyprawił.

Po chwili Cyrano ujrzał się sam jeden na placu.

– Drapnęli – rzekł pogardliwie. – Musiano im nędznie zapłacić.

Wrócił na dawne miejsce i gwizdnął na konia, który przywykły do tego wezwania, podniósł łeb i zarżał.

– Gotów ujść! – szepnął do siebie Roland, ukryty o kilka kroków zaledwie od poety.

Ten ostatni, nie mając już z kim walczyć, zajął się tamowaniem krwi, która płynęła obficie z rany, stopniowo go osłabiając.

Roland śledził jego poruszenia, przemyśliwając w ostatniej jeszcze chwili, czym pokonać przeciwnika.

Hrabia nie wziął ze sobą szpady licząc, że nie będzie potrzebna. Pistolety jego były nie nabite. Był bezbronny, w chwili gdy mu najmocniejszym być wypadało.

Podczas gdy Cyrano zajęty był owiązywaniem chustką krwawiącej rany, hrabia obszedł ostrożnie dokoła miejsce, na którym stał poeta i ukrył się za sztucznym szańcem gruzów leżących nad rzeką.

Tam błysnęła mu w głowie myśl nagle.

Pochwycił ciężki kamień – broń bez wątpienia niedogodną i niewystarczającą, ale jedyłą, jaka mu pozostała i z większym jeszcze napięciem ją śledzić przeciwnika.

Mógł mu przyjść z pomocą przypadek, mogła nastreczyć się niespodzianie sposobność ugodzenia Cyrana z ukrycia – Roland liczył na to i czekał.

Gdy Sawiniusz uczuł się nieco pokrzepionym, zbliżył się do konia, aby go dosiąść i udać się w dalszą drogę.

Końce upuszczonych w czasie walki cugli leżały na ziemi.

Cyrano schylił się, aby je podnieść i rozplatać.

Z tej chwili skorzystał Roland.

Jednym skokiem znalazł się przy nim z podniesionym kamieniem i z całej siły ugodził go nim w głowę.

Poeta, otrzymawszy straszny cios z tyłu, wydał głuchy jęk i runął bezwładnie na bruk.

– Trup, trup! – szepnął z szatańską uciechą hrabia. Rzucił się na ciało Cyrana, którego głowa leżała w kałuży krwi, i ją szukać drżącą gorączkowo ręką.

Na piersiach poety, pod kaftanem, znalazł od razu, co mu było potrzebne: księgę Ben Joela, testament hrabiego de Lembrat i własne zeznanie spisane poprzedniego wieczora, to znaczy wszystkie dowody, których istnienia tak okropnie się lękał. Zabrawszy je, podźwignął na ramiona bezwładne ciało, zaciągnął aż na brzeg Sekwany i rzucił w rzekę. Potem, jak zwykły opryszek, uciekł pędem na ulicę Świętego Pawła, przyciskając do piersi skarb za cenę zbrodni nabyty.

Na miejscu walki pozostał tylko trup Ben Joela oraz jednego ze zbójów.

Koń Cyrana, przerażony ostatnim jękiem swego pana, pogalopował jak szalony w kierunku zajazdu.

Tymczasem wzeszło słońce. Straż miejska przybyła na miejsce walki od strony Nowego Mostu. Zjawilo się tam niebawem i kilku wczesnych przechodniów, którzy zatrzymali się, oglądając ciekawie zabitych.

Prawie w tejże chwili przez bramę Nesle przechodzili Castillan i Marota. Tancerka, uwieszona u ramienia młodzieńca, mówiła mu coś przyciszonym głosem, z uśmiechem na ustach, z pełnymi czułości oczyma.

Zbliżyli się w ten sposób do grupy utworzonej z pachołków i gapiów.

Castillan rozpoznał od razu łotrowskie oblicze Ben Joela.

– Co tu zaszło? – spytał.

– Nie wiadomo. Leżą dwa trupy i tyle.

Podczas gdy straż unosiła ciała zabitych, Castillan jął rozpatrywać miejsce walki.

– Ben Joel zabity! – rzekł do Maroty. – Coś się tu święci nadzwyczajnego. Patrz, widać dokoła ślady licznych stóp, jakby przeszła tędy cała gromada ludzi. Mój mistrz miał wyjść z domu dziś rano. Czy tylko jemu nie przytrafiło się jakie nieszczęście? Wróćmy do zajazdu.

Kończył właśnie te słowa, gdy nadbiegł zdyszany Gonin, mówiąc z przerażeniem:

– Panie Castillanie, zajrzałem przed chwilą do stajni, którą zostawiłem otworem, i spostrzegłem w niej konia pana de Bergerac, pokrytego pianą i krwią. Powrócił on najwidoczniej sam, gdyż dobijałem się do mieszkania pańskiego mistrza i nikt nic nie odpowiedział.

– A! – wykrzyknął z największą boleścią młodzieniec – pan de Cyrano zabity!

XLV

Podczas gdy Castillan, Marota i właściciel zajazdu czynili najrozmaitsze domysły na temat tego, co się mogło stać z Sawiniuszem i gdzie szukać należy przynajmniej jego trupa, hrabia Roland, zupełnie w pałacu swym bezpieczny, nasycił się owocami swej zbrodni, nie doświadczając najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

Odczytał on dwukrotnie, raz po raz, spowiedź swego ojca i przekonał się, że była ona w istocie tak straszna i tak dla niego fatalna, jak mówił Cyrano.

Następnie cisnął do komina wszystkie groźne dlań papiery, podpalił je i nie odszedł wcześniej, aż przekonał się, że ogień strawił wszystko do szczętu.

– Teraz – wyrzekł z uczuciem wielkiej ulgi – niczego już obawiać się nie potrzebuję. Nikt już nie przyjdzie wydzierać mi majątku; nikt nie sięgnie po rękę Gilberty.

W kilka godzin później Roland de Lembrat wchodził do pałacu Faventines tak spokojny, jakby nic zgoła nie zaszło minionej nocy.

– Dobrze pan spałeś? – spytał go margrabia.

– Wybornie.

– Rozmowa z Cyranem zakończyła się w sposób pomyślny dla ciebie?

– Jak najpomyślniejszy.

– Obawiałem się jakichś niepotrzebnych nieporozumień. Nasz przyjaciel Sawiniusz był wczoraj jakiś dziwny...

– To nic. Porozumieliśmy się w kilku słowach. Cyranowi zdawało się, że znalazł w Perigord, gdzie bawił przed kilkoma dniami, kilka dowodów mających jakoby osłabiać winę jego protegowanego; jedna chwila wystarczyła mi, aby go przekonać, że się najzupełniej myli.

– Czy nas dziś odwiedzi?

– Nie wiem.

– Będziesz pan się z nim widział?

– Prawdopodobnie. Teraz, gdy już ani jedna chmurka nie przyćmiewa naszego stosunku, nie widzę, dlaczego mielibyśmy się wzajemnie unikać.

– To prawda. Cyrano ma nietęgą głowę, ale złote serce. Nie można mieć do niego zbyt długo urazy. Chciałbym, żeby był na uroczystości weselnej.

– Jestem pewny, że będzie.

Margrabia pociągnął gościa do ogrodu, gdzie znajdowała się już Gilberta w towarzystwie matki i Pakety.

Prawie w tymże czasie przyprowadzono Manuela, pod silną strażą, przed trybunał oskarżający albo mówiąc wyraźniej: do izby tortur.

Było to miejsce straszne i pełne grozy. Pod niskim sklepieniem było ciemno i duszno; na ścianach wisiały narzędzia męki.

Inne do tegoż celu służące przyrządy leżały na ziemi, pokryte w wielu miejscach brunatnymi plamami krwi.

Sam widok tej ohydnej izby mroził krew w żyłach każdemu, kogo wprowadzono dla wymuszenia zeń zeznań.

W głębi widać było podwyższenie, na nim stół otoczony krzesłami. Nad stołem wisiał wielki krucyfiks.

Tuż pod krucyfiksem znajdowało się miejsce sędziego. Nieco niżej siedział pisarz, gotowy do notowania wymuszonych na przestępcach zeznań.

Przed tym trybunałem stał kat z pomocnikami, których owego dnia było trzech. Gdy Manuel wszedł, nie mógł opanować wzruszenia i zadrżał od stóp do głowy.

Następnie zwrócił wzrok na sędziego, który miał go badać. Twarz jego była mu zupełnie obca.

Straż przyprowadziła go przed owo wzniesienie, gdzie kazano mu usiąść na wąskiej ławeczce. Wówczas głosem powolnym, poważnym, sędzia jął zadawać przepisane prawem pytania, na które młodzieniec odpowiadał śmiało i donośnie.

Lecz gdy sędzia przeszedł do dowodów faktycznych, Manuel nie mógł już utrzymać się w tonie spokojnej uległości.

– Panie sędzio – przemówił z podniesioną głową – oświadczyłem już staroście, że jestem niewinny. Powiedziałem też, że hrabia Roland de Lembrat zostanie przekonany niezbitymi dowodami o oszczerstwie. Dziś jestem gotów dowody te przedstawić.

– Nie przyprowadzono cię tu po to, abyś oskarżał, lecz abyś się bronił.

– W oskarżeniu tym mieści się właśnie cała moja obrona. Hrabia de Lembrat chciał otruć mnie w więzieniu.

– Ten człowiek oszalał! – szepnął sędzia do pisarza.

– Uczyniwszy tak – ciągnął Manuel – czyż nie dowiódł wyraźnie, że się mnie i pretensji moich obawia? Człowiek pewny siebie i słuszności swej sprawy oczekuje spokojnie wyroku sędziów. Jemu ręka kata nie wydaje się zbyt powolna i nie uprzedza jej, chwytając sam za narzędzie zbrodni.

– Mówisz, że pan hrabia de Lembrat chciał cię otruć? Jakkolwiek jest to niesłychana niedorzeczność, pragnę na chwilę traktować ją poważnie. Czymże jesteś w możności udowodnić to oskarżenie?

– Hrabia przysłał mi do więzienia dwie butelki wina. Człowiek, który mi je przyniósł, oświadczył, że osoba przesyłająca pragnie pozostać nie znana i że jedyną pobudką jej działania jest litość nad biednym więźniem. To fałszywe współczucie zwiodło mnie na chwilę. Gdybym nie został w porę ostrzeżony, nie miałbyś pan dziś kłopotu z przesłuchiwaniami – nie żyłbym już bowiem.

– Ostrzeżono cię? – zapytał sędzia niedowierzająco. – I któż taki mógłby to uczynić, skoro byłeś jak najpilniej strzeżony?

– Nie będę opowiadał, w jaki sposób doszła do mnie wiadomość, nie wymienię też osoby, która w tym pośredniczyła. Wskazuję fakt, powinno to wystarczyć, zwłaszcza że go mogę poprzeć dowodem.

– Niech i tak będzie. Objasnij mi więc najpierw, co się stało z owymi dwiema butelkami, które, jak utrzymujesz, były zatrute?

– Jedną rozbiłem o podłogę swej celi.

– A druga?

– Druga jest schowana pod kamieniem, do którego byłem przykuty. Proszę posłać kogo do mojej celi, aby przyniósł tę butelkę. Będzie ona, jak sądzę, wystarczającym dowodem.

– Ostrzegam cię – rzekł sędzia groźnie – że jeśli mówisz to wszystko dla zyskania na czasie i odwołania wymiaru sprawiedliwości, figle twoje nie będą miały innego skutku, jak tylko zdwojoną surowość trybunału.

– Proszę raz jeszcze o posłanie kogo do celi.

Sędzia dał znak jednemu ze strażników, który natychmiast wyszedł.

Badanie zostało zawieszono aż do jego powrotu.

Zjawił się po kilku minutach, niosąc ostrożnie pokrytą kurzem butelkę.

– Och, och! – zdziwił się sędzia – więc tam naprawdę coś było?

I wzięwszy butelkę, postawił ją przed sobą, przyglądając się jej z miną niedowierzającą.

– Panie sędzio – pośpieszył z żądaniem Manuel – proszę wlać do kieliszka kilka kropeł płynu zawartego w butelce. Trucizna, którą zaprawiono wino, jest tak gwałtowna, że nawet ta mała ilość zdoła z szybkością pioruna pozbawić życia najmocniejszego człowieka.

Żądanie oskarżonego zostało spełnione.

– Teraz – ciągnął on – proszę doświadczyć mocy tej trucizny.

Sędzia i pisarz spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, które, mimo pełnego grozy nastroju tej sceny, wywołało słaby uśmiech na ustach Manuela.

– Stroisz sobie z nas niedorzeczne żarty – wyrzekł wreszcie sędzia. – Jeżeli kilka kropeł tego płynu powoduje śmierć natychmiastową, jakże chcesz, żebyśmy jego moc wypróbowali? Nie przypuszczasz chyba, że poddam próbę jednego z tych ludzi, którzy cię otaczają?

– Uchowaj mnie Boże od podobnych myśli! Nie na ludziach czynić trzeba tę próbę, lecz na zwierzętach.

– Dozorca chowa koty... – zauważył nieśmiało pisarz.

– Kot w przybytku sprawiedliwości! – oburzył się sędzia. – Wreszcie... – dodał po chwili lowym namyśle – zgadzam się na kota.

Ten sam usłużny strażnik, który chodził po butelkę, podjął się sprowadzić potrzebne zwierzę.

Kot, przeznaczony do tego doświadczenia *in anima viii*, był pięknym stworzeniem o białej, jedwabistej sierści. Gdy go przyniesiono, zwinięty był w kółko i mrużył ślepią z wyrazem błogości. Nie przeczuwał widocznie żadnego niebezpieczeństwa.

– Próbujemy! – rzekł sędzia.

– Wystarczy umaczać w winie chorągiewkę pióra – objaśnił Manuel.

Powiedziawszy to, podniósł się z ławki.

Sędzia podał mu pióro zanurzone na chwilę w kieliszku. Manuel podsunął je kotowi. Kot wyciągnął różowy języczek i skwapliwie obliznął chorągiewkę.

Wino było hiszpańskie, słodkie i aromatyczne. Zasmakowało ono widocznie matusowi, gdyż trzykrotnie do poczęstunku powracał.

Manuel położył na stole pióro, zupełnie już suche. Nie pozostało na nim ani kropelki wina.

– To dziwne! – szepnął widząc, że kot przybrał na powrót swą drzemającą pozę i że nie okazuje najmniejszego zaniepokojenia.

Sędzia i pisarz znów zamienili spojrzenia.

– Nic! – rzekł pierwszy.

– Zupełnie nic! – powtórzył drugi.

Manuel wziął kieliszek, napełnił go winem, umaczał raz jeszcze pióro i przeciągnął je szybko po wargach.

Spodziewał się doświadczyć tego uczucia sparzenia, które za pierwszym razem ostrzegło go o obecności trucizny.

Płyn wydał mu się słodki jak miód.

Manuel pobladał.

Następnie, ulegając rozpaczliwemu zachceni, podniósł kieliszek do ust i jednym łykiem wychylił.

– Wstrzymajcie go! Chce się otruć! – porwał się z krzykiem sędzia.

Ale Manuel stał w miejscu, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Wreszcie, z gorzkim uśmiechem, postawił kieliszek na stole i rzekł:

– Nie obawiaj się, panie sędzio. Niebo jest przeciw mnie. W tym kieliszku było czyste wino.

– Okłamałeś nas zatem? – wykrzyknął surowo sędzia. – Zrobiłeś sobie igraszkę z trybunału sprawiedliwości!

– Niebo jest przeciw mnie – powtarzał Manuel ze smutną rezygnacją. – Dowód, który zdawało mi się, że już trzymam, wysunął mi się z ręki. Jedna tylko z dwóch butelek była zatruta i tę właśnie stłukłem w przystępie gniewu.

– Nie myśl, że ci się uda wystrychnąć nas na dudków. Niedorzeczna komedia, którą odgrywasz, ten tylko będzie miała skutek, że los twój pogorszy.

Sędzia był widocznie mocno rozdrażniony.

Dał znak pisarzowi, który ujął za pióro; następnie, do Manuela zwracając się, wyrzekł:

– Zarzucane ci przestępstwo jest aż nazbyt widoczne. Chciałeś zaprzeczyć oczywistym faktom i zwrócić oskarżenie przeciw oskarżającemu. Wszystko to, jak widzisz, nie doprowadziło cię do niczego. Przyznaj się do winy; wzywam cię po raz ostatni.

– Nigdy – rzekł Manuel tonem jak najbardziej stanowczym.

Sędzia dał rozkaz.

Kat i jego pomocnicy przystąpili do młodzieńca. Posłuszny instynktowi zachowawczemu chciał stawić opór.

Po krótkiej walce krzepkie ręce oprawców obezwładniły Manuela.

Rozciągnięto go na ziemi; pomocnicy kata skrępowali mu ręce i nogi silnymi sznurami.

Te sznury przyczepione zostały następnie do innych, przymocowanych do ścian izby. Uczuł się uniesiony w powietrze, a jednocześnie naprężone silnie sznury zaczęły wyciągać mu ze stawów ręce i nogi.

Pod ciało, wyciągnięte w ten sposób w horyzontalnej prawie pozycji, podsunęto drewniane rusztowanie, które unosząc tors, zwiększyło jeszcze siłę ucisku.

Były to przygotowania do tortury zwanej próbą wody.

– Pierwsza doza! – rozkazał sędzia.

Kat wsunął pomiędzy ściśnięte zęby Manuela żelazną kopystkę, otworzył je przemocą i wcisnął mu w usta koniec dużego leja, który sięgał aż do przełyku.

Gwałtowne, lecz krótkie miotania się męczonogo były jedynym objawem stawianego przezeń oporu.

Jeden z pomocników kata jął przelewać z wolna do leja wodę z pełnego dzbanka.

Manuel nie dał żadnego znaku.

Po dwa i po trzy razy ponawiano męczarnię, on jednak na chwilę nawet odwagi nie stracił.

Z zamkniętymi oczyma zdawał się oczekiwać śmierci.

Dwie były próby wody: zwyczajna i nadzwyczajna. Aby wytrzymać drugą z nich, trzeba było posiadać moc nadludzką.

Woda, wlewana do żołądka w ilości nadmiernej, sprowadzała objawy podobne do duszenia się.

Pod wpływem zacierającej do oczu śmierci przyznanie się wybiegało z ust męczonogo – czy winny był, czy niewinny.

Manuel, obdarzony charakterem żelaznym i wolą niezłomną, wytrzymał zwycięsko pierwsze bóle tej męczarni.

Tętna w skroniach biły mu gwałtownie; krew, napędzana całą siłą do mózgu, czerwieniła mu twarz, ostry ból przeszywał mu piersi, mimo wszystko młodzieniec nie przestawał milczeć z zamkniętymi wciąż oczami. A ile razy sędzia zawołał: „Przyznaj się!” – on głosem silnym jeszcze odpowiadał:

– Nigdy!

Przystąpiono do próby nadzwyczajnej.

Manuel otworzył oczy. W spojrzeniu młodzieńca, bystrym i groźnym, sędzia dopatrzył się skruchy i prośby, i raz jeszcze powtórzył swe stałe pytanie.

– Nigdy! – była odpowiedź, ostatnia już, niestety, gdyż męczony zaczął głos tracić.

– Druga doza nadzwyczajna! – rozkazał sędzia.

Oprawcy rozkaz spełnili.

Był to już koniec.

Manuel zamknął oczy na nowo; twarz mu się wydłużyła.

– Zemdra! – rzekł jeden z oprawców.

– Odwiązać go – polecił sędzia. – Nigdy jeszcze nie widziałem w przestępcy tak zaciętego oporu.

– No, jeżeli przyjdzie jeszcze do siebie – mruknął jednocześnie oprawca – to będzie dowód, że siedzi w nim diablo rogata dusza!

Manuela, wciąż nieprzytomnego, odniesiono nie do więzienia, lecz do komnaty sąsiadującej z izbą tortur, gdzie zajął się nim lekarz więzienny.

XLVI

Zilla, we własnym pokoju uwięziona, zaniechała, jak przypominamy sobie, dalszych prób wydobywania się na wolność.

Nazajutrz dopiero stara odźwierna, usłyszawszy nowe wołania Cyganki, pośpieszyła na górę, aby ją wypuścić z zamknięcia.

Zilla zbiegła natychmiast na dół i wypadła na ulicę, aby udać się do mieszkania Cyrana.

Człowiek jakiś zatrzymał ją przed samym domem. Był to jeden z tych, co należeli do nocnej wyprawy.

– Dokąd biegniesz, Zillo? – zapytał.

– Co ci do tego! – odparła niechętnie.

I chciała go wyminąć.

– Bo to, widzisz – ciągnął zbój – jeśli idziesz szukać brata, mogę ci oszczędzić niepotrzebnego trudu.

– Co to ma znaczyć?

– Już po Ben Joelu – odrzekł krótko tamten, nieprzywykły do długich omawiań.

– Nie żyje!

Stała w miejscu, bardziej zdziwiona i przelękła niż zasmucona.

Ostatnie wypadki zerwały ostatecznie słabą nić przywiązania, która łączyła ją z Ben Joelem.

– Jak się to stało? – zapytała po chwili.

– Brat zginął porządnie, w zażartej walce – pocieszył ją zbój.

– Chcesz pewnie powiedzieć: w podłej zasadzce, którą urządził na człowieka niewinnego i której sam padł ofiarą! – I któż go zabił?

– Tamten.

– Ale kto?

– No, tamten, na którego czekano. Zapomniałem, jak się nazywa.

– Aż nim co się stało?

– Także zabity. Cofnąłem się trochę w tył i zza węgła przypatrywałem się tej zabijacyce. Ten, co zabił Ben Joela, dostał w łeb kamieniem od człowieka, po którego chodziliśmy na ulicę Świętego Pawła i któremu brat twój okazywał wielkie posłuszeństwo.

– Hrabia! – szepnęła Zilla. – Postawił więc na swoim. Zamordował nieprzyjaciela, a los uprzętnął mu z drogi współnika.

Pochyliła głowę w milczeniu i zdawała się zapominać o otaczającym ją świecie. Towarzyście zbója otoczyli ją, przyglądając się ciekawie i czekając, jak to się skończy.

– Manuel! – wybiegło wreszcie z ust Cyganki. – O Manuelu myśleć teraz trzeba.

Odrząciła ruchem wyniosłym zastępującego jej drogę włóczęgę i wybiegła na ulicę.

Z początku, niepewna dokąd się zwrócić, postanowiła wreszcie raz jeszcze spróbować szczęścia i zapukać do drzwi starosty.

Prześwietny Jan de Lamothe, zajęty właśnie odczytywaniem ostatniego protokołu sprawy, kazał ją wpuścić bezzwłocznie.

– Panie starosto! – zaczęła – odwołuję się do pańskiej sprawiedliwości.

– Czego jeszcze żądasz?

– Żądam, aby mnie wysłuchano. Przybyłam, aby udowodnić niewinność Manuela.

– Już mi raz o tym wspominałaś. Jakkolwiek nie mogę mieć do ciebie wielkiego zaufania, pozwalam ci mówić, sprawa bowiem zamiast rozjaśniać się, staje się, owszem, coraz ciemniejsza. Mów zatem.

– Panie starosto – podjęła Cyganka. – Manuel jest bratem hrabiego Rolanda.

De Lamothe rzucił na mówiącą spojrzenie zdziwione i prawie gniewne.

Ona jednak, mało dbając o to, jakie wrażenie uczyniły jej słowa, ciągnęła dalej swe zeznanie.

Odsłoniła intrygi hrabiego i ujawniła przed starostą wszystkie środki, jakich chwycono się, aby sprawę zaciemnić i zaprzepaścić. Starosta jednak zachowywał się względem tych zeznań bardzo niedowierzająco. Spodziewał się innych, bardziej przekonujących.

Potrząsnął głową i rzekł:

– Kłamstwo!

Zilla sięgnęła po swą broń ostatnią.

– A czy uwierzysz mi, panie starosto, gdy ci powiem, że dzisiejszej nocy hrabia de Lembrat kazał zamordować pana de Cyrano; co więcej, że go sam własną ręką zamordował?

Jan de Lamothe porwał się krzycząc:

– Nieszczęsna! Jak śmiałaś to powiedzieć!

Jednocześnie zadzwonił.

Zjawił się woźny.

– Idź natychmiast do pana de Cyrano i poproś go, aby bez straty czasu przybył do mnie.

Woźny wyszedł, starosta zaś, jakby zapomniawszy o Zilli, jął na powrót wertować papiery.

Upłynęło w ten sposób pół godziny. Zjawił się wreszcie z powrotem posłaniec i oświadczył:

– Pan de Cyrano wyjechał tej nocy i dotąd do domu nie powrócił.

Zilla znów głos zabrała, oznajmiając o śmierci Ben Joela.

– Śmierć Ben Joela – zauważył nie uwydatnia bynajmniej winy hrabiego. Zobaczą się z panem de Lembrat.

– Panie starosto! – odważyła się prosić Zilla – czy pozwolisz mi odwiedzić Manuela? Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje on pomocy i pociechy.

– Dziś mogę ci udzielić tej łaski. Weź to.

I Jan de Lamothe podał Cygance kartkę otwierającą wstęp do Châtelet.

Właśnie w chwili gdy Manuela z trudem przywrócono do przytomności, zjawiła się przy nim Zilla.

Na widok jej ani jeden wyrzut z ust mu nie wybiegł. Przepędziła całą godzinę przy łóżku, na którym go złożono; ukorzyła się, wylewała łzy, żebrała przebaczenia – mówiła wreszcie wiele o Gilbercie i o tym, że z uczucia swego czyni ofiarę.

Pożegnała ukochanego słowami:

– Nie trać nadziei! Żyj! Ocalę cię!

W tym samym czasie czcigodny Jan de Lamothe opuścił swój gabinet, udał się na ulicę Świętego Pawła i kazał oznajmić się hrabiemu de Lembrat, który tylko co powrócił z pałacu Faventines.

Bez żadnych też wstępów oświadczył Rolandowi:

– Oskarżenie zwrócone jest przeciw panu.

Hrabia uśmiechnął się wzgardliwie.

– Po tych ludziach wszystkiego spodziewać się można. Muszę cię jednak objaśnić, kochany starosto, że między tym Ben Joelem i Cyranem istniała zadawniona uraza. Cygan zapragnął pewnie wyrównać teraz rachunki, a godnej jego siostrzyczce bardzo jest na rękę zrzucić odpowiedzialność za to na mnie. Zresztą, czy ta wiadomość potwierdza się? Czy Cyrano został naprawdę zamordowany?

– Od chwili gdy wyjechał, nie widziano go w zajeździe.

– To niczego nie dowodzi. Znamy wszyscy jego usposobienie awanturnicze; mógł być łatwo wybrać się w dalszą drogę, nie uprzedziwszy nikogo.

Pomyślał chwilę i dodał tonem uspokajającym:

– Bądź pewny, panie starosto, że za jakie dwa, trzy dni ujrzymy naszego Bergeraka w doskonałym zdrowiu i w wyśmienitym, jak zawsze, humorze. Zresztą, gdyby nie żył, jak to utrzymują, odnaleziono by jego ciało.

– Tak, to prawda! – przytaknął starosta, pokonany bardziej jeszcze spokojnym tonem mowy hrabiego i jego miną, udającą najdoskonalej wiarę w to, co mówi, niż dość kruchymi argumentami.

– A cóż się dzieje z Manuelem? – zapytał hrabia wracając do tego, co go najbardziej obchodziło.

– Brany był dziś rano na konfesaty.

– I przyznał się?

– Nie! Raz jeszcze wszystkiemu zaprzeczył.

– Silny charakter! – zauważył Roland spokojnie, bo już w tej chwili nie lękał się o dalszy przebieg sprawy.

Pomimo wielkiej pewności siebie, którą objawiał hrabia, i jego śmiałych odpowiedzi, starosta, rozstając się z nim, był dziwnie zamyślony.

Umysł jego, oblegany przeróżnymi wątpliwościami, miotał się to w tę, to w ową stronę, jak mucha w sieci pajęczej.

Co się tyczy Zilli, choć smutna i doznany miarażeniami znękana, nie upadała jednak na duchu.

Wyszędłszy z gmachu więziennego, otarła ona wilgotne od łez oczy i poszła prosto do mieszkania Cyrana.

Pragnęła za wszelką cenę odzyskać księgę, która w tej chwili była jej niezbędna.

U wejścia do zajazdu spotkała Marotę.

Było to dla niej wielką niespodzianką.

Współtowarzyszki włóczęgi i przygód romantycznych nie widziały się już od dawna, zaledwie też poznać się mogły.

Po szybkiej wymianie słów wyjaśniających, skąd się wzięła jedna i druga, Zilla wyjawiała przyjaciółce wszystko, co przepelniało jej serce, i wskazała główny powód swego przybycia.

Marota patrzyła na nią przez chwilę wzrokiem szczególnym, następnie, nic nie mówiąc, ujęła ją za rękę i poprowadziła do wnętrza domu.

XLVII

Upłynęło wiele dni... i hrabia Roland de Lembrat odzyskał całkowicie, jeśli nie spokojność, to przynajmniej zupełną pewność siebie.

O Cyranie żadnych wieści nie miano.

Roland, aby rolę swą odegrać do końca, posyłał kilkakrotnie do właściciela zajazdu z zapytaniem o poetę, ale sławetny Gonin odpowiadał za każdym razem, że mu nic o panu de Bergerac nie wiadomo.

Gdyby wysłaniec hrabiego był człowiekiem bystrzejszym, zauważyłby może niezwykle ton owych odpowiedzi. Ale nie należał on do tych, co się liczą z takimi drobnostkami i zdając sprawę swemu panu, powtarzał słowa oberżysty bez żadnych uwag dodatkowych.

Hrabia był zatem najpewniejszy, że trup jego wroga spoczywa spokojnie na dnie Sekwany.

Zwycięstwo było zupełne.

Okoliczności wybornie usłużyły zbrodniarzowi. Pozostał sam jeden, uwolniony równocześnie od nieprzyjaciół i od współników przestępstwa.

Po śmierci Rinalda i Ben Joela nikt już nie mógł świadczyć przeciw niemu. Pozostawała wprawdzie Zilla, jakąż jednak wartość mogło mieć jej ustne zeznanie wobec faktu, że księga Ben Joela w popiół się obróciła.

Nic już więc teraz nie zaprzętało myśli hrabiego prócz przygotowań do małżeństwa, które postanowił jak najbardziej przyspieszyć, mało sobie czyniąc z przewidywanego oporu Gilberty.

Codziennie teraz bywał w pałacu na Wyspie Świętego Ludwika i długie narady odbywał z margrabią.

Ten ostatni po każdej bytności przyszłego zięcia przywoływał córkę i wymownie bronił sprawy Rolanda; im bardziej jednak zbliżał się termin ślubu, z tym większą stanowczością powtarzała Gilberta wolę swą, którą od początku otwarcie ojcu oznajmiała.

Margrabia, bardzo wiele nadziei i wyrachowań opierający na tym związku, postanowił nie przykładać wielkiej wagi do słów upartej dziewczyny i nie przestawał ośmielać i zachęcać hrabiego.

W końcu jednak zaniepokoił się.

Gilberta potrafiła przeciągnąć na swą stronę matkę, a pani de Faventines zbudziła w umyśle męża pewne wątpliwości i niepokoje, z którymi – jak to zaraz zobaczymy – walczyć musiał.

Pewnego dnia Roland, według zwyczaju, przybył do pałacu.

Tym razem zaopatrzył on się w broń niezawodną, która miała ostatecznie doprowadzić go do celu. Bronią tą był projekt kontraktu, ułożony w ten sposób, że zaspokajał najambitniejsze pragnienia margrabiego.

Na prośbę hrabiego pan de Faventines kontrakt ów przeczytał.

– Ależ doprawdy, hrabio – odrzekł rozpromieniony – poczynasz sobie po królewsku. Twoja wspaniałomyślność wzrusza mnie głęboko.

– A więc – natarł nie zwlekając Roland – jeżeli uważasz, panie margrabio, że wszystko w porządku, wypada nam już tylko nadać temu aktowi ważność prawną. Za trzy dni gotów byłbym poślubić pannę Gilbertę.

– Za trzy dni! – powtórzył tamten zamyślając się. – Czy nie byłoby to zbyt gwałtownie? Często przez pośpiech zbyt szybki psują się najlepsze sprawy. Nie sądzę, aby córka moja była już dostatecznie przygotowana do tego małżeństwa.

– To i cóż! – odparł hrabia tonem swobodnym i lekkim. – Wszystkie dziewczęta niechętnie pozbywają się wolności. Lubią one, aby były proszone, pożądane – zdobywane. Pewien łagodny opór dodaje im uroku. Znając siebie, nie są bynajmniej nierade tym, którzy w danej chwili podejmują się wyręczyć je w wypowiedzeniu stanowczego: „tak”...

– Być może... jednak zachowanie się Gilberty daje mi dużo do myślenia. Bywa często zamysłona, to znów nienaturalnie egzaltowana. Matka, która zawsze zna lepiej niż ojciec serce córki, mówiła mi, że obawia się niekiedy złych następstw zbyt prędkiego postanowienia.

Roland uśmiechnął się kwaśno.

– Niezbyt to pochlebia mojej miłości własnej – rzekł. – Jednakże nie obawiaj się, panie margrabio. Zaufaj i oddaj mi pannę Gilbertę. Otoczę ją taką troskliwością, takim szacunkiem i taką miłością, że porzuci niebawem swe posępne marzenia o śmierci, jeśli w ogóle miewa je kiedykolwiek.

– Gilberta jest energiczna i stała w postanowieniach.

– Ach, drogi margrabio, jesteś ojcem, a nabawiają cię strachu zwykle dziewczęce kaprysy! Młoda panna, która grozi otoczeniu swemu, że zabije się, jeśli zmuszą ją będą do małżeństwa z rozsądku – nikomu naprawdę nie jest groźna. Ani jej samej, ani jej pogrozek nie wypada brać poważnie. Proszę zatem o odpowiedź stanowczą. Resztę biorę na siebie.

Margrabia wyciągnął rękę do Rolanda.

– A więc tak – wyrzekł uroczyście – zasłużyłeś sobie, hrabio, na moje zaufanie. Zgadzam się. Niech będzie, jak żądasz.

Prawie natychmiast zawiadomiono o tym Gilbertę.

Przyjęła wiadomość w głębokim milczeniu i z martwą obojętnością.

Była całkowicie już wyczerpana walką, tak długo przeciągającą się, i nie chciała zadawać sobie trudu ujawniania najslabszego nawet oporu!

Odeszła do swej panińskiej komnatki, pozostawiając Pakecie zajęcie się przygotowaniami ślubnymi.

Umysł Gilberty znajdował się w stanie nadzwyczajnego podniecenia, które sprawiało, że nie żyła prawie wcale życiem zwykłych ludzi, że powszednie radości i troski prawie zupełnie istnieć dla niej przestały.

Nie uczuwała też najmniejszej trwogi przed tym, co niegdyś dreszczem śmiertelnego przeżycia zlodowaciłoby jej serce.

Myśli jej i marzenia przebywały w jakiejś sferze nadziemskiej, wyższej ponad sprawy doczesne o której jednak nie umiałyby powiedzieć, czy jest niebem, czy – piekłem.

Pełne otuchy słowa Cyrana uleciały już jej z pamięci. Co więcej, nawet osobą poety i jego niewytłumaczonym zniknięciem zajmować się przestała.

Cała dusza Gilberty wypełniona była Manuelem. Jego tylko jednego dostrzegała we mgle swych marzeń. Dla niego też tylko, z poddaniem się i niemal z radością, czyniła przygotowania do ofiary z życia.

W takich okolicznościach nadszedł dzień ślubu jej z Rolandem.

XLVIII

Wczesnym rankiem Roland wyszedł z pałacu, odziany w ślubne suknie, i udał się do Luwru, gdzie bywał codziennie, wraz z innymi wielmożami, przy ubieraniu młodego monarchy.

Miał on wśród dworzan wielu przyjaciół, których na swój ślub zaprosił.

Gdy już dopełnił zwykłego ceremoniału, wszyscy postanowili odprowadzić go do pałacu przyszłego teścia.

Wesoły, strojny i gwarny orszak wysypał się z jednej z bram Luwru, mając na czele promieniającego szczęściem nowożeńca.

Mieszczanie i mieszcanki stawali na drodze, olśnieni blaskiem tych jedwabiów, aksamiatów i piór strusich, które w pełnym oświetleniu słonecznym grały najpiękniejszymi barwami.

Z podziwem łączyła się zazdrość, a ta ostatnia nierzadko w nienawiść przechodziła.

Młodzieńcy nie szczydzili przechodniom żarcików, drwin, a niekiedy i obelg. Zachowywali się tak, jakby świat cały do nich należał i – kłaniać się im musiał.

Oblubieniec rej wodził w tym gronie hulaszczym, bo mu tak z roli, a może i z upodobania chwilowego, wypadło.

Nagle uwagę jego zwróciła na siebie pewna szczególnie wyglądająca lektyka – którą niesiono do pałacu królewskiego.

Za tą lektyką postępowali: Zilla, Castillan i Marota. Postępowała też jedna jeszcze osoba, wysokiego wzrostu, barczysta, w czarnej sutannie, której Roland nie znał.

Osobą tą był ksiądz Jakub Szablisty.

Na widok lektyki i otaczających ją ludzi zimny dreszcz przebiegł Rolanda.

Ale uspokoił się natychmiast.

– Zabity! Utopiony! – powtórzył sobie kilkakrotnie.

I z silnym postanowieniem zapomnienia o tym niepokojącym zjawisku wstąpił razem z towarzyszami we wrota pałacu Faventines.

Wszystko tam już było gotowe na ich przyjęcie...

Wielki salon tonął w gęstwinie rzadkich kwitnących roślin i ozdobiony był nowymi wspinałymi gobelinami.

Margrabia witał w progu napływających gości, których obszerne salony ledwie pomieścić mogły.

Długo on czekał na ten dzień i wiele trudności zwalczyć musiał, zanim go przygotował, więc też w spojrzeniu i w całej twarzy jego widniała radość wielka, połączona jakby z obawą, aby ta rozkoszna rzeczywistość nie zmieniała się nagle w sen i nie uleciała...

Po przybyciu Rolanda prawie wszyscy przy nim się skupili.

Nagle doniosły głos służby oznajmił prześwietnego Jana de Lamothe, starostę paryskiego.

– Cóż tak późno, szanowny nasz przyjacielu? – przywitał go margrabia z wymówką.

– Obowiązek przede wszystkim, margrabio! Kilka ważnych spraw zatrzymało mnie dzisiejszego ranka na urzędzie.

– Jakież to uciążliwe obowiązki! Ani jednego dnia wytchnienia!

Starosta, uroczysty i wynioślejszy niż kiedykolwiek, ciągnął:

– Jedna zwłaszcza sprawa w najwyższym stopniu zajmuje mnie i zaciekawia w tej chwili.

– O cóż w niej chodzi?

– O zniknięcie pańskiego przyjaciela Cyrana.

Margrabia zasepił się.

– To prawda – odrzekł – co się stać mogło z biednym poetą? Prosiłem go na ślub swej córki, tymczasem odpowiedziano mi, że nikt nie wie ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Czyżby spotkało Cyrana nieszczęście?

– W tym względzie nie wiem jeszcze nic pewnego i to właśnie jest przedmiotem mego niepokoju i moich poszukiwań. Czy zaawanturował się gdzie daleko? Czy też padł ofiarą przypadku lub – co nie daj Boże – zbrodni? Gęsty mrok tajemnicy wszystko to pokrywa. W każdym razie jest to czy też: był to wielki szaleniec i jeśli zajmuję się nim, stosownie do wskazówek, które otrzymałem i które znane są hrabiemu, to jedynie dlatego, że uczynił on w świecie wiele hałasu i że jest rzeczą ciekawą zbadać, dlaczego już go teraz nie czyni. Jeśli zaś mam być szczerzy, to wyznam, że skłonny jestem do uwierzenia, iż Cyrano – jak głoszą wieści – został naprawdę zamordowany.

– Biedny Sawiniusz – westchnął margrabia, szczerze wzruszony.

– Szkoda go – zauważył zimno Roland.

– Dajmy pokój temu smutnemu przedmiotowi! – zakończył starosta. – Kiedyż ślub? – spytał, zwracając się do pana młodego.

– W samo południe!

– W takim razie wkrótce już będziemy mieli szczęście powitać pannę młodą.

– Gilberta jest w tej chwili przy matce. Za chwilę ujrzycie ją, panowie.

Przez otwarte okna nadpłynął głos dzwonów katedralnych, przyzywających na nabożeństwo.

Na ten znak goście skupili się dookoła margrabiego, a po małej chwili szmer rozległ się wśród strojnej drużyny.

W otwartych drzwiach zjawiała się Gilberta w białym stroju oblubienicy. Matka i Paketa postępowały za nią.

XLIX

Bielsza była od welonu, pokrywającego jej czoło.

Uśmiechała się jednak tym zimnym, obrzędowym uśmiechem, do okoliczności zastosowanym, który był ostatnim ustępstwem uczynionym dla ojca. Przy stroju oblubienicy, olśniewająco i niepokalanie białym, dziwnie odbijał, nie zauważony jednak przez nikogo, naszyjnik bursztynowy...

Ku temu straszemu darowi Zilli ręka Gilberty sięgała co chwila ruchem nerwowym, ścisnąc perłę zatrutą, od której spodziewała się wkrótce spokoju i śmierci.

Zamiarem jej było odłożyć do ostatniej chwili wykonanie rozpaczliwego kroku, głos sumienia nakazywał jej zachowywać życie najdłużej jak można, aby dać czas przypadkowi, a raczej Opatrzności, przybyć jej z pomocą, jeśli tam, gdzie ważą się losy ludzi, uznane to zostanie za potrzebne. Margrabia zbliżył się do niej z otwartymi ramionami.

– Moja córko, dziecię moje najdroższe! – wyrzekł z czułością.

I w tym ojcu, który dokonywał lichego targu, oddając rękę jedynaczki hrabiemu, zbudziło się na chwilę szczere uczucie i prawdziwa łza w jego oku zabłysła, wywołana żalem, a może i skruchą.

Gilberta zwróciła na ojca niewymownie smutne spojrzenie.

„Biedny ojciec! – pomyślała. – Niech mu Bóg przebaczy, bo zaprawdę nie wie, co czyni!”

Dzwony u Panny Marii zamilkły.

– Zaczynają wychodzić – rzekła cichym głosem Paketa.

– Tak – szepnęła drżąc Gilberta – wszystko skończone.

Wygallowany służący zjawił się w tejże chwili w salonie i skłaniając się przed margrabią oznajmił, że karety już zaszły.

– Panie i panowie – rzekł głośno margrabia – jedziemy.

I wyciągnął rękę do córki. Ale Gilberta zachwiała się i na fotel upadła, szepcząc niewyraźnie:

– Ach, nie, nie mogę!

Na znak swej pani Paketa wyszła z salonu i powróciła za chwilę, niosąc szklanek wody na srebrnej tacy.

– Uspokój się, pani – rzekł Roland do narzeczonej. – Opanuj wzruszenie. Zaczekamy na pani rozkazy.

– O, nie będziesz pan czekał długo.

Wzięła szklanek do ręki, umaczała w wodzie usta i w tejże chwili wpuściła do niej odebraną od naszyjnika perłę.

Zgodnie z zapowiedzią Zilli perła rozpuściła się prawie natychmiast, nie zmącając ani trochę kryształowej czystości płynu.

Usta Gilberty poruszyły się lekko. Modliła się pewnie.

Następnie wolnym ruchem podniosła szklanek.

W chwili, gdy rzuciwszy dokoła siebie ostatnie spojrzenie żalu czy też nadziei do ust ją przytykała, wielkie drzwi salonu otwały się z łoskotem na całą szerokość i wśród wielkiej ciszy, która tam zapanowała, służący obwieścił głosem donośnym:

– Jaśnie wielmożny wicehrabia Ludwik de Lembrat! Jaśnie wielmożny Sawiniusz Cyrano de Bergerac!

L

– Ach! – wyrwał się słaby okrzyk z piersi Gilberty. – Bóg uczynił cud. Jestem ocalona!
I stawiając nietkniętą szklankę na stole, pośpieszyła na spotkanie wchodzących.

W progu ukazał się Sawiniusz, który postępował, wspierając się na Manuelu i Castillanie.
Tuż za tą trójką widać było Zillę, Marotę i księdza Jakuba Szablistego.

Poeta był bardzo blady, skrwawiony bandaż opasywał jego głowę, i mimo pomocy dwóch przyjaciół posuwał się z wielką trudnością.

Roland, zmiażdżony niespodziewanym zjawiskiem, stał jak skamieniały, nie przemawiając jednego słowa, nie robiąc jednego poruszenia.

Pierwszemu staroście wraz z przytomnością powrócił głos.

– Co to znaczy?! – wykrzyknął ze zdumieniem naiwnym. – Więc pan nie umarłeś, panie de Cyrano?

– Jak pan widzisz – odrzekł Bergerac. – W każdym razie, jeśli żyję, to nie winien temu z pewnością pan hrabia de Lembrat, gdyż on to mnie właśnie zamordował.

– Panie! Takie oszczerstwo! – wykrzyknął Roland, który wobec niebezpieczeństwa odzyskał natychmiast swą bezczelną odwagę.

Cyrano piorunującym spojrzeniem usta mu zamknął.

– Pozwól mi pan najpierw powiedzieć, co mam do powiedzenia – podjął. – Następnie będziesz mógł się bronić, jeśli potrafisz.

– Na jakiej zasadzie przybyłeś pan tu zamącać uroczystą chwilę mego życia?

– Na zasadzie prawa i sprawiedliwości. A miałeś mnie pan za umarłego i zdawało ci się, żeś już zupełnie bezpieczny? Sądziłeś, że Sekwana trupa mego nie wyrzuci! Wysłałeś służbę swą na zwiady, a w domu, gdzie mieszkam, mówiono ci, żeś przepadł bez wieści. „Wybornie – myślałeś w zaślepieniu wielkim czy też w niepojętej głupocie – nie mam już potrzeby obawiać się swego przeciwnika”. Ale podczas gdy wieszowałeś sam sobie łatwego triumfu, przyjaciele moi czuwali, a oczy ich, bystrzejsze od oczów miejskich pachółków, spostrzegły mnie spoczywającego bez przytomności na mieliźnie, na którą cisnąłeś mnie w zbytnim pośpiechu. Dzięki temu dzielnemu młodzieńcowi i tej odważnej dziewczeczce – przy tych słowach Cyrano uściśnął serdecznie ręce Castillana i Maroty – wydobyty zostałem z tego błota, gdzie inaczej marnie bym dni swoje zakończył. Jeśli ukrywałem się aż do tej chwili, jeżeli rozmyślnie kazałem rozgłaszać wieści o swym zniknięciu, czyniłem to w tym celu, aby cię przydybać i ugodzić w samej chwili twego triumfu. W takiż sam sposób i ty chciałeś kiedyś zgubić Manuela.

Cyrano wyczerpany zamilkł. Chciał wszystko od razu wypowiedzieć, a wysiłek ten odnowił i wzmógł jego cierpienia.

– Ależ to niesłychane! – zawołał z udanym oburzeniem Roland. – Panie margrabio, jako gospodarz domu racz położyć koniec tej scenie skandalicznej.

– Z wolna, panie hrabio – wmieszał się w tej chwili Jan de Lamothe, który z niezmierną uwagą słuchał słów Cyrana – przyjaciel musi tu ustąpić miejsca sędziemu. Rzecz powinna być dokładnie zbadana.

– Dzielnie powiedziane, panie starosto! – rzekł poeta. – Te słowa godzą mnie z panem.

I podał rękę dawnemu przeciwnikowi, a wskazując Rolanda, dodał:

– Ten człowiek nadużył pańskiej dobrej wiary. Wtrącił on do więzienia brata, aby mu zagrabieć majątek i imię. Cygana Manuela nie ma już, panie starosto; jest tylko wicehrabia Ludwik de Lembrat, którego panu przedstawiam. W imieniu królowej regentki, najmiłościwszej naszej pani, żądam też od pana, abyś uznał jego tytuł i stanowisko.

– A ja – wykrzyknął Roland, którego wściekłość bezsilna czyniła prawie nieprzytomnym – żądam od pana, w imieniu służących mi praw, abyś kazał natychmiast uwięzić obu tych oszustów: jednego, który się mieni moim bratem, drugiego, który mu w tej intrydze dopomaga.

Margrabia, nie przyjmujący dotąd udziału w tej nadzwyczajnej scenie, ośmielił się wreszcie zauważyć:

– Jednakże, hrabio, jeśli mają dowody?

– Nie mają ich.

– Nie ma tych, które mi pan skradłeś – odezwał się Cyrano. – Nie ma ani strasznego dla ciebie zeznania twego ojca, ani księgi Ben Joela, ani wreszcie świadectwa twą ręką własną spisane. Pozostało mi wszakże zeznanie twego służącego Rinalda, spisane w obecności mego przyjaciela Jakuba Szablistego, tu obecnego i szczęśliwie przezeń zachowane; pozostaje mi wreszcie świadectwo Zilli. Powracam z Luwru. Królowa Anna udzieliła mi posłuchania; dowody, które jej przedstawiłem, przekonały ją. Z woli monarchini Manuel został wypuszczony na wolność; z jej woli również pan zostaniesz ukarany. Przeczytaj, panie starosto, rozkaz najjaśniejszej regentki.

– Wszystko przeciw mnie! – jęknął Roland. – Jestem zgubiony.

Prześwietny Jan de Lamothe wziął do ręki i odczytał rozkaz, opatrzony podpisem królowej.

Przystąpił do Rolanda, który siedział zagłębiony w fotelu, gdzie przed chwilą spoczywała omdlewająca Gilberta i dotykając ramienia jego palcem, wyrzekł:

– Bardzo żałuję, panie hrabio, tego, co się dzieje, ale według brzmienia rozkazu jej królewskiej mości, zmuszony jestem pana uwięzić. Margrabio, każ pozamykać bramy swego pałacu i poślij po straż miejską.

– Mnie uwięzić, mnie? – bełkotał Roland.

– Tak —jako oskarżonego o zbrodnię zabójstwa i fałsz – dokończył starosta. – Proszę o szpadę, panie de Lembrat.

– A! – wykrzyknął Roland zduszonym bezsilną wściekłością głosem.

I zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło, jakby chciał przeciw sobie samemu zwrócić gniew szalony.

Krew uderzyła mu do głowy, całe ciało trząść się jeło spazmatycznie. Żrenice jego wywróciły się; zimny pot wystąpił na czoło; gardło ścisnął skurcz gwałtowny.

Dusił się.

Wówczas machinalnie, aby zapobiec gwałtownemu napadowi, z tym instynktem zachowawczym, który nakazuje człowiekowi sięgnąć po każdy środek ratunku, jaki ma pod ręką, pochwycił szklankę wody, pozostawioną przez Gilbertę, i jednym łykiem do dna ją wypił.

Stało to się tak szybko, że Gilberta, złodowaciała z przerażenia, nie zdążyła nawet jednym poruszeniem ostrzec go i powstrzymać.

– A! – krzyknęła rozpaczliwie. – Otruł się!

– Co pani mówi? – spytał stojący przy niej Manuel.

– Tak – szepnęła cicho a prędko – ta trucizna była przygotowana... dla mnie. Nie wiedział o tym. Ach, spojrzysz pan na hrabiego.

Roland podniósł się na siedzeniu, jakby podrzucony sprężyną. Szklanka upadła i potoczyła się po dywanie. Z rozszerzonymi strasznie żrenicami hrabia pozostał przez chwilę w postawie stojącej, potem ozwało mu się w gardle krótkie śmiertelne rżenie i runął na posadzkę jak gromem rażony.

Zilla podbiegła i mijając szybko Gilbertę, spytała:

- Perła?
- Tak! – odrzekła tamta w najwyższym przerażeniu.
- Bracie mój, bracie! – rzekł Manuel, który wraz z innymi świadkami tej sceny cisnął się do leżącego.
- Hrabia de Lembrat nie słyszy już pana – wyrzekła poważnie Zilla.

LI

Cyrano wpatrywał się długo w trupa, którego twarz, kurczowo wykrzywiona, jeszcze zdawała się sztywnieć i wygrażać.

- Nie będzie plamy na tarczy herbowej panów de Lembrat – szepnął nareszcie.

Gdy Gilberta, przyszedłszy cokolwiek do siebie po tych wstrząsających wrażeniach, znalazła się w obecności Zilli i Manuela, doznała uczucia jakiejś nieokreślonej trwogi.

Źródło tej trwogi odgadła Cyganka i ujmując za rękę córkę margrabiego, rzekła po prostu:

- Żegnam panią.
- Zillo – rzekł Manuel – nicze więcej nie masz do powiedzenia? Czy w ten sposób chcesz rozstać się z nami?

Rzuciła mu długie spojrzenie, w którym zdawała się skupiać cała jej dusza i jakby drogocenna wskazówka szczęścia, a zarazem i objaw żalu głębokiego, wybiegło z jej ust jedno tylko słowo:

- Kochajcie się!

Księdzu Jakubowi Szablistemu przypadło w udziale pobłogosławić związek małżeński Gilberty z Manuelem.

KONIEC